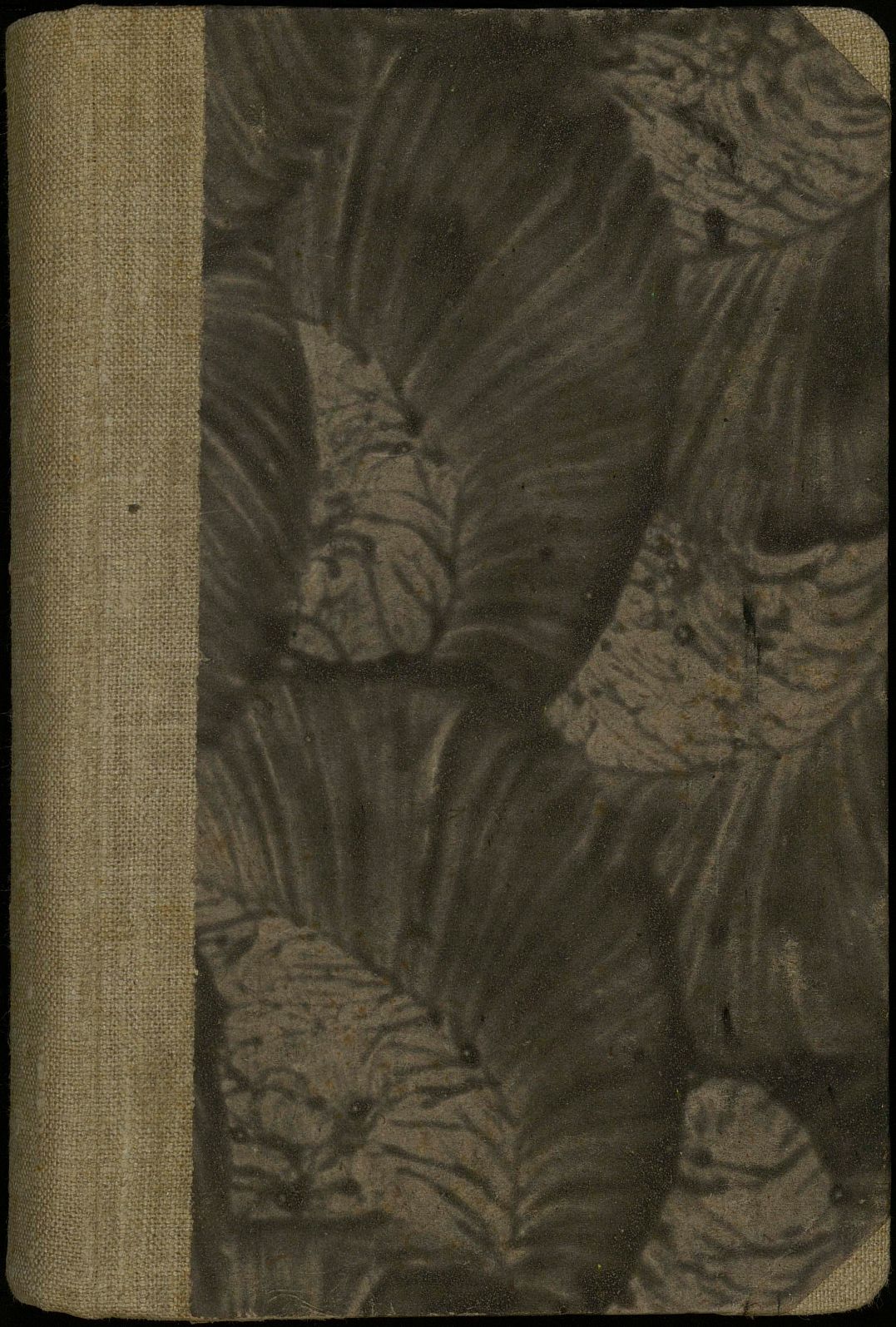

NOWELE

XI

PISMA
ADOLFA DYGASIŃSKIEGO
PIERWSZE WYDANIE ZBIOROWE

W OPRACOWANIU
WŁADYSŁAWA WOLERTA
PRZEDMOWY
ADAMA GRZYMAŁY-SIEDLECKIEGO
STEFANA KOŁACZKOWSKIEGO
KAZIMIERZA SIMMA

TOM 23

NOWELE

XI

NAKŁADEM
INSTYTUTU WYDAWNICZEGO „BIBLIOTEKA POLSKA"
WARSZAWA

ADOLF DYGASIŃSKI

NOWELE

SEN. — MUCHY. — PAN REFERENT. —
MACIEK FUŁA. — ŻYWOT BELDONKA. —
ZNAJDKA. — GŁÓD I SUMIENIE.

TOM XI

WARSZAWA
INSTYTUT WYDAWNICZY „BIBLIOTEKA POLSKA"

KSIĄŻNICA PODLASKA
im. Łukasza Górnickiego
Nr 2320 A
KS. ARCHIWALNY
w Białymstoku

WSZELKIE PRAWA
ZASTRZEŻONE

Bie 10608
28394
Białystok

884-311.2

DRUK WYKONANO W ZAKŁADACH GRAFICZNYCH
„BIBLIOTEKA POLSKA“ W BYDGOSZCZY

K.R
121

SEN.

Fantazja.

Siedziałem wobec sądu na ławie oskarżonych, a obwiniano mnie o spełnienie w życiu licznych zbrodni: świętokradztwa, bluźnierstwa, zdrady, wiarołomstwa, oszustwa, kradzieży, morderstwa...

Oskarżenie było straszne i domagało się najsurowszej kary.

Zrazu miałem duszę lekką, umysł przeświadczony, że na sumieniu moim nie więcej ciąży występków, niż na sumieniu pierwszego lepszego człowieka, który do starości przebiegł życie. Myślałem, że wszyscy bliźni mi ludzie mają naturę zupełnie do mojej podobną, że już we krwi ich niejako tkwią wszystkie moje wady i zalety, a przeto nie zasługują na potępienie.

Spokojnym okiem spoglądałem na cisnących się do izby sądowej widzów, dziwiąc się, dlaczego tak tłumnie przybywają. Ach! bo ludziom sprawia rozkosz oglądanie własnych uczuć na scenie, ponieważ inaczej sami siebie widzieć nie mogą!

Mnóstwo znajomych płci obojej widziałem dokoła siebie i sam zacząłem być ciekawy siebie.

Opanowała mnie najzupełniejsza pewność. — Gdzie okiem rzucić, wszędzie ludzie, a ja czułem

się jednym z tej gromady, zrosłym z nią wyobrażeniami, uczuciami, pragnieniami, czynami.

Cóż w nich być mogło, co mnie nie ożywia?... Jasno czułem, wyraźnie widziałem wszystkie nici, które mnie łączyły z całą ludzkością. Czyżbym się inaczej mógł poczuwać do człowieczeństwa?... I myślałem sobie w duszy:

„Któż tu na mnie kamieniem rzuci?... Kto jest bez winy?... Czy moja moralna wspólność z całą ludzkością może się zwrócić przeciw mnie samemu tylko?... Jestem przecież człowiekiem i nic nieludzkiego nie mam w sobie! Muszą to przyznać."

Ale w miarę, jak oskarżyciel przedstawiał moje występki, upadałem coraz więcej na duchu, a przeświadczenie o własnej niewinności ciągle we mnie malało i malało.

Rzuciłem okiem po zgromadzonych; spostrzegłem na niektórych twarzach przerażenie, oburzenie, zgrozę, na innych — jakby uśmiech zadowolenia, jeszcze na innych — żal, smutek, zawód. Widziałem i łzy w oczach.

„Ha! więc widać wierzą, żem występny, żem inny, niż oni!... Biada osamotnionemu człowiekowi, z którym nikt się nie poczuwa do wspólności!"

I teraz występki moje rzuciły mi się do oczu — ich oczywistość była nadzwyczajnie wielka; zadrżałem w głębi serca... Każde słowo oskarżyciela uderzało mnie teraz jak kamień, budziło straszliwie dotkliwe wyrzuty sumienia, rodziło w umyśle szczere przekonanie, że jestem zbrodniarzem. Całe moje życie przedstawiło mi się jako jedno nie-

przerwane pasmo występków godnych kary, które popełniłem od chwili przyjścia do rozumu, aż po chwilę obecną. Sam sobie obrzydłem, czując własną małość i nikczemność. Człowiek obmierzł mi w duszy i nie śmiałem już podnieść oczu, ogromnie zawstydzony, że czyny moje w całej swej nagości wyszły na jaw wobec tych, co mnie uczciwym nazywali. Dlaczego za takiego między nimi uchodziłem? Dlaczego się taiłem, byłem obłudny?... Teraz oto, nim wyrok sądu zapadł, sam się potępiłem we własnym przekonaniu. Oh, jak się skurczył mój egoizm!... Sądziłem, że dokoła mnie huczy jakaś zawzięta wrzawa, a to był krzyk mojej duszy. Szkoda, że się człowiek nie może odwrócić od siebie samego i nie widzieć rany, którą otrzymał jego egoizm!

Raczej skryć się pod ziemię, niż patrzeć na ten tłum ciekawych — i wśród nich tylu znajomych!

Cieszyłem się ich uznaniem, przyjaźnią, a teraz jak oni dziwnie na mnie spoglądają... Wpadłem w nieszczęście, jestem na dnie niedoli; cierpię, gdyż się wydały moje szpetne uczynki, ujawniła się zupełnie moja czarna dusza...

A oskarżyciel, dobrze mi znany człowiek, zdawał się być panem wszystkich najgłębszych mych tajemnic; otwierał księgę mojego żywota, wyliczał z niej różne występki, które objaśniał zamiarami, pobudkami, nie zawsze wyrwanymi żywcem z mojej duszy. Istotę każdego występku znał on jednak na wskroś, gmerał w tych sprawach po mistrzowsku.

Słuchając jego obszernych wywodów, nabrałem wnet przekonania, że mnie całkowicie splądruje, że wszystko najskrytsze ujawni, napiętnuje ku zgorszeniu zgromadzenia. Zwolna począłem uczuwać w sobie zuchwalstwo, jakąś bezwstydną odwagę złoczyńcy, chęć urągania ludzkiej sprawiedliwości. Musiałem się otrząsnąć ze zgnębienia, gdy w odpowiedzi na oskarżenie, jakiś głos tajemniczy zdawał się szeptać mi na ucho:

„Ludzie dlatego pragną sprawiedliwości, ponieważ są źli i biada temu, kogo oni sądzą! Tylko Bóg jest dobry..."

Spojrzałem na swego oskarżyciela. Miał usta zacięte, twarz poważnie oburzoną i wydał mi się jakby wpatrzony w siebie samego, z własnej duszy odczytujący oskarżenie. Czyżby mnie dlatego tak ciężko oskarżał, że dobrze zna siebie? Mówił płynnie, wyraźnie, kładł nacisk na to wszystko, co powinno oburzyć zgromadzonych.

Z kolei podniosłem oczy na sędziów. Siedzieli z powagą rzymskiego senatu naokoło stołu; znałem ich wszystkich bardzo dobrze, gdyż byli to albo nieprzyjaciele, albo przyjaciele moi. Nieprzyjaciół było wielu; takich, co mnie zawsze milczkiem kąsali i takich, którzy występowali jawnie w imię zasad, popieranych przez większość. Dotknięci przeze mnie w swoich uczuciach, interesach, nienawidzili mnie szczerze. Ja im się też nie wywdzięczałem miłością i wcale tego nie taiłem. Nigdy się bezkarnie nie zagląda w duszę bliźniego; ogień dajesz, ogień odbierasz.

Jeden z nich miał dużą, tłustą twarz gbura; jego maleńki rozum zawsze się trzepotał i bzykał jak komar, a ambicja posiadała żarłoczność rekina, który bezmyślnie rzuca się na wielkie okręty i chciwie połyka wszystko, co z nich wypadnie. Był moim nieprzyjacielem, ponieważ ja przyjacielem jego być nie mogłem.

„Ten prostak nie jest dla mnie niebezpiecznym — myślałem. — Świat nie uzna jego wyroku."

Myliłem się, gdyż ludzie uważali głupotę człowieka za jego prawość, złośliwość — za odwagę i poświęcenie, egoizm — za mądrość, a nazywali go użytecznym, ponieważ był szkodliwym. Wszystkie jego wady mianem cnót chrzczono. Posiadał on atoli jedną zaletę: działał w dobrej wierze...

Spojrzeliśmy sobie oko w oko i wyglądaliśmy jak ludzie, z których każdy ma drugiego za głupca. Bardzo niedorzeczne przekonanie.

Inny był moim nieprzyjacielem, ponieważ niczyim przyjacielem nie był nigdy. Kochał się w sztuce sądzenia i potępiania ludzi, a odznaczał się surowością sądu, gdyż go to nic nie kosztowało. Tego człowieka gniewało, że widzi naokoło siebie bliźnich, którzy nań nie zważają i tak niezależnie żyją na świecie, jak gdyby on wcale nie istniał. Zapalał się wtedy tylko, kiedy słyszał słowa pobłażania dla czyichś słabości, a sam używał zimnej rozkoszy z potępienia. Bezwzględnie sprawiedliwy człowiek.

Obok niego widzę człowieka, który nigdy jeszcze i nic nie zrobił na świecie. Pierwszym jego dziełem będzie wyrok na mnie wydany; ta pierwsza zasługa społeczna obdarzy go przywilejem zaszczytu. Gdybym był nawet jak anioł czysty, musiałby mnie i tak koniecznie potępić, bo mu się uprzykrzyło być zerem. Niespokojnie biegają jego oczy zdradzając, że tylko ta jedna myśl, to jedno uczucie ożywia go teraz. Jeśliby mnie przypadkiem uniewinniono, musiałbym czuć litość nad zawodem tego biedaka.

W oddaleniu spostrzegam i takiego, co z przyjaciela nieprzyjacielem został, i to w sposób niezmiernie łatwy: winien mi pieniądze. Kiedyś nastręczał się nieustannie, dręczył mnie oświadczeniami przyjaźni; ale od czasu, jak zaciągnął pożyczkę, udawał, że mnie nie zna wcale. Na sądzie będzie mógł przemówić w te słowa:

„Ja, który znam dobrze występną duszę winowajcy, mam prawo wydać potępiający wyrok!"

Mój współzawodnik na polu pracy — także sędzia. On nieraz usiłował nawet wycedzić przez usta słowo uznania dla mojej pracy; dużo go kosztowało, że musiał. Jest to w obłudnym ludzkim języku tak zwany szlachetny nieprzyjaciel — jak gdyby można było bez ironii zestawiać z sobą te dwa pojęcia. Ten na sądzie nazwiska mego nie wymieni, on będzie tylko nieustannie dowodził, jak szkodliwą jest niemoralność w naszym wspólnym rzemiośle; sędziowie sami wyprowadzą już z tego wniosek: *„Amicus Plato, amicus Socrates; sed magis amica veritas!"*

Spostrzegłem następnie oblicza przyjaciół. Było ich mniej, niż nieprzyjaciół. Porównanie tych dwóch ilości mogłoby człowieka wbić w dumę ze względu, że dobroć ludzka po wsze czasy tylko w niewielkiej ilości ma wartość. Gdy cię szczerze nienawidzą, możesz sobie myśleć:

„Jak to, mój ciężarek na szali życia za dużo dla nich waży?..."

Ale trzeba się zaraz sromać znajomością swoją duszy ludzkiej: wszystko, co u drugich spostrzegasz, bierzesz ze swojej własnej duszy. Dusza bliźniego — jest to morze; my jednak umiemy pływać po tym morzu na swoich łodziach.

Między przyjaciółmi trzeba robić różnicę, gdyż przyjaciel i nieprzyjaciel są to częstokroć tylko dwa wyrazy. Nie mogłem przecież liczyć na tego, który, prócz mnie, za przyjaciela miał także fortunę. Ile razy zajrzałem w jego duszę, głoski wyrytej przyjaźni zacierały się tam coraz bardziej, im więcej fortuna brała go w swe objęcia. Gdy się ze mną spotkał i witał, oczy jego zdawały się przemawiać:

„Na kiego diabła mnie ten przyjaciel?"

Moja przyjaźń zaczynała mu ciążyć i czekał chwili sposobnej, aby mnie uronić po drodze życia.

Tamten znów jest moim przyjacielem, ale on ma także innych przyjaciół, których przekonania mocno go krępują; czynami swymi daje wyraźnie poznać, przemawia: — „Muszę szanować opinię swoich przyjaciół!" W cztery oczy jednak często dawał mi dowody, że jest samodzielny i wcale się

nie krępuje opiniami przyjaciół. Ufałbym mu w jednym razie tylko: gdyby chodziło o wyświadczenie komuś potajemnie przysługi — nigdyby tego nie zrobił. Widzę tę czarną gałkę, którą wrzuci do urny, aby mnie potępić.

Jest i inny, jeden z tych przyjaciół krytycznych, co to wszystko waży, rozumem ocenia. Ma on głowę zawsze spokojną, chłodną, umie się w porę zastanowić i uczucie trzyma na wędzidle, aby go przypadkiem za daleko nie uniosło — tylko przypadkiem. Jego przyjaźń dla mnie jedynie w pewnych razach trzyma się swego magnetycznego pola, w miarę okoliczności słabła i schodziła na zero przyciągania.

Ów znowu — dobry człowiek; robi mi nieraz różne ustępstwa. On by nigdy nikogo nie potępił; widziałem częstokroć, jak go trudno było skłonić do jakiegoś stanowczego pod tym względem kroku. Jego dobre serce zawsze się wzbraniało, gdy chodziło o potępienie bliźniego. Ale po co się łudzić? Jest to człowiek bardzo słabego charakteru i umysłu; waha się całe życie i nie umie postanowić — moralnie niedorobiony człowiek.

Niezbyt daleko od niego zasiadł wśród sędziów inny przyjaciel, który przebaczyłby wszystko, gdyby nie to jedno... Słyszę go jak mówi:

„Dla ludzi można być pobłażliwym; ale ja nie przebaczam nigdy tego jednego".

Każdy wie, że on ma taką zasadę i wypełnia ją bardzo ściśle; w ciągu całego swego życia nie usprawiedliwił jeszcze nikogo, gdyż wszelkie prze-

winienia ludzkie podciąga zawsze pod paragraf tego jednego przekroczenia.

Widzę jeszcze chmurną, nawet groźną fizjonomię przyjaciela. Jest on w tej chwili zły, obrażony w swojej godności. Prześladuje go widmo honoru. Żył ze mną w przyjaźni wiele lat i teraz gniewa się o to, że zbrodniarza uważał za przyjaciela... Mam stracić życie, własną krwią okupić swoje czyny; ale on dla swego ideału potrzebuje pogardy, musi na mój grób plunąć, aby dać zadosyćuczynienie swojej godności osobistej. Po mojej śmierci pogardzałby mną jeszcze bardziej, gdybym w dodatku nie umiał umrzeć z godnością... Żyć z godnością, umrzeć z godnością, jak na scenie!

Szukam oczyma jednego — i nie znajduję. Nie przyszedł, gdyż go już wczoraj potępiono...

Śmieszny jest mój bezwzględny egoizm!... Czegóż on może wymagać od przyjaciół i nieprzyjaciół? Byłem dla nich tym, czym oni dla mnie. Każdy daje tyle, ile dać może, i stosownie do tego, co odbiera. Czyż mogę żądać, ażeby przyjaciele byli dla mnie? Oni przyjaciółmi moimi muszą być przede wszystkim dla siebie — i takimi byli. Ja również nie byłem inny.

W życiowym przejściu przez ziemię człowiekowi powinno wystarczać, gdy w różnych chwilach spotykał ludzi, którzy wyrażali tu i owdzie zgodność z jego pojęciami, uczuciami, czynami. Względność jest to miara przez ludzi wynaleziona i dla nich najodpowiedniejsza: — wszystko ludzkie jest względne.

Wyrok zapadł. Kiedy mi go odczytywano, słuchałem obojętnie, gdyż oswoiłem się z torturą swych uczuć i miałem nawet chęć skończyć to prędko, zginąć jako jednostka społeczna, a zacząć żyć czysto indywidualnie. Każdy z obecnych słuchał wyroku tego z większym niż ja zajęciem. Dramat taki sam odbywa się od wieków. Za żądze, za namiętności, żyjące w ludzkich piersiach, nieustannie trzeba kogoś skazywać. I nigdy inaczej nie będzie! Ile uczuć żywi rodzaj ludzki, tyle ma dla nich ideałów, a jednocześnie — tyluż Molochów. Walka bóstw dobrych z mściwymi utrzymuje słabego człowieka w środku, co nosi nazwę równowagi. *„Ni faciat maria ac terras coelumque profundum quippe ferant rapidi secum verrantque per auras"*.

Broniłem się, przyjmując potępienie, aby się nie potępić przed sobą samym.

Oczekiwała mnie kara moralnej śmierci, ze wszystkich kar najstraszniejsza wtedy, gdy uczuwałem największą chęć życia... Jużem odczuł w sobie wiele prawd, pokonałem liczne przeszkody, napracowałem się własną duszą, i w tej pracy zużyłem siły. Właśnie wlazłem, jak wół roboczy, w twarde jarzmo życia i jego ciężaru już nie uczuwałem; na zbolałym karku — nie gniotło. Tak szybko upływał mi dzień po dniu w zupełnej zgodzie z losem! Ale ten oto sąd, ten wyrok pozwolił mi zajrzeć w trzewia ludzi, a uczucie boleści dodało wzrokowi siły i spostrzegłem zupełnie nowe prawdy. Teraz miałbym czym żyć obficie, miałbym czym oddziaływać, ponieważ odebrałem cios dotkliwy, uczułem wrzenie uczuć w sobie, co jedno siły życiu daje i dzielnie do działania popycha.

Komuż jest tajne, że człowiek duszę swą na szmaty szarpie, gdy istotne dzieła pracy wykonywał? Ja, który przestałem już działać szczerze, wyczerpałem zasoby duszy i, jak nędzarz, goniłem resztkami, ujrzałem w swym nieszczęściu nowy świat przed sobą. Boleść otwarła mi oczy na nieznane przedtem prawdy, które się niezatartą literą wypiętnowały na mej duszy i dodały jej skrzydeł.

Ciężko jest zginąć w takiej chwili!

Po co żyć, gdy nie ma nadziei odwetu, a pozostaje tylko przykry mus przebaczenia?...

Mścić się i za co? Zemsta jest uczuciem, którym bardzo krótko żyć można. Gdybym ja był ich sędzią, czyż byłbym mniej surowy?... Kto zwycięża, mścić się musi. Jest zemsta w sprawiedliwości, jest i w zemście sprawiedliwość... Nie, ani sprawiedliwością, ani zemstą żyć nie zdołałbym!... Jedna jest za daleko od serca, druga wszystką krew z niego wysysa. Wyzuty z wielkiej rodziny — ze społeczeństwa, mam przecież rodzinę własną... Cóż tej rodzinie przyniosę?

Własny ból, choć wielki, zawsze mniej boli: czuć za siebie lżej, niż za drugich. Siła egoizmu, ta dzielna siła, załamuje się wtedy, przestaje być tarczą. Cierpienie, co ze mnie samego wyrasta, mogę sobie nakazać jako obowiązek; ale ich boleść dla mnie... Zresztą, kto się wyzbył tej wielkiej rodziny — społeczeństwa, czegóż on szuka

w tym szczupłym kółku? Tam go zabiła złość, tu pewniej jeszcze zgubi go miłość. Ach! po drodze życia tylko uronić zawsze można swój sposób do życia, stracić sił zasoby!... Nic lepszego nie ma do zrobienia. Czuję łzy tych, którzy mnie kochają i o mało nie zawołam, błagając: — „Dajcie mi nienawiść swoją, nie wyżerajcie mi szram na sercu tymi łzami!"

Przed ludzką nienawiścią, niesprawiedliwością, jest zawsze jeszcze ucieczka w głąb siebie samego; ciasno i duszno w tej twierdzy, ale jej nikt zdobyć nie zdoła. Nie ma tylko ocalenia przed szczerym, prawdziwym uczuciem, które mnie od wewnątrz pokonywa, które wszędzie dosięga i znajdzie.

Wiem już teraz, kto będzie moim katem. Ci, co mnie kochają, poprowadzą na śmierć także: sztylety wepchną w serce, głowę zetną, uduszą... Zabiją mnie dlatego, że wobec nich uczucie moje jest lękliwe i bezsilne. Uderzajcie, czekam na cios, pamiętny, że tylko z miłości naprawdę się umiera! Uderzajcie, nie chybicie nigdy!

Zazdroszczę w tej chwili samotnikom na pustyni życia, którzy nie mają drogich swemu sercu katów. Śmierć zwyczajna, zakończająca wszelkie życie, jest prostym i łatwym do spełnienia prawem, działającym jak machina, skoro się życie już zużyło. Okropną jest jedynie śmierć, co cię wśród tajemnych a strasznych cierpień łamie i powala.

Ludzie widują tylko tę zwykłą śmierć, po której się zwłoki, zimne jak kamień, do grobu wkła-

da; oni wtedy łzy leją, ponieważ się spełniło prawo, niepowstrzymane w swoim działaniu.

Ale gdy człowiek żywy, człowiek czujący wije się w cierpieniu, oni wówczas czekają, aby im łzami w oczach zaświecił i wyciągnął do nich rękę po okruch miłosierdzia...

Oglądam się wokoło — czekam na cios kata...

Spadła głowa. Zwinąłem się, skręciłem w męczarniach, drgnąłem ostatnimi cierpieniami i — rzecz dziwna — życie moje nie skonało. Istnieję jeszcze, czuję, żyję, kocham siebie samego, zwolniony od wszystkich ciężarów życia. Teraz nikt mnie nie zdoła już zabić! Czyż można zabić tego, który istotnie czuł życie w sobie? Nie zabije go ani nienawiść, ani miłość... Umilkł tylko gwar świata, zniknął jego widok, nastąpiła cisza ukojonych boleści, pragnień dotychczasowych i pozostał wspaniały obraz wspomnień, które są wyraźniejsze, bardziej prawdziwe, aniżeli rzeczywiste zdarzenia życia. Są to przecież moje własne prawdy, a żadne słońce niebios nie zdoła mi ich tak oświetlić, jak mój egoizm.

Widziałem teraz jasno, że koniecznie musiałem tak żyć, jak żyłem i tak zginąć, aby się życiu przyjrzeć i zobaczyć je, odczuć sobą samym... *Sunt hic etiam sua praemia laudi; — Sunt lacrimae rerum et mentem mortalia tangut. Solve metus; feret haec aliquam tibi fama salutem!*

Oni mnie skazali, potępili, sądząc, że bronią od lat tysięcy czegoś bardzo drogiego. Krwawe i niekrwawe ofiary padały już na tych ołtarzach i z pokolenia na pokolenia będą padały w przy-

BIBLIOTEKA PODLASKA im. Łukasza Górnickiego Nr ... KS. ARCHIWALNY w Białymstoku
Miejska Biblioteka Publiczna w Białymstoku

szłości. Źli ludzie także mają miłość czegoś, ażeby zabijać mogli. Miłość jest dla ludzi orężem ich złości, złość miłości oręż stanowi. Co mi się wydawało niskie, niedorzeczne, było tylko koniecznym i każdy w tym ludzkim zgromadzeniu odegrał bardzo dobrze swą rolę. Ideału swego oni nie urzeczywistnią, gdyż go w pragnieniach swoich ciągle zmieniają, a życiem własnym najwyżej do pospolitej mierności go wznoszą. Boskie światło nigdy stamtąd nie błyśnie, nie porwie. Ale i tak coraz wyżej i wyżej.

Dziwne jest teraz moje życie. Nie czuję w sobie ani potrzeby żalu, ani skargi, ani gniewu, ani zemsty, ani przebaczenia. Żaden mus nie zniewala do niczego mojej duszy. Jakież uczucie może istnieć tam, gdzie się wszystko daje wyjaśnić, podciągnąć pod prawo konieczności? Czy potępiony, ażeby zginąć ocalałem rzeczywiście i istnieję?... Spostrzegam to, czego mi nie dozwalały widzieć moje uczucia, namiętności, uprzedzenia, stosunki z ludźmi; więc ja chyba istnieję...

Są i dobrzy, szczerzy ludzie, tylko tym drży ręka z obawy, czy podołają zadaniu?... Marzy się o wszystkim, żeby było wielkie, piękne — i nic się nie osiąga. O, nie, przypadkiem osiąga się niejedno!

Widzę, że świat w marzeniach nielicznych ludzi jest bardzo piękny, ponieważ piękne są dusze tych ludzi; rzeczywistość jest marna. Spostrzegam to coraz wyraźniej, jaśniej, a im lepsze jest moje widzenie, tym większa pustka w sobie samym się tworzy.

Co za wartość ma życie spokojne, bez uniesień, pragnień, bez błędów, bez miłości, nienawiści, bez udziału w ludzkich zachwytach, szałach, błędach, pracach i wywczasach? Żadna praca mnie nie zachwyca, nie porywa, jeśli mnie nie ciągnie w wir ludzkich mniemań i nie wytwarza wśród ludzi wrzawy walki, zgiełku podziwu. Ciepło w piersiach człowieka nie jest po to, aby ogrzewało jego samego i ono mu nie wystarczy, chociażby Prometeusz był między bliźnimi swymi. Gdyby mi nawet z gwiazdami wolno było pląsać, nie chcę, jeśli tam nie ma takich jak ja ludzi.

Dziecko swojego wieku, każdy człowiek jest bratem wszystkich ludzi, zarówno wszystkich marnych, jak geniuszów myśli i uczucia. Jeżeli się go wyrzekną, on nie zostanie jednak krokodylem ani wężem. Bez czysto ludzkiej atmosfery on wyżyć nie zdoła, a gdy go cios taki dotknie, znaczy to, że się grób do niego zbliżył. I po co żyć, gdy życia niczym stwierdzić nie można, gdy się nim nie bierze udziału w życiu innych ludzi?

Moralny aparat potępienia człowieka przez gromadę jest w gruncie rzeczy tak zimny, nienamiętny, że wszystko odbywa się tu spokojnie, jak w machinie. Długie wieki przez ciągłą praktykę wykształciły sposób potępienia i za to trudno kogo bądź obwiniać...

Z tą uwagą i sen mój się skończył.

MUCHY.

Szkic z natury.

Dawne to już czasy, jak żyłem w przyjacielskich stosunkach z Szymonem Bujańskim, warszawskim literatem. Byłem wówczas młody, on — stary i może to nas łączyło. Zawsze mię uderzała okoliczność, że mój przyjaciel jest nadzwyczajnie drażliwy na widok muchy: trząsł się, gdy muchę spostrzegł albo posłyszał, że koło niego brzęczy. A bardzo dobry, wyrozumiały, rozsądny był człowiek. Przez długi czas nie śmiałem go się zapytać, skąd ten niezwykły wstręt do istot, których w żaden sposób nie można uniknąć, przeto trzeba się z nimi do pewnego stopnia oswoić. Skoro mię atoli pan Szymon dobrocią swoją zupełnie już spoufalił do siebie, pozwoliłem sobie być śmiałym i z ust jego usłyszałem:

— Niejeden człowiek pod koniec życia spogląda za siebie i myśli: minęły te czasy, gdy mi wcale nie dokuczały muchy i smakowały cukierki!...

Znając jak najdokładniej życie swego przyjaciela, pozwalam tu sobie rzucić na nie światło o tyle, o ile muchy odgrywały w nim rolę.

* * *

Kiedy pan Szymon Bujański był jeszcze maleńkim chłopięciem, co to dwa, trzy, cztery miesiące życia liczy, a mamka go opasła swoim sytnym pokarmem, wylegiwał się wtedy w kołysce pulchny, tłuściutki i sypiał po kilkanaście godzin dziennie. Gromada much osiadała nieraz usteczka dziecięcia, troskliwie zbierając resztki pokarmu, który pozostał dokoła warg i na wargach. Szczególnie też kąciki ust Szymusia zupełnie tak wyglądały jak gwiazdki, których promieniami były muchy, głowami pogrążone w ustach malca, a wystawiające na zewnątrz nogi i białe, jak ziarna pszenicy, tyły ciała. Owady, które się tu już dobrze okarmiły, używały przechadzki po nosku, po głowinie dzieciaka, lub czyszcząc tylnymi nogami skrzydła, odpoczywały na zamkniętych powiekach, skroniach i czasami, jak gdyby przez ciekawość, zaglądały w dziurki nosa.

Wyspawszy się rzetelnie, maleńki pan Szymon spędzał te muchy przez ruch otwierania oczu i nadzwyczajne skrzywienie buzi, przyczem mocno się rozczerwieniał, piskliwie skrzeczał, a w fałdach jego skóry znikały oczęta i nosek. Mamka wydobywała wówczas czym prędzej z zanadrza bieluchny, pełny mleka dzbanuszek i wkładała jego otwór w usta niemowlęcia. Malec układał tedy swą buzię na kształt ryjka i ssał z zamkniętymi oczkami, wodząc drobniuchną rączką po aksamitnej powierzchni mlekodajnego dzbanuszka. Podczas tego muchy wysiadywały na suficie, na ścianach — gdzie się zdarzyło i wyczekiwały, dopóki mamka nie złoży znowu obessanego jak

bąk dziecka. Czasem jednak zrywała się któraś z nich, leciała niby to na zwiady, nieraz jej się udało przysiąść i skosztować ciepłego, słodkiego, posilnego mleka, w drodze, gdy ono z piersi mamki do ust Szymusia spływało. Jedna tylko mucha może się odważyć na zuchwały krok wydzierania pokarmu z ust człowieka. Nikt tego nie widział, że często gęsto taka natrętna, posunąwszy się w pożądliwości za daleko, ginęła razem z pokarmem w żołądku maleństwa. Oh, nic to nie szkodzi! Maleńki pan Szymon znosił wtedy muchy i na zewnątrz i na wewnątrz; nic bowiem go to nie kosztowało.

Dobra mateczka, widząc nieraz pełno much na twarzyczce synka, twardo zasypiającego w kołysce, sama spędzała szpetne owady lub z wyrzutem przemawiała do mamki:

— Marianno, bój się Boga, oganiaj dziecko od much!... Spać mu nie dadzą.

Zrywała się na to wezwanie Marianna i bądź ręką, bądź gałązką, płoszyła muchy a nigdy nie omieszkała nakląć im, nawymyślać:

— A zatracone jakieś, a psie dusze jedne! A siu, a siu!...

Robiła ona to jednak na czysto z posłuszeństwa, bez żadnego przekonania, żeby takie spędzanie much miało jakiekolwiek znaczenie. „Gdzieby zaś mucha miała człowiekowi do snu przeszkodzić!"

Ta niewiasta wysoka, kształtna, doskonale zbudowana, krew z mlekiem, sypiała obok kołyski Szymusia, a skoro zasnęła snem sprawiedliwej,

to i jej usta piękniej koralowe, niż korale na szyi, obsiadała gromada much, jak gdyby podziwiających dwa rzędy zębów świetnej białości — perły z nich robić.

Pan Franciszek, ojciec Szymusia, szlachcic w sile męskiego wieku, chłop jak żelazo, nie wierzył również, ażeby muchy mogły człowiekowi dokuczyć. „To są takie miejskie grymasy i nic więcej!" Kiedy posłyszał, że synek powrzaskuje, wtedy wołał:

— Marianno, daj zaraz chłopcu ssać!

— Nie z głodu płacze — odzywała się matka — pewnie mu muchy dokuczają...

— Płacze ze złości, — odpowiedział pan Franciszek żonie — szlachcic wtedy jest zły, kiedy głodny! Muchy mu nie dokuczą!

Tak jest, młodziutki pan Szymon spał równie smacznie bez much, jak i z muchami. I ta jego rumiana buzia zwykle nosiła na sobie ślady ciągłego tutaj pobytu much: bywała zwykle upstrzona plamami drobnymi niby piegi.

Jeżeli tylko światło płonęło, muchy nie spoczywały nawet i w nocy, a niezliczona moc tego była w Czopówku. W całym dworze dawało się słyszeć ich rojenie się nieustanne, brzęczenie — coś jakby zgiełk obozującej gdzieś tam w oddaleniu armii. Zbudzona ze snu ta i owa, ociężałym lotem, senna, puszczała się ku światłu i wtedy zdarzały się bardzo często wypadki śmierci w płomieniu świecy lub lampy. Niejednokrotnie też mucha, opaliwszy sobie skrzydła, przeraźliwie bzykała i młynkiem kręciła się gwałtownie po po-

dłodze, albo jak opętana podskakiwała w górę. Taka rozbudzała nawet Mariannę, gdy w jej zanadrzu poczęła szalone harce wyprawiać. Zwykle jednak muchy, wyprawiające się nocą na takie wycieczki, zasiadały najprzód na białej poduszce Szymusia, a stąd piechotą przebierały się ku jego buzi.

Na suficie i ścianach znajdowały się liczne okolice, w których sobie muchy szczególniej lubowały: hak, utrzymujący zawieszoną lampę, rogi ram obrazów, zwierciadła, a na stole — stare, zeschłe już bukiety. Tutaj to jedna drugą spędzała, spychała z zajętego na nocleg siedliska; przytem zachodziły spory, wybuchały walki, odbywało się przenoszenie z miejsca na miejsce. Zapewne z owych przyczyn pochodziło huczenie, wrzenie, brzęczenie i pobzykiwanie całonocne — zwyczajnie, jak w każdym wielkim rojowisku żywych stworzeń. Mimo to wszystko, ludzie w Czopówku sypiali przez całe lato znakomicie.

Gdy znowu wszelkie światła już pogaszono, wtedy wśród nocnych ciemności, ponad głowami śpiących, przelatywały istoty od much mniejsze, chociaż do nich bardzo podobne, które by śmiało upiorami nazwać można — komary. Brzęczenie ich sprawiało wrażenie zasłyszanych gdzieś tam za oknem dźwięków oberka, pianissimo wygrywanego na skrzypcach, albo wyśpiewywanego dyszkancikiem przez wiejskie dziewczęta, powracające z polnej pracy: — „Wysoki las, niskie pole — Magdalena życie moje!" Właśnie tak sobie nucąc, poszukują żeru krwi ludzkiej potwory owe,

które, gdyby posiadały siłę lwów, byłyby najstraszniejsze ze wszystkich bestii krwiożerczych. W śmieciach, w kałuży, w błocie, lęgnie się po wsiach takie dzienne i nocne hultajstwo, żyjące grabieżą, dzielące się z człowiekiem każdym kawałkiem ciężko zapracowanego chleba i chłepcące krew ludzką.

A gdzież było dla komarów pożywienie łatwiejsze do zdobycia i smaczniejsze, jeżeli nie w młodocianym ciałku Szymusia, z daleka już wabiącym potwora przez swoje ciepło i woń dziecięcego życia?...

Jak nie Szymuś, to przepyszna zdobycz ta Marianna, jego okazała karmicielka, co miała w sobie tyle prześlicznej, bogatej krwi, że cała rodzina tygrysów mogłaby nią suto ugasić pragnienie i głód zaspokoić — istna Wenus spod Proszowic.

Miały komary używanie, gdy się dobrały do tłustego chłopięcia lub do jego mamki! Takie, które z tych cennych źródeł czerpały swoje żywotne siły, niezawodnie rosły — jak w bajce — minutami i zapewne stanowiły przodującą rasę w rodzaju *culex pipiens*. Upiór komar latał najprzód, dzwoniąc i zataczając coraz mniejsze kręgi nad głową śpiącego Szymusia, czy — śpiącej mamki. Prawdopodobnie przyglądał się oczyma kota pięknemu ciału, ostrzył zęby, i nie mógł się zdobyć na postanowienie, w którym by tu miejscu usiąść, aby sobie wyprawić prawdziwie pańską ucztę. Komar był chyba w położeniu żarłoka, kiedy ujrzy przed sobą na stole liczne półmiski, pożądliwym okiem ocenia ich zawartość, a sam

nie wie, co najprzód wybrać. Trzeba się jednak śpieszyć, gdyż z oddalenia słychać już muzykę innych nadlatujących braci-komarów. Więc ten, co pierwszy dopadł, począł swą ssawkę zapuszczać w skroń malca. Przyłożył się pilnie, spokojniutki i przygarbiony, wyglądał jak koń pojący się w rzece; podnosił niekiedy tylną cienką nogę, na znak zadowolenia, a od spodu pęczniał i stawał się coraz bardziej czerwony. Trzeba wiedzieć, że ten krwi chciwy potwór, jest komarem płci pięknej; albowiem komar rodzaju męskiego jest niewinnym wegetarianinem.

Przybył i nowy rabuś, zabrał się do Marianny, zajął okolicę w sąsiedztwie ucha, gdzie jest graniczna linia między twarzą a szyją: miejsce bardzo delikatne u młodej kobiety, nie skażone najmniejszą zmarszczką i odznaczające się niezmierną wrażliwością na dotknięcie. Marianna spała zawsze snem bardzo twardym, co jej bynajmniej nie przeszkadzało miewać we śnie marzenia. Ukłuta i ssana teraz przez komara, widać nie tylko nie poczuła nic bolesnego, ale przeciwnie, doznała jakiegoś lubego wrażenia, gdyż się przez sen uśmiechnęła. Ach, bo długi, przeciągły pocałunek uczuła w miejscu zajętym przez komara — pocałunek, złożony przez tego, którego kochała! Marzenia takie stanowią tylko zachętę do spania. Nie zbudzą jej żadne komary, i ten Szymuś, niebożątko, mógłby się zakrzyczeć w swojej kołysce, a ona by nie wstała. Dopiero aż matka dziecka musi bardzo głośno wołać: — „Marianno! Marianno!" Albo nawet sama wstaje z łóżka i silnym szarpnięciem mamkę budzi. „Chwała Bogu! zdrowa kobieta! Jeżeliby taka nie wykarmiła jedynaka, to już chyba nie ma mamki na świecie!..."

Nazajutrz rano wszyscy widzieli, że dziecinę „coś ukąsiło". Marianna też czuła, że ją swędzi właśnie to miejsce na twarzy, gdzie we śnie przypadał pocałunek. Parę razy stawała ukradkiem przed zwierciadłem, uśmiechała się, wreszcie rzekła:

— Ee, pewnikiem jakaś zjadliwa mucha!

Odjadany i trapiony przez muchy, kłuty i ssany przez komary, a także przez inny jeszcze czarny, skaczący owad — *pulex irritans*, Szymuś wychował się jednak przewybornie, jako dziecko ssał okrągłe dwa lata mamkę, wzór mamczynej doskonałości, zdolną sowicie wynagradzać wszelkie szkody, wyrządzone malcowi przez owady. Trudno o drugą taką. I chętnie byłby ssał jeszcze dłużej, gdyż się zanosił od płaczu, wylewał łzy rzewne i obfite, kiedy go odsadzono od piersi Marianny. Ale sąsiadki, jakby się zmówiły, przedstawiały matce, że takie długie ssanie nie wyjdzie chłopcu na dobre. „Zwłaszcza inteligencja jego — utrzymywały — będzie później szwankowała".

Że doświadczone były niewiasty, przeto czymś bardzo gorzkim posmarowano pierś mamki; malec spróbował, zatrząsł się i począł płakać, wrzeszczeć jak oparzony. Spłakała się wtedy także mateczka i Marianna; obie serdecznym łkaniem wtórowały Szymusiowi. Odtąd już piersi nie tknął i na jej widok: — „be, be!" — wołał, trzepocząc rączkami.

Teraz jedynakowi potrzebna była niańka, czy bona — kobieta, czuwająca nad krokami dziecka i nad czystością jego bielizny. Sąsiadki doradzały pani Bujańskiej Szwajcarkę, bo właśnie jedna taka pod ową porę była do wzięcia o trzy mile w okolicy: osoba poważniejsza, taktowna i ceniona, gdyż już parę pokoleń nauczyła trzepać po francusku. Bardzo pragnęła tego matka, ale ojciec młodziutkiego pana Szymona rzekł:

— Ja nie chcę Francuzki! — powiedział z naciskiem i dodał: — Chcę, żeby ta Marianna, baba z Zagród Proszowskich, była niańką Szymusia!

— To on się już nigdy nie nauczy po francusku! — jęknęła żałośnie matka.

Gorzko coś uśmiechnął się pan Franciszek i machnął ręką koło ucha; potem znowu mówił:

— Nie, nie! Ludzi potrzeba, nie Francuzów!... Czas mieć rozum! Na cóż mi się tu francuszczyzna przyda w Czopówku?... Bieda, źle!... Energii, pracy, charakteru potrzeba!

Marianna pozostała więc nadal niańką przy Szymusiu.

Ubrana w bielutką koszulę, różowy gorset z kaletkami, na przodzie sznurowany, w turecką albo białą dzierzganą szmatę na głowie — w pięć biczów korali na szyi, czuwała Marianna nad Szymusiem od rana do wieczora. Podobała się chłopcu widać ta opieka, skoro najprzód nieustannie powtarzał „niania caca", a starszy już trzechlatek przepadał za jej śpiewkami i gadkami. Utrudzony bieganiem, rwał się na ręce niani, tulił główkę do jej piersi i tak zwykle zasypiał. Lubił gdy go nia-

nia silnymi ramionami przyciskała do siebie, albo w powietrzu lulała, śpiewając srebrnym głosem:

— „Lulaj, mój skarbie, lulaj — a siwe oczka stulaj!" Cóż dla niej za ciężar dziecina taka? Piórko, nic więcej.

Niania szczerze kochała młodego pana Szymona. Jest to naturalne kochać dziecko, gdy się zostało matką, a jej Pan Jezus zabrał synka, Maciusia, do nieba na aniołka. Żal po zmarłym dziecku wzbogacił uczucie kobiety jeszcze pewną tkliwością i wszystko to przelała teraz na Szymusia, którego nazywała „swoimi krociami, złotkiem, gwiazdeczką, różyczką, jedyną pociechą" i jak tam jeszcze!

Pucołowaty, rumiany — istne jabłuszko, z iskrzącymi się i, jak bławatki, niebieskimi oczkami, ruchliwy jak żywe srebro, zawsze wykąpany, wymyty, czyściutko odziany, malec kochał tę swoją mamkę i niańkę; nigdzie się nie chciał bez niej ruszyć.

Jego mama, kobieta szczuplutka, chorowita, uczuwała nieraz zazdrość o to przywiązanie do niańki i z obawą zapytywała męża:

— Czy to jest dobrze pod względem moralnym?

— Marianna zasługuje widać, aby ją dziecko kochało — odpowiadał pan Franciszek.

W Czopówku nie zmniejszała się bynajmniej ilość much; owszem, bywały lata pięknego na nie urodzaju, równie jak — na komary i na te istoty czarne, zręczniej skaczące, niż koniki polne. Powódź promieni letniego słońca wpadała do mie-

szkania przez okna, a w blasku tym hordy sześcionogów dwuskrzydłych i wielkookich wyprawiały sobie igrzyska z wyścigami. Także i zewnątrz dworu siedzą na ścianach najedzone, roją się naokoło okien — prawdziwa czerń. Słońce i dla nich świeci, więc używają światła, ciepła, świeżego powietrza. Inne cisną się w miły chłodek do sieni, gdzie poobsiadały przerozmaite sprzęty, a na to tylko czatują, ażeby hurmem wpaść do pańskiego mieszkania, skoro ktoś drzwi otwiera. Stary słomiany kapelusz pana Bujańskiego, wiszący w sieni na kołku — jak on wygląda. Niegdyś był biały, teraz jest ciemno-nakrapiany i lepki w dotknięciu. Dożynkowe wieńce z lat kilku wiszą na ścianach, a ich zczernienie znajduje się w stosunku prostym do ilości przeżytych pokoleń muszych. Co tu mówić o sieni, kiedy i w pokojach nie inaczej! Białe gipsowe posążki, figurki porcelanowe, stare kalendarze, z roku na rok przechowywane, różne pudełka, mają na sobie — rzec można — zapisaną kronikę licznych pokoleń muchy domowej. Na drzwiach, biało lakierowanych, na gzymsach pieców kaflowych, nawet na szybach okien — wszędzie ślady much. Dobroduszna obojętność, czysto szlachecka filozofia, niewiele sobie robią z takich rzeczy. O muchach myśleć w tych ciężkich czasach klęsk rolnictwa — jeszcze czego!

Za piecami i po kątach rozwieszona pajęczyna buja się przy najmniejszym powiewie, a w niej — muchy-wisielce, ich wyschnięte głowy, skrzydła, nogi. Niekiedy żywa mucha zabzyknie tu „brzrzrz...“ jakby wołała: „gwałtu, ratujcie!“ —

więziona za jedną nogę w pajęczych pętach; na głos taki zlatują się inne, patrzą i mają naukę, że nieostrożność w lataniu stanowi wielkie niebezpieczeństwo dla muchy. Daleko mniejsze wrażenie sprawia na gromadzie mucha, która się wygramoliła z garnuszka śmietanki i lezie po stole, wlokąc na grzbiecie biały kożuszek; ona przynajmniej użyła. Gorzej takiej, co ubabrana na czarno wylazła z kałamarza; wśród much wygląda ona tak, jakby między ludźmi wyglądał człowiek w niedźwiedziowej skórze; jej chwile życia są policzone: gdzie bądź przyschnie i kaput. Jeżeli się która dostała w rękaw lub w zanadrze koszuli Marianny, śmierć jej jeszcze pewniejsza, niż w sieciach pajęczych. Mnóstwo tego łazi po podłodze, obsiadają wszelkie punkta wilgotniejsze — chłodzą się, czy co...

A niech Bóg broni, co się dzieje w kuchni! Podczas ogromnych upałów letnich wrzucają tu na ogień całą furę drzewa, ażeby na stół pański upiec kilka kurcząt ek i uwarzyć parę talerzy rosołu. Około tej czynności krząta się zaś kucharz, chłop kolos, dziewka jak obora i kuchcik, tak zw. pomoga. Tyle siły dla wykonania tak drobnej pracy! Much tam, jak nabił, przeto nikt z państwa wcale się nie dziwi, jeżeli w zupie, kotlecie, szpinaku, odnajdzie zwłoki muchy — rzecz nieuchronna. Tylko w czarnej kawie tego się nie spostrzega. W artykułach spożywczych na biało — w mleku, w serze, maśle — czernieją za to wybitnie muchy, albo, co najmniej, ich nóżki, wyglądające, jak drukowana litera *v* na białym pa-

pierze; skrzydełko, musza trupia główka — uchodzi. Musiałby człowiek na wsi nie jeść, gdyby zważał na te drobnostki...

Wszędzie są muchy, skryć się przed nimi nie można. Skoro spostrzegają, że ludzie mają zamiar wyjechać, one także zaraz wsiadają na bryczkę, do powozu, a niektóre wierzchem na konie, bodaj na ogon i razem z ludźmi puszczają się w podróż. W takich razach mają one zwyczaj baczyć na to, aby jadący z nimi człowiek nie oddawał się niebezpiecznej podczas jazdy drzemce.

Czasami w tę gromadę wpada do pokoju oknem wielka mucha, z odcieniem szafirowej barwy, lata z kąta w kąt, tłucze się o ściany i wtedy puszcza się za nią kilka much domowych — tak samo, jak jaskółki za jastrzębiem.

Wieśniak pracuje pilnie i w pocie czoła, choć często z małym pożytkiem dla siebie; taniość, czy drożyzna na jego płody, on zawsze musi zaopatrzyć świat w kawałek chleba powszedniego. Nie zwraca on uwagi na wszędobytność much, podobnie jak nie spostrzega, że woda w strumieniu płynie i szemrze, że liście drzew są zielone i wiatr nimi wstrząsa. Spostrzeżenia takie czynią poeci z miasta.

Gdy atoli muchy zanadto już dokuczają, że się to nawet zwierzętom może uprzykrzyć, wtedy wydaje im się walną bitwę. Dziewki, chłopaki — kto żyje dworskim chlebem, obłamują kilkoletnie krzaki lilaków, ogałacają wierzby z gałęzi i z tym orężem wpadają do pokojów, a goniąc za muchami z zapałem, wołają: — „A siu, a siu, psie macie zacieczone!"

Przytem zwykle zbijają lampę jaką, wazon albo i zwierciadło. W Czopówku zawsze pracowano szczerze, z zapałem; ale pan Franciszek mawiał: — „Szelmy jedne, nicponie! Żeby przepędzić kilka much z jednego pokoju do drugiego, napsuli mi drzew i narobili szkody na dziesięć rubli!"

Swoją drogą rozstawiają się wszędzie we dworze słoje z mydlaną wodą; w kuchni znowu wisi snop bylicy, skropiony serwatką, który nocną porą pomocnica wkłada razem z muchami w worek od serów i dopiero tłucze wałkiem od gniecenia ciasta, póki wszystkich much nie pozabija. Słusznie pan dziedzic nieraz powiada: — „Ja jem wszystko, co mi podają, bom głodny, ale się nigdy nie pytam, ani nawet nie śmiem pomyśleć o tym, jak oni to robią".

Krewkie, żwawe bywały muchy w czerwcu i lipcu; w połowie sierpnia stawały się ociężałe, a na św. Michał dojrzewały zupełnie i wtedy zaczęły umierać śmiercią naturalną.

Mimo muchy, mimo komary i stworzenia skaczące czarne, których podobno tylko w Sacharze braknie, wychował się jednak Szymuś, wyrósł na mądrego chłopczyka, który rodziców i nianię zarzucał nieustannie tysiącami pytań. Żadna rzecz nie uchodziła jego uwagi, żaden posłyszany wyraz nie pozostawał bez oddźwięku w tej główce. „Dlaczego to, a dlaczego tamto?"

Ileż to razy Szymuś oblegał mamusię szeregiem pytań, następujących jedno po drugim, a kiedy wpadł na jakiś przedmiot, pytania sypały się jak z rękawa.

— Mamusiu, co to jest słońce?

— Słońce, moje dziecko, jest to taka rozpalona kula: świeci i grzeje.

— A skąd mamusia wie, że słońce jest taką rozpaloną kulą?

— Ludzie uczeni, astronomowie tacy, dowodzą tego, piszą o tym książki...

— Czy słońce jest stąd daleko? Czy się można na słońce dostać? Gdyby kto chciał, którędy musiałby iść do słońca?

Takie i inne pytania nie miały końca.

Matka bardzo często musiała synka zbywać. No, ale Marianna, ta już zwykle dawała chłopczykowi obszerne odpowiedzi. Miała ona do rozporządzenia nie jakieś tam okruchy nauki, lecz całą skarbnicę ludowych wierzeń, podań, legend, gadek, a wszystko to było zajmujące, piękne, cudowne — stylowe. Choćby taka historia „o chłopie, co poszedł do słońca pytać się, gdzie jego kura jaja niesie", albo — o innym, „który wiatru szukał po świecie".

Nasłuchał się malec o ludziach, mających niesłychaną czarnoksięską władzę: „Kiedy taki świśnie, to się księżyc zatrzęsie". Zasypiając, marzył nieraz „o królewnie porwanej przez orły" — „o braciach, zaklętych w kruki" — „o grającym drzewie, złotej wodzie i gadającym ptaku" — „o pannie, która się wylęgła z jajka, zupełnie jak

ptaszek" — o ludziach, którzy dokonali czynów nadzwyczajnych, a zwali się „Waligóra, Kruszyskała, Wyrwidąb".

Otóż, z zagadkami w duszy, rozwiązywanymi przez wyobraźnię pełną dziwnych obrazów, nadzwyczajnych postaci, a nie znającą niepodobieństw, dobiegał młody pan Szymon szóstego roku życia. Wtedy to ojciec postanowił zakłócić synowi nauką ów poetyczny żywot.

Jakoż jednego dnia pojawił się w Czopówku człowiek średniego wzrostu, szczupły, z cerą przyżółkłą, w okularach, łysy i bardzo poważny. Był to nauczyciel Szymusia, pan Adam Chrószczyński. Mówiono o nim, że przeszedł bardzo osobliwe koleje życia: podobno miał majątek i stracił, miał żonę, dzieci, także stracił; no, a oprócz tego, stracił włosy na głowie, zęby w ustach, przygłuchł i podślepł. Ale za te wszystkie straty miał on sobie zdobyć jedną rzecz nadzwyczajnie ważną — doświadczenie, naukę życia, którą wnosił w dom państwa Bujańskich. Z tego doświadczenia, niby z kapitału, miał Szymuś czerpać.

Ojciec i matka nieustannie powtarzali synowi:

— Pamiętaj, chłopcze, słuchać we wszystkim pana Chrószczyńskiego i brać z niego przykład. Jest to człowiek rozumny i bardzo doświadczony...

Szymuś, dziecko wsi szczere, z sercem nieskażonym, z umysłem wrażliwym, spoglądał na swojego nauczyciela jak na półboga, a w cichości ducha rozważał, jaka jest różnica między tym „doświadczonym człowiekiem" a innymi ludźmi.

Mniej więcej tak sobie zapewne myślał: „Bardzom ciekawy, gdzie mój nauczyciel chowa swoje doświadczenie, że ja go nigdy nie mogę spostrzec!" Nieraz miał może i chęć zapytać: — „Gdzie pan ma doświadczenie?" Ale nie miał jakoś śmiałości. Zapytywał nieraz mamy, która mu i teraz dawała odpowiedzi ogólne, niezrozumiałe: — „Doświadczonym człowiekiem jest taki, który przeszedł dużo różnych kolei w życiu".

Chłopiec nic nie mówił, stracił jednak wiarę w wartość niejasnych macierzyńskich odpowiedzi.

Pan Chrószczyński należał do rzędu takich, co to mają i nauki dosyć, i charakter; ale z powodu różnych drobnych nawyków i przywar ludzie roszczą sobie do nich nieustanne pretensje. Matka Szymusia zbyt często powtarzała Chrószczyńskiemu w oczy: — „Widzi pan, my nauczyciela naszego dziecka uważamy za swego: nie robi się w domu żadnej różnicy..."

I wzrokiem swym wyrażała mocne zdziwienie, że Chrószczyński nie wyraża jej za to najwyższej wdzięczności, nie uważa się za uszczęśliwionego w najwyższym stopniu. Na stanowisku nauczyciela prywatnego to także było bardzo rażące, iż sobie pozwalał upodobań, niezgodnych z upodobaniami pani domu. „Jak można nie lubić mleka kwaśnego z kartoflami i pierogów z kapustą?" Nauczyciel, którego się uważa za swego, powinien lubić...

Domyślała się pani Bujańska, że Chrószczyński naucza jej syna różnych pożytecznych rzeczy i rada była; ale obok tego mógłby przecie lubić

jeszcze mleko kwaśne, być bardzo uprzejmym, rozmownym, nie stronić od ludzi, dbać więcej o swą garderobę. „Jak on się ubiera! Krawat nigdy nie jest na swoim miejscu." „Owszem, pracuje nad Szymusiem a z tym wszystkim..." „Trzeba przyznać, że rozumny, światły człowiek, tylko, że..." „Zacny, poczciwy, prawy, a jednak..." „Nie życzyłabym sobie, ażeby Szymuś przejął jego dziwactwa..."

Są tacy ludzie, których się ceni, a jednocześnie lekceważy; spoglądając na nich zwykle z drwiącym uśmiechem, ma się na myśli: „Phi, to taki mól książkowy! Jak przyjdzie co do czego, kozie ogona zawiązać nie potrafi."

Pomimo nowych nauk, wpływających teraz do zdolnej główki Szymusia, nie rozerwał się i tak jego duchowy związek z Marianną, dobrą mamką, kochaną niańką i niepospolitą nauczycielką. Co chłopiec od niej przyjął, było takie jakieś łatwe, proste, naturalne, przyjemne, że wsiąkło nie tylko w głowę, ale w serce, w całą dziecięcą duszę i pozostało na zawsze jej własnością! Każdy człowiek w chwilach wolnych od zajęć obowiązkowych oddaje się jakiejś rozrywce, to jest pracy, która go bawi, uszczęśliwia. Dzieci, które my nieraz nazywamy próżniakami, ponieważ się nie uczą z książek, kształcą przez myślenie o rzeczach przyjemnych swoją wyobraźnię i umysłową samodzielność. Szymuś nigdy nie myślał o trudnych wyjątkach trzeciej deklinacji łacińskiej, ani nawet — o obrocie ziemi około osi i słońca, tylko, chcąc nie chcąc, rozwijał i po swojemu przerabiał owe

usłyszane z ust Marianny opowiadania. Oh, bo Twardowskiego czarnoksiężnika, Madeja zbója, królewny z cudownym zwierciadłem, nikt nie zdoła łatwo wypędzić z młodej duszy łaciną, arytmetyką, geografią. Jak się tu wyrzec takich drogich nabytków, z których można wysnuć tysiąc nocy i jedną, a później — jeszcze drugie tyle i tak dalej?...

Kto chce zapalać dzieci do nauki, musi naukę podawać ich umysłowi podług tej samej metody, której używała Marianna, musi nauką uszczęśliwiać dzieci tak samo, jak je swymi opowiadaniami uszczęśliwiają dobre niańki. Tylko ta metoda wyprowadziła ludzkość z barbarzyństwa i dała jej naukę. Jest to metoda jedyna, używana przez wszystkich nauczycieli ludzkości, którzy czują swoje własne szczęście z posiadania jakichś wyobrażeń, pojęć i gorąco, szczerze pragną uszczęśliwić nimi innych. Gdy się zdarzy dobry nauczyciel, dobry uczeń, a przytem sprzyjają wszystkie okoliczności, wychowuje się geniusz. Jeżeli nie, to przeciętny człowiek zawsze musi się wychować, ponieważ się urodził człowiekiem.

W Czopówku pan Bujański często dawał się słyszeć:

— Ja nie chcę, żeby mój syn był geniuszem! Niech będzie człowiekiem średniej miary!

Matka sądziła, że nic nie przeszkadza, aby Szymuś wyrósł na geniusza, chociaż, prawdę mówiąc, nie umiała sobie nigdy zdać sprawy, co to jest geniusz.

Tymczasem nauczyciel spokojnie posuwał swoją pracę naprzód, wiedział, do czego się zobowiązał i podług planu, przybitego na drzwiach, wykonywał swe zadanie z sumiennością i cierpliwością człowieka starego: „za to mi płacą".

Uczeń był pilny, posłuszny, zdolny, przeto łatwo sobie przyswajał tak zwane podstawy wiedzy. Warunki otoczenia domowego nie były ani zbyt korzystne, ani niekorzystne dla celów wychowania. Tylko ta jedna Marianna!... No, ale zręcznie starano się ograniczać wpływ jej na ucznia.

Zastanawiając się nad tym, na czym polega doświadczenie pana Chrószczyńskiego, Szymuś wnet sobie utworzył pojęcie „doświadczonego człowieka": stary, chudy, łysy, kaszlący, mrukliwy i w ciągłej wojnie z muchami.

Nikt się w Czopówku nie zajmował muchami tak gorliwie, jak ten pan nauczyciel; muchy też nikomu nie dokuczały z taką zapalczywością, jak jemu. Częstokroć oganiał się od much, chociaż go żadna nie napadała — nałogowo to czynił i bezwiednie. No, ale też czasami miał z nimi robotę. Podczas lekcji już prawą, już lewą ręką nieustannie spędzał muchy z łysiny, a gdy się jakaś mucha zawzięła, z bezprzykładną uporczywością raz po raz wracała na łysinę, jakby do szczególnego przysmaku. Uczeń z zajęciem przyglądał się musze, która śmiała dokuczyć poważnemu „panu profesorowi" — tak Szymusiowi kazano tytułować Chrószczyńskiego.

Tutaj w najlepsze odbywa się lekcja łaciny; trzeba ogromnie natężać umysł, skupiać całą uwa-

gę, żeby nie powiedzieć na przykład: *impigra agricola tolerat curas vitas*, a Szymuś patrzy kędyś w przestrzeń, ściga oczyma muchę i myśli sobie: „Bardzom ciekawy, czy ona też jeszcze wróci do łysiny „pana profesora!" Ooo, usiadła teraz na ścianie! Wyglądała, jak gdyby nad czymś przemyśliwała: pewnie znowu przyleci, bo skierowała oczy prosto na pana profesora; można się założyć, że ma w głowie jakiś figiel...

W chwilach takiego roztargnienia chłopiec na zadawane pytania odpowiadał nauczycielowi na chybił trafił i — rzecz dziwna — najczęściej: dobrze.

Zerwała się mucha, leci już od ściany ku stolikowi, gdzie się odbywa lekcja... Oho, usiadła na kołnierzu pana Chrószczyńskiego!... Bardzo zabawne!

Nauczyciel w tej chwili uzbrojone okularami oczy utkwił w nosie swego buta, spostrzegł bowiem małą dziurkę, a swoją drogą począł doświadczać ucznia na punkcie przykrych nieprawidłowości czwartej deklinacji. Widocznie dziura w bucie przypominała mu igłę, gdyż się zapytał, jak jest „dativus" i „ablativus" od *acus?* Chwila milczenia grobowego, poczem pan profesor sam sobie odpowiada: *acubus;* a jakże będzie „dativus" i „ablativus" od *manus?*" — *Manubus.*

Każdy by się złapał w taką zdradliwą łapkę. Atoli chwila była teraz nadzwyczajnie stanowcza, ponieważ mucha dwiema przednimi nóżkami coś jakby ostrzyła sobie ssawkę... Frunęła, wzbiła się

w górę i usiadła na wierzchołku bodaj czy nie jedynego włoska, sterczącego na łysinie profesora. Odbijała się wyraźnie na białym tle, przeto ją tu spostrzegła inna mucha, uderzyła z góry i spędziła z włoska. Pogoniły się obie żwawo w powietrzu, starły z sobą i wnet potem zwycięska mucha wróciła, znowu zasiadła na tym samym włosku; ważyła się teraz na nim zupełnie jak wrona, siedząca na cieniuchnej gałązce drzewa.

Myśląc o dziurze w bucie, pan profesor rzekł:

— Uważaj dobrze!... Wbij sobie w pamięć regułę wierszem: *Tolle me, mu, mi, mis, — si declinare domus vis!...* No, przecież to wiesz, że *domi* — w domu, *domo* — z domu, *domum* — do domu? Później to prawidło lepiej rozwiniemy; teraz...

W tej chwili mucha tak ucięła pana Chrószczyńskiego w łysinę, że drgnął cały, ale i tak szybkim ruchem ręki przytłoczył wroga na łysinie i zmiażdżył.

Te i tym podobne zdarzenia z muchami urozmaicały, ożywiały lekcję.

Marianna pozostawała w dalszym ciągu przy dworze, chociaż uwalniając się od obowiązków; byłaby otrzymała od dziedzica i krowę cielną i wieprzka i dożywotnie zagony pod kartofle, kapustę i bezpłatną izbę z komorą do śmierci i co tam jeszcze. Szymuś też tak przywykł do swej niani, że i teraz smakowały mu tylko takie śniadania, podwieczorki i wieczerze, które ona swoim sposobem upitrasiła. Utrzymywała pod swym zarządem, jak się wyrażała „chłopczyńskie" suknie,

bieliznę, słała łóżko, sprzątała pokoik i w każdej swej czynności okazywała prawdziwe, szczere przywiązanie do Szymusia.

Jej się mocno nie podobały wszystkie te lekcje z panem Chrószczyńskim i nieraz ubolewała:

— Męczą oto dziecko, mizerują, zdrowie mu odbierają... A cóż taki stary Herod, kiej się dobrze przyłoży, to na nic stera, zmoże mojego biedaczka!

Sprawując się cichutko, robiła niby to porządek w przyległym pokoju Szymusia, a podsłuchiwała pod drzwiami, jakie nauki pobierał jej wychowaniec. Nie mogła nic zrozumieć z tego, co słyszała, więc wstrząsała głową, mówiąc: — „Stary człowiek nie pojmie dobrze takiego „dukania", cóż dopiero małe dziecko! Zawracają mu głowę niepotrzebnie i koniec... Jeszcze sobie z takich rzeczy może co przybrać do głowiny, niebożątko moje..."

Kiedy słyszała, że nauczyciel głos podnosi, a Szymuś się zająkiwa, mówi cicho, wtedy „o mało jej serce z żalu nad dzieckiem nie pękło".

Tymczasem uczeń coraz bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że ten jest, „człowiekiem doświadczonym", komu na świecie muchy przeszkadzają. Tylko pan profesor jeden w Czopówku posuwał prześladowanie much do ostatecznych granic. Walka zawzięta z tymi owadami przez całe lato tak opętała jego umysł, że wyczuwał muchy na swej łysinie, chociaż ich tam nie było. Nieraz w pokoju swoim skrupulatnie wyłowił muchy

wszystkie co do jednej, ale jeżeli chociaż na chwilę wyszedł, znowu tu muchy były.

Kto wie, czy Marianna nie dręczyła tymi muchami pedagoga, wywzajemniając się za udręczenie Szymusia nauką! A takie, których w pokoju było kilka lub kilkanaście, odznaczały się zwykle największą natarczywością i zjadliwością. Chrószczyński zabierał się wtedy do dzieła tępienia i prześladowania nieprzyjaciela wszelkimi możliwymi sposobami, znowu się od much uwalniał. Z wielką dbałością przestrzegał, aby wchodzący do jego pokoju pośpiesznie zamykali drzwi za sobą: ażeby — uchowaj Boże — nie otwierano okna, a muchy ciągle skądciś się brały. Wszystek czas wolny od zajęć schodził panu profesorowi na zapasach z istotami, których słabość w przysłowie weszła, równie jak dokuczliwość. Czy to raz wydawało mu się, że go mucha przez surdut i koszulę w plecy ucięła? Ogromną męczarnię stanowiło dla niego wysiadywanie przy stole podczas obiadu. Każdy pokrzepiał wtedy siły spokojnie, nie zważając na muchy, tylko on jeden mienił się na twarzy, jadł bez apetytu i był tym bardziej nieszczęśliwy, że jakoś nie wypadało tutaj prowadzić walki. Muchy, jak gdyby wiedziały o tej jego bezbronności, całą ciżbą oblegały łysą głowę, rzucały się zuchwale na nos, czoło. Najenergiczniej występował pan Chrószczyński w nocy, usiłując złamać siły nieprzygotowanych do napaści, śpiących nieprzyjaciół.

Uczeń sypiał w pokoju obok, sąsiadując z nauczycielem; chodził zaś spać zwykle o dziesiątej

i najczęściej nie mógł od razu zasnąć: przeszkadzały mu może nastręczające się dziwne postacie czarnoksiężników, ludzi nadzwyczajnych i przeróżnych zwierząt z bajek — także muchy w swoim rodzaju. Pan profesor znowu późno w noc przesiadywał i czasami w mieszkaniu swoim wyprawiał takie jakieś dziwne zgiełki i chroboty, że Szymuś w żaden sposób nie mógł pojąć, co by to być mogło. Raz słychać było łażenie po pokoju, to znowu, jak gdyby ktoś podskoczył i ścigał kogoś drugiego; innym razem dawał się słyszeć łoskot upadającego krzesełka, stuk jakichś uderzeń w ścianę, szybkie bieganie, sapanie. „Co to wszystko ma znaczyć?" — zadawał sobie chłopiec pytanie, na które nie znajdował w swej głowie odpowiedzi.

Szymuś, jakkolwiek miał głowę nabitą bajkami niańki, nie był tchórzem; każda bowiem bajka w jednakowym co najmniej stopniu rozwija obawę i odwagę: potwora straszliwego zawsze musi pokonać dzielny rycerz i właśnie we wszystkich bajkach chodzi o to głównie, ażeby podnieść wartość ducha rycerskiego.

Ciekawość wywabiła chłopca z łóżka i zawiodła go pod drzwi pokoju, gdzie przyłożywszy oko do dziurki od klucza mógł jako tako spostrzegać, co robi jego nauczyciel w drugim pokoju. Z bijącym sercem, wstrzymując w piersiach oddech, stał tak i zaglądał wewnątrz, a choć mu coś poszeptywało, że podpatrywanie jest czynem niegodziwym, nie mógł się oprzeć pokusie. Cóż on tam widział?

Pan profesor — w bieliźnie od stóp do głowy, w czepcu, ze świecą w jednej ręce, z przyklapanym pantoflem w drugiej, blady, poważny — łaził, jak widmo, po swym pokoju i tępił muchy w śnie pogrążone: już to mordował je uderzeniami podeszwy pantofla, już znowu podpalał płomieniem świecy — „ogniem i mieczem".

Ogromnie uroczyście wyglądał pan Chrószczyński, całą duszą oddany tej pracy. Niektóre muchy, widocznie mędrsze i najbardziej doświadczone, chroniąc się, uchodziły w miejsca mniej dostępne: na sufit, na gzyms ogromnego pieca, gdzie ich z poziomu nie można było dosięgnąć. Ale zapalczywy pedagog podsuwał sobie wtedy stół i aby podnieść jego wysokość, układał stos z grubych słowników, atlasów, właził na to i w dalszym ciągu rozsiewał śmierć między muchami. Nareszcie ukończył polowanie, po raz ostatni obrzucił wzrokiem sufit, ściany, rozmaite przedmioty i położył się w łóżku, z błogą nadzieją, że o świtaniu już mu żadna mucha snu nie przerwie.

Tak nieraz męczy się człowiek przez całe życie, aby mógł spokojnie legnąć w grobie...

Jeszcze pan profesor na dobre nie zasnął, gdy oto posłyszał tuż nad uchem brzęczenie komara, dźwięk, który w uszach starego człowieka brzmi już nie jak skoczny oberek, ale — niby kwilenie dziecka, kobiety... Szymuś, zasypiając z myślą o czynnościach swego nauczyciela, posłyszał trzask zapalanej zapałki, a potem — łażenie po pokoju sąsiednim. Ciekawość dziecka znowu go popchnęła do dziurki. Właściwie mówiąc, dzieci

nieustannie podpatrują starszych, tylko że z tego co widzą zewnątrz, nie zawsze mogą przeniknąć do duszy.

Oh! skóra człowieka starego częstokroć jest nadzwyczajnie wrażliwa nie tylko na rzeczywiste, lecz i urojone muchy, komary!... Pan Chrószczyński łaził, poszukiwał tego komara, dopóki go nie znalazł i nie zgładził. Dopiero o świtaniu spać się położył, a w trzy, cztery godziny potem wstawał do pracy. Jakże nie miał wyglądać blado, chorowicie? Muchy i komary-demony gnębiły go, udręczały. Te osobliwe zajęcia pana profesora dziwiły, nawet może nieco przestraszały chłopca, który nie mógł pojąć, jak można ścigać muchy i komary do białego rana.

Później uczeń przywykł, otrzaskał się z dziwactwem nauczyciela i bez względu na zgiełki w sąsiednim pokoju, nie podpatrywał przez dziurkę od klucza. Dopiero jednej nocy zrobił się ogromny chrobot w mieszkaniu pana Chrószczyńskiego i wtedy Szymuś pobiegł podglądać. Cóż się takiego stało? Oto nauczyciel, w ogromnym zapale prześladując muchę, czy komara, wlazł podług zwyczaju na stół, stracił widać równowagę, spadł i bardzo dotkliwie stłukł sobie tę właśnie rękę, za pomocą której zgładzał ze świata muchy i komary, a także — pracował. Zawsze to w życiu bywa: człowiek much i komarów nigdy nie wytępi, a tylko w usiłowaniach swych szkodę sobie samemu robi!

Nienawiść pana Chrószczyńskiego do much znano powszechnie w Czopówku i Marianna, któ-

ra sobie nie mogła wytłumaczyć, aby „człowiek mający dobrze w głowie" marnował tyle czasu na wojnę z muchami, zwracała się do pani Bujańskiej, jako inteligencji wyższej, z zapytaniem:

— Co jemu zaś muchy wadzą na świecie? Toć wiadomo, że one „psia-koście" każdemu dokuczą, jeno taki osobliwy zawziątek — okrutna dziwota!

Pani Bujańska objaśniała to zjawisko według swojej metody: krótko, stanowczo, a niedostatecznie i odpowiadała:

— Zwyczajnie, dziwactwo starego człowieka.

Tylko pan Franciszek wyrzekł raz w sprawie pełne znaczenia słowa:

— Komu jest na świecie dobrze, ten wcale nie dba o muchy!

Czasem się powie coś tak w sam raz, dobrze, tak się ugodzi dokładnie w przekonanie czyjeś, że od razu czuć prawdę. Właśnie Szymuś słyszał powiedzenie ojca i tknięty tym, pomyślał sobie:

— Aha! to panu profesorowi nie jest dobrze na świecie!

Dzieci i niektóre kobiety mają przytem dar bezpośredniego uznawania, czy przeczuwania prawdy.

Od tego czasu zaczął chłopiec lepiej pojmować, co to znaczy „człowiek doświadczony". Zdziwił się ogromnie Chrószczyński i zarazem rozrzewnił, gdy jednego dnia, wszedłszy niespodziewanie do swego pokoju, zastał tutaj Szymusia stojącego na stole, na ogromnym stosie książek i zapamiętale tępiącego muchy na suficie cholewą swego bucika. Obaj się bardzo zarumienili; ale

stary nauczyciel zrozumiał w tej chwili, że uczeń podpatrzył jego... duszę. Drobnostka niby: chłopiec mający obie ręce zdrowe, wyławiał muchy za swego nauczyciela dziwaka, który stracił władzę w prawej ręce. A czyż to nie jest wszystko jedno przy jakiej okoliczności zahacza się jedno dobre i szczere ludzkie serce o drugie.

Pomiędzy Chrószczyńskim i Szymusiem zawiązał się teraz stosunek o wiele serdeczniejszy: uczeń coraz bardziej lgnął do nauczyciela, a nauczyciel do ucznia. W miarę tego atoli malały dobroczynne niegdyś wpływy i obecne znaczenie dobrej Marianny, która też codziennie z niemałą goryczą w duszy dochodziła do przekonania, że jej rola we dworze już się zupełnie skończyła. W sercu syna rodzice zawsze pozostali rodzicami; ale wszystkie te jego stosunki z wieku dziecięcego i młodzieńczego ciągle przecież ulegały przewrotom.

Najprzód co kilka, potem co kilkanaście lat, przeobrażał się dojrzewający pan Szymon: następowała stopniowo przygotowywana zmiana w jego pojęciach, poglądach na świat i ludzi, w przekonaniach i zasadach moralnych.

„Po czterdziestu latach życia — są jego własne słowa — zatrzymałem się już w miejscu i ani rusz dalej. Rozpatrywałem tylko swoje umysłowe zdobycze, starałem się z nich korzystać, jak mogłem. Od pięćdziesiątego szóstego roku życia zacząłem spostrzegać, że to i owo ubywa mi z głowy, gdzieś znika. Wtedy muchy stawały się dla mnie z każdym dniem dokuczliwsze, oh! dręczyły mię częstokroć nielitościwie!"

Właściwie mówiąc, Szymuś tylko zmienił dawną niańkę na inną. Nauczyciel dostarczał jego umysłowi i wyobraźni także bajek — nieco odmiennych, ale również zajmujących. Jeszcze później niańczyły go szkoły, uniwersytet, a nareszcie — ostania niańka — życie. Ta niańka, suma wszystkich stosunków, niejednokrotnie męczy i w końcu zaprowadza do grobu, do tej ostatniej ludzkiej kołyski.

Z niańkami zmieniały się też i bajki: następowały po sobie coraz piękniejsze. Po Wyrwidębach, Waligórach, Kruszyskałach wystąpili na scenę znakomici bohaterowie, wojownicy, królowie, wodzowie, prawodawcy, o których cała ludzkość nieustannie opowiada bajki pełne wdzięku. Są to także w swoim rodzaju Wyrwidęby. Miejsce Twardowskich, różnych czarnoksiężników, obdarzonych siłą działania cudów, zajęli w umyśle Szymusia potężni myśliciele, genialni artyści, znakomici wynalazcy. I wszystkie te bajki, związane niciami ludzkiej duszy, utworzyły jedną bajkę nad bajkami — ideał człowieka, także Wyrwidęba w swoim rodzaju.

Chrószczyński, ten mruk, dziwak, nie ożywiał się już teraz na próżno podczas lekcji ze swoim uczniem, bo ile razy wybiegał duszą w dobre krainy myśli, uczucia, zawsze tam za nim podążał i Szymuś. Podniecało to starego nauczyciela tak, jak dobrego aktora podnieca obecność inteligentnych widzów. Znać było wtedy, że panem profe-

sorem nie kieruje ani surowy obowiązek, ani drobiazgowa sumienność, ani zimna metoda, tylko — żywe uczucie miłości dla rzeczy jedynie godnych kochania. Jakżeby kto mógł tę miłość przelać w drugiego, gdyby jej sam rzeczywiście nie posiadał?

Skoro umysł młodego pana Szymona raz już wszedł na takie tory, miał on przed sobą wytkniętą drogę na życie i tak wytkniętą, że mógł zbłądzić, lecz zawsze musiał usiłować, aby ją koniecznie odnaleźć. „Szedłem uparcie w tym kierunku — mówił sam — i mimo gorzkie zawody, nie żal mi tego!"

Tak im w Czopówku przeszło znowu sześć lat życia.

W ciągu tego czasu obowiązek nauki zamienił się u chłopca na przyjemność zdobywania wiedzy, a wzajemne stosunki nauczyciela i ucznia przybrały charakter przyjaźni. Swoją drogą muchy podczas pory letniej nieustannie a dotkliwie dręczyły pana profesora, który wśród pracy — jak zaś sam twierdził — głównie w walce z muchami ogromnie postarzał. Jego skronie jeszcze bardziej zżółkły i wklęsły, rysowały się na nich jakieś zygzakowate, wystające żyły — niby szwy po zagojonych ranach; czoło — całe w fałdach; pod zapadłymi oczyma wisiały jak gdyby torby szare; twarz — wzdłuż i wszerz zupełnie posiekana zmarszczkami. Teraz się jeszcze więcej zaniedbywał w ubiorze, jeszcze staranniej unikał ludzi. Ale w domu wszyscy przywykli do jego dziwactw i nikt nań nie zważał.

Służący nazywali go „chróścielem, chróścikiem, chrószczynką" i palcami wytykali „niezdarę-starowinę".

Aż tu pewnego dnia podczas lekcji pan Chrószczyński stał się tak niezwykle gadatliwy, że — co mu się dotychczas nigdy nie zdarzało — ciągle odbiegał od przedmiotu i wypowiadał, jakieś ogólne zdania, pełne smutku i — jakby żalu do świata. On, człowiek zawsze łagodny, mówiący z przejęciem się do swego ucznia wtedy tylko, gdy sprawa na to zasługiwała — nagle wpadł w uniesienie, w szał nadzwyczajny. Im dłużej mówił, tym więcej zdawał się otwierać swe serce. Jakieś przykre uczucia osobiste, zawody życiowe, oskarżanie losów przebijały wyraźnie w jego szybko i gromko rzucanych słowach. Blade policzki zapłonęły wypiekami, oczy się świeciły, wargi drżały — rzekłbyś — zupełnie inny człowiek. Wszystko to sprawiało wrażenie, że pan profesor tłumił gdzieś w głębi gorycz duszy, którą nareszcie musiał wylać w potoku słów, zaprawionych żółcią, smutkiem ponurym. Pedagog tak uważny, czynił to wobec dwunastoletniego ucznia!... Szymuś nawet nie był w stanie zrozumieć tej namiętnej jeremiady, tego wybuchu lawy uczuć z wygasłego już wulkanu. On się zdziwił, zaniepokoił nadzwyczajnie.

Nareszcie burza poczęła słabnąć, zapał dziwny widocznie przygasał, gdyż głos pedagoga cichł, łagodniał. Teraz znowu jakaś spokojna boleść zdawała się z dna duszy na wierzch wypływać: skarży się tak niekiedy przed matką dziecina, a łzę

ma pod powieką gotową. Myślał pewnie, że jest sam, gdyż słowa jego zdradzały tajemnicę miłości, którą człowiek tylko Bogu powierzyć może. Zapomniał o uczniu swoim, przemawiał jakby do siebie samego, odbywając spowiedź życia...

Wyczerpał się całkowicie: starości sił zbrakło; oparł głowę o poręcz krzesła i zasnął.

Cichutko oddalił się Szymuś, usiadł na boku i z obawą spoglądał w twarz nauczyciela, która była teraz straszliwie blada. Znowu go podpatrywał i jak niegdyś nie mógł pojąć owych nocnych walk z muchami, tak teraz jeszcze większą zagadkę miał przed sobą. Dawniej do podpatrywania nauczyciela popychała go ciekawość, obecnie — troska o kochanego przyjaciela.

Stała się rzecz, której potem przez całe życie pan Szymon nie mógł zapomnieć. Na twarzy śpiącego Chrószczyńskiego usiadła mucha, która tu i owdzie szybko biegała, to się znowu zatrzymywała. On, zwykle tak wrażliwy na każde dotknięcie muchy, ani drgnął, zupełnie nie odczuwał, jak martwy. Bardzo zaniepokojony, z bijącym sercem, na palcach podszedł Szymuś ażeby spędzić tę natrętną muchę, a nie obudzić uśpionego. Wtem nauczyciel otwarł oczy, które były przygasłe, jakby wyblakłe; spostrzegł wystraszonego ucznia, uśmiechnął się z dziwnym przymusem i rzekł głosem cichym:

— Jakieś osłabienie!...

Wstrząsnął głową i mucha uleciała, ale się nie oddaliła od niego: krążyła naokoło głowy z nadzwyczajną szybkością — ledwie ją dostrzec było

można i brzęczała inaczej, niż zwykłe muchy domowe. Dopiero, kiedy znowu siadła na wyciągniętej, wyschłej, jak gdyby bezkrwistej ręce, Chrószczyński spojrzał i pospiesznie uchylił rękę. Widok muchy musiał wywrzeć nań przykre wrażenie, gdyż twarz mu się przeciągnęła, oczy wyrażały przestrach. Spędzona mucha znowu okrążyła parę razy głowę i z natarczywością usiadła na czole.

— Jest to *sarcophaga carnaria!* — rzekł nauczyciel posępnym głosem. — Tej muchy nikt nie odpędzi, gdyż przywykła do ciał martwych, pozbawionych ruchu... Gdzie ona siada, tam już te zwyczajne muchy spokoju nie zakłócą.

Uczniowi włosy stanęły na głowie.

Nazajutrz sprowadzono z miasta do Chrószczyńskiego lekarza, który obejrzawszy chorego bardzo troskliwie, taki wydał wyrok:

— Zadawniona choroba mózgu, zwana melancholia... Lekarz nie ma tu już nic a nic do zrobienia!

Wkrótce potem nauczyciel Szymusia przeniósł się do społeczeństwa tych, którzy na ziemi żyją już tylko we wspomnieniu żywych. Z całej bajki o Chrószczyńskim tyle się zostało.

Czas wartko pędzi, całe pokolenia schodzą do grobów ze swoim szczęściem i niedolą, z nadziejami i zawodami, z prawdami i błędami. „Wieczny odpoczynek niech im będzie".

Zjawiają się po nich na świecie ludzie nowi; inaczej myślą, inaczej czują, inaczej działają i inaczej błądzą. Wszystko, cokolwiek się odradza, jest

inne w porównaniu z poprzednim. Trzebaż śmierci, aby na świecie nowość, młodość powstała?... *Quando aliud ex alio reficit Natura, nec ullam rem gigni patitur, nisi morte adjutam aliena.* Ludzie starzy, zachwalając dawne czasy, twierdzą: — „Dawniej wszystko było inne". Tylko życie jest inne, śmierć — zawsze niezmienna! Nawet dzieci-muchy nie są takie, jak rodzice-muchy; ale śmierć, znikomość, jest jedna i ta sama.

Szymuś odbył wychowanie w domu rodzicielskim i następnie oddano go do gimnazjum. Ach! nudneż były te czasy szkolne ze swą musową nauką, surową karnością!... Jedynie piękną, ponętną była tutaj owa ciągle odradzająca się nadzieja spędzenia wakacyj pod rodzicielską strzechą. Dzień za dniem niecierpliwie wykreślał chłopiec z kalendarza. Mniejsza o to, że dzień taki przepadł w oceanie wieczności; tym bliżej do upragnionych wakacyj. Żeby się też kto z Czopówka pokazał!... Fornal który, pachciarz, koń, pies, nawet mucha! W mieście można spotkać chłopów, Żydów, konie, psy, muchy; ale to nie to — zupełnie co innego. U nas tam w Czopówku nad Nidą — inaczej, inaczej! Pachniało z daleka.

Nauczyciel, moralista-filozof, ciągle mający na ustach Horacjusza, wykrzykiwał w zapale z katedry: — *Fugit, fugit irreparabile tempus!*

Gdzież tam — czysta ironia! *Tempus* wlecze się właśnie ślimaczymi kroki. Dopiero, gdy się przybyło do domu, *tempus volavit remigio alarum,* niczym skrzydła jaskółki. Cały wiek takiego pysznego szczęścia przeleciałby człowiekowi, jak

jedna chwila. A tu, w szkole, nieraz marne pięć minut niby wiek się dłuży.

O, bardzo dobrze Szymusiowi bywało w Czopówku na wakacjach! Kto by uważał na muchy, na komary! Poszedł nieraz o zachodzie słońca, aby się wykąpać, wypluskać w Nidzie, która prześlicznie płynie, między łąkami przebierając się ku Wiśle. Mocny Boże, co też te komary wyrabiały z nim wtedy! Ścięły go niemiłosiernie jak osy, opuchł cały. No, ale i tak codziennie chodził do kąpieli.

Znamy już muchy w Czopówku i wiemy, co to za ziółka. Jednakże w ciągu całych wakacyj były one nieodstępnymi towarzyszami i uczestnikami wszystkich przyjemności, jakich tutaj używał piętnastoletni pan Szymon — trudno o lepszych kolegów. One zajadały wspólnie z nim przysmaki, które dostawał od matki; one mu towarzyszyły, jeżeli się schronił w chłód do ogrodu i czytał książkę; one podążały z nim do stajni, co należy także do niemałych przyjemności na wakacjach; one nie odstępowały go w stodole, kiedy razem z parobkami i karbowym obliczał wrzucone na zapole snopy zboża wśród ciągłych wołań: — „Jeden czterdzieści!" Albo: — „Kopa dwadzieścia!" Chociaż nikt nie oswajał tych much, a jednak ze wszystkich zwierząt były one najbardziej oswojone.

Niekiedy atoli widok much wywoływał u Szymusia wspomnienie nieboszczyka Chrószczyńskiego i wówczas przesuwały mu się przez głowę jakieś niewyraźne obrazy ludzkich nieszczęść, sta-

wała przed nim w myśli *sacrophaga carnaria* — mucha grobowej ciszy i wiecznego spokoju. Wtedy z pewnym rodzajem przestrachu mimowolnie podnosił rękę, odpędzał muchy od siebie, albo przyglądał im się z niejakim wstrętem, niedowierzaniem.

A ten ojciec, dzielny, energiczny pan domu, jakby ze stali wykuty, jakiś taki mądry, zawsze pewny siebie; wszyscy go w Czopówku słuchali, wszyscy wyróżniali; nawet psy tam wiedziały, że to ich pan i kiedy szedł, ustępowały mu z drogi, albo się do niego łasiły; zdawało się, że muchy tknąć się go nie śmią.

Miał Szymuś w głowie swej różne ideały bohaterów; ale żaden przecie nie był tak żywy, czynami rzeczywistymi przemawiający do duszy, jak ten ojciec. Chłopiec uczuwał w sobie dumę, że jest synem jego i gorąco pragnął, aby go naśladować, zostać takim samym. Ojca kochał tymi uczuciami, które stanowią moc duszy, z których powstaje charakter męski; dla matki żywił uczucia, które stanowią słabość duszy, jej tkliwość, miękkość. Wobec ojca, chcąc nie chcąc, musiał być poważny, rozsądny; przy matce się rozpuszczał, pieścił.

Znaczenie Marianny zupełnie teraz upadło. Szymuś pamiętał, że ona jest jego mamką i nianką: zawsze jej przywoził jakiś podarunek, witał ją uprzejmie, żegnał na odjezdnym i na tym się stosunki kończyły. Dobra kobieta znacznie się podstarzała, nie miała już teraz śmiałości mówić do panicza „Szymusiu", tylko sobie za oczy jeszcze pozwalała tak go mianować. Ale i tak była ona tutaj osobą niezbędną, miłą. Jakby wyglądał Czopówek bez Marianny!

Wszystko w tym domu rodzicielskim było takie urocze, dobre, swoje, tak zupełnie przystawało do duszy. Niepodobieństwo pomyśleć nawet, ażeby człowiek mógł gdzieś na świecie poza Czopówkiem znaleźć dla siebie kąt inny i żyć w tym kącie. Można podziwiać różne piękne krajobrazy na świecie, ale mus miłości ma się tylko dla tego jednego Czopówka. Jak tam cudnie łany zbożami się trzęsą, siana pachną, wierzbina na wiosnę puka, kwiaty kwitną, woda się w słońcu mieni, ptaki świegocą, ludzie śpiewają!

W szkołach robił syn wszystko, co do niego należało, a pan Franciszek nie był z tych ojców, co to synów za świadectwa szkolne chwalą, nagradzają; widocznie wyznawał zasadę: *non scholae sed vitae discimus.*

— Trzeba Szymusia wynagrodzić czymś, ma bardzo dobrą cenzurę! — mówiła pani Rozalia, matka.

A ojciec odpowiadał:

— Nie o jego cenzury chodzi, tylko o to, aby był dobrym człowiekiem! Co się tyczy nagród, powinien zawczasu przywyknąć, znajdować je w sobie samym, aby potem nie doznawał przykrości, widząc, że się dostają niezasłużonym.

Skończyła się nauka gimnazjalna i Bujański przyzwał raz do siebie syna, teraz już młodzieńca, któremu się zarost sypał na twarzy. W cztery oczy mieli ze sobą taką rozmowę:

— Wiedz o tym, mój Szymonie — mówił ojciec — że Czopówek jest już jak gdyby nie naszą własnością. Nie piłem, nie jadłem, nie używałem, a jednak doszło do tego... Trzymam się tu jeszcze, gdyż pracuję; ale i praca moja obecnie w znacznej części przepada. Otóż masz wskazówkę, że kawałek roli stanowi dzisiaj nadzwyczajnie niewdzięczny warsztat, przy którym człowiek wszelkie wysiłki swej pracy marnuje. Ja muszę ten ciężar dalej jeszcze dźwigać, ponieważ nie jestem zdolny robić nic innego. Niewiele się uczyłem a i to do rolnictwa przygotowano mię tylko praktycznie... Ale ty jesteś młody, powinieneś obrać sobie zawód, w którym praca da ci zadowolenie.

Ojciec przemawiał bardzo prosto, naturalnie, z jego oczu, rysów twarzy, tchnęła taka szczera prawda, takie silne wewnętrzne przekonanie, że syn przyjął to wszystko, jakby z własnego przeświadczenia uznane. Po chwili milczenia Szymon prosił ojca o radę, co ma robić. Pan Franciszek tarł ręką czoło i nareszcie wybąkał:

— Inżynier chyba!

Jakoś dziwnie zabrzmiał ten „inżynier". Bujański, jako człowiek zawsze stanowczy, pewny siebie, zimno logiczny, tym razem zdradzał jakiś odcień słabości; niejednokrotnie głos jego cichł, rwał się, drgał, grzązł gdzieś w gardle i echem jakiejś rzewności trafiał w przekonanie syna. Trzymał się pan Franciszek, widocznie przemówieniem swoim nie chciał nic sztucznego dodać dramatowi położenia. Jednakże pan Szymon widział, że muchy nieustannie opadają ojca, który się bronił

przeciw nim już prawą, już lewą ręką. I te muchy silnie przemawiały do młodzieńczej wyobraźni, nadawały wyraz całej scenie.

Ha, przecież pan Franciszek także się w Czopówku wychował, a przed nim — jego ojciec i dziad, po których wziął tę ziemię w spadku! Zapewne mu ciężką była okoliczność, że nie mógł swemu jedynakowi przekazać Czopówka, że mu dał tylko radę: — „Zostań inżynierem, a będzie ci lepiej!"

Po tych słowach ojca: „inżynier chyba", zapanowało długie i ponure milczenie. Szymonowi przesuwały się po głowie nadzwyczajnie długie proste, łamane, krzywe linie, kąty, wielokąty, graniastosłupy olbrzymie, walce i kule, gdyż pojęcie „inżynier" po raz pierwszy w życiu wtargnęło do jego głowy. Zdawało mu się, że w całym domu każdy sprzęt powtarzał wyraz „inżynier". Spojrzał na łysiejącą czaszkę ojca, widział jak natrętna mucha, spędzona raz, drugi i trzeci, uporczywie tu powracała i w myśli mimowolnie powtarzał: „inżynier", chociaż stał przed nim obraz „doświadczonego człowieka" Chrószczyńskiego, chociaż sam nie wiedział, dlaczego jest mu bardzo smutno. A ojciec ciągle się opędzał od muchy-inżyniera.

Osobliwe sny trapiły tej nocy młodego Bujańskiego. Zły majątkowy stan Czopówka przedstawił mu się w postaci szopy sześciennej, zbudowanej z siana, koniczyny suszonej i rozmaitego zboża w snopach. Szopa się waliła, a ojciec wystraszony, blady i łysy, usiłował ją podeprzeć swymi

rękoma; ale go obsiadły muchy, które musiał ciągle spędzać. On, syn, z cyrklem w ręku, niby inżynier, rozmyślał, co tu robić?... Przez jedną z licznych dziur w szopie spostrzegł matkę, jadącą powozem w cztery konie na wizytę do Olszowca. Miał wielką chęć z nią jechać, gdyż zobaczyłby tam szesnastoletnią hożą Karolcię; ale pomyślał sobie, że powinien pracować, że jest inżynierem. Do białego rana dłużyły się te marzenia senne.

Rzeczywiście, z Czopówkiem bardzo źle było. Ojciec suszył sobie głowę, tworzył przeróżne kombinacje, ażeby koniecznie utrzymać syna na tym kawałku ziemi — nie, niepodobieństwo.

Sprawy niezmiernie zawiłe, trudne dla głowy męskiej, umysły żeńskie usiłują rozwiązać w sposób łatwy:

— Przecież Szymuś dobrze się ożeni, weźmie posag i wyjdzie z interesów! — tak mniemała matka, słysząc, że pan Franciszek zamierza wyprawić syna do Belgii na politechnikę.

— Dosyć tego łatania szlacheckich fortun posagami! Trzeba z samych siebie wydobywać siły! — odrzekł stanowczo ojciec.

Teraz młodzieniec przygotowywał się do wyjazdu z domu i ten piękny Czopówek, w który on wrósł całą swą duszą, wydawał mu się obecnie jakby powleczony chmurą ojcowskiego strapienia.

Z nieznacznymi zasobami pieniężnymi puścił się w świat. Idealista może też zostać inżynierem, oddać się tej kosmopolitycznej pracy, która najczęściej odrzuca człowieka daleko od gniazda rodzinnego. Ale pan Szymon odlatywał z domu na

skrzydłach marzyciela. Jakież on wyobrażenie mógł mieć o tym, co to jest inżynier? Podług niego, zostać inżynierem, znaczyło — znaleźć sposób powrócenia do Czopówka, który się z rąk ojca wymyka. Do każdego zawodu musi człowiek mieć tak przygotowaną duszę, aby pracując, czuł się w swoim żywiole, jak ptak w powietrzu, ryba w wodzie, czego żadna szkoła nie potrafi wychować.

Czerwonoskóry pewien, od dzieciństwa wychowany w Europie, został doktorem medycyny i używał wziętości, jakiej by mu niejeden biały doktór mógł pozazdrościć; ale jednego dnia porzucił świetne życie Londynu i schronił się w dziewicze lasy Ameryki.

Otóż, podobne X przyniósł już z urodzeniem na świat w duszy swojej Szymon Bujański. Rzetelnym człowiekiem mógł on być tam tylko u siebie. Jako starzec, powtarzał nieraz z tęsknotą:

— Ach, jakbym ja pragnął być w Czopówku!

I ciągle się tam wybierał, aż umarł.

Syn w belgijskiej szkole politechnicznej sposobił się do postępowego harcu, który w skojarzeniu z kapitałem nadaje nowy, nieznany dotąd kierunek dziejom świata; ojciec w Czopówku pracował dalej po staremu, kręcił głową, ażeby móc wybrnąć z codziennie wzrastających kłopotów. Zapracowany, cichy, nie tracił jednak energii, nie założył rąk, nie zdradzał się utyskiwaniem... Tylko te muchy!

Myślałby kto, że pan Franciszek podwoił jeszcze już i tak znaczne czynności; on przed mu-

chami uciekał z domu do gospodarstwa. Przed dworem, w ganku, wystawały jakieś postacie brodate, w długich chałatach, zapytujące nieustannie: — „gdzie jest pan?" i powtarzające, że „mają do pana interes..."

Tych ludzi nazywał dziedzic Czopówki „interesantami". Do żony mówił:

— Nie mogę wytrzymać, takie zjadliwe są w tym roku muchy!

A do służących, gdy wychodził:

— Jeżeli przyjdzie jaki interesant, to mię nie ma...

I szedł w pole, wyjeżdżał na folwark. Czyż to łatwo zbyć słowem takich interesantów? Powracając, wstępował do stodół i zapytywał na gumnie ekonoma lub karbowego:

— Są tu do mnie jacy interesanci?

— Judka z Wiślicy, Boruch z Nowego Miasta i Lejzor Jutrzenka z Chmielnika, — bywała nieraz odpowiedź, wypowiedziana przy uchyleniu czapki głosem cichszym i pełnym znaczenia.

Wtedy namyślał się dziedzic i częstokroć brał jednego interesanta po drugim na rozmowę do swego pokoju! Rozmowa z owymi interesantami daje się tak mniej więcej streścić.

Lejzor miał należność w Czopówku, „ale un jej nie potr-ziebował odebrać. Un przyniósł nawet sto rubli dać jaśnie panu dżedżyc, bo chciał zrobić jeden fajn geszeft. Un wziun podriad, to jest takie dostawe owies dla kunie wojskowe; nu, to jemu potrziebny buł dużo owies. Jakby pan dżedżyc zasiał na wiosnę sto morgi owies, to by Lejzor

już teraz kupił ten owies po dziewięć złote za kor-ziec — ryzyk fizyk, niech Żidek straci!... Ny, a jakby się owies nie urodził? Wielgie r-zieczy! Jaśnie pan dżedżyc zapłaci jemu po siedemdziesiąt i pięć kopiejek za każdy kor-ziec, co go byndzie brakowało do pięćset kor-ziec... To un umyśnie przisedł dać zadatek i zrobić kontrakt na takie piękne interes, co się nazywa „e gite handeł". Tamtyn stary dług — aj waj — po co un go ma odebrać? Pieniądzów w kieszynie jaśnie dżedżyc, jak w swojej własnej".

Drugi interesant, Judka, był to rzeźnik z Wiślicy, „co jemu we dwor-zie na kwitki jaśnie pani za mięso dwieście rublów mieli zapłacić. Nu, kiedy un wiedział, co Lejzor z Chmielnika chce zrobić dogodnoszcz jaśnie panu i dać sto rublów, więc on przisedł wziąć tych pieniądzów, żeby nie było tego br-zidkiego słowo: d z i s i a j n i e m a m! Aj waj, takie godne osobe — dzisiaj nie mam!"

Trzeci — Boruch był młody Żydek. „Nu, jego przezywali Boruch, ale un był Chaimek, a Boruch jego nazywali, bo un był żęć Boruch, tygo bogatygo Boruch z Nowe Miasto Korczin co jemu dżedżyc z Czopówek wielgie pieniądzów winien. Więc skoro on żęć Boruch, to un miał oko takie, co by chciał widzieć, jakie w tym Czopówek stodoły, bydłów, koniów, żeby jemu dżywno nie było, dlaczegi Boruch pożicził tyle pieniądzów panu dżedżyc. Skoro un tam już wszistko zobacził, jak swoję własnoszcz, to un sobie miślał, co Boruch jest mądre człowiek. A jak un był żęcz tego Bo-

ruch, to siadł w ganku i czekał na pana dżedżyca. Choć un nie miał interes do pana dżedżyca, ale sobie miślał, co un ma interes większy od tych drugich Żydków. Był taki „e fajn szajgec" ten Chaimek: niecałe dwadzieścia roków miał; chałatał na nim extra-fajn i kaszkiet, taki stojące i bardzo grzecne człowiek un był — delikatne. Jak przisedł do pokoju tego pana dżedżyc, to un sie kłaniał i kłaniał, mówił, co jest żęć tygo Boruch i co przez grzecznoszcz przichodzi pitać o zdrowie pana dżedżyc i pani dżedżyc. Ny, jak on był takie grzeczny, więc jego ten dżedżic nazwał „natrętna mucho", a potem wipchnął za drzwi jemu... Wysy dues natrętne muche? Un grzecny Żidek, co jemu szkodzi iść za drzwi — aj waj, co to wielgiego? Tyn pan rzońce z Czarków, ten grube, wisokie, to un jemu powiedział: — „Ty łajdak, szwynia!" I dał jemu trzy razy w pisk i za drzwi jemu wipchnął — bardzo niegrzecne człowiek był. Jak un nie miał świadek, to un nie mógł iść do sądu, powiedzieć, co ten dostał w pisk... E ganef, e szwarcjur, e grobian — goj!"

Przynajmniej były to dla pana Franciszka muchy swojskie; ale czasami zabłąkiwał do Czopówka i jakiś obcy interesant, po prostu mówiąc, mucha *sarcophaga carnaria,* węsząca bliski rozkład; a tym samym — sutą pastwę dla siebie.

Młody pan Szymon przybył latem z zagranicy do Czopówka na wakacje. Bohaterowie Marianny, Chrószczyńskiego, pozamieniali się na zupełnie nowych. Owe Waligóry, Wyrwidęby, Herkulesy,

Tezeusze, powychodzili na Stefensonów, Fultonów itd.

Ludzkość w dziejowym pochodzie swoim, przeczuwając w sobie siły olbrzymów, rozpoczyna pracę od marzeń, od bajki i ostatecznie ta najnieprawdopodobniejsza bajka urzeczywistnia się w zupełności: występuje olbrzym człowiek i ziszcza marzenia, śnione od lat tysięcy. Ach! gdyby zostać dla Czopówka Waligórą, Herkulesem, Stephensonem! I dlaczego nie można? Jednostce ludzkiej zawsze jakieś muchy przeszkadzają.

— Czemuż u licha raz tych much z domu nie wypędzicie! — wołał pan Franciszek, opędzając się przed muchami na wszystkie strony.

Służący łamali wtedy krzewy, gałęzie drzew i ze zwykłym w takich razach zapałem wypędzali muchy. Na próżno, muchy zawsze były: najdokuczliwsze nie dawały się wypędzić.

Opuszczając teraz Czopówek, syn uwoził ze sobą przekonanie, że ojciec się bardzo zestarzał, że zbyteczna drażliwość przeszkadza mu do zimnej, systematycznie uporządkowanej i celowo prowadzonej pracy.

No, a matka?

Serce syna ze wstrętem odpychało krytykę, broniło się przed nią, jak przed muchą. Inżynier zaczął się odzywać.

Niech sobie serce płacze, krytyka musi swoje zrobić!

Ale czy ocali Czopówek?...

W drugim roku pobytu na politechnice, jakoś w połowie czerwca, otrzymał pan Szymon telegraficzną wiadomość od matki, że ojciec jest niebezpiecznie chory: — „B y w a j!"

Bez najmniejszej straty czasu przybył do Czopówka i zastał ojca tkniętego paraliżem po ataku apoplektycznym: pan Franciszek stracił mowę i władzę ruchów, niekiedy jednak poruszał wargami i wyszeptał jakiś wyraz.

Gdy się tu syn zjawił, ojciec leżał na łóżku, jak przedmiot martwy. Straszne były te jego oczy, którymi w świat spoglądał już to z wyrazem strachu, już — jakiejś tkliwości, żalu. Muchy obsiadały teraz twarz, zostawiały na niej ślady swego pobytu: on ani ich odpędzał, ani się skrzywił. Widok syna rozjaśnił go nieco, ożywił. Podczas ucałowania ręki na powitanie, pan Szymon słyszał wymówione niewyraźnie przez ojca słowa:

— Muchy, inżynier!

Kto wie, co to miało znaczyć? Niedługo potem fizjonomia pana Franciszka przybrała wyraz obojętności i nieczułości na wszystko, co się dokoła działo.

Stan taki trwał przez parę miesięcy.

Jednego dnia, jakoś w końcu sierpnia, pan Szymon wszedł do ojca i zastał go z zamkniętymi oczyma, a dokoła kątów ust, pod siwymi wąsami, zebrały się wieńcem muchy, tworząc jakby gwiazdki, których promieniami były tyły ich ciał.

Ojciec umarł.

Synowie, doszedłszy do wieku dojrzałego, częstokroć odkrywają w swych ojcach rozmaite błędy, wady i przekonywują się wyraźnie, że ci ojcowie mieli właśnie te wady głównie, przed którymi ostrzegali swoje dzieci. Ileż to razy ojciec — próżniak i marnotrawca — obarcza syna wyrzutami za lenistwo i lekceważenie grosza. Ale w panu Szymonie nie dojrzała jeszcze zimna krytyka etycznego sądu, który w człowieku chce widzieć logikę i moralność machiny; z drugiej strony oddziałał potężnie majestat śmierci. W obszernie wrażliwej duszy młodzieńca wspomnienie ojca unosiło się zawsze czyste, bez skazy, jak jasna gwiazda na pogodnym błękicie nieba. Nie miał nigdy, nie poczuł przez całe życie potrzeby uniewinniania ojca i cześć dla niego poniósł ze sobą do grobu.

Ci, co krytycznie patrzą na ludzi, przeniewierzają się uczuciom, a mimo to błądzą, o ileż marniejsi są od zwykłych prostaków, którzy za jedynego przewodnika życia mają dobre ludzkie serce!

Okoliczności wymagały teraz od młodzieńca, aby przerwał nauki, pozostał przy matce, pielęgnował ją i w dalszym ciągu prowadził interesa Czopówka.

Stan majątkowy był rozpaczliwy, opłakany w najwyższym stopniu. Wierzyciele rzucali się zapamiętale na ten kawałek ziemi, grozili, domagali się zwrotu pieniędzy, których zupełnie brakło. Strach przed muchami i wstręt do nich można zrozumieć dopiero w takim położeniu, gdy

się pragnie chwili ciszy, wypocznienia od tych kłopotów. A jakie czarne myśli snują się nieraz po głowie!... Ni on inżynier, ni gospodarz!...

Matka teraz, jak i przedtem, nie wiedziała, czy nie chciała wiedzieć o niczym; przywykła do wygód życia, do licznej służby, miała wymagania bogatej pani. Kucharz, podobnie jak dawniej, furami zużywał drzewo, by upiec kilka kurcząt, zwarzyć parę talerzy rosołu, usmażyć słoik konfitur. Dwaj lokaje, dwie panny służące, pokojówki, dziesięć osób krzątało się we dworze, w kuchni i stajni, obsługując panią i jej syna. Powóz musiał być zawsze na zawołanie, i to w cztery dzielne konie. Jeżeli nie pojechała w odwiedziny, to miała u siebie gości, których przyjmowano okazale, aby nie ubliżyć domowi swemu. A te sprawunki — szmatki, błyskotki, pachnidła z Warszawy, z Krakowa, z Kielc!...

Ta pani Bujańska, szczuplutka, niziutka, zawsze świeża, upudrowana, woniejąca, uprzejma, miła, dobra dla wszystkich, oprócz tych, którzy ją jedynie kochali, stanowiła największy ciężar Czopówka. Nie trzeba być inżynierem, ażeby zrobić to odkrycie.

Pan Szymon, przeglądając raz rachunki, przekonał się, że rachunek matki roczny przewyższa wydatki na administrację, a prawie wyrównywa dochodom z Czopówka. Uradował się zrazu tak, jak gdyby odkrył prawa ciążenia; ale radość jego niedługo trwała. Nie mógł przecież zaprowadzić najmniejszej zmiany. Czy to nie była jedna z najdokuczliwszych much nieboszczyka ojca? Pracować ciężko, użyźniać rolę po to, aby zaspakajać żądzę próżności, potem swej pracy płacić za wiązkę błyskotliwych rupieci — może to i nierozsądne, niedorzeczne, ale — szlachetne... W każdym razie syn nie mógł zmienić tego, co ojciec z takim spokojem dźwigał całe życie.

Biedny Czopówek! Kto by myślał, że taka prosta przyczyna...

Tymczasem pani Bujańska o wiele łatwiej przeprowadzała wszystkie swoje idee. A właśnie miała teraz, jak mówiła, „ideę ożenić syna". Gdyby to było dziełem istotnie trudnym, świat nie miałby takiego mnóstwa swatek. Natomiast przyznać trzeba, że niewiele jest innych idei, którymi się płeć piękna zajmuje z równą skwapliwością.

O parę mil od Czopówka, w Olszowcu, mieszkali państwo Przetaccy, dom, z którym matka pana Szymona pozostawała w żywych towarzyskich stosunkach. Zdaniem pani Bujańskiej, pierwszą szczęśliwą wieszczbę skojarzenia małżeństwa stanowiła okoliczność, że panna Karolina Przetacka była tak samo jedynaczką w rodzinie, jak był jedynakiem Szymon.

Gdy więc syn, objąwszy majątek po ojcu, łamał sobie głowę, czyby na przykład za pomocą parcelacji nie było można rozwiązać gordyjskiego węzła, ocalając dwór przynajmniej i parę włók ziemi, matka układała plan ożenku, przybrawszy do pomocy panią Szałońską z Nowin, daleką krewną Przetackiej.

Pani Rozalia uważała za właściwe, ażeby w zamiary swoje wcale nie wtajemniczać syna, który — jak się wyrażała — „kubek w kubek wykapany nieboszczyk Franio — niepraktyczny w najwyższym stopniu!"

Szałońska przyklaskiwała temu, mówiąc:

— Oczu nie miałby, gdyby się nie zakochał w Karolce! A skoro się zakocha, reszta pójdzie jak po maśle.

Zakochać się jest jeszcze łatwiej, niż się ożenić; więc te dwie panie robiły rzeczy ogromnie łatwe, w przekonaniu, że spełniają czyny nadzwyczajnie trudne i ważne. Szymon miał lat dwadzieścia cztery i, chcąc nie chcąc, nosił w duszy wyryty obraz Karolci, jak ją był widział przed czterema laty, gdy po raz pierwszy wystąpiła w długiej sukni, z pąsową różą w bujnych, wolno puszczonych czarnych warkoczach; barwy sukni nie pamiętał, tylko — Karolcię i tę różę. Można przeto powiedzieć, że poniekąd stanowili już dobraną parę: on w rzeczywistości, ona w jego wyobraźni.

Do związku Bujańskiej i Szałońskiej przyłączyła się niebawem pani Przetacka, niemo dając do zrozumienia, że doskonale wie, o co chodzi. Wobec tego młoda para miała dostateczną swobodę, aby się wzajemnie porozumieć. Tylko stary Przetacki z ukosa zerkał na ów stosunek, a trzymając obie ręce w kieszeniach, mówił do żony:

— No, no, żebyś mi tylko nie zmalowała jakiego kłopotu! Bo to może być polowanie na

posag... Omylą się, jeśli myślą, że moimi pieniędzmi wypłyną.

— Co też ty mówisz, Tomaszu? Wy, mężczyźni, jesteście ogromnie podejrzliwi! Zaręczam ci, że Szymon kocha Karolcię szlachetnie, bezinteresownie.

— Jak miłość, jak przywiązanie, to dobrze! Ale Czopówka nie myślę cukrować Olszowem — niech oni to zawczasu wiedzą! Po mojej śmierci zrobicie, jak wam się będzie podobało.

— Dajże pokój ze śmiercią! Mężczyzna w sile wieku...

Przetacki lubił rozrzewniać żonę, której przez wymówienie wyrazów „śmierć, umrę" zamykał nieraz usta i wywoływał łzę w oku. Swoją wyrazistością co do wyposażenia Karolci zraził on już niejednego ze starających się o jej rękę; pani Przetacka więc dokładała wszelkich usiłowań, aby tę niezłomność Tomusia starannie obwijać w bawełnę i w duszy matki pana Szymona nie obudzić wątpliwości posagowych. Inaczej Karolcia mogła łatwo zostać starą panną, od czego niech Pan Bóg każdą kobietę uchowa!

Są wszelkie dane, aby mniemać, że panna Karolina i życzyła sobie wyjść za mąż, i znała dobrze zamiary matki, a nieugiętość ojca, i w tym względzie miewała z matką narady.

Otóż, jeden tylko pan Szymon występował tu z całą prostotą, szczerością i dobrocią gołębia. Przede wszystkim zakochał się po uszy, następnie, jak w uczuciowym romansie, począł być nieszczęśliwym z powodu różnych skrupułów.

Jak się zaczął raz trapić, rozmyślać, tak mu przyszła do głowy myśl, którą nazwał „poświęceniem": zrzec się miłości, uczucia najwyższego szczęścia, rozedrzeć własne serce, zerwać stosunki z Olszowcem. Wyjawił wtedy przed matką, że kocha Karolcię nad życie; ale czyż on może poświęcać spokój i szczęście ubóstwianego anioła?... Nie, sumienie, obowiązek, uczucie, naglą go, aby się nie żenił, będąc biednym!...

Dopiero matka i sprzymierzona z nią Szałońska nuże rozbijać jego skrupuły, a dowodzić, że właśnie chce nieszczęście Karolci zgotować, gdyż ona go kocha, że takie nieuzasadnione zerwanie z domem narazi pannę, skompromituje, że w Olszowcu czekają tylko na jego oświadczyny itd. itd. Kto ma chęć tańczyć, tego zawsze można do tańca namówić. W rozkochanym sercu pana Szymona skrupuły ustąpiły, jak wymiótł i piękna nadzieja otwierała bramy raju. Zresztą, wszystko już poszło rzeczywiście jak po maśle.

Rozumie się, że interesa Czopówka bynajmniej nie zyskały, gdy je młody dziedzic zaniedbywał, zajęty ważnymi sprawami serca. A po ślubie szczęście zakochanego pana Szymona stało się niemałym ciężarem kawałka ziemi: dwie panie w domu, zamiast jednej, i to panie całą gębą!

Dziwił się Bujański, że go wierzyciele przestali jakiś czas dręczyć, a to chytry Przetacki puścił w obieg wiadomość, jakoby uważał sobie za obowiązek podźwignąć dziedzictwo Bujańskich i przeto wydał córkę za Szymona. Frazes chwilowo dobrze zrobił. Każdy uważał to małżeństwo

za znakomitą operację finansową i w okolicy mówiono:

— Patrzcie państwo, kto by się był spodziewał! Ten Szymuś ma dobrą głowę do interesów, od razu stanął na nogi! Ha, inżynier!

Najcięższego zawodu doznała pani Rozalia.

— Jak to, Szymuś nie wziął posagu? Okropność!

Pierwsze miesiące pożycia młodej pary bardzo godnie odpowiadały swej nazwie „miodowych". Szkoda tylko, że ludzie obliczają tę słodycz na miesiące!

Już jednak i wtedy zarysowały się na niebie miłości ciemne obłoczki, z których jaki doświadczony człowiek wyprowadziłby ten przykry wniosek, że dziedzica Czopówka niebawem poczną oblegać i dręczyć bardzo dokuczliwe muchy. Dwie kobiety pod jednym dachem!...

Zarówno pani Karolina, jak i Rozalia, nie wyglądały na to, ażeby sobie mogły czynić wzajemne ustępstwa i dać światu dobry przykład stosunku między świekrą a synową. Każda z nich chciała być w Czopówku panią nieograniczoną i żadna z praw swych nie myślała nic a nic ustąpić na rzecz drugiej. Wybuch nieuchronnie musiał nastąpić, zwłaszcza, że Przetacka ciągle dawała córce nauki:

— Karolciu, trzymaj się dobrze, bo stara Bujańska, to kuta baba!

Szałońska za każdą swą bytnością w Czopówku podburzała znowu:

— Rozalko, bój się Boga, nie pozwalaj jej się tu panoszyć, bo ona chce z ciebie zrobić popychadło w domu!

Biedny syn spostrzegł, co się dzieje i usiłował gasić tlejące zarzewie. Każdą z osobna na kolanach błagał, zaklinał w imię najdroższych uczuć — nic nie pomogło. Żona swoją drogą, a matka swoją, miały utajoną tę myśl w duszy: „On mnie nie powinien poświęcać dla niej".

No, i nie zdołał odwrócić wybuchu, który był w naturalnym porządku rzeczy. Dwa jego ziemskie anioły występowały w roli młota i kowadła; on, bity, znajdował się w środku. Z kochania, z miłości, tak go biły, aż dusza w nim piszczała: nienawiść czuły wzajemnie jedna dla drugiej, a jego, kochającego je obie, biły. Teraz zaczynały mu w domu muchy dokuczać, i to muchy, z jakimi nie miał do czynienia jego nieboszczyk ojciec.

W domu nie mógł wytrzymać, gdyż każda ciągnęła go do siebie, ażeby drugą oskarżać. Gdy mu przychodziło zaś dom opuścić, drżał na myśl, że tu pozostawia dwie elektryczności w stanie napięcia, gotowe wyzwolić się jak piorun, który zdruzgocze szczęście jego. Są muchy, co się do duszy dostają.

Dwie kobiety nieuchronnie musiały kiedykolwiek wybuchnąć i zdawały się tylko wyczekiwać takiej chwili, żeby im w wybuchu nikt nie mógł przeszkodzić. Karolina — psuta w rodzicielskim domu, rozpieszczona jedynaczka. Matka-Bujańska — żona męża, który jej na wszystko pozwalał, w zachciankach swoich nie znająca

przeszkód pani domu; teraz jeszcze — przykro zawiedziona w rachubach, ponieważ synowa nie wniosła posagu. Walkę pań już były dawno zaczęły i rozgrywały służące. Synowa miała przy sobie pokojówkę, dziewczynę z Olszowca, imieniem Rózię; matka — Anusię. Dwie te dziewczyny, powabne jak kwiatki, a złe jak osy, na własną rękę wiodły zapalczywe spory o to, która z ich pań więcej tu w domu znaczy; mniemały widać, że od tego zależy i godność pokojówki. Już w różnych czasach różne zajścia wybuchały i cichły. Raz dzbanki od wody potłukły, wzajemnie rzucając nimi w swe głowy. Innym razem do krwi się podrapały i tak ciągle za włosy chodziły ze sobą.

Pani Karolina, chcąc pokazać znaczenie swoje w domu, częstokroć wydawała rozkazy Anusi; Bujańska znowu — Rózi. Nie było, rozumie się, bez tego, ażeby obie panie nie wiedziały o zatargach służących.

Gdy więc jednego dnia pan Szymon wyjechał z domu, zdarzyło się, że matka dała jakieś polecenie Rózi, od której prawie równocześnie synowa zażądała innej znowu usługi. Dziewczyna zlekceważyła rozkaz starszej pani. Ta okoliczność wystarczyła, aby z chmur, które się dotąd gromadziły, wypadły siarczyste pioruny. Rozjątrzona Bujańska-matka, kazała sobie przyzwać nieposłuszną pokojówkę i łajała ją tak surowo, tak bezwzględnie, że Rózia oświadczyła stanowczo:

— Mam tylko jedną panią nad sobą!

Drgnęła despotyczna pani Rozalia i służąca co tchu umknęła.

Cała w płomieniach, jak szalona, pobiegła matka do synowej, aby się z nią rozprawić i zażądała bezzwłocznego wydalenia Rózi ze „swego domu". Pani Karolina jednak bardzo sucho, ozięble przyjęła matkę męża i odpowiedziała, że w żaden sposób nie może oddalać służącej, którą dostała razem z macierzyńskim błogosławieństwem i z wyprawą. Wspomnienie wyprawy nastręczyło matce sposobność do zemsty za niedoszły posag i wyraziła się z szyderstwem, że „ta krnąbrna Rózia stanowi istotnie cały posag, wniesiony przez pannę Przetacką, a może — i przewidzianą pociechę dla syna..."

Rzucenie takiego kamienia obrazy wystarczało, ażeby z obu stron posypały się słowa, przypominające szybką wymianę strzałów dwóch nieprzyjacielskich armij. One się już teraz obchodziły bez zamawiania do siebie „mamo", „Karolciu"; z dziwnym przyciskiem jedna do drugiej mówiła — „pani", a coraz dotkliwiej szczypały się, gryzły, raniły słowami.

Nareszcie odskoczyły w przeciwne strony i każda oddzielnie gotowała się do drogi. Synowa w gorączce, trzęsąc się cała, wysłała Rózię z rozkazem, ażeby stangret zaprzągł konie do powozu i natychmiast zajeżdżał; matka z takim samym — słowo w słowo — poleceniem wyprawiła swą Anusię. Niosąc rozkazy pań, dwie pokojowe starły się i wymieniły między sobą krocie obelg.

Otrzymawszy podwójny rozkaz, stangret co tchu zaprzągł i zajeżdżał, o czym dawał znak potrójnym trzaśnięciem z bicza. Wybiegły na ganek obie panie, obie jednakowo strojne — małe rączki w jasnych rękawiczkach, płeć twarzy delikatna, a żadna nie zapomniała namaścić się milflerem.

— Podeptane najświętsze prawa! — mruknęła każda cichym głosem.

Stanęły naprzeciw siebie, drwiącym wzrokiem się zmierzyły, jakby jedna drugiej chciała powiedzieć: — „Prędzej włosy na dłoni wyrosną, niż jedna kobieta pozwoli się drugiej upokorzyć!"

Widocznie, każda chciała pokazać, że do końca jest tu panią w domu. A rzecz dziwna, mimo to jedna od drugiej chciała z domu właśnie uciec. Powóz w cztery konie stał już przed gankiem; pierwsza matka lekko wskoczyła i odjechała do Nowin. Zła, wściekła nawet, upokorzona pani Karolina, nie mogła znieść tego. Jej się zdawało teraz, że na ustach Filipa, starego sługi domu, spostrzegła szyderski uśmiech zadowolenia, że tak samo uśmiechnął się Maciej stangret, że cała służba z niej się natrząsa i za panią domu jej nie uznaje. Chwilowa gorycz owładnęła jej sercem, pobiegła do swego pokoju i tam się rozpłakała jak dziecko. Na szczęście, ta wielka boleść niedługo trwała. Zerwała się, otarła łzy i wydała Rózi rozkaz, ażeby jej do jakiejkolwiek bądź starej bryki, albo do wozu, zaprzągnięto parę fornalskich koni.

— Tak, tak, to daleko lepiej! Przedstawię się ojcu, matce, jak rzeczywiście ofiara... Oh! tam u nich dopiero będę się mogła rozżalić, wypłakać!

I już łzy zachowała na płacz do Olszowca, a tymczasem pakowała w torebki rozmaite drobiazgi, zabierała wszystko, co z domu rodzicielskiego dostała na wyprawę. Pod kufry ze szmatkami musiano jej jeszcze inny wóz dodać. Teraz istotnie ludzie się z niej po kątach naśmiewali. Jak tylko przybyła do domu rodziców, padła przed matką na kolana, złożyła ręce jak do pacierza, zalała się łzami, i w tej postawie wołała głosem wzruszonym:

— Matko, jestem bardzo nieszczęśliwa!

Potem, nie przestając łez ronić, opowiedziała bardzo barwnie, ile cierpień zniosła w Czopówku i całe straszne zajście ze złą panią Bujańską. Ojciec również musiał tego wysłuchać i pomyślał sobie:

— A co, miałem rozum, żem nie dał ani grosza na posag!

Drżąca, nieszczęśliwa Karolcia poszła do łóżka, a Przetacka co żywo, w pierwszym zaraz uniesieniu, napisała list do Bujańskiego, list, w którym każdy wyraz kłuł jak szpilka, ranił jak nożem, smagał batem. Umyślnym posłańcem pchnięto to pismo do Czopówka. Wszystkie żądały zadosyćuczynienia od zupełnie niewinnego człowieka.

Kiedy pan Szymon wrócił do domu około dziesiątej wieczorem i z daleka ujrzał brak światła w oknach, ogarnęło go jakieś smutne przeczucie,

które nie zawiodło. Służący Filip i Marianna, owa niegdyś mamka, dawali niewyraźnie coś objaśnienia o wyjeździe nagłym dwóch pań z domu. Daleko jaśniej przemówił leżący na stole list matki Karoliny.

Była w tym liście mowa o „srogim zawodzie i barbarzyńsko podeptanych uczuciach dziewicy", o „niegodziwej i złej, jak jędza, świekrze", o „bankrucie, który omylony w rachubie na posag, wydaje żonę na łup swej strasznej matki". Zakończenie opiewało, że jedno z dwojga: trzeba się wyrzec albo matki, albo — żony.

Treść nieszczęsnego listu zupełnie zgnębiła Bujańskiego. Są takie pojęcia, które, oddane w dosadnych wyrazach, od razu druzgocą władze myślenia i człowiek ból tylko czuje. Miejsca sobie znaleźć nie można; wyraźnie hucczące rojowisko dokuczliwych much wszędzie ściga za sobą. Gatunek tych much przewyższa swą zjadliwością wszystkie znane dotychczas muchy: mustyki, gzy, bąki, ślepienie, ścierwnice, plujki, gniłuny, bolimuchy itd.

Trzeba się urodzić z duszą podatną dla tej muchy, aby wiedzieć, jak ona trapi, nęka. Jej nazwa — *musca luctifica mordax.*

Chciała się zemścić pani Karolina i zemściła się na mężu; chciała się zemścić pani Rozalia i zemściła się na synu.

Gdyby pan Szymon mógł był zrobić spostrzeżenia nad sobą samym, zwróciłby uwagę na to, że doświadczał potrzeby ucieczki, schronienia się przed sobą samym, a zupełnie nieświadomie przy-

pisywał to uczucie czemuś zewnętrznemu — muchom. Może w ten sposób i doświadczał jakiejkolwiek ulgi.

Czy się dadzą kiedy bądź wytępić takie muchy? Na śmietnikach życia lęgnie się ich nadzwyczajna mnogość, a każda ma ojca, matkę, liczne rodzeństwo, całe rozległe stosunki rodzinne i każda wydaje nowe pokolenia. Much jest niezmiernie dużo. Każde uczucie ludzkie, każdy ideał ma swoją muchę. Ile jest potrzeb, stosunków w życiu w rozmaitszych stopniach, odmianach — wszędzie muchy i muchy. Człowiekowi, który się odznacza wrażliwością, życie schodzi na walce z muchami.

Pod uciskiem brzemienia, które obecnie dźwigał na sobie pan Szymon, zmalały jego troski o Czopówek. Z ran duszy ostatnia zawsze najbardziej boli, a człowiekowi się wydaje, że ją odebrał właśnie w najdrażliwsze, najsłabsze miejsce. Tymczasem, choćbyś miał duszę, jak sito, pokłutą przez muchy, jeszcze i tak znajdą się miejsca, w których ją zranić można.

Pani Rozalia powróciła z Nowin już po północy i po raz pierwszy w życiu rozmawiała z synem bardzo długo; oboje nie spali do rana. Matka kilkakrotnie wybuchała łzami macierzyńskiego rozrzewnienia, gdyż list Przetackiej dał jej syn do czytania. Skoro się jednak wygadała i wypłakała, przyniosło to niemałą ulgę. Tylko syn spiesznym krokiem chodził po pokoju i nie mógł sobie dać rady. Za ten niecały rok małżeństwa cięły go teraz muchy bez litości.

W Czopówku i dla Czopówka nie było już obecnie nic do zrobienia, a raczej wszystko, co by się tam zrobić dało, mógł zrobić każdy inny człowiek, tylko nie pan Szymon. Gdy sprawy stanęły nadzwyczajnie groźnie, syn, nie obwijając nic w bawełnę, odkrył matce prawdziwie przerażający stan interesów. Sądził, że ją to ogromnie dotknie, a pani Bujańska bardzo spokojnie go wysłuchała i potem z właściwą sobie swobodą rzekła:

— I ty i nieboszczyk ojciec macie na sobie winę upadku Czopówka! Niepraktyczność, idealizm, musiały do tego doprowadzić.

— Ależ matko, ojciec pracował tak szczerze! Co do mnie, to zastałem już położenie...

— Stało się! — powiedziała pani Rozalia. — Jednakże teraz, gdy ty oto sam wyznajesz, że już nie ma żadnego wyjścia, ja zacznę działać; tylko — pamiętaj — chcę mieć ręce zupełnie swobodne!

— Matko, nie podołasz tak bardzo trudnemu zadaniu.

— Wiem, lekceważysz mię jako kobietę, a przeceniasz wartość sił męskich. Mój Szymonie, proszę cię, wyjedź z Czopówka, zostaw mię tutaj samą, a jestem pewna, że sprawę ocalę, przynajmniej o tyle, abym nie potrzebowała na starość żyć w nędzy.

Powiedziała to i umilkła, ale fizjonomią, ruchami zdradzała, że ma jeszcze potrzebę mówienia w dalszym ciągu. Jakoż po chwili namysłu odezwała się znowu:

— Nie wątpię, że mi się uda, jeżeli tylko ty zgodzisz się na pewien warunek, a zgodzić się powinieneś, gdyż od tego zawisł los matki... Boję się ogromnie nędzy!

Z tymi słowy dotknęła dwukrotnie oczu chustką do nosa, jakby w nią uroniła łez parę, a potem spojrzała mu w oczy z uśmiechem, zdającym się mówić:

— Umiejże to ocenić, że ci matka oszczędza widoku łez, płaczu!

— Cóż to za warunek? — zapytał syn tonem chłodnym, jakby chciał dać do zrozumienia, że się poznał na udanym płaczu.

— Chodzi o to, abyś się zgodził na rozwód z Karoliną...

— Na roz-wód? — rzekł Szymon, uderzony tym niespodziewanym wymaganiem.

— Tak jest!... Ponieważ nie możecie żyć z sobą, najlepiej się rozejść... Tyś jeszcze młody, ona również; możecie naprawić krok chybiony.

— No, ale czy Karolina tego żąda?...

— Bardzo się dziwię, że możesz stawiać takie pytanie! Sprawa o rozwód jest już obecnie w rękach adwokata i żeby uniknąć niepotrzebnego rozgłosu, nie powinieneś się upierać... Czy wiesz, co w okolicy o was powszechnie mówią? Opowiadają sobie, że przyczyną, dla której Karolina opuściła męża, była Anusia... że ty już przed ślubem...

Bujańska wypowiedziała to wszystko łatwo, tonem spokojnym, naturalnym, chłodząc się niekiedy wachlarzem z piór czarnych, który sobie

sprawiła na czas żałoby po mężu. Przy ostatnich jej słowach czoło i skronie pana Szymona oblały się rumieńcem; może się poczuwał do winy, a może po raz pierwszy w życiu zyskiwał przekonanie, że go matka nie kocha. Nic jej już teraz nie odpowiedział. Zdawało się mu tylko, że ma przed oczyma zwłoki nieboszczyka ojca i że z bladego czoła spogląda ku niemu w tej chwili ogromna, szpetna mucha, czyszcząca sobie skrzydła tylnymi łapkami.

Pobyt w Czopówku stał się dla niego nieznośny; musiał udawać, przymuszać się, aby rozmawiać z matką, a w duszy sobie powtarzał: — „Zaczynam teraz rozumieć, co to jest „człowiek doświadczony".

Doznawał takiego wrażenia, jakby na świecie był tylko on jeden i — muchy; on, aby żyć, muchy, aby go dręczyć.

— I czemu się upierać przy Czopówku? Muchy zupełnie mi go zmierziły!

Wkrótce potem pan Szymon podpisał swoje przyzwolenie na rozwód i wyjechał do Warszawy.

Przetacki, nie Lejzor z Nowego Miasta Korczyna, kupił Czopówek, gdzie pani Rozalia rzeczywiście wytargowała dla siebie dwór i dożywocie.

Karolina coś we dwa lata po uzyskaniu rozwodu, wyszła za mąż powtórnie.

* * *

Wypędzony z gniazda przez muchy, Bujański miał przekonanie, że straszliwe owady przyleciały

za nim i do Warszawy. Nic a nic mu nie pozostało, tylko — dusza, a w duszy — bajki, które w nią od lat dziecięcych wsiąkały. Ostatnia bajka, stworzona przez niego samego, była o muchach, potworach straszniejszych, niż te wszystkie, z jakimi walczyli bohaterowie z czasów bajecznych. Powiadał, że jest bardzo trudno wykończyć taką bajkę. „Tego, co bardzo boli, nie można nigdy przedstawić w należytym świetle". Człowiek nieszczęśliwy wygląda na świecie jak żebrak, o którego niedoli ludzie sądzą tylko z powierzchownych łachmanów. Przy tym w młodości każda bajka jest porywającą poezją, każdy ją chętnie podziwia:

...die gemeine
Natur ist zu eng, und tiefere Bedeutung
Liegt in dem Märchen meiner Kinderjahre
Als in der Wahrheit, die das Leben lehrt.

Bajka starości, bajka życia przeszłego, jest to zimna i straszna prawda, ciężka do wyznania, ciężka, aby jej wysłuchać.

Jakie życie prowadził pan Szymon w Warszawie, o tym świadczą wspomnienia, jego własną ręką zapisane po różnych brulionach. Tylko niektóre z nich przytaczamy tutaj.

* * *

Oh! jak trudno w Warszawie znaleźć pracę za kawałek chleba! Co też to ludzie wyrabiają w wyścigu o zarobek! Rzecz szczególna, hasłem takich, jak ja biedaków, jest: „Znaleźć drogę do Latza".

Każdy w tym celu zawiera stosunki, a zawsze jednym z pierwszych pytań, które stawia nowemu znajomemu, jest: — „Nie masz pan przypadkiem jakiej drogi do Latza!"

Są ludzie, marnujący po parę lat życia na to, ażeby znaleźć drogę do Latza, jak gdyby ten jeden człowiek miał w ręku środki zaradzenia nędzy wielkiego miasta. Spotyka ich rozczarowanie, gdy już dopięli swego celu. Na własne uszy słyszałem mówiących bardzo szczerze: — „Ja niczego nie chcę — rok, dwa, będę służył darmo! Chcę tylko dostać posadę u Latza!"

Mało komu się to udaje. Wśród moich znajomych, przeważnie podupadłej szlachty, byli tacy, którzy znali ludzi, pozostających w jakichś stosunkach z Latzem i opowiadali rozmaite anegdoty o jego życiu, upodobaniach. Częstokroć zdawało mi się, że Latz jest czymś w rodzaju Jazona i złotego runa — mitem. Korciło, żeby napisać bajkę, przedstawić, jak gromada głodomorków pociesza się marzeniem uczestniczenia w wyprawie Argonautów do Kolchidy, pragnieniem zostania nożycami strzygącymi wełnę złotodajnego barana. „Latz ma tak bystre oko — mówiono — że człowieka przez skórę pozna."

Przytaczano też różne przykłady szlachetnego sposobu myślenia Latza, gdy szło o poparcie uczonych artystów. To znowu opowiadano, że ma słabość do podupadłej szlachty, ponieważ w chwilach wolnych od swych zajęć oddaje się z zapałem heraldyce. Raz sobie pomyślałem: „Choćbym

nie dostał żadnej posady i tak mi się opłaci widzieć człowieka, o którym tyle mówią!"

Kazałem sobie więc wycisnąć na biletach wizytowych rodzinny herb Strzemię, ubrałem się jak najstaranniej i prosiłem o posłuchanie. Sądząc z herbu, nie spodziewał się zapewne, że poszukuję chleba i najprzód okazywał mi wytworną uprzejmość, potem uzbroił się w powagę męża stanu i słuchał mię z godnością; nareszcie fizjonomia jego przybrała wyraz obojętności, gdy niebieskim ołówkiem zapisywał sobie moje nazwisko. Z nienaturalnie dobrodusznym uśmiechem powiedział:

— Jestem przekonany, że się dla pana coś zrobi.

Kiedy mnie żegnał, z ostatnich jego ruchów wyczytałem, że mię lekceważy. Wszystko to umiał robić znakomicie i wydało mi się, że w całej ludzkości nie ma ani jednego uczucia, którego by Latz nie zdołał po mistrzowsku wyrazić: on by i rolę żebraka wybornie odegrał.

Prawdopodobnie jest to tajemnica jego powodzenia. Ma nerwy i wszystkie role gra z zapałem, tylko sobą nie jest nigdy wobec ludzi. Lada kto Latzem nie zostanie...

To posłuchanie zjednało mi sławę wśród głodomorków, zbijających bąki na warszawskim bruku; każdemu po szczególe musiałem opowiadać, jak mię Latz przyjął.

* * *

Wyczytałem w Kurierze ogłoszenie: „Potrzebny jest człowiek, znający dokładnie języki i posiadający odpowiednie wiadomości. Należy się zgłaszać listownie. Złota 2. S. Guszczewski." Zgłosiłem się listem, napisanym po niemiecku bardzo starannie ze względu na styl i ortografię. Drwili ze mnie współtowarzysze niedoli, mówiąc:

— Przecież te wszystkie ogłoszenia drukują się dla zabawy czytelników tylko! My je także czytujemy i wyglądamy jak głodne psy, które chwytają nosem zapachy, wychodzące z pańskiej kuchni — to jest dosyć przyjemne!

W kilka dni odebrałem zawiadomienie przez pocztę miejską, że „jeśli osoba, przedstawiająca mię, otrzyma sto rubli wynagrodzenia, to niebawem będę mógł objąć posadę ze stałą pensją dwudziestu pięciu rubli miesięcznie".

Przytem dano mi do zrozumienia wcale niedwuznacznie, że będę miał do czynienia z „obrotami pieniężnymi", przeto większe lub mniejsze dochody zależą na czysto od mojej „inteligencji". Mimo to nie straciłem bynajmniej wiary w ogłoszenia. Cywilizacja ludzka ma taką głębokość, że się w niej wszystko zmieści. Perły nie miałyby żadnej wartości, gdyby je można było łowić w pierwszej lepszej kałuży jak żaby.

* * *

Inne ogłoszenie opiewało: „Mężczyzna, czytający biegle po francusku i posiadający dobry organ głosu, może sobie zapewnić przyzwoite utrzymanie, jako lektor płatny na godziny. Nowy Świat:

10—4". Wszedłem w układy ze starym, głuchym i kaleką na obie nogi. Nieznośnie nudny, brutalnie despotyczny, podejrzliwy, chytry, obrzydliwie skąpy i bardzo bogaty człowiek. Wymagał ode mnie koniecznie świadectw, że jestem moralny i „trzeźwy", nareszcie zrobił mi ustępstwo — jak powiadał — ze „swoich zasad" i przyjął mię bez tego. Zacząłem być czynnym 20 marca 1860 roku, a podziękowałem za chleb 1 kwietnia tegoż roku. Mniejsza o to, że mój chlebodawca mówił mi „ty", że musiałem czytywać romanse francuskie, krzycząc mu nad uchem aż do ochrypnięcia. Do obowiązków moich należało także zrywać się na odgłos dzwonka, przyjmować gości w przedpokoju, ubierać i rozbierać ich z okryć. Za takie każdodzienne zajęcie od południa do ósmej wieczorem, dostawałem obiad i pół rubla dziennie. Łatwo się domyśleć, że moje „Strzemię" podnosiło bunt nieustannie; ale ja starałem się uśmierzać je filozofią, mówiąc:

— Gdyby nie było tych zwierząt, które koniecznie jeść muszą, skądżeby się wziął Strzemieńczyk?

Musiałem jeść i rozmawiać, ażeby ocalić szlachcica. Wszystko jednak ma swoje granice. Pamiętna data 31 marca! Jakiś gość mego pana, patrycjusz otyły i w złotych okularach, z godnością wyprowadzony przeze mnie do przedpokoju, na odchodnym wsunął mi w garść złotówkę. Rzuciłem mu monetę pod nogi, a mojemu chlebodawcy podziękowałem za służbę.

— Szlachectwo polega na tym — mówił mój pryncypał — ażeby innym płacić za pracę, której szlachcic sam robić nie chce, albo robić nie powinien. Gdyby wół roboczy zdołał prawnie udowodnić, że jego rodzicami była rzeczywiście para lwów, pomogłoby mu to w życiu tyle, ile — golcowi herb, wyciśnięty na bilecie wizytowym. Praca nie hańbi szlachcica, tylko go wprowadza do innej klasy, gdzie może na szlachectwo zarobić znowu.

Ten człowiek przemawiał zawsze stylem maksym, przypowieści, przysłowi, a gdy się odzywał ze swego krzesła, sprawiał na mnie wrażenie wyroczni. Żydów uważał za żywioł dziejowo przygotowany, aby krajową szlachtę ocalić od zagłady: „Ich majątki ze szlachty powstały i w szlachtę wsiąkną z posagami córek; na herbowych tarczach w sto, dwieście lat, nikt tego nie dostrzeże..."

Za jedenaście dni służby u niego, należało mi się pięć rubli i pięćdziesiąt kopiejek; wypłacił tylko cztery ruble, twierdząc, że koszta ogłoszeń i poszukiwań nowego lektora najmniej tyle wyniosą. „Jesteś ambitny szlachcic — rzekł mi na pożegnanie — przeto nie chcę ze swojej kieszeni płacić tego, coś ty winien." A miał na swoje utrzymanie przeszło trzydzieści tysięcy rubli rocznie. Do śmierci nie zapomnę tej typowej postaci.

* * *

Przechodzę niekiedy dziwne rzeczy. Czy ja aby jestem zdrów na umyśle? Gdybym był chory, nie spostrzegłbym tego przecież, nie spostrzegł-

bym również, że inni ludzie mój błąd spostrzegają. Braknie mi zupełnie rękojmi normalnego stanu umysłu. Miałem przed trzema dniami myśl samobójstwa. Rozważałem, w jaki sposób najłatwiej i najprędzej przerwać swe życie; wszystkie sposoby przebiegłem w myśli. Zdaje się, że przecięcie arterii w szyi zabija w okamgnieniu. Usnąłem z tym postanowieniem i śniło mi się, że nie żyję, jestem martwy. Czułem jednak muchy, łażące po moim ciele; znosiły jajka, z których się lęgły szpetne białe robaki i na proch mię toczyły. Nazajutrz po przebudzeniu, byłem zupełnie trzeźwy, spokojny i zapytywałem samego siebie, skąd pochodzą myśli takie.

Rozpoznaję w sobie, czuję wyraźnie troistość. Nie może być spokoju tam, gdzie trzech ludzi nieustannie walczy ze sobą. Jeden z nich jest to człowiek, którego Bóg stworzył razem z całą przyrodą, człowiek bardzo stary, włożony w odwieczne nałogi życia. Drugi, wytworzony przez ludzi w ciągu trzech, czterech, może i pięciu wieków, szlachcic Strzemieńczyk. Trzeci, stworzony przeze mnie — moje własne j a, najzuchwalszy, pragnący wzbić się ponad prawa przyrody i społeczeństwa ludzkiego. Najczęściej zwycięża ów pierwszy, stary niewolnik głodu. Gdy atoli przyjdą chwile tryumfu dla drugiego lub trzeciego, zjawiają się myśli i zamiary, aby zniszczyć w sobie ciągle łaknące i nienasycone zwierzę.

Każdy człowiek, istniejący s a m o t r z e ć, jest nieszczęśliwy...

* * *

Roku 1861 dnia 15 maja, w sam dzień św. Zofii, dostałem posadę. Gdyby nie święta Zofia, kto wie, czybym ją dostał. Na moje szczęście, wcześnie się dowiedziałem, że zarząd kolei Warszawsko-Wiedeńskiej z wiosną tego roku powiększa liczbę konduktorów. Zakrzątnąłem się, aby znaleźć plecy i przypadkiem znalazłem. Jeden z moich znajomych jest wielkim zwolennikiem muzyki i on to polecił mnie pewnemu nauczycielowi fortepianu, dającemu lekcje córce któregoś z dostojników kolejowych. Córka, panna Zofia, w dniu swoich imienin wymogła na ojcu moją nominację. *„L'art est Dieu, les bourgeois sont faits pour prendre ses ordres."*

Byłem bardzo zadowolony, mówiłem sobie w duszy:

— Umrę już chyba na stanowisku konduktora kolejowego!

Często spoglądałem na swe buty z długimi cholewami i myślałem sobie: „Jestem rycerzem nowożytnym, który bez ostróg jeździ na koniu parowym... Kiedy Strzemię, to koniecznie musiały być ostrogi".

Posada konduktora jest jakby umyślnie zrobiona dla podupadłej szlachty. Jako uzdolnienia wymaga się: nieco talentu do komendy, przytomności umysłu w razie niebezpieczeństwa, uprzejmości dla płci pięknej. Popędy rycerza krzyżowego o tyle można zaspakajać, o ile czasami Żydzi nie zaopatrują się w bilety prawem przepisane.

Atoli w pierwszych dniach sierpnia dostałem dymisję za „niewłaściwe obchodzenie się z pasażerami". Nie mogłem przełknąć wyrazu „błaźnie" i zamiast podać skargę do zwierzchności, wyzwałem na pojedynek jakiegoś pasażera pierwszej klasy.

Gwałtu, muchy mię zjedzą! Oh! ludzie nie wiedzą wszystkiego!...

* * *

Pierwszego kwietnia 1868 roku. Tylko przypadek jest coś wart na świecie! Odebrałem list od redakcji jednego z czasopism warszawskich: — „Prosimy szanownego pana o przybycie do naszego biura dzisiaj w interesie własnym".

— Nareszcie przypomnieli sobie! — zawołałem uradowany, w przekonaniu, że chodzi o drukowanie mojej noweli, którą przed rokiem z górą powierzyłem był redakcji.

— Ależ my pana wcale nie wzywaliśmy! — rzekł redaktor, gdym się mu przedstawił i oznajmił, że na wezwanie jego przybywam.

W odpowiedzi na to doręczyłem mu list na blankiecie redakcyjnym. Przyglądał się przez chwilę, potem zadzwonił na służącego, któremu wydał rozkaz:

— Poproś tu pana sekretarza!

Niebawem zjawił się mężczyzna rosły, zamyślony czy zaspany, z ołówkiem za jednym uchem, z piórem za drugim. Redaktor wymienił tylko z nim spojrzenie i podał mu list.

— Nagłówek blankietu redakcji piórem podrobiony, podpis udany; dzisiaj Prima Aprilis! — odpowiedział sekretarz i zaraz wyszedł.

Istotnie, jeden ze znajomych bliższych, lubownik tego rodzaju dzieciństw, zrobił mi niespodziankę. Chciałem przy sposobności dowiedzieć się przynajmniej o losie mojej noweli.

— Pan Bujański... Zobaczymy zaraz... — mówił redaktor, nie przerywając sobie pisania jednocześnie jakiegoś listu.

Znowu zadzwonił i z rozmachem wypisując adres na kopercie, mówił do przybyłego służącego:

— Wyślesz ten list natychmiast przez posłańca... Poprosisz tu pana dyspozytora z drukarni... Pan Bujański w tece... litera B... rozumiesz? Zwijaj się prędko!

Po chwili przybył dyspozytor, a redaktor, nie patrząc nań i szperając w tece, mówił jak człowiek senny:

— Z wiadomości bieżących usunie się... G i p s s p ł a w i a n y b e r l i n k a m i — dwanaście wierszy... następnie w y s t ę p y p a n n y K o s z y c k i e j w D ü s s e l d o r f i e — osiemnaście wierszy... Z odpowiedzi od redakcji: P r z y s z ł e j f o t o g r a f i s t c e... rozumiesz pan? Nie ma w tece Bujańskiego! Można palnąć jeszcze: C z y t e l n i k o w i z F r a n c i s z k a ń s k i e j i — s y s t e m a t y c z n a k r a d z i e ż k o n i... Zrobić miejsce na osiemdziesiąt petitowych wierszy.

Jednocześnie zadzwonił, a gdy wszedł służący, dało się słyszeć:

— Idź do pana Żarskiego w pierwszym pokoju, powiedz, że drukarnia czeka!... Poproś pana sekretarza... A jakby tu przyszła jaka pani w czarnej sukni, powiedz, że mnie nie ma!

Za chwilę zjawił się znowu sekretarz, a redaktor zupełnie tak mówił, jakby z samym sobą rozmawiał:

— Czyśmy dawali w piśmie jaką odpowiedź panu Bujańskiemu?... Nie wiesz pan, czy się próba w teatrze już skończyła?

— Gdzie znowu; jeszcze dobre pół godziny! Sakowiczówna zawsze się na próby spóźnia!... Pan Bujański, pseudonim Łaś z Zajkur, w nrze 148 miał odpowiedź taką: Nowela dosyć oryginalna i tchnie świeżością pomysłu; ale tytuł M u c h y należy usprawiedliwić wykazaniem, że te owady rzeczywiście są tak szkodliwe!

— Łaś z Zajkur! Prawda, prawda! — wykrzyknął redaktor. — A ja ciągle szukam Bujańskiego!

I nareszcie znalazł już teraz moją nowelę.

* * *

Gdyby nie zwyczaj zwodzenia ludzi w dniu pierwszym kwietnia, nie zostałbym prawdopodobnie literatem. Czyniąc zadość życzeniu redakcji, udowodniłem szkodliwość much za pomocą następujących dopisków:

„Zaprawdę, strasznie brzmi dla ucha ludzkiego miano t r ę b a c z a p i e k ł a! Wyobraźnia przedstawia sobie, że ta nazwa należy do jakiegoś potwora nadzwyczajnej wielkości, a odznaczającego

się ogromną siłą, przeraźliwym rykiem i nieugaszonym pragnieniem krwi ludzkiej. Tymczasem tak nazywają w Surynamie muchę. Mieszkańcy znowu krain, położonych nad rzeką Orinoko, nie mówią jedni drugim „dobranoc", idąc na spoczynek, ale: — „Oby cię Bóg ustrzegł tej nocy przed muchami!" Rankiem też nie pozdrawia sąsiad sąsiada przez „dzień dobry", tylko mówi: — „Chwalić Boga, wyszedłeś, widzę, jeszcze jako tako z boju z muchami".

W podróżach lądem i wodą nikt się tam nie obawia jaguarów, krokodylów, spotkania z dzikimi Indianami; każdy drży przed muchami. Na Jamajce muchy nielitośnie trapią wynędzniałych, sił pozbawionych chorych na febrę i otoczenie dokłada jak najusilniejszych starań, aby jaka mucha nie zniosła przypadkiem jaj na dziąsłach lub w nozdrzach chorego. Wylęgłe bowiem gąsienice dostają się aż do mózgu, a nieszczęśliwy człowiek kończy wtedy życie wśród strasznych męczarni. Z powodu takiejże gąsienicy muszej mieszkańcy Paragwaju cierpią nadzwyczajnie na przykre bóle głowy i krwotoki z nosa. Mieszkańcy krajów, przez piękne słońce oświetlonych i ogrzanych, życiem przypłacają sąsiedztwo swoje z muchą. W skórze głowy, w nozdrzach, uszach, nawet w żołądku, można znaleźć zabójców — gąsienice muchy. A czymże są owe szpetne robaki, toczące po śmierci ciało ludzkie? To także potomstwo muchy.

Są takie okolice w Abisynii, z których ludność w porze deszczowej musi się wynosić i uprowa-

dzać z sobą bydło, a to z powodu muchy, zwanej bąkiem bydlęcym. Musi być ten bąk straszny dla zwierząt, skoro bydło, posłyszawszy jego brzęczenie, popada w szał przerażenia, ucieka w popłochu, pędzi przed siebie, dopóki nie zginie z głodu i zmęczenia. Czynny tu jest tylko rodzaj żeński muchy. Jednakże ta mucha przynajmniej brzęczeniem zapowiada napad, podczas gdy inna, zwana przez lud ślepem, cicho i chytrze po krew się skrada. Istotnie, ślep jest ślepy i głuchy na wszelkie niebezpieczeństwo, a jego żądza krwi nie zna żadnych granic. Czepia on się nie tylko obnażonych miejsc ciała, ale i przez odzież umie dotrzeć tam, gdzie płynie krew żywego człowieka: skrytobójca, rzeźnik zapamiętały! Któż nie widział w czasie upału przed burzą, jak ślep zapuszcza swe szydło w grubą skórę konia, albo przez kapotę wierzchnią domacywa się człowieczego grzbietu? Żółte, ogniste jego oczy przypominają instynkt kotów. Dajcie mu tylko wzrost i siłę, a zapanuje wyłącznie na świecie.

Jest w Serbii mit, jakoby pewien gatunek dokuczliwej muchy pochodził z jaskini, w której rycerski św. Jerzy pokonał smoka. Bo na miejsce pokonanych jednych smoków niebawem zjawiają się inne! Nad Dolnym Dunajem szerzy ta niewielka muszka szaloną trwogę wśród ludzi i zwierząt domowych. Aby ssać krew, włazi ona zwierzęciu w nos, w usta, zadaje ranki, których swędzenie pobudza do wściekłości takiej, że najpotężniejszy wół, wśród mąk szamotania się i tarcia, po kilku

godzinach życie kończy. Nawet zimna Laponia posiada swoją muchę, która czyni nieraz istnych łazarzy, okrytych ranami na całym ciele.

Czyż jest na świecie druga istota, więcej zasługująca na to, aby z niej uczynić symbol szkodliwości, wstrętu i okrucieństwa. Mucha jest to potworny pasożyt, który potomstwu swemu oddaje w puściźnie żeru ciało: ludzi, psów, mułów, koni, wołów, owiec, różnych owadów. Ona nie przebacza słoniowi i nosorożcowi. Przecież i pchła jest muchą w zoologii.

PAN REFERENT.

W głowę zachodziła onego czasu inteligencja miasta Pińczowa, nie mogąc pojąć, gdzie podziewa pieniądze pan Walenty Ogrodziński, referent powiatu. Co prawda, niewiele on miał do wydania; ale wszyscy urzędnicy stopni niższych pobierali pensje znacznie mniejsze, a jednak żyli daleko dostatniej. Dzieci ich otrzymywały staranne wychowanie, żony stroiły się okazale, oni sami nosili ubiory zastosowane do bieżącej mody i odpowiednie do pory roku, przytem wyprawiali w domu przyjęcia, grywali w preferansa, a niektórzy od czasu do czasu robili nawet wycieczki do Warszawy.

Tylko jeden wśród nich pan Walenty, stary kawaler, więc człowiek bez obowiązków, żył biedniej niż ostatni aplikant z magistratu. Wiosną, latem i w jesieni od wielu lat chodził zawsze w starym, dobrze wytartym surducie, w łatanych butach i w zmiętym, wypłowiałym kapeluszu. A zwykle tak się troskliwie poopinał, jak gdyby mu głównie na tym zależało, ażeby światu nie pokazać najmniejszej odrobiny swojej koszuli. Dopiero kiedy już śniegi zwaliły, mrozy chwyciły, Ogrodziński nadziewał ogromną watowaną

czapkę i futro jakieś takie wyszarzane, że nikt nie był w stanie odgadnąć, co za gatunek zwierzęcia chodził za życia w tej skórze.

Nigdzie a nigdzie nie bywał, jakkolwiek stanowisko referenta wymagało niejednokrotnie, aby się i pokazać między ludźmi i ludzi w domu swoim przyjąć. Jedni mówili: — „Odludek, mruk, mizantrop!" Drudzy: — „Kutwa obrzydliwy, liczykrupa, pewnie siedzi na pieniądzach, a wszystkiego sobie odmawia!" — Na herbatkach tańcujących, na balikach w Pińczowie stanowił on pospolicie przedmiot rozmowy i ulubiony cel obmowy dla płci obojej.

Żaden szczegół jego życia nie uszedł baczności Pińczowian i Pińczowianek. Tropiono człowieka w biurze, na ulicy, w domu, osaczano jak zwierza dzikiego w kniei. Panie pińczowskie bardzo dokładnie wiedziały, że Ogrodziński tylko w święto używa potraw mięsnych, a przez cały tydzień żyje jak ostatni nędzarz.

Cichy, spokojny, nadzwyczajnie pracowity i bardzo dobry, miły człowiek był pan referent. Jak tylko ukończył swoje biurowe zajęcia, natychmiast wymykał się chyłkiem i podcieniami zdążał na przechadzkę za owe sławne mosty na Nidzie. Może w półtorej godziny potem wracał do domu i z niezmiernym zapałem brał się do czytania powieści, co stanowiło jego namiętność.

Niejeden umyślnie nań czatował, zaczepiał, aby się później w towarzystwie pań pochwalić: — „Rozmawiałem dzisiaj z Ogrodzińskim!" Taki

zwracał na siebie uwagę kobiet, które go już ciągle wybadywały: — „Co mówił Ogrodziński?"

— Jest to rzeczywiście zagadkowy człowiek — odzywała się pani burmistrzowa. — Żeby się też żywcem tak zakopać, odsunąć od całego towarzystwa!

— Wyobraźcie sobie panie, przedwczoraj wstępował do apteki! — rzekła stara panna Aniela, siostra aptekarzowej. — I pan Skrzekowski powiada, że to jest człowiek bardzo do rzeczy. Skrzekowskiemu można wierzyć... kończył kursa farmaceutyczne w Warszawie, całą „Marię" Malczewskiego umie na pamięć... Mój szwagier go uważa za najpierwszego prowizora w gubernii kieleckiej. Ach, jak on deklamuje... rozkosz!

— Co się tyczy Ogrodzińskiego — przerwała pani konsyliarzowa, niezadowolona, że w jej obecności może ktoś chwalić farmaceutę, — mój mąż sprawdził objawy czarnej melancholii.

— Wesoła żona rozerwałaby go, uleczyła — rzekła pani rewizorowa, matka dwóch córek na wydaniu. — Jeszcze podobno pięćdziesięciu lat nie skończył, mógłby uszczęśliwić siebie i kogo...

— Uszczęśliwić?... — spytała z drwiącym uśmiechem konsyliarzowa. — Zaręczam pani, że w czarnej melancholii można być tylko nieszczęśliwym i unieszczęśliwiać.

— Okropność! — jęknęła Zuzia, starsza rewizorówna.

Urzędnicy znowu zbierali się często w cukierni u Fajbusia i, popijając kawę czarną z araczkiem, grywali w bilard, w domino, a przytem — o ile

wdawali się w rozmowę — Ogrodziński bywał na planie głównym.

— Zrozumieć nie mogę takiego oryginała, jak Ogrodziński — rozpoczynał pan kasjer. — Jestem przecie człowiek poważny, mam żonę, dzieci, stanowisko, a nie chowam się do dziury, lubię żyć z ludźmi.

— Ha, bo pan kasjer wie, że człowiek nie weźmie z sobą pieniędzy do grobu! Jeszcze po kieliszeczku, panie kasjerze!... Pani Fajbusiowa, proszę nalać! — mówił pan sekretarz.

— Podług mnie — wyrokował kancelista, — Ogrodziński jest arystokrata i nic więcej. Ci, co go od dawna znają, mówią, że dopóki był kancelistą, to i w domach bywał, wypił, w karty zagrał, a dopiero później w głowie mu się przewróciło...

— Hm, podobno się stara, żeby go do gubernii przenieśli, a w samej rzeczy wakans się tam teraz otwarł, pensja osiemset rubli! — powiedział pan pomocnik.

I takie rozmowy ciągle prowadzono w Pińczowie. Tymczasem tę całą tajemnicę pana referenta znał na wylot niejaki Mordka Czapnik, zwany powszechnie Rotszyldem pińczowskim, chociaż był to bardzo pospolity lichwiarz tylko. Ogrodziński nigdy w życiu nie zaciągnął jednego grosza pożyczki, a jednak Mordce Czapnikowi był z roku na rok winien sumę tysiąca rubli, na czym i polegało objaśnienie zagadkowego sposobu życia pana Walentego.

Referent poręczał weksle kolegom, współurzędnikom, którzy nie płacili i o długu swoim przed

nikim nie wspominali. On spokojnie za nich płacił Mordce i także nikomu o tym nie wspominał. Płacił za kancelistę, ale kancelista troskliwie skrywał to przed światem; w podobnyż sposób Ogrodziński płacił i za sekretarza, kasjera, pomocnika i innych jeszcze. Zabrnięcie w długi na rachunek cudzy zadziwia tym bardziej, że nasz referent miał wstręt ogromny do podpisywania weksli.

— Gdybym posiadał gotówkę — dawał się słyszeć, — wolałbym wyjąć z kieszeni i dać, byle tylko nie kłaść swego podpisu.

Cóż, kiedy genialny Mordka miał sposób niezawodny, ile razy chodziło o przełamanie wstrętu i zniewolenie Ogrodzińskiego. Twardy lichwiarz należał do rzędu takich, co to noszą nazwę pijawek. Niejednokrotnie różni panowie urzędnicy robili wielce staranne a daremne zabiegi o pożyczkę; wszystkie ich usiłowania rozbijały się o trudność przedstawienia poręczyciela, który by dla Mordki był „dobry", to jest odpowiadał wszelkim jego wymaganiom. Ogrodziński nawet nie w każdej chwili był dla niego „dobry", jeżeli właśnie już dźwigał na sobie za duże brzemię cudzych długów. Filozofia bowiem lichwiarza tak się wyrażała: „Człowiek, który chce płacić, płaci dopóty, dopóki płacić może... Na co ja go mam zmuszać, żeby nie płacił?" Mordce bynajmniej nie chodziło o to, komu pożycza pieniędzy; on tylko patrzył, kto poręcza.

Kiedy jednego razu pan sekretarz zaciągnął pożyczkę i upewniał go, że będzie regularnie dług

spłacał, lichwiarz odrzekł z greckim spokojem oblicza:

— Pan sekretarz nie potrzebuje płacić; Ogrodziński jest dobry poręczyciel... Żeby on miał trzy tysiące rubli pensji, ja bym jego podpisów przyjął za dziesięć!

Innym razem znowu zaciągał dług pan kancelista, który, zgarniając już ze stołu odliczone pieniądze, poczuwał się do obowiązku wspomnieć o terminie pierwszej spłaty. Mordka uśmiechnął się tylko i rzekł:

— Proszę pana, ja stary wróbel; ja wiem, że nie ci panowie płacą, którzy pożyczają... Nu, co złego? Brać pożyczki, to lepszy handel, niż dawać na procent. Niech pan zrobi dobry interes! Mnie nie boli kieszeń Ogrodzińskiego.

I lichwiarz miał ogromne upodobanie do referenta, który się nigdy nie spierał, punktualnie spłacał, co raz podpisał. Ogrodziński stawał się dla Mordki „dobry" z chwilą, kiedy z zaległego rok rocznie długu tysiąca rubli spłacił dwieście, a przytem i procent od pozostałych ośmiuset rubli.

Zachodzi teraz pytanie: w jaki sposób zniewalano referenta do podpisywania weksli? Sposób ten znał Mordka i, jeżeli tylko wskazał Ogrodzińskiego jako poręczyciela, dawał też jednocześnie radę, co czynić, aby przełamać jego wstręt do podpisywania weksli. Pan Walenty był romantyk czystej wody, cały świat marzeń poetycznych wnosił w życie i bardzo łatwo wzruszały go nieszczęścia ludzkie. Roztkliwiał on się bardzo szcze-

rze, naiwnie, kiedy posłyszał, że komuś dzieci umierają, żona obłożnie choruje, dymisja z posady zagraża, albo że go ostatnia nędza trapi. Gotów był własną duszę zastawić, aby dopomóc jakiemu „ojcu zadżumionych". Kto tylko umiał w jaskrawych barwach odmalować swą niedolę, zawsze zmiękczył serce referenta i zyskiwał w nim poręczyciela, chociażby nawet zmyślił cały obraz nieszczęścia.

Mordka znał doskonale tajemnicę dobrej duszy i wiedział, że pan referent, znosząc po bohatersku własną biedę, znajduje niemałą pociechę w niesieniu ulgi rzekomym nieszczęściom bliźnich. Łatwo już pojąć, dlaczego Ogrodziński nigdzie nie bywał i nikogo u siebie nie przyjmował. To, co mu z pensji Mordka pozostawiał, zaledwie wystarczało na bardzo skromne opędzenie potrzeb najniezbędniejszych. Prawdę mówiąc, żył on w ciągłym braku i byłoby mu bardzo źle na świecie, gdyby się nie chronił swą myślą w fantastycznych krainach książek. Żadna skarga nigdy z ust jego nie wyszła i nikt z tych, którzy go pozawodzili, nie słyszał najmniejszego wyrzutu. Sekretarz, kancelista, pomocnik, kasjer i inni spotykali się czasem oko w oko z panem Walentym, a wtedy uważali sobie za obowiązek bąknąć coś o „niezmiernym długu wdzięczności dozgonnej".

— Nie uwierzy pan referent dobrodziej, ile mię to kosztuje, że dotąd jeszcze nie uiściłem się z należności... Warunki życia są takie trudne...

Niektórzy z nich pobierali pensje wyższe niż Ogrodziński, a i tak zwane dochody prawe. Te

uniewinniania się wprawiały zawsze referenta w ogromny kłopot; uśmiechał się dobrodusznie, kręcił głową i wyglądał wtedy na człowieka, który dług zaciągnął i wstydzi się, że go spłacić nie może.

— Ależ, kochany panie, nie mówmy o tym!... Prosta przysługa koleżeńska... Gdybym ja potrzebował, zrobiłbyś pan dla mnie to samo.

Zapewnienia takie najzupełniej wystarczały, ażeby się dłużnik uspokoił i nabrał otuchy, jak gdyby już dług swój spłacił.

Każdy przypinał łatkę referentowi, a nikt o tym nie wspominał, że referent za niego dług spłacił lub spłaca. Stanowiło to pińczowską tajemnicę, jednemu Mordce znaną równie dobrze, jak i sposób na przełamanie wstrętu referenta do podpisywania weksli.

Taki był stan rzeczy, kiedy pewnego dnia przyjechał z Opoczna pan Marcin Ogrodziński, brat referenta i także referent powiatowy. Serdeczne było powitanie braci, którzy się od dwudziestu lat nie widzieli. Marcin, chociaż o dwa lata starszy od brata, wyglądał jak syn jego i bardzo się strapił widokiem przerażająco wychudłej, pożółkłej twarzy Walusia i jego nadzwyczajnie nędznym sposobem życia. Trzeba tu wiedzieć, że pan referent opoczyński przywiózł z sobą dla brata pieniądze, które kiedyś tam spadły były w schedzie na nieletnich jeszcze podówczas braci Ogrodzińskich. Odbiór tego spadku do rąk zależał od wygrania zawikłanego procesu z klasztorem Panien Norbertanek, co się wlokło i wlokło przez długie

lata. Suma była niewielka, wszystkiego podobno tysiąc dwieście pięćdziesiąt rubli na głowę; ale dla referenta pińczowskiego ta deska zjawiała się jak raz w samą porę. Brat starszy nie od razu się zdradził z tym, że przywozi skarby takie, a przerażony nędzą Walusia, uważał sobie za święty obowiązek rodzinny zbadanie gruntowne, gdzie mianowicie tkwi przyczyna główna niedoli braterskiej. Rozpoczęły się serdeczne, wylane rozmowy braci, co to w imię wspomnień, drogich związków krwi serce sercu się zwierza, otwiera. Pan Walenty z początku wywijał się jak piskorz, zbywał Marcinka westchnieniami, półsłówkowym biadaniem:

— Cóż zrobić, mój drogi braciszku?... Bieda, ciężkie czasy i koniec!... Tu u nas w Pińczowie wszystkich trapi okropna bieda... Powiadam ci, jeszcze ja stosunkowo dobrze się trzymam.

Dopieroż Marcin dociera, a coraz to z innej beczki napoczyna, byleby prawda na wierzch wypłynęła jak oliwa.

— Nic nie rozumiem, mój Walusiu! Przecież ja pobieram pensję równą twojej, a jednak z żoną i dwojgiem dzieci nie cierpię takiego niedostatku! Rozkoszy, co prawda, nie ma; ale się żyje... Chyba ty, człowieku, grosz ciułasz?

Gorzko się uśmiechnął Walenty i machnął ręką.

— No, to może jaka kobieta przypięła się do ciebie i ssie do ostatniego szeląga? Powiedz, musimy znaleźć jaką radę!

Waluś ze zdziwieniem niezmiernym spojrzał na Marcinka i tonem lekkiego wyrzutu odrzekł:

— Mówisz, braciszku, tak, jakbyś mię zupełnie nie znał.

Przez dwa dni biedził się referent z Opoczna i ani rusz, nic nie mógł z brata wydobyć. Używali razem przechadzki za mostami na Nidzie, wspinali się na górę świętej Anny, oglądali na Mirowie stare domy poariańskie, pili w domu herbatę, a Marcin nabierał coraz większego przekonania, że Waluś pozostaje w ostatniej nędzy. Toteż trzeciego dnia przyparł brata do muru z ogromną energią.

— Widzę — rzekł bardzo poważnie, — że nie mam u ciebie najmniejszego uznania i tylko jakąś nieufność budzę, a przecież jesteśmy rodzeni bracia! Skoro już lekceważysz takie związki, ha, sobie muszę chyba przypisać winę, żem nie umiał zasłużyć na twoją miłość!

Po takiej przemowie nastąpiło ogromne rozczulenie obustronne, z którego Marcinek skorzystał już bardzo zręcznie i w chwili, kiedy go rozrzewniony Waluś objął za szyję, odezwał się ze wzruszeniem:

— Nieprawdaż, braciszku, ty dajesz podpisy na wekslach, poręczasz za ludzi?

— Być może... jakiś raz, drugi... no, ale przecież!...

— Właśnie tylko o to mi chodziło! — zawołał tryumfalnie referent z Opoczna. — Trzeba sprawy takie jak najrychlej uregulować, a na przyszłość unikać... Lichwa każdego pożre z nogami i głową!

— Wierzaj mi, Marcinku, mam nadzwyczajny wstręt do podpisywania weksli — usprawiedliwiał się Waluś. — Ale bywają okoliczności... odmówić niepodobieństwo.

— Ja to rozumiem doskonale! Przychodzi kolega, błaga, zaklina, a kiedy już dostał poręczenie, wcale nie myśli płacić.

— Cóż on zrobi biedak, jeżeli nic nie ma?... Daję ci słowo, że poręczałem tylko ludziom, będącym w ostatniej potrzebie!

Referent z Opoczna byłby i tak nie zrobił tego, o co mu głównie chodziło, gdyby szczęśliwy traf nie przyszedł z pomocą. Pan Walenty bowiem za żadne skarby świata nie wymieniłby tych wszystkich, za których poręczał, i nie wskazałby lichwiarza, który z niego skórę obdzierał. Ale w Pińczowie rozeszła się wieść o przyjeździe starszego Ogrodzińskiego i całe miasto bardzo się zajmowało tym zdarzeniem. Naturalnie, mocno to obchodziło Mordkę i ten postanowił oddać nadzwyczajną wizytę swemu stałemu klientowi, ponieważ ciekawy był obejrzeć jego brata, a przy tym, któż tam wie — może przypadkiem da się ubić i jaki geszeft. „Interes rzadko kiedy sam człowiekowi w ręce włazi, trzeba go u ludzi szukać i brać, jeśli dobry" — dawał się słyszeć Mordka.

Pan Walenty był właśnie w biurze, którego nie zaniedbywał nawet podczas bytności brata w Pińczowie. Lichwiarz delikatnie uchylił drzwi, wsunął do pokoju głowę, potem przekroczył próg i, uśmiechnięty, w ciągłych ukłonach, z czapką

w ręce, stanął przed panem Marcinem, rozmyślającym właśnie, jakby tu wykryć lichwiarza, który posiada weksle, poręczone przez brata. Zapytany, czego sobie życzy, Czapnik oświadczył, że go sprowadza jedynie dobre serce, przyjaźń dla pana Walentego.

— Nu, w Pińczowie i najmniejsze dziecko wie, co Mordka i Ogrodziński starzy przyjaciele.

Od tego zaczęła się rozmowa, a jakkolwiek Rotszyld pińczowski okazywał wielką wstrzemięźliwość języka, Marcinek, widocznie nie w ciemię bity, odgadł jego rzeczywisty charakter. Swoją drogą Żyd także zwietrzył zamiary referenta z Opoczna i pieniądze w jego kieszeni, co natchnęło go takim szacunkiem, życzliwością do nieznajomego człowieka, że Marcinek pozyskał w nim sprzymierzeńca. Toteż jeszcze tego samego dnia starszy Ogrodziński odwiedził z kolei Mordkę i po długich targach wykupił wszystkie weksle brata, znajdujące się w rękach lichwiarza, który nadto uroczyście przyrzekł nie przyjmować już nigdy podpisu pana Walentego jako poręczyciela cudzych zobowiązań pieniężnych. Z tego powodu Czapnik mocno ubolewał, że nie będzie miewał do czynienia z tak „godnym i grzecznym" człowiekiem.

— U mnie — mówił — poczciwość tyle warta, co gotówka; bo ja wiem, że co dam poczciwemu, to mi nie przepadnie... jakbym miał we własnej kieszeni.

Marcin dopiero na odjezdnym wręczył bratu paczkę wykupionych weksli, a oprócz tego wy-

płacił mu z górą trzysta rubli, które pozostały ze schedy.

Szeroko otwarł usta i oczy pan Walenty, mniemał bowiem, że to wszystko jest dziełem poświęcenia braterskiego. Zabolało go niezmiernie, że Marcinek krzywdzi własną rodzinę, niosąc mu pomoc tak wspaniałomyślnie. Rzucał się, nie chciał w żaden sposób przyjąć daru, a nieustannie powtarzał:

— Tylko ja jeden powinienem być ofiarą swojej własnej lekkomyślności!

Pan referent z Opoczna podniecał jeszcze te zgryzoty i wyrzuty sumienia.

— Nie dziw — mówił spokojnie, — kiedy się rodzony brat poświęca dla dobra brata; ale powiedz mi, Walusiu, jak nazwać człowieka, który się poświęca, ginie, umiera z głodu jedynie dlatego, ażeby jakiś tam próżniak, nicpoń ostatniego rzędu, miał za co hulać?

— Wiem, wiem, braciszku, jestem skończonym głupcem, osłem!... Jednakże z tego nie wynika, ażeby twoje biedne dzieci zostały ofiarami mojej lekkomyślności.

Kiedy się już tak natruł, nagryzł referent pińczowski, kiedy kilkakrotnie wyrzucił z siebie przysięgę, że swoją drogą weksli nikomu nie będzie nigdy poręczał, a swoją — ofiary brata za nic w świecie nie przyjmie, wówczas Marcinek zaczął go uspokajać:

— Pokażę ci czarne na białem, udowodnię, że z mojej strony nie było żadnej ofiary; niemniej jednak rzuciło się pieniądze gorzej niż w błoto.

Obecnie z ostatniej nędzy wyratowała cię scheda; ale, gdyby nie to, ja, brat, musiałbym o twym ocaleniu z obowiązku pomyśleć, albo gryźć się twoją niedolą.

Po bardzo tkliwym pożegnaniu, rozstali się nareszcie dwaj bracia referenci.

* * *

W starym Pińczowie bez mała wszystko po staremu. Tylko bardzo nieznaczne zmiany pozachodziły tu i owdzie. Zacznijmy od płci pięknej. Na wieczorkach z tańcami i bez tańców — takie same plotki, obmowy. Tylko panna Aniela coraz częściej przytacza prowizora Skrzekowskiego, tylko pani konsyliarzowa coraz żywiej daje uczuwać towarzystwu, że żona lekarza wcale nie jest pospolitą żoną, i ciągle przypomina paniom pińczowskim ich umysłowe zaniedbanie. Ach, jak ona się nad nimi pastwi, wybucha szyderstwem, jeżeli która nie wie na przykład, co to są antypody, promienie Roentgena, mediumizm itd.! Pan referent i teraz — jak zwykle — albo pracuje w biurze, albo używa przechadzki za mostami na Nidzie, albo z zapałem pochłania powieści. Tylko teraz ma on minę jakąś weselszą, nosi nowy surdut, nowy kapelusz i stojące, bardzo widoczne kołnierzyki. Kasjer, pomocnik, sekretarz, kancelista zawsze grywają u Fajbusia o kolejkę kieliszków araku. Tylko teraz ubierają się jakoś mniej odpowiednio do bieżącej pory roku. Ha, bo zabrakło w mieście „dobrego" poręczyciela i Mordka nie chce dawać pożyczek! O referencie

Ogrodzińskim — ma się rozumieć — rozmawiają wszyscy, zawsze i wszędzie. Od czasu pobytu tutaj Marcinka pan Walenty nie schodzi z myśli i języka Pińczowian.

Atoli nikogo teraz nasz referent nie obchodzi tak żywo, jak Rotszylda pińczowskiego. Lichwiarz uważał sobie za ciężką krzywdę, niejako za urągowisko i psotę losu, że taki „godny, dobry" człowiek nie jest w jego rękach.

— On się teraz zaczął ubierać, żyć lepiej, pieniądz wyraźnie pachnie od niego, a ja żadnego interesu z nim nie robię!

Jastrząb na widok tłustego gołębia, do którego dobrać się nie może, zawołałby, gdyby umiał mówić: — „Aj waj mir!"

Z powodu tego „dobrego" a dzisiaj niedostępnego referenta Czapnik nie mógł sypiać po nocach. Podobnie jak się zdarza panu mieć dobrego, wiernego sługę, księdzu gorliwego wyznawcę, nauczycielowi zdolnego i pilnego ucznia, tak Mordce nadarzył się idealnie dobry dłużnik i dziś oto lichwiarz opłakiwał jego utratę. Już kilka razy odwiedzał Walusia i zawsze znajdował drzwi zamknięte.

— Nu, po co jemu ludzie, jak on ma teraz pieniądze?

Lichwiarz zapalał się coraz bardziej do idei zbadania rzeczywistego stanu kieszeni referenta i ponownego nawiązania z nim stosunków. Czatował na podcieniu w tej porze, kiedy Ogrodziński używał zwykle przechadzki, i udawał, że się przypadkiem spotykają; z całą uprzejmością od-

dawał pokłon czapką — od czapkowania przezwano go „Czapnikiem".

— Do usług pana referenta!

— Aa, Mordka! Co słychać? — mówił z roztargnieniem pan Walenty.

— Bardzo ciężkie teraz czasy! — odpowiadał lichwiarz z goryczą, a w głosie jego brzmiała niejaka uraza do Ogrodzińskiego.

— Podobno cholera gdzieś około Chmielnika? Słyszał Mordka?...

— Cholera idzie i interesów nie ma!

— Przecież chyba w Pińczowie nie brakuje takich, którzy chcą pożyczać?...

— Z przeproszeniem, pan referent żartuje!... Czy ja z każdym chcę mieć do czynienia? Ja tylko z godnym, poczciwym człowiekiem robię interes!

Mówił z takim namaszczeniem, jak gdyby obdzieranie poczciwych ludzi stanowiło zaszczyt i chlubę. Szedł obok referenta, utyskiwał na ciężkie czasy:

— Mam żonę, mam siedmioro dzieci; sam żyć muszę i one żyć muszą... Nu, a skoro interesów nie ma, z czego one będą żyły?

Czapnik na chwilę nie przypuszczał, ażeby lichwiarstwo przynosiło mu jakąś ujmę.

— Ja chcę człowiekowi wygodzić, ja lubię człowiekowi wygodzić; ale niech on będzie godny, poczciwy człowiek!

Tymczasem w Pińczowie uczciwy człowiek właśnie nie chciał robić interesu. Jak tylko Mordka zaczynał malować jaskrawy obraz niedoli swo-

ich siedmiorga dzieci, przedstawiać, jak go już różni ludzie pozarywali i wydarli mu jego krwawą pracę, Ogrodziński doznawał pewnego wzruszenia, obawiał się, aby go lichwiarz nie nakłonił do jakiego poręczenia, i mówił:

— Do widzenia, mój Mordka, do widzenia!

Z tymi słowy pędził na mosty jak szalony, a lichwiarz spoglądał za nim myśląc:

— Widać pieniądze zrobiły go twardym; on dawniej nie był taki!... Żeby on poręczył, dałbym na niski procent.

Brał trzy od sta na miesiąc, a oto był gotów zrobić poświęcenie i wziąć dwa, gdyby referent dał za kogokolwiek swe poręczenie. Cóż, kiedy pan Walenty stosunki z kolegami tak teraz postawił, że się nawet nie odkłaniał, jeśli go który witał. Skądże to poszło?

U prowizora aptekarskiego bywały wieczory czwartkowe z preferansem. Kasjer grywał chciwie, podstępnie: liczył niby to na jakieś nieszczęśliwe składy, zawsze grał o oczko niżej i ogromnie krzywdził wistujących. Kancelista zachowywał ów spokój ducha, charakteryzujący gracza, który chętnie bierze wygrane pieniądze, a przegranych nie płaci. Sekretarz miał taką metodę zapisywania wpadek, lew i zgranej puli, że nawet baczne oko kasjera nie zdołało częstokroć sprawdzić istotnego stanu rzeczy. Prowizor Skrzekowski grywał szlachetnie, ale nieszczęśliwie i miał zwyczaj biadać, wyrzekać na losy, a gra kasjera doprowadzała go do nadzwyczajnego rozdrażnienia. Otóż na jednym z takich czwartkowych wie-

czorów trzej urzędnicy bezprzykładnie ograli prowizora, który w przystępie żalu wyrzucił z siebie:

— Trzeba zawsze wiedzieć, z kim się do gry siada!...

— Jak to, z kim? Jak to, z kim? — zapytywali kasjer, sekretarz, kancelista, a potem zaczęli go kpać od ostatnich.

Stało się to w Pińczowie sprawą głośną, która podzieliła towarzystwo na dwa obozy: aptekarski i urzędniczy. Obszernie ustosunkowana w mieście panna Aniela wzięła natychmiast Skrzekowskiego pod swe skrzydła — i jak zaczęła odgrzebywać różne sprawki kasjera, sekretarza, kancelisty, tak nareszcie dociekła, że wszyscy trzej sprawiali sobie onego czasu garnitury za pieniądze referenta. Kto wie, czy Mordka nie zdradził tej tajemnicy w nadziei, że Skrzekowski zastąpi mu, choć w części, Ogrodzińskiego. Stronnictwo urzędnicze w odpowiedzi na zarzut, wymierzony przeciw kasjerowi, sekretarzowi i kanceliście, sponiewierało pana Walentego, jako marnego „ciemięgę, gamajdę, kwasigrocha", i tym sposobem apteka stanęła teraz po jego stronie.

Ogrodziński, prowadzący życie na stołku, mimo swoich przechadzek, potrzebował jeszcze od czasu do czasu pewnych pigułek, po które zawsze osobiście chodził do apteki i wtedy go Skrzekowski wyciągał na słówka. Bodźca do rozmowy więcej ożywionej dodawała dzisiaj prowizorowi niechęć i gorycz względem biurokracji pińczowskiej. Ze zdań nawiasowych, ze sposobu wyrażania się przez półsłówka, ogródki, wtrącenia — głównie

rozmawiano o bieżącej literaturze — dowiedział się pan Walenty, że urzędnicy zwą go „ciemięgą, gamajdą, kwasigrochem", co sobie sam tak wytłumaczył:

— Ich zdaniem, poręczałem weksle z powodu swego ślamazarnego usposobienia i braku stanowczego charakteru, a nie przez dobroć i chęć niesienia bliźnim pomocy. Za twoje myto kijem cię obito.

Już teraz między referentem a resztą urzędników stanął tak wysoki i kolcami najeżony płot, że żadna strona nie myślałaby go przekroczyć.

A Mordka nie przestawał tropić Ogrodzińskiego: wystawał przed biurem powiatu, zastępował mu drogę, czapkował, wszczynał rozmowę — taki ma zawsze dużo czasu wolnego.

Obecnie zadziwiała go okoliczność, że referent jakoś przydługo bawi w aptece, i przez szybę szklaną w drzwiach lichwiarz parę razy zajrzał wewnątrz — taki lubi wszędzie zaglądać. Widział miły uśmiech na ustach pana prowizora, ale nie widział fizjonomii Walusia, co go korciło. Postanowił załgać się jak bądź do apteki. Uchylił drzwi, wsunął obnażoną już na ulicy z czapki głowę i — w kabłąk zgięty ciągłym ukłonem, uśmiechnięty jak mógł najuprzejmiej — postąpił na przód. Skarżył się na ból głowy, prosił o bezpłatną radę i o lekarstwo — taki na wszystko się odważy.

Dwaj rozmawiający, jak gdyby nie widzieli kornego Czapnika, gawędzili w dalszym ciągu. Jako ludzie nastrojeni idealnie przez czytanie książek, poruszyli byli dziś już niejeden przed-

miot, a prowizor właśnie w tej chwili wyrażał się z uniesieniem o przeróżnych brakach, które w Pińczowie musi znosić człowiek, mający potrzeby wyższej cywilizacji.

— Toż z tej naszej dziury — mówił tonem cierpkim — nie można na świat wyjrzeć! Latem, dajmy na to, na kąpielach w Busku bawi dużo gości, bywają bale, koncerty, przedstawienia teatralne i mógłby człowiek zadowolić swoje potrzeby duchowe. Cóż, kiedy nie mamy stałej komunikacji!... Słyszane rzeczy, żeby pomiędzy takimi Kielcami, miastem gubernialnym, a Pińczowem nie kursował codziennie jakiś omnibus?

Że trudno nie podzielać sprawiedliwego oburzenia i dążności w kierunku dobra społecznego, przeto Ogrodziński w milczeniu potakiwał Skrzekowskiemu i nareszcie rzekł:

— Masz pan zupełną słuszność; ale cóż zrobić?

Dotychczas, gdy się spotykali, zawsze była mowa tylko o literaturze:

— Jakże pan referent znajduje ostatnią powieść Rodziewiczówny w Kurierze?

— Przyznam się panu, wolę tych starszych autorów: Kraszewskiego, Korzeniowskiego, Kaczkowskiego.

Dziś po raz pierwszy rozpoczęli sprawę społeczną, praktyczną.

— My chrześcijanie — mówił poważnie prowizor, zawijając dla Mordki proszek antipiryny — nie posiadamy ducha solidarności... Słowo honoru daję, Żydzi nas przewyższają.

Czapnik nastawił oba uszy i w milczeniu rozważał, co to jest „duch solidarności", a Skrzekowski tak dalej ciągnął:

— Nie chodzi tu o budowanie kolei żelaznej, ani przeprowadzanie linii tramwajowej, choć i to dało by się zrobić, gdybyśmy się wszyscy poczuwali do solidarności. Tymczasem *unitis viribus* można by kupić parę koni, omnibus i byłaby stała komunikacja. O zakład pójdę, że tu strat być nie może, a społeczeństwu odda się ogromną przysługę. Bo czy może rozwijać się cywilizacja bez komunikacji?... Powie kto: — welocyped! Ale jedźże na welocypedzie do Buska przez Bogucice, albo do Kielc przez Kije! Jedno z dwojga: albo cię obedrą, albo psy rozszarpią.

— Ile też może kosztować para koni? — zapytał pan Walenty, który czytał różne prace Smilesa i przychodzili mu na myśl liczni dobroczyńcy ludzkości.

W tej chwili Mordka mrugnął wymownie na referenta, dając mu do zrozumienia:

— Miej się na baczności, nie rób interesu!

— Para dobrych koni kosztuje najwyżej dwieście do dwustu pięćdziesięciu rubli, a omnibus kryty... w naszym klimacie koniecznie kryty... pewnie drugie tyle.

— Kto wie, czybym do tego ręki nie przyłożył — mówił referent z namysłem. — Tylko, widzi pan, ja rozumiem współkę z ludźmi...

— O, ma się rozumieć! Ludzie, najpierwszy warunek! Ja bym się tu z lada kim nie wdawał! Wspólnik musi być jak łza czysty! — wykrzykiwał Skrzekowski. — Pan referent, ja — i mam na myśli trzecią osobę, która pod każdym względem, słowem honoru ręczę, zasługuje na nasze zaufanie...

Nawiasem mówiąc, trzecią osobą na myśli prowizora była panna Aniela.

Mordka chrząknął, mrugał oczyma, wykrzywiał usta, chciał w jaki bądź sposób zwrócić na siebie uwagę Ogrodzińskiego, który się widocznie palił do projektu ustalenia komunikacji. Lichwiarz odzyskał dopiero spokój, kiedy referent wyrzekł:

— Ha, trzeba się zastanowić!

I z tymi słowy uścisnął prawicę prowizora, zabrał pudełko z pigułkami, śpiesząc na przechadzkę za mosty.

Czapnik też bez zwłoki czasu za nim podążył, zatrzymał się tylko na podcieniu przez krótką chwilę, gdzie spostrzegł przekupkę z opuchniętą ręką i za trojaka sprzedał jej proszek antipiryny jako lekarstwo na puchlinę. Taki na wszystkim zrobi interes.

Jeszcze pan Walenty nie przebył pierwszego mostu, a już go Mordka dopędził i tymi słowy wyrwał z zamyślenia:

— Pan referent myśli temu Skrzekowskiemu kupować konie, żeby on do Buska na bale jeździł?

Ogrodziński z roztargnieniem spojrzał na Żyda, wzruszył ramionami i oschle odrzekł:

— Mój Mordka, ty się wcale nie znasz na takich rzeczach!

— Jak ja się nie mam znać, kiedy Icie, mój szwagier, jest furmanem w Pińczowie?... Pan referent nie zna Icie? Jego ojciec, Nuchym, całe życie handlował końmi ze szlachtą...

— To i cóż z tego? — spytał pan Walenty, niezadowolony, że mu lichwiarz zakłóca poważne rozmyślania.

— Nu, po co pan referent ma robić zły interes? Kto na furmaństwie zarobi?

— Dajcie mi pokój! — zawołał niecierpliwie Ogrodziński i mówił dalej jakby sam do siebie: — Tu chodzi o stałą komunikację, a on mi o furmaństwie prawi!

— Jaka stała, jaka „konikacja"? — pomrukiwał Czapnik.

Przystanął na skraju drugiego mostu i spoglądał za referentem, pomykającym samotnie w kierunku Skrzypiowa. Pieniądz w kieszeni takiego dobrodusznego, miękkiego człowieka był do wzięcia, a tu się wymykał i widocznie lazł w ręce inne, nie Mordki, którego teraz aż złość brała!

— Aj, ty głupi dureń! — bąknął zły, rozżalony lichwiarz i zawrócił do domu.

W miarę tego, jak się zbliżał ku ognisku rodzinnemu, prądy nowych myśli powstawały w jego ruchliwym umyśle i nowe uczucia ożywiły serce. Mordka bowiem postawił sobie teraz takie pytanie:

— Czy nie można zrobić interesu na pragnieniu referenta zaprowadzenia w Pińczowie stałej komunikacji?

Sam sobie dał odpowiedź, płodną w bogate nadzieje.

Uradowany własnym pomysłem, przystanął przed straganem, gdzie Małka, stara Żydówka z czerwonymi, zaropiałymi oczyma, sprzedawała makagigi, pierniki, farbowane cukierki, i za dwa grosze wytargował garść tych przysmaków dla dzieci.

W domu obdzielił łakociami garnący się do niego drobiazg, pogłaskał najmłodsze dziecko, które z objęć matki wyciągało lepkie od brudu rączęta. Zaszwargotał do żony, pytał, czy owczarz z Szańca nie przychodził wykupić korali, zastawionych miesiąc temu.

Krótko zabawił, poszedł na rynek i zatrzymał się przed zajazdem, gdzie na ławeczce zwykle odprawiał czaty rudy faktor, Kasztan. Faktora wypytywał Czapnik o komornika, który przed trzema dniami przybył na posadę ze Stopnicy; potem go badał, co wie o dzierżawcy z Koperni, poszukującym od tygodnia pieniędzy na zapłacenie podatków. Otrzymał wiadomości pocieszające; komornik — człowiek wesoły, lubi zjeść, wypić, w karty zagrać, pewnie bez pożyczki nie wytrwa; dzierżawca do tego czasu pieniędzy nie dostał i niezawodnie warunki Mordki przyjmie, a tymczasem gra u Fajbusia w bilard. Lichwiarz, nie tracąc czasu, poszedł teraz do swego szwagra.

Furman Icie był to wysoki, chudy chłop, o ponurym, dzikim wyrazie twarzy i oczu. Pogodny uśmiech szczęścia życiowego nigdy nie postał na jego ustach zaciętych, otoczonych wełną zrudziałego włosia. Brudny, cały w łachmanach, ruchający się, nosił wyraźnie na sobie wyryte piętno: „z prochu i błota ziemi powstałeś!" Jaki pan, taki kram. Narzędzia i warsztat pracy Icia stanowiły trzy szkielety zwierzęce, istnie apokaliptyczne potwory, godne pędzla mistrza Chełmońskiego. Mógł zrozumieć całą nędzę życia ten, kto jeden raz widział Icia, jego budę z płótna sczerniałego, pełną łat, dziur, i owe trzy szkapy oślepłe, schudzone, poodparzane, oparszywiałe, kulejące, z obfitymi bokami, z resztkami wystrzępionych ogonów.

A jednak gwiazda sławy świeciła nad tym człowiekiem. Co najmniej w pięciomilowym promieniu nie było takiego szynkarza, pachciarza, faktora, handlarza, który by nie znał i nie cenił Icia furmana. Po ojcu, głośnym handlarzu koni, odziedziczył w spadku zawód i nieco towaru; ale syn prześcignął ojca w sztuce podrabiania koniom zębów i utajania różnych ich kalectw.

Już się dorabiał majątku, kiedy dosięgła go mściwa ręka sprawiedliwości i nielitościwie osadziła w więzieniu za sprzedawanie po jarmarkach koni kradzionych. Cały dorobek zmarniał, a w dodatku Icie, po powrocie z więzienia, utracił prawo prowadzenia handlu końmi. Został furmanem, nie spuszczał z oka dawnych stosunków, a jako biegły rzeczoznawca, bywał i tak nieraz ludziom użyteczny.

Szwagra Mordkę powitał Icie w swoich progach bardzo obojętnie — zaledwie coś mruknął pod nosem, zerknął nań spode łba, nie przerywając sobie ogryzania kostek gotowanej kury, której nogi i skrzydła sterczały z miski, zastawionej na stole. Szwargotali naprzód półsłówkami; znać było, że Icie zbywał zapytania szwagra, dopóki nie ogryzł ostatniej kostki kury. Teraz ich szwargotanie ożywiało się już coraz bardziej: pytania i odpowiedzi żwawo następowały jedne po drugich. Pod koniec rozmowy powstał gwałtowny harmider, jaki zwykle wybucha, kiedy się Żydzi targują o zyski spodziewane. Nareszcie nastąpiła cisza, szwagrowie widocznie doszli do porozumienia.

W przekładzie na język polski tak się to przedstawia:

— Icie, czy możesz mieć na każde moje zawołanie konie do sprzedania?

— Co za konie? — pytał furman, dając do zrozumienia, że koń koniowi nierówny ze względu na cenę i przeznaczenie.

Mordka wyjaśnił, że mu chodzi o parę koni pociągowych w cenie około dwustu rubli. Na to Icie odrzekł szwagrowi:

— Czy to ma być mój, czy twój interes?

— Kiedy ja to robię, to mój!

— Po co się wdajesz w koński interes? Ty pieniądze pożyczaj na procent!

Czapnik tłumaczył, że to może być interes mieszany: na wpół koński, na wpół lichwiarski, inaczej mówiąc — wspólka koniokrada z lichwiarzem.

I tu właśnie wybuchnął spór o zyski za skórę żywego jeszcze niedźwiedzia. Ale przecie kruk krukowi oka nie wykole.

Lichwiarz opowiadał teraz w tajemnicy każdemu, kogo spotkał, o zamiarach Ogrodzińskiego zaprowadzenia stałej komunikacji.

Zjawiła się w Pińczowie niebawem opinia publiczna — czynnik, wobec którego jednostka ludzka nie może być bierną. Jedni wyrażali uznanie dla Walusia: — „Czyn chwalebny, nie ma co mówić! Położy niespożytą zasługę!" Oględniejsi w sądach mówili z powątpiewaniem: — „No, no, zobaczymy". Inni, skrajna lewica — że ich tak nazwiemy — wydrwiwali Ogrodzińskiego, powtarzając: — „Referent zaprowadza pociągi spacerowe między Pińczowem a księżycem".

Panna Aniela, obecnie gorąca stronniczka referenta, poczuwała się do obowiązku bronienia otwartego sprawy komunikacji na wieczorkach tańcujących i balikach. Gromiła ją z tego powodu lekceważąco pani konsyliarzowa mniej więcej tymi słowy:

— Zdaniem mego męża, Ogrodziński jest to konstytucja na wskróś neuropatyczna. Czy pani wie, że taki neurastenik uważa się nieraz za Archimedesa, ponieważ pozostaje pod wpływem halucynacji, czyli omamień?... Któż widział brać grę chorobliwie podrażnionej wyobraźni za proces mózgu normalnego?

Referent przychodził teraz już do apteki codziennie, choć i nie potrzebował pigułek; rozwijał tutaj swój pomysł, a opowiadania o tym, co

w mieście mówią, podniecały go nadzwyczajnie. Gorąco pragnął godnie odpowiedzieć oczekiwaniom takich, którzy pokładali w nim ufność. Jednocześnie ambicja nakazywała mu postawić na swoim, wbrew przekonaniom wątpiących i drwinkarzy.

— Otóż, daję słowo, komunikacja stanąć musi! — tak sobie powiedział zacięty w postanowieniu pan Walenty i zabrał się niezwłocznie do spisania warunków umowy wspólki, które nazajutrz Skrzekowski i panna Aniela podpisali bez najmniejszego wahania.

— Między uczciwymi ludźmi zbyteczne są jakieś wątpliwości, skrupuły — powiedział prowizor, wręczając referentowi egzemplarz umowy, zaopatrzonej w podpisy.

Najgłówniejszy punkt w owej umowie opiewał, że wszelkie wydatki, zyski i straty rozdzielają się między troje wspólników w częściach równych.

Ogrodziński bez straty czasu zajął się następnie wypracowaniem dokładnego kosztorysu, przy czym doszedł do przekonania, że, aby nie zamęczać codziennym kursem nieszczęśliwych zwierząt, wspólka powinna zakupić dwie pary koni. Prowizor i panna Aniela zgodzili się chętnie i na ten wniosek. Upraszano tylko referenta, aby raczył tymczasowo z własnej kieszeni wydatkować, przez co się uniknie drobnych rachunków i uprości sposób ich prowadzenia.

— Ależ ma się rozumieć! — zawołał pan Walenty. — Podstawą naszej współki jest wzajemna ufność i dobra wiara.

Rozrzewnił się Skrzekowski, referent także i przy tej sposobności jeden drugiego serdecznie za rękę ściskał, a w policzek całował.

Z rysunkiem omnibusu własnego pomysłu zwrócił się teraz Ogrodziński do kołodzieja i przy zamówieniu wyliczył z własnej kieszeni zadatek. Współcześnie z kołodziejem rymarz pracował nad uprzężą na dwie pary koni, a Kasztan, faktor, otrzymał polecenie, ażeby zawczasu myszkował, czy jaki okoliczny właściciel ziemski nie ma do zbycia zdrowych i silnych koni zaprzęgowych. Któryś z lepiej zagospodarowanych mieszczan pińczowskich podjął się przygotować dla współki stajnię na cztery konie i szopę na omnibus. Poszukiwano też na wszystkie strony woźnicy, człowieka trzeźwego, dbałego, statecznego, któremu by można było powierzyć za oczy konie i brykę. Kołodziej i kowal pracowali tak pośpiesznie, że jeszcze szopa nie była gotowa, a już jednego dnia Pińczów ujrzał wielką, na szafirowo lakierowaną budę, którą czeladź kołodzieja własnymi rękami zatoczyła przed okna mieszkania referenta. Licznie zebrany tłum z daleka i z bliska podziwiał to zjawisko, a małe dzieci radosnym okrzykiem powitały omnibus komunikacji pińczowskiej.

Podczas oględzin ukończonego dzieła zaniepokoiła pana Walentego myśl:

— A jeżeli się zdarzy pasażerka, nie mogąca znosić dymu papierosów i cygar?

Rzecz prosta, w omnibusie takim muszą być dwa przedziały: dla palących i niepalących. I okazała buda na kołach, odprowadzana przez gawiedź, wróciła do kołodzieja.

— Aj, aj, jaki ja głupi żyd! — mówił teraz Czapnik przy spotkaniu z Ogrodzińskim. — Nu, nie ja jeden!... Mądrzy panowie, katoliki, także nie wierzyli, żeby pan referent zrobił rzecz taką śliczną. Z przeproszeniem pańskim, czy ja mogę powiedzieć słówko jedno?

— Proszę, niech Mordka mówi!

— Jakby pan referent chciał na ten interes pieniędzy, to one będą... Aj, aj, taki śliczny interes!

— Nie potrzebujemy pieniędzy, mój Mordka! — odparł Waluś, chcąc się pozbyć lichwiarza, ponieważ sobie postanowił podczas tej właśnie przechadzki ułożyć instrukcję dla woźnicy omnibusu.

Wprawdzie Skrzekowski dowodził, że się nie obejdzie bez konduktora; ale referent był przeciwnego zdania, co, jak dotąd, stanowiło jedyną kosteczkę niezgody między wspólnikami. Kosztowną posadę konduktora zastąpił dzwonek pomysłu Ogrodzińskiego, zawieszony nad głową furmana, a połączony taśmą z pasażerskimi przedziałami w omnibusie.

— Osoba konduktora — mówił pan Walenty — jest dla wygody pasażerów, którzy i bez niego mogą życzenia swoje przesyłać woźnicy za pomocą dzwonka. Dajmy na to, jeden dzwonek jest sygnałem: stój! Podwójny dzwonek może wyra-

żać życzenie: pośpieszaj! Trzy dzwonki: omijaj wyboje! Cztery: nie pędź koni!

— W czasie podróży — twierdził prowizor — zdarzyć się mogą przypadki, gdzie tylko człowiek inteligentny rozstrzygać może... Bo cóż zrobi, panie referencie, furman, jeżeli ktoś na przykład będzie niegrzecznie natrętny względem dobrze wychowanej kobiety?

Nawiasem mówiąc, ten skrupuł podsunęła Skrzekowskiemu panna Aniela:

— Chociaż należę do współki, nie puściłabym się w podróż takim omnibusem bez konduktora, chyba w towarzystwie któregoś z panów dobrze znajomego.

Referent nie chciał ustąpić, ponieważ swój pomysł dzwonka stawiał bardzo wysoko, a o konduktorze obok dzwonka wyraził się ironicznie:

— Jest to drugi grzyb w barszczu.

I odtąd wystrzegał się starannie dotykać tego drażliwego przedmiotu w rozmowie z prowizorem.

Tak się miały sprawy współki komunikacyjnej, kiedy jednego dnia przed wieczorem wpadł do referenta faktor zadyszany i oznajmił, że niejaki pan Urwański, obywatel ziemski spod Pilicy, ma do sprzedania tęgą czwórkę, którą można kupić bardzo tanio; ale trzeba się śpieszyć, ponieważ ten Urwański jutro rano odjeżdża pod Staszów na pogrzeb swej matki.

Ogrodziński już był wydał wszystką gotówkę, jaką posiadał, przeto pobiegł co tchu do apteki i opowiedział Skrzekowskiemu, o co chodzi, wyraźnie dając do zrozumienia:

— Dotąd ja ponosiłem koszta, teraz kolej na resztę wspólników.

Prowizor skrzywił się jakoś i — jak mówił — poszedł pomówić z panną Anielą. W kilka minut wrócił, miał minę bardzo rzadką.

— Szanowny panie referencie dobrodzieju — mówił, — co tu owijać w bawełnę! Ja i panna Aniela stanowimy dziś już jedność, jesteśmy po słowie... Pierwszemu w Pińczowie panu referentowi to wyznaję ze względu na wielki szacunek... Co się tyczy pieniędzy, cały nasz majątek jest w premiówkach, a tu ciągnienie za półtora miesiąca, może paść główna wygrana i panna Aniela papierów takich z rąk nie popuści... Kobiecie trzeba robić ustępstwa, rozumie to dobrze pan referent dobrodziej. Wszedł nam po części w drogę i ten konduktor.

Osłupiał pan Walenty wobec takiego wycofywania się z interesu swoich wspólników i zawołał:

— Panie prowizorze, przecież między nami stanęła umowa dobrowolna! Konie! Na miłość Boga, konie trzeba kupić!

— No, widzi pan referent dobrodziej, w takiej ważnej chwili i... Prawdziwie, nieszczęścia trzeba!

Zzieleniał pan Walenty i, niecierpliwie drepcąc po aptece, mruczał:

— Jakieś żarciki ze mnie stroją! Ho, ho, ho!

Skrzekowski chciał go udobruchać i mówił:

— Może pan referent zaciągnie gdzieś tymczasem pożyczkę na kupno koni, a ja, słowo uczciwości daję, dołożę wszelkich starań, ażeby to póź-

niej wyrównać, uregulować... Przecież nie chodzi o sumy bajońskie.

— Ja weksli nie poręczam! — odrzekł oprysk-liwie referent.

— Ha, to poręczą wspólnicy... rzecz zwykła we wszystkich spółkach handlowych.

Te słowa podziałały uspokajająco na pana Walentego. Nie tracąc czasu, poszedł do Mordki, który nie umiał ukryć radości z powodu, że może wygodzić „uczciwemu i godnemu człowiekowi".

Lichwiarz zgadzał się jak najchętniej zapłacić panu Urwańskiemu umówioną sumę za cztery konie i wziąć w zamian weksel, podpisany przez troje wspólników, ale z niedowierzaniem wstrząsał głową, kiedy referent upewniał, że spółka spłaci dług najpóźniej za dwa miesiące. Ponieważ Czapnik potrącał sobie procent z góry za cały czas oznaczony na wekslu, przeto Walenty, wiedząc, czym to pachnie, usiłował wymóc termin jak najkrótszy.

— Po co spółka ma opłacać procent, kiedy ma gotówkę i tylko na krótki czas potrzebuje zaciągnąć pożyczkę?

— Nu, pan referent mię zna, wie, z kim ma do czynienia! Ja wezmę procent za sześć miesięcy, a jak ja dług odbiorę za dwa, to zwrócę resztę procentu. Mordka jest zgodny człowiek... o co chodzi?... Dla mnie te kilka rubli nic nie znaczy, dla mnie człowiek znaczy.

Żyd postawił na swoim.

Nazajutrz niezmordowany referent kupił cztery konie; ale panna Aniela nie chciała położyć

swego podpisu na wekslu, a Czapnik tak to objaśnił panu Walentemu:

— Ona jest mądra osoba... ona sobie powiada: „Niech ja zobaczę, jak ten interes pójdzie!..." Ona chce być wspólniczką w zyskach, a straty musi pan referent z własnej kieszeni płacić... Bardzo mądra kobieta!

Uwaga lichwiarza tym bardziej zaniepokoiła referenta, że i o Skrzekowskim wyrażał się Mordka z lekceważeniem:

— Co jemu szkodzi podpisać weksel, kiedy on płacić nie myśli?... Jak on się ożeni, kupi sobie aptekę, to on cały majątek przepisze na żonę! Aj, aj! ja powiadał panu referentowi, że z panem prowizorem jest żaden interes!

Ogrodziński nie mógł oka zmrużyć tej nocy. Świat wydawał mu się być pustynią, w której przebywa jego samotna dusza, ścigana przez gromadę chciwych, drapieżnych wilków. Zwątpił w ludzkość, stracił wiarę w swoje usiłowania, zbladły mu, zmalały wszystkie ideały, poczucie marności wiało nań ze świata. Drobne krople trucizny, z zimną krwią wlanej przez lichwiarza w duszę referenta, rozeszły się podczas nocy — rzec można — po całym organizmie: nad ranem — ból głowy, niechęć do jakiejkolwiek pracy. A tu faktor dobijał się do drzwi mieszkania, ponieważ przyprowadzał z sobą kandydata na woźnicę omnibusu komunikacyjnego. Łuka Krzywoń ze Skowronna sługiwał za fornala w okolicznych dworach, a jak jego świadectwa służbowe opiewały,

był „trzeźwy, zdatny i służbisty człowiek". Czegóż więcej chcieć od woźnicy?

Pamiętny był to dla Pińczowa dzień 15 października, kiedy omnibus wspólki komunikacyjnej po raz pierwszy wyruszał do Kielc sprzed mieszkania referenta. Od rana deszcz padał, wiatr huczał — brzydki dzień jesienny. Chociaż się nie znalazł ani jeden pasażer niepalący, zapełniono jednak wszystkie miejsca obu przedziałów. Z dobroczynnego pomysłu stałej komunikacji korzystała dzisiaj wyłącznie klasa zamożniejszych kupców izraelskich, których nazwiska wpisał pan referent w przygotowany na ten cel „album pasażerów". O cenach stałych nie było mowy; niektórzy z tych podróżników przez pół dnia suszyli Walusiowi głowę, aby wytargować kilka kopiejek — krzyż Pański. Jeszcze więcej kłopotu było z unormowaniem opłaty za przejazd dla takich, którzy nie dojeżdżając do Kielc, wysiadali w Kijach, w Morawicy itd. A co dzikich pretensyj! „Dlaczego taki sam omnibus nie odjeżdża do Działoszyc, Chęcin, Sobkowa, Wiślicy?" I ciągle ta buta gburów: — „ja płacę". Ze względu na znaczną ilość pasażerów, ogromne błoto, no i na pierwszy występ wspólki komunikacyjnej, rozkazał referent założyć dziś do omnibusu pełną czwórkę. Kasztany parskały, biły kopytami ziemię, a Krzywoń, usadowiony na koźle pod dzwonkiem, starannie wygolony, w szaraczkowym płaszczu z peleryną, w kaszkiecie z szychowym lampasem, istotnie wyglądał posągowo. Pomimo deszczu, gromada gapiów oblegała omnibus, a chciwsi wrażeń od-

prowadzali go aż pod górę św. Anny. Ktoś zauważył, że panna Aniela z okna apteki zrobiła ręką znak krzyża za odjeżdżającym omnibusem.

Wieczorem tego dnia poszedł pan Walenty używać przechadzki już nie za mosty na Nidzie, a w kierunku, skąd omnibus miał powracać. Deszcz zaczął padać i referent przyśpieszonym krokiem wrócił do domu. Tym razem nie zabierał się do ulubionego czytania, tylko nasłuchiwał i wielokrotnie doznał zawodu, mniemając, że posłyszany turkot zwiastuje powrót omnibusu. Wsparty na łokciu drzemał, kiedy dobrze już po północy ktoś do drzwi zastukał. Referent otwarł, a widząc przed sobą zmokłego, zabłoconego i na wpół pijanego Krzywonia, rzekł:

— Chwała Bogu, wróciłeś! Droga musi być fatalna, co?

— Oj, toć od samej Morawicy drę na piechty i ledwie ducha czuję w sobie!

— Gdzież konie, omnibus?...

— Konie ponoś kradzione, wyprzęgli mi je przed karczmą w Morawicy i zabrali... Gwałt był straszny, urwanie głowy!

— Człowieku, co ty mówisz?

— Mówię prawdę szczerą! Szczęście moje, żem z takich tarapat duszę uniósł w ciele.

— Jakżeś ty mógł odbiec koni, bryki, które ci powierzono?...

— A juści, miałem czekać! Z takim, co własne konie odbiera, żartów nie ma!

W kilka dni potem przeprowadzała śledztwo policja, a ciągle zwracano się do Ogrodzińskiego

z pytaniem, czy w sprawie kradzionych kasztanów nie podejrzywa ręki Icia furmana.

Minęło pół roku i Mordka zgłosił się do referenta z żądaniem odnowienia wekslu i opłacenia procentu z góry za następne sześć miesięcy.

Zresztą w starym Pińczowie mało co się zmieniło. Tylko, zamiast prowizora, kasjer poręczał weksle referenta, a referent poręczał weksle kasjera i — ma się rozumieć — spłacał jedne i drugie.

MACIEK FUŁA.

A któż tam może z całą pewnością wyjaśnić, dlaczego Macieja Borunia, stróża dworskiego w Wybranowicach, przezwano Maćkiem Fułą?

Podanie miejscowe głosi, jakoby przed laty Boruń spadł z dachu dworu, gdzie go kominiarz używał za pomocnika. Szczęśliwym trafem nie poniósł żadnego szwanku na ciele, i kiedy nadzwyczajnie przerażony spadaniem, podniósł się z ziemi, wydał z siebie po trzykroć dziwny głos: — „Fu, fu, fu!" — coś w rodzaju dmuchania na gorące. Otóż stąd podobno pochodzi przezwisko Fuła, które naszego Maćka gniewało i obrażało w najwyższym stopniu. Można go było sponiewierać słowami, zwymyślać od ostatnich, zelżyć — on nic. Dopiero, jeżeli mu kto powiedział: „Oj, ty Fuło!" — wtedy chłop popadał w straszny gniew i kilkakroć, rozjątrzony, rwał się nawet do bicia.

Ta właśnie pochopność jego do obrazy, do wybuchów szalonych, stanowiła główną zachętę dla różnych mieszkańców Wybranowic, ażeby jak najczęściej drażnić Maćka. Jednego razu Lichacki, ekonom, zamiast „Fuło", powiedział mu „Fajfuło", co doprowadziło stróża do takiej wściekłości, że,

nie mogąc się zemścić na ekonomie, zabił kamieniem kurę i polanem drzewa niemiłosiernie skatował psa podwórzowego, Brysia. Za kurę wytłukły go dziewki i o mało mu oczu nie wydrapały; za Brysia dostał od kuchcika patelnią po łbie i gębie.

W ogóle Fuła nie sypiał na różach, pędził żywot w smutkach, dolegliwościach. Nawet na łonie rodziny nie znajdował wytchnienia po ciężkiej pracy, pociechy po doznanych zawodach i strapieniach. Żona jego, Jaga, znana złośnica i kłótnica, lekceważyła go nadzwyczajnie, a przytem surowo karciła pięścią, warząchwią, miotłą, ożogiem. Częstokroć poskrobał się tylko w bolące miejsca na ciele i głodny, sponiewierany w chałupie, szedł do roboty. Jedynie z sobą samym rozmawiał o dolegliwościach życia, a streszczał to w niewielu słowach:

— Bodaj was siarczyste!

Cała czeladź dworska, współtowarzysze służby, bez wyjątku płci, drwili, naigrawali się z niego, nie dawali mu nigdy dobrego słowa.

Niski, chudy, nadzwyczajnie brudny, obdarty, ociężale łaził na stopach, pokrytych błyszczącym lakierem błota. Włosy, nietknięte przez grzebień, sprawiały wrażenie kupy gliny, dobrze wysuszonej na słońcu. Palce u rąk, tu i owdzie pozbawione paznokci, kulisto pozakończane, obrzmiałe w stawach, były podobne do dziwolążnych kaktusów sfery równikowej. Gdyby kto chciał obnażyć Maćka, przestraszyłby się mnóstwem sińców,

guzów i blizn, które ten człowiek odebrał w zapasach z życiem.

Nie powinno to nikogo zadziwiać, że Fuła nigdy żadnej piosnki sobie nie zaśpiewał i złość go brała, jeśli ktoś śpiewał albo gwizdał:

— A bodaj cię morowe! — mówił wtedy.

Zwierzchnicy jego, ilu ich tam było, uważali stróża za popychadło, zwalali nań wszelką robotę, a każdy łajał, co się zmieści. Spełniał tak liczne obowiązki, że od rana do wieczora był w ciągłej niepewności, do jakiej pracy ma się naprzód zabrać. Tu kucharz, wielki gwałtownik, wrzeszczy jak opętany:

— Drwa rąbać!... Psiapara! stróż taki! śniadania, obiadu, kolacji dla państwa nie mam przy czym gotować!

Jednocześnie klucznica, osa-baba, ciągle wydaje rozkazy, żeby sieczki narżnąć, trawy nakosić dla krów i cieląt. „Bodaj was siarczyste!" Znowu chwila — lokaj pędzi ze dworu, klnie, na czym świat stoi: — „Maciek, zjadłeś sto par diabłów!... Durniu jeden, słyszysz! Jaśnie pani ci każe co żywo na luzaku dymać po listy na pocztę!" — „Choroba! Bodaj was siarczyste!"

No, a tu ze wszystkich najsurowszy, najzaciętszy wróg Maćka, ekonom, aż się pieni i kijem wygraża. Stróż dworski z obowiązku swego powinien obsługiwać pana ekonoma, nastawić mu na czas samowar, oczyścić ubranie, buty, nie mówiąc tam już o sprzątaniu i zamiataniu izby, którą od dwóch miesięcy zawaliły kupy śmieci. „Siarczyste!"

Najgorsze te wszystkie święta uroczyste, co to na dwa albo i trzy dni Maciek musi drew narąbać, sieczki narznąć, trawy nakosić — obrządzić tyle gąb ludzkich i bydlęcych. A zima? Jezus, Maria!... Drew, szczap do tylu pieców naręb i w tylu piecach napal! Człowiek się kurczy, kożucha nie ma, a drugich ogrzewać musi... „Bodaj was morowe!"

Żeby to się chociaż odciąć umiał, to może by mu czasem pofolgowali. Którędy?...

Co tylko drapnął z chałupy, gdzie go sekutnica Jaga sfukała, wytrzaskała po gębie, a tu już wpada nań z kijem ekonom: łup-cup! Ekonom skończył, kucharz zaczyna, potem klucznica, lokaje, kuchciki, dziewki... Przecie z takimi trudno się ciągać po sądach: dopiekaliby człowiekowi jeszcze bardziej. Dostałeś w gębę — miej rozum, spolitykuj i rób swoje, na kawałek chleba pracuj!

Skarżył się raz przed Jagą, że go ekonom srodze poturbował:

— Siarczyste! wątrobę we mnie odbił, czy co takiego! Zabiorę się kiedy i w świat pójdę.

— To u ciebie, gałganie jakiś, kobieta i dziecko rodzone w niczym?... Przed ołtarzem Boga Najwyższego składałeś mi przysięgę na wierność małżeńską, a teraz śmiałbyś mię niebogę rzucić?... Umiesz to ty poszanować jak należy, uczciwą kobietę? W świat mu się iść zachciewa... ooo, alegant! A idź, idź, zatracony urwipołciu! Przecie nie będę płakała po tobie, niemrawcze... Szczęśliwa droga! Leć sobie, kiedy chcesz, na złamanie karku! Mnie zaś co wiąże do takiego garusa?... Żebyś się ty, obiesiu, raz jeden tylko dobrze przyjrzał sobie samemu i zobaczył, do czegoś jest podobny! Przez swoją własną rzetelność żyję z tobą, ty, ty, paskudniku, fuło!... Druga by nie pozwoliła przystąpić do siebie takiemu gnojkowi!

Rozlegały się krzyki Jagi po całych czworakach, a żony różnych służących dworskich powychylały głowy za drzwi swoich izb, aby lepiej słyszeć, co się dzieje.

— Oho, nie na samych krzykach się tu skończy! — myślały ciekawe sąsiadki, pewne, że Fulina lada chwila chwyci w zapale kij albo drapakę i wyjedzie na męża.

Baba precz pytlowała językiem, podniecała się własną mową, coraz ostrzej powstawała na Maćka, który uszy położył po sobie i milczał. Niewiele już brakowało, ażeby od słów przyszło do czynu, jak się tego kazały spodziewać iskrami buchające niebieskie oczy Jagi i policzki całe w płomieniach. Rozżarta baba zbliżała się właśnie do swej ofiary, a potężne ręce, zakasane po łokcie, widocznie wyrażały gotowość pochwycenia Maćka za łeb kołtuniasty, kiedy nagle w okienku, zaledwie przepuszczającym promienie słońca, ukazała się wąsata, brodata a sroga twarz pana ekonoma i zagrzmiał głos jego straszliwy:

— Zjadłeś sto par diabłów, cymbale jeden!... To ty, łajdaku, zamiast być na podwórzu na każde moje zawołanie, w chałupie sobie siedzisz i z babą rajcujesz?

Baba w tej chwili umilkła, a Maciek zerwał się na równe nogi i pędem uderzył w drzwi izby,

wybiegł na podwórze, gdzie ekonom fukał nań jeszcze w dalszym ciągu:

— Gułaju jakiś, nicponiu jeden, dalej, zbieraj nogi, dymaj co tchu pod brodła i rozpędź świnie, co tam bobrują!... I czegóż się namyślasz, kondlu?... Jeszcześ tutaj? Eee, śpiesz mi się, złodziejski portrecie, bo ci zaraz kijem napędzę ochoty!

Dopiero Fuła z kopyta ruszył, po drodze chwycił obgrubny palcat i popędził ku stogom słomy, gdzie w samej rzeczy gromada trzody chlewnej dopuszczała się spustoszenia. Poza dworskimi budynkami stało coś pięć takich stogów słomy, wymłóconej z ziarna. Stróż, szczęśliwy, że uszedł rąk Jagi, rączo, z zapałem poskoczył między świnie, które pogrążyły swe łby w brogach, a tyły podały na zewnątrz, i jął je nielitościwie z całej siły grzmocić. Połamał kij na twardych grzbietach, a niewiele wskórał, gdyż uparta nierogacizna, odpędzona od jednego stogu, biegła czym prędzej do drugiego. „Bodaj was siarczyste!" — pomrukiwał Maciek. Znalazł sobie teraz pod brodłem potężny kołek z twardego drzewa i hajże z nim na świnie. Dopadł do pierwszej lepszej sztuki — łomot raz, łomot drugi: świnia w kwik, powlokła nogi za sobą, przysiadła na tyle i kwiczy wniebogłosy. Fuła popatrzył na swą ofiarę: — „Siarczyste!" Przetrącił wieprzka karbowniczki, przez co znacznie ochłódł jego zapał. Baba będzie „pomstowała", nigdy mu tego nie przebaczy. „A cóżem ja krzyw? — myślał sobie — przecie mi okumon kazał..." Ta myśl dodała stróżowi odwagi; znowu się rzucił na świnie, żerujące przy

następnym stogu. Walił kołem, co się zmieści, ciągle w nadziei, że on sam „nic nie krzyw, skoro okumon kazał". Naraz od silnego ciosu zatoczyła się niewielka świnka, napiętnowana czarnymi łatkami, i kwikiem poczęła wtórować wieprzkowi karbowniczki. „Morowe!..." Już teraz nic nie pomoże, że okumon kazał: stróż przetrącił nogę swojej własnej śwince, czego mu Jaga nigdy nie przebaczy. Opadły Maćkowi ręce, zaniechał walki z nierogacizną i patrzył, patrzył za świnką, która chwiejnym krokiem, żałośnie pokwikując :— „ą-fit, ą-fit", zdążała do domu, jak gdyby ze skargą na swą ciężką krzywdę.

„Siarczyste! Może lepiej dopaść, dobić bestię, zakopać, żeby Jaga nie wiedziała, co się stało". — Tak myślał Fuła i kto wie, czy ze strachu przed żoną nie byłby się dopuścił świnkobójstwa. — „Czy to raz zginie we wsi jaka sztuka gadziny?... Ukradli, i koniec".

Wtem od strony stodół ukazała się wyniosła postać pana Lichackiego, ekonoma, z fuzją pod pachą, z białym wyżłem przy nodze. A tu świnie, jak bobrowały, tak bobrują w stogach.

„Bodaj was morowe!..." — Dreszcze zimne przeszły Maćka, który sobie z góry już wyobrażał, jak go to ekonom w kark „trzaśnie", o ziemię grzmotnie, nogami skopie. Wgramolił się co tchu na wierzch brodła, wygrzebał sobie tam jamę i w niej jak kret dał nura.

Nadszedł ekonom, upatruje — nigdzie ani śladu Fuły; tylko wieprzek karbowniczki słabym już teraz głosem stęka: — „of, of", a inne świnie,

mlaszcząc, żerują około brodeł. Nikt w całych Wybranowicach nie umiał tak rzetelnie nakląć, nawymyślać, jak pan Lichacki.

— Maciek, psubracie! Maciek, złodzieju spod ciemnej gwiazdy!... Gdzież się zaś podział ten fuła?

Daremnie klął, wrzeszczał.

Stróż myślał: — „Niegłupim ja ci się odezwać!" Koniec końców, ekonom dał karnemu wyżłowi rozkaz:

— Bekas, pyf świnie! Huź-go, huź!

Pies na to tylko czekał. W okamgnieniu rzucił się na gromadę szkodników z namiętnością wyżła rasowego: szarpał za uszy, za ogony, macał zębami po udach, po brzuchach, i tak całe stado gnał przed sobą przez pole, czego Maciek w żaden sposób nie mógł dokazać. Ażeby Bekasowi dodać tym większej ostrogi, Lichacki wypalił z obu luf w powietrze, co sprawiło wielki popłoch nie tylko w stadzie nierogacizny, ale i wśród bab w Wybranowicach. Zrobił się gwałt ogromny.

— Okumon do świń naszych strzela! — wołano na wszystkie strony i baby gromadnie wyruszały na ratunek ukochanej gadziny. Naturalnie, wina okaleczenia obojga świń, popełniona przez Maćka Fułę, spadła wyłącznie na Lichackiego, który przecież nie na próżno dwa razy strzelił. Oj, złorzeczonoż mu za oczy! Atoli zagrzebany w słomie Maciek nic a nic o tym wszystkim nie wiedział i teraz już nie mógł się zasłaniać: — „Ja nie krzyw, okumon mi kazał!"

Cóż, że kazał, kiedy musiał sam świnie odpędzać od brodeł? — „Bodaj ich siarczyste!"

Zawzięta karbowniczka, srogi ekonom i ta Jaga z piekła rodem — straszliwa grupa! — tak udręczyli umysł Fuły, przesuwając się nieustannie w groźnych postawach przed oczyma jego duszy, że nareszcie zasnął. I we śnie trapiły go przerażające widma, darły za łeb, dusiły za gardło okropne mary, wytworzone przez lękliwy, zafukany umysł chłopa. Kiedy się ocknął i podniósł do góry głowę, widział niebo oblane czerwienią świtania i ostatnie gwiazdki, mdłym blaskiem połyskujące. Z wysokości brodła spostrzegał dwór, stodoły, czworaki, domek, w którym mieszkał ekonom, budy dla psów naokoło lamusu. Myśli, które mu się teraz snuły po głowie, były mniej więcej takie:

„O, Jaga pewnie klnie, wydziwia! A niechta... Musiała się już wczoraj setnie ściąć z karbowniczką o tego potrąconego wieprzka... Kto też psy wczoraj na noc z łańcuchów pospuszczał i dziś powiąże?... Ciekawym, kto ekonomowi buty wyczyści, albo do kuchni drew narąbie, z listami na pocztę pojedzie i inne takie?... Siarczyste! Miałbym ja bobu, żebym się pokazał!"

Skrobał się to w głowę za uchem, to znowu drapał pazurami po plecach, ziewnął przeciągle raz, drugi, i nareszcie zlazł z brodła.

„Oj, źle człowiekowi w tych Wybranowicach! Kaj indziej musi jest lepiej..." — pomyślał i puścił się ścieżką ku wsi Zagajowu. Ale z daleka tylko

popatrzył na tę wieś i polami, łąkami, poszedł do wsi Zagórza, a stamtąd jeszcze dalej i dalej.

„Siarczyste! nie oprę się, aż za dziesiątą granicą! Co mnie zaś wiąże w Wybranowicach?"

Kto go tam wie, jak się po drodze żywił i gdzie przepadł bez najmniejszego śladu?

Przez cały tydzień oczekiwano we dworze jego powrotu, a potem przyjęto innego stróża. Teraz wszyscy mówili: — „Nowy stróż ani się umył do Maćka Fuły! Oo, tamten był chłop robotny!"

Jaga musiała się na łeb na szyję wynosić z dworskich czworaków, ustąpić mieszkania nowemu stróżowi i jego rodzinie.

„Choć z lada jakim chłopem, zawdy lżej babie wyżyć, niż samej."

Osiadła na wsi w jednej gospodarskiej chałupie jako komornica, a musiała odtąd dzień w dzień chodzić po zarobkach, ażeby wyżywić siebie i dziecko. Przez jakiś czas wymyślała przed ludźmi, wyklinała ogromnie Maćka; jeno nic jej to nie pomagało.

Dopiero ktoś jej powiedział:

— Ej, dajcie pokój, samiście go przecież z domu i z Wybranowic wyżarli! Do czego to podobne przeklinać człowieka, który jest już może teraz na sądzie boskim?... Toć Fuła mógł się z desperacji utopić albo powiesić!

Nie wyrzekała od tego czasu na męża, a nawet odkładała z zarobku co raz to kilka groszy, chciała dać na mszę świętą, jeżeliby dusza Maćka potrzebowała przypadkiem jakiego ratunku.

Minęło z górą trzy miesiące od czasu, jak przepadł stróż dworski. Zaczęła się zima i właśnie były pierwsze śniegi, kiedy pod ten czas ktoś podpalił stogi słomy i wszystkie zgorzały do szczętu, ile że się zerwał srogi wicher, który pożarowi dodał mocy. Zaczęli ludzie z tego powodu robić różne domysły:

„Co komu mogły takie brodła słomy zawadzać?... Gdyby zgorzały na przykład stodoły, stajnie, obory, dwór, no to, — ma się rozumieć — przez zemstę; ale brodła wymłóconej słomy?... Jaka tam dla dziedzica szkoda!"

Obradowali tak, a nikt nie umiał podać rzetelnej przyczyny owego pożaru. Tylko dopiero Onufer, jeden stary parobek, rataj taki, który służył we dworze przy wołach, mądrze to wszystko sobie „wykarkulował" i ludziom jasno wyłożył.

— Pamiętacie wy — powiada — ono strzelanie pod brodłami, co to po nim wieprzek karbowniczki i świnka Fuliny zostały kalekami?

— Ma się wiedzieć, pamiętamy! Któż by zaś nie pamiętał? Jeno cóż to ma do rzeczy?... Toć przecie od tamtego strzelania brodła nie zgorzały! Ho, ho, kiedy to tam było!

— A może i zgorzały — zawołał Onufer, chytrze mrugając oczyma, — bo jeśli na przykład chodziło komu o to, żeby owe brodła poszły z dymem?... Nu, więc podkurzył, i koniec!

— Chybaby taki człowiek miał zawziątek do dworu... Tyla dlaczego podpalił marne brodła słomy, kiej mógł jaki godny budynek?

— Dlatego, że ogień zawraz ze słomą zatarł także rzecz jedną, o której się ludzie teraz nie dowiedzą!

— Ej, gadanie! Jaką tam rzecz miał zatrzeć?

— Hm, żebym do mądrych głów mówił, jużby mię zrozumiały! Widzicie, gdybym ja, nie przymierzający, zabił człowieka i dla niepoznaki skrył trupa w brodle słomy, to bym się zawdy lękał, żeby ta moja sprawka na wierzch kiedy nie wyszła, jako kryminał za to czeka, kajdanki... Ale jakby brodła słomy zgorzały, nikt by się tam już i nieboszczyka nie domacał.

— Bójcież się Boga, Onuferku! co wy powiadacie!

— Rzetelnie, szczerze mówię! Kto głupi, ten nie rozumie, co ja mówię.

— Wy niby dokumentujecie, że w brodle słomy schował ktoś zabitego?... Czy to tu, w Wybranowicach, zabili kogo ostatnimi czasy?

— Oj, wy mazgaje, mazgaje! A gdzież się spomiędzy nas podział stróż dworski, ten Maciek Fuła?

— Fuła? Fuła?... Odbieżał ponoś baby, dziecka i w świat sobie nicpoń poleciał.

— Juści, w świat poleciał!... Rychtyk, Fuła był na to podobny! Niezdara taki żony by odbieżał.

— Czemu zaś nie? Jaga okrutnie zła osa, dogryzała chłopu, że już lepiej nie trza: w calutkiej wsi każdemu wiadome rzeczy.

— Dogryzała z prawa swego! Pan Jezus mu ją dał za babę... O dokuczaniu Jagi to pamiętacie, a zapomnieliście, co z Fułą wyrabiał okumon, któ-

ry, wiadomo, umie doskwierzyć! Ja zaś nic, jeno wręcz pytam: — kaj się podział Maciek Fuła?... Widzicie, nikt z was nie wie! Pamiętajcie sobie, że Fuła przepadł bez śladu zaraz po tym okumońskim strzelaniu!

— O, rany boskie! Chcecie niby, Onuferku, powiedzieć, że go Lichacki zastrzelił i trupa w słomie zagrzebał, a potem brodło słomy sam podpalił!... Święta prawda! Wszystko się galanto wiąże, schodzi.

— No, no, tylko wy mi nie podsuwajcie, żem ja to powiedział! Sami wyraźnie powiedzieliście: zastrzelił, skrył w słomie, podpalił... Żeby się tu kto nie ważył podawać mię w sądzie za świadka! Ten niech świadczy, kto mówił: zastrzelił, skrył, podpalił!

— Tak, tak, Bartosik fornal powiedział! — zawołało kilka głosów.

— Jako żywo, nie powiedziałem! — wypierał się Bartosik.

— Łżesz, boś powiedział! Wszyscy słyszeli — fuknął Onufer.

— Ee, ty paliwodo, stary wykrętaczu, sam oto nałżesz, napytlujesz pyskiem, a potem w drugich wmawiasz!

— Mam na to świadków, żeś ty powiedział!

— Słuchaj no, ty mydłku, wolarzu, nie stawiaj się tak! Z fornalem żartów nie ma!

— Ho, ho!... Budę mi na rzepie spalisz! Lepszych durniów widziałem i...

Jeszcze Onufer nie skończył, a już od Bartosika oberwał policzek, że mu czapka ze łba na

ziemię spadła. Teraz rataj poskoczył do fornala, chwycił go lewą ręką za gardło, a prawą po łbie grzmocił. Bijatyka, wrzawa ogromna na podwórzu sprowadziła tu Lichackiego, który począł batogiem łupić kolejno to Bartosika, to Onuferka, dopóki się nie puścili.

— O co im poszło? — wybadywał świadków Lichacki i bardzo się zaciekawił, kiedy któremuś z parobków od niechcenia z ust wypadło:

— Toć rychtyk o pana okumona!

Podczas ściślejszego śledztwa Onufer zeznał, że Bartosik oskarżał ekonoma o zastrzelenie Maćka Fuły, ukrycie trupa w słomie, a następnie o podpalenie brodeł. Z kolei Bartosik wytoczenie całego tego oskarżenia przypisywał Onufrowi, a obecni temu zajściu świadczyli już za jednym, już za drugim, stosownie do sympatii. Lichacki bardzo to wziął do serca, że podwładni ośmielają się takie czyny mu przypisywać, ostro zgromił rataja i fornala, a co najgorsza, wypowiedział im służbę we dworze.

— Gałgany jedne, nicponie, poszli wont, kiedy kawałka chleba nie umiecie uszanować! Stu takich durniów dostanę na wasze miejsca.

Diabelnie spadły im nosy na kwintę i Bartosik przeklinał Onuferka, jako sprawcę swego nieszczęścia; Onufer znowu przed każdym, kogo spotkał, oskarżał i czernił Bartosika. Obaj, uwolnieni ze służby, mieli dosyć wolnego czasu, aby się wzajemnie drażnić, podjurzać.

Swoją drogą w całej wsi gruchnęła wieść, że ekonom zastrzelił Fułę, ukrył w brodle, a potem

brodła podpalił. Tylko o tym teraz wszyscy rozmawiali. Jaga z bekiem i ogromną lamentacją obiegała chałupy i budziła w Wybranowicach powszechne współczucie dla siebie, — oburzenie, nienawiść dla Lichackiego. Doszło do tego, że już nikt nie wątpił o morderstwie, dokonanym na Maćku przez ekonoma.

Wśród takiego nastroju umysłów Onufer i Bartosik, miotani wzajemną zawziętością, znowu jednego dnia skoczyli do siebie, wzięli się za czuby. Tym razem nie skończyło się na policzkach, które stanowią tylko obrazę honorową, Onufer bowiem zrobił Bartosikowi dziurę, a Bartosik potrącił Onufra i jakoby odbił w nim wątrobę. Zakrwawieni, poranieni przeciwnicy co tchu podążyli do miasta, gdzie każdy z nich pozyskał od lekarza świadectwo na swoje rany, a potem obaj wnieśli do sądu skargi, które im napisał jeden i ten sam pisarz, a na świadków powołano różnych ludzi z Wybranowic.

Mniejsza o to jak się skończyła sprawa Onufra i Bartosika. Nas tu głównie obchodzi okoliczność, że wszyscy świadkowie, a także rataj i fornal, zapamiętale występowali przeciwko ekonomowi. Z tego powodu zawikłano Lichackiego w bardzo przykry proces karny o zabójstwo Fuły i podpalenie brogów słomy. Zarządzono śledztwo na gruncie, gdzie wśród perzyn słomy znaleziono istotnie jakieś kości, a o niektórych z nich rzeczoznawcy orzekli, że mogą pochodzić z ludzkiego szkieletu. Przytem zgodność w zestawieniu okoliczności, w zeznaniach żony i licznych wiarogod-

nych ludzi, świadczyła nieubłaganie przeciw ekonomowi, który też, jako morderca, dostał się do więzienia. Sarkała na to Jaga, ponieważ się spodziewała otrzymać za zabitego męża wynagrodzenie pieniężne, a tu Lichacki był goły jak święty turecki.

Minęło półtora roku czasu. Ludzie zapomnieli o Maćku Fule i o jego mordercy. Bartosik i Onufer, dawno już pojednani, znowu służyli we dworze pod nowym ekonomem. Do Jagi — że to była kobieta zdrowa i robotna — zalecał się jakiś parobek i wyrażał codziennie wzrastającą chęć, ażeby wdowie zastąpić nieboszczyka Maćka. Baba przyciągała do siebie na różne sposoby owego zalotnika, co się rwał tak ochoczo do obowiązków wołu roboczego. Obojgu pilno było do tej żeniaczki i nareszcie postanowili dać na zapowiedzi.

Było to w niedzielę po sumie. Wybranowice roiły się ludem, powracającym z kościoła do domów. Niektórzy w gromadkach przystawali po drodze, aby pogwarzyć, inni siadali na przyźbach, na płotach, jeszcze inni wstępowali do karczmy, przed którą było także rojno i gwarno.

W tym czasie właśnie szedł sobie drogą jakiś obcy człowiek, ubrany w surdut, spodnie na butach, kaszkiet, a co każdego głównie uderzało — świecąca dewizka od zegarka wisiała mu na brzuchu. Bardzo starannie wygolony, wystrzyżony, w kołnierzykach od białej koszuli, z laską w ręce, wyglądał na „miastowego" raczej, niż na chłopa.

Ha, przez Wybranowice idzie przecie gościniec do miasta i do fabryki cukru, to nic dziwnego, że różni tacy przechodzą!... Drugi może po dniu i przepatruje, żeby w nocy psotę jaką ludziom uczynić, a najgorsi tacy surdutowi...

Ale ten przechodzień czegoś się wszystkim ogromnie przyglądał, jakby znajomym. Szedł „fórt" drogą, a co kogo spotkał, brał się za daszek kaszkieta i mówił:

— Niech będzie pochwalony!

Wiadomo, u takich jest w modzie, żeby za wymówieniem boskiego słowa albo przed świętą figurą nigdy uczciwie nie zdjąć czapki. Niejeden nawet, kiedy robi znak krzyża świętego, wygląda rychtycznie, jakby sobie muchy z gęby spędzał. Nieznajomy, jak raz, spotkał na drodze Onuferka i Bartosika, którzy się teraz, po tamtych gniewach, ogromnie bratali, szli po przyjacielsku obok siebie i rozmawiali o pierwszej zapowiedzi, co przez nią dzisiaj wdowa Jaga Fulina i kawaler Jasiek Bytoń spadali z ambony.

— Mierzi ją, szelmę, wdowieństwo! Bez chłopa wytrzymać nie może — mówił Bartosik.

— Nie dziwota, że ona za chłopem goni: będzie z bachorami zżerała, co chłop zarobi! Ale ten Jasiek głupi, zawziął się do baby jak Żyd do tańca! — odrzekł Onufer.

Na te słowa właśnie zbliża się do nich nieznajomy i powiada:

— Moi ludzie, co tu u was nowego słychać?

— Jak to, u nas?... Czego zaś panu potrzeba? — pyta Onufer, uważając sobie z owej dewizki świecącej od zegarka, że takiemu chyba „panować" wypada.

On zaś ciągle im mówi przez „wy".

— Moiściewy, chciałbym się oto dowiedzieć, czy tu w Wybranowicach jest teraz tak, jak było dawniej...

— Któż może wiedzieć, o jakie odmiany panu chodzi... Różnie się pozmieniało.

— Na ten przykład, czy też tu są jeszcze rządy Lichackiego?

— Lichackiego?... Ani dymu, ani popiołu z jego rządów!...

Onufer chciał coś jeszcze powiedzieć, ale go Bartosik w bok szturchnął, dając do zrozumienia, że z obcym zawsze lepiej mieć się na ostrożności: strzeżonego Pan Bóg strzeże.

I już potem tak z nim rozmawiali, jak z kobyłą w błocie — ni to, ni owo.

Nie dowierzaj nikomu, a nikt cię nie zdradzi.

Dopiero ów nieznajomy pojął widać, że ich trudno za język pociągnąć, i tak się odzywa:

— Przypatrzcie mi się jeno dobrze, toć ja swojak z Wybranowic!

— Kajsik znam, tyla nie baczę, kaj... Pewnikiem powinowaty, albo przyjaciel pana Lichackiego, który też stąd pochodził, syn kucharza dworskiego?

— Oj, ludzie, a gdzież wy macie oczy? Przez tyle lat służyłem z nimi i nie pamiętają!

— Rany Boskie! dyć to Maciek Fuła, stróż dworski! — wykrzyknął Bartosik, uważnie oglądając przybysza. — Człowieku, to ty żyjesz?

— Juści żyję, skorom jeszcze nie umarł!

— Psiapara jeden, tak ci się wystrychnął, przekabacił na ciaracha, żem mu aż „panować" musiał!... Bodajże cię! — zawołał Onufer.

Uściskali się teraz, dali sobie gęby, a Bartosik powiada:

— Jezu Nazareński, co też to za harmider będzie we wsi! Toć ciebie tu, człowieku, wszyscy opłakali, nabożeństwa poszły za twoją duszę; różnych zaś ludzi ciągali po sądach i anibyś się domyślał, co za gwałtowanie było!... Psiakość, a on sobie w najlepsze żyje! Juści powinni chyba zwolnić teraz, wypuścić z kryminału.

— Przestańże barłożyć, skończ te bajdy! — wtrącił Onufer. — Nie widzisz, że człowiek zdrożony? Cóż mu mamy tak zaraz z kopyta łeb kotłować? Skoro już jest między nami, to on się tu wywie o wszystkim po kolejce.

Fuła widocznie chciał dodać sobie większej powagi, wyjął z kieszonki srebrny zegarek, — patrzał, która godzina, i pomrukiwał:

— Hm, Lichacki z Wybranowic wyfrunął! Bodaj go siarczyste!... Musi teraz służba przy dworze lżejsza!

Schował zegarek, wyjął czerwoną chustkę, obtarł nią nos, obdarzył rataja i fornala papierosami, sam także zakurzył, i puszczając kółka dymu, spytał:

— No, a co też mówiła Jaga, kiej zmiarkowała, że mnie nie ma?

Obaj chłopi spojrzeli na siebie porozumiewawczo, jak gdyby jeden drugiego zapytywał wzrokiem:

— Czy mu powiedzieć o zapowiedziach jej z Jaśkiem Bytoniem, czy dać pokój?

Onufer, że to ogromny spryt miał w głowie, od razu wywinął koziołka i zagadnął:

— Macieju, opowiedzcie nam też, jak się to stało, żeście wyszli oto na takiego, co i z miny i z przyodziewku, wyrżnij kacie, szlachcic?

Przez „wy" mu teraz mówił, tykać coś nie śmiał — pewnie z przyczyny tego zegarka, chustki do nosa, papierosów. Fuła jeszcze bardziej podrósł, kiedy spostrzegł, że się coraz nowi ludzie dokoła niego cisną, a kto tylko przystąpi, zapytuje z ogromną ciekawością:

— Skądże się tu wziął ten obcy, pan jakiś? Czego on chce?

Dopiero Bartosik szczyci się przed każdym i na pytania odpowiada:

— Ja go pierwszy poznałem, słyszycie... ja!... Przecie to nasz Maciek Fuła! Z tamtego świata wrócił do Wybranowic! Popatrzcie no, jaki chwat!

A ludzie się dziwią, porozdziawiali gęby, powytrzeszczali oczy, opatrują człowieka na wszystkie strony, jak gdyby go zjeść chcieli.

— Ooo, rety! Maciek Fuła, alegant taki! To on ma być niby ten sam, który zawdy jedno mawiał: — „Bodaj was siarczyste!" Święta prawda, rychtyk takutenieczki nasz Fuła. Jeno skąd na nim szlacheckie stroje?

Nic dziwnego, że Maciek zambitniał; pachniały mu honory, uważał się teraz za główną osobę w Wybranowicach, pomiędzy swoimi. Był to niby ten, a taki zupełnie inny Fuła. Kiedy go ludzie zarzucali pytaniami, on sobie poprawił kaszkiet na głowie, jedną ręką bok podparł, drugą się wspierał na lasce i tak przemówił:

— Krótko i węzłowato wam powiem o sobie, moi ludzie. Źle mi tu było w Wybranowicach: lada kto sklął, sponiewierał człowieka... siarczyste! Wziąłem i poszedłem do dalekiego kraju. Dąbrowa się nazywa, huta taka, co w niej pieniądze tylko i żelazo, rozumiecie? Tam człowiekowi za każdy krok rublami sypią, jest za co zjeść, wypić, użyć sobie, ooo! Nie tak, jak w Wybranowicach... siarczyste!

Stuknął laską o ziemię i zapytuje, gdzie Jaga mieszka. Kiedy mu powiedzieli, że w takiej a takiej chałupie, puścił się teraz w tamtą stronę i z nim szła cała gromada narodu. Ciekawość ogromna, co będzie.

— Juści po pierwszej zapowiedzi Jaga się pewnikiem raczy z Jaśkiem Bytoniem — szepnął Onufer Bartosikowi na ucho.

— Na powitanie gotów się Maciek z babą poczubić.

Ciżba ludu przystanęła z daleka, a Fuła poszedł do żony. Wchodzi, patrzy — Jaga siedzi z kawalerem, trzymają się za szyję. Nie poznali go wcale. On nie zmilczał, od razu się zaperzył i z góry krzyknął:

— Cóż to znowu nowego?... Kto śmie włazić w moje gniazdo?

I po swojemu zaklął strasznie od siarczystych. Jaga struchlała, pomyślała sobie pewnie:

— Chyba duch nieboszczyka Maćka!

Kawaler jej jeszcze bardziej stchórzył i upatrywał tylko chwili sposobnej, żeby we drzwi buchnąć. Fuła idzie prosto do Jagi, a strasznie źle mu z oczu patrzy.

— Takaś to ty matka dzieciom? — powiada. — Siarczyste! Czym ja ciebie, szelmo, po to pojął, żebyś się z parobkami ściskała?

Mówiąc te słowa, lunął ją laską przez plecy, aż się przegięła; powtórzył — i kiedy spostrzegł, że baba ani mru-mru, dopiero ją zaczął laską grzać na dobre. Wyglądał jakby nie tamten dawny Fuła, ona — jak gdyby zupełnie inna Jaga. Miał jeszcze ogromną ochotę dać odprawę Jaśkowi; ale parobek, widząc, co się dzieje, wziął nogi za pas i drapnął; narobił z siebie śmiechu ludziom, wystającym na drodze:

— I zapowiedź twoja wyszła i błogosławieństwo małżeńskie dostałeś! — wołali.

Od tego czasu przezwali go w Wybranowicach Jaśkiem Zapowiednikiem, co mu pozostało już na całe życie. Z przyczyny zalotów do Jagi, niektórzy nazywali go także Jagarzem.

Było teraz ludziom markotno, że Lichacki, jako człowiek niewinny, wyjdzie z więzienia i najniezawodniej będzie się chciał zemścić za swoją krzywdę. Szczególniej też dużo strachu się najedli Onufer i Bartosik, którzy pierwsi narobili

gwałtu w Wybranowicach. Tymczasem dzisiejszy Lichacki był tak podobny do tamtego, jak niebo do ziemi. Zrobił się z niego człowiek spokojniuteńki, dobry jak owieczka: nie klął, nie wymyślał, nie dokuczał nikomu.

Maciek znowu przyjął we dworze służbę, był stróżem jak dawniej, a miał teraz ogromne łaski u ekonoma. Ludzie też przestali nim pomiatać, mawiali do niego „Macieju" i nikt mu nigdy już nie wymyślał od „fułów". Ale największa zmiana zaszła w postępowaniu Jagi. Zupełnie jak gdyby kto ręką odjął złość od tej kobiety. Dawniej bez żadnej przyczyny z góry wsiadała na chłopa i często gęsto przylepiła mu co nawet, teraz mowy nie było o takich zajściach domowych.

Zmienił się także i Maciek; roboty swoje odrabiał spokojnie jedną po drugiej, a rzadko kiedy już przeklinał: — „Siarczyste!"

Jednego dnia spotkał się na podwórzu z Onuferkiem i powiada:

— Czy uważacie, że teraz w Wybranowicach całkiem co innego?... Przedtem człowiek nie miał u nikogo miru, miejsca sobie na wytchnięcie nie mogłem znaleźć...

— Ha, dopóty psa biją, dopóki się nie postawi i zębów nie pokaże! — odparł Onufer. — Daliście ludziom naukę i przez to w Wybranowicach są zmiany.

— Jak to, ja?... Przyśniło wam się chyba, Onuferku!

— Lichacki dopiero za waszą sprawą dowiedział się, że za rozbijanie, gwałtowanie, przeklinanie ludzi czeka go pokuta. Jaga dostała pamiętne, poznała, co znaczy chłop w chałupie, i nauczyła się raz na zawsze moresu. No, a reszta zobaczyła przecie, jako nie można poniewierać takiego człowieka, który z próżnymi rękoma wyszedł z domu, a wrócił w surducie, w kaszkiecie i przy zegarku... pokazał rozum w głowie.

ŻYWOT BELDONKA.

I.

Beldonek, który taki kawał świata obszedł, Jasną Górę oglądał, miał teraz uważanie należyte w Balicach, a z obyczaju każdemu się podobał. Niespełna dziewięciolatek, nad wiek był mądry. Przechodzi kto drogą, on Boskim słowem zamawia. Czy go o co bądź zapytać, czy z nim pogwarzyć, chłopiec umiał się zawdy rzetelnie pokazać. Więc stryj jego, Matus i stryjna, podawali go za przykład jedynakowi swemu, Wojtusiowi, który piąty rok życia dopiero co skończył.

— Kieruj się, smarkaty, zapatruj na Beldonka, jeżeli czym godnym masz potem zostać! Nie patrz na takich, u których pstro we łbach, dla zgryzoty ojca i matki!

Wojtuś już bez tego namawiania przywiązał się bardzo do swego stryjecznego brata — i tak za nim wszędzie łaził, że go dzieci we wsi przezwały Beldonkowym Ogonkiem. Pasterze w Balicach ułożyli nawet śpiewkę:

Gdzieżeś ty, Beldonek,
Podział swój ogonek?

Już to tam Matus nie był do pochwał skory, a Beldonkowi musiał przed ludźmi sprawiedliwość oddać, kiedy do tego przyszło.

— Łaskę u Pana Boga wyprosiła mu widać na tamtym świecie nieboszczka matka, a może to sobie i sam wymodlił, ile że nabożeństwa śpiewanego i szeptanego więcej u niego w głowie, niż w drugiej książce.

Stryjna to go tam niekoniecznie lubiła przed ludźmi chwalić — że to matka zawsze rodzone dziecko najwyżej stawia — ale mu rada była, bo się jej wysługiwał lepiej prawej ręki. Usłuchane, dobre, potulne, a mądre takie i robotne dziecko — niech się schowa drugi parobek-spychacz. Mogła temu chłopcu całe gospodarstwo oddać pod opiekę i spać spokojnie w pewności, że się z jego winy nic złego nie stanie. Wszystka rogacizna, konie, doskonale znały Beldonka; głosem mógł każdą sztukę do siebie przyzwać, a kiedy to do jego ręki przyszło, on je zawdy pogłaskał, czy też kawałkiem chleba posilił. Dziwili się ci, co to widzieli, i mówili:

— Uroki jakie zadaje gadzinie ten chłopak, czy co takiego!

A psy w Balicach tak go znały, że na zawołanie jego każdy z nich pędził, skomlił z radości, ogonem merdał, ręce dziecku lizał.

— Ja się żadnego zwierzęcia nie boję — powiadał Beldonek. — Żeby tam najgorszy pies, to mój przyjaciel!

Ogromny statek miał w głowie i rozumienie. Kiedy się z czym odezwał, aż miło słuchać. Bywało: na błonie lecą pasterze, wykręcają z wierzb wróble gniazda, a tu Beldonek między nich wpada i mówi:

— I nie żal wam też psuć tego, co Pan Jezus postwarzał? Posłuchajcie no, jak was żałośnie ojciec i matka tych piskląt skamlają o litość: — „Puść nasze dzieci, puść!" A potem fruną ze skargą na was do Ojca Wszechmogącego...

Znowu innym razem korciło go, kiedy rozpustne chłopaki, pędząc bydło, biczami strącali w cudzych sadach wiszące ponad płotami śliwki, gruszki i jabłka.

— Krew mi ze wstydu bije do głowy! Wolałbym, żebyście mię biczami wytrzaskali!... Brr, jak też może przejść przez gardło taka kradziona gruszka!... Swego nie dałbyś, uchowaj Boże, a cudze bierzesz!

Był tam w Balicach gospodarz jeden, Biernat, który około pszczół chodzić umiał; znał się na bydlęcych chorobach i na tym, co, jak, kiedy w sadzie robić należy. Temu Beldonek ogromnie się spodobał.

— Franka — mówił do swojej kobiety — zestarzeliśmy się oto, a nie mamy dzieci! Żeby takiego sierotę, jak Beldonek, przygarnąć, byłaby zasługa przed Panem Bogiem... Na ludzi wyszedłby.

— Jemu co po naszym przygarnięciu? U Matusa jest na opiece, a po matce został majątek: grunt, chałupa i trochę gadziny. Czy taki łaski naszej potrzebuje?

Biernatowi chodziło o to, że po jego śmierci w poniewierkę pójdą pszczoły, drzewa w sadzie, których z roku na rok przez całe życie przysparzał. Upatrzył sobie chłopca i gotów był wziąć

za syna. Spotyka nieraz Beldonka, zmawia go na ten a ten dzień do siebie:

— Przyjdź, — powiada — będę podbierać pszczoły — zobaczysz! Nie bez tego, żeby ci też jaki plasterek miodu nie kapnął; a smaczne — prawda?...

Innym razem sprowadzał go do sadu, kiedy wypadło strząsanie z drzew gruszek, jabłek, śliwek, i opychał chłopca prześlicznym owocem.

— Widzisz — mówi — wszystko to sam własną ręką sadziłem, szczepiłem!

Chłopiec był ciekawy, a Biernat lubił mówić o swojej robocie, pokazywać co umiał, przeto Beldonek nauczył się niejednej rzeczy od niego.

Bardzo się zadziwił Matus, kiedy raz na wiosnę spostrzegł, że chłopiec szczepi drzewka w sadzie.

— Uważasz ty, Hanka — mówił do żony — co za pomyślenie dał Pan Jezus temu dziecku? Tyle lat jestem gospodarzem, a nie wiem, czym trzy drzewka posadził...

— Jeszcze tam nie wiadomo, czy się później nie zepsuje — odrzekła Matusowa. — Dzieci takie przemądrzałe zawczasu, głupieją potem pod starość... Ciebie, widzę, cudze dziecko więcej obchodzi, niż własne.

Robiła się zazdrosną stryjna o to, że ludzie o Beldonku mówią i tak go lubią, a ona by wolała, żeby na jej Wojtusia baczyli. Cóż, kiedy Wojtuś także przepadał za Beldonkiem i tylko to było dla niego dobre, co Beldonek zrobił; to święte, co on powiedział. Osobliwie małemu rzucały się w oczy różne rzeczy, które starszy chłopiec kozikiem wy-

rzynał i cudnie bryzował. Zrobił laskę jaką z wysuszonego dębczaka, jałowcu, a na jej rączce wyrzezał sowę, koguta, psa, czy zająca — śliczności. Nie, to wystrugał dla stryjka fajkę z gruszowego drzewa, całą w esy-floresy, kwiatki różne. Kapliczkę zrobił z daszkiem, a w kapliczce Bogarodzicę z Dzieciąteczkiem Jezusem na ręku, aż przeblask bił od tego. Stryjnie też narobił łyżek drewnianych, misek, łyżników i co w chałupie było potrzeba. Zawołany majster był do takich rzeczy. Powoli wyrastał z dzieciny słabej na śmiałego, świarnego chłopaka, jeno siły osobliwej nigdy nie miał; blady był na twarzy, a w sobie chuderlawy, tylko mu oczy świeciły żarem takim jak z ognia.

Do psoty, do różnych figlów wcale się nie nadawał, a choć tam sobie z niego który chłopak i podżartował, on na to nic nie baczył. Ci się po błoniu gonią, bawią w zająca, raz po razu go nawołują:

— Beldonek, pójdź, pójdź, masz nogi chybkie, będziesz chartem! — Nie dał się nigdy namówić do takiej zabawy. Ale raz się w chałupie wygadał przed stryjną:

— Żeby tam nie wiem co, muszę się nauczyć na książce!

— Eee, wybij sobie takie rzeczy z głowy! — ona mu rzecze. — Szkoły we wsi przecie nie ma, a posyłać do miasta na naukę, oddać do nauczyciela takiego chłopaka — wiesz ty, co to znaczy? Może sobie pozwolić sam dziedzic, tam choćby i pisarz gminny, nie my przy swojej chudobie.

On nic, ciągle powtarzał jedno, że ma oskomę do książki, że mu nauka pachnie, że mu się po nocach obśniwa. Więc stryjna, kiedy chłopcu perswazje nie pomogły, bywało, ostro nań wsiada z góry:

— Głupi, na pana nie wyjdziesz, ni na księdza! Długie lata niejeden w szkole przemarnował i niczego się nie nauczył. Twój stryjek, daleko nie szukając: gospodarz jedyny zdatność ma do każdziutkiej rzeczy, a książki przecie nie wąchał... Boga proś jeno, żebyś do stryjka był podobny!...

Cóż się miał z kobietą przekomarzać?

Dopiero w lecie zjeżdża do Balic z Pińczowa syn pisarza gminnego, szkolnik taki w mundurze ze świecącymi guzikami jak oficer. Precz mu się tam na wsi dzieci przypatrywały, że to niby parada ogromna. Beldonek sobie zaś w duszy pomyślał:

— Od tego czuć setnie naukę, mógłby mi na książce pokazać...

Ale Michaś — takie miał imię on student — państwo wielkie, z chłopskimi dziećmi się nie wdawał i Beldonek nie śmiał go zaczepić, choć miał pokusę. Jeno na wszystko jest sposób, i kto chce psa uderzyć, ten zawsze kij znajdzie. Przychodził Michaś na błonie z wędką i w strumieniu ryby łowił. Beldonek sobie zmiarkował to jego upodobanie: zabrał się, zrobił wędkę, wymajstrował ją bardzo ładnie i wnet zwabił do siebie studenta, który się naparł, żeby mieć ową wędkę.

Kiedy już między nimi przyszło do rozmowy, tak Beldonek bez ogródek powiada, o co mu chodzi:

— Niech Michaś przyniesie tutaj książkę i na niej mi pokaże, jak się czyta, a ja nie tylko tę wędkę oddam, ale jeszcze zrobię śliczny łuk ze strzałami, taki, że ani w sklepie, ani nigdzie podobnego nie dostanie. Od razu stanęła umowa. Student nie potrzebował bardzo się wysilać, gdyż Beldonek był ogromnie chciwy nauki i pojętny. Zanim Michaś odjechał do Pińczowa, już uczeń jego umiał czytać, a także każdą literę wyrysować na piasku, czy kozikiem wyrzezać na drewnie. Miał teraz nowe strapienie: umiał czytać, a brakowało książki do czytania. Łaził około dworu, kancelarii gminnej, i co gdzie w śmieciach znalazł zadrukowany czy zapisany kawałek papieru, chował to sobie, jakby skarb drogi, odczytywał raz po razu. — A no, wypadł odpust w Chmielniku, uroczystość, na którą się od dawna wybierała Matusowa, ile że i sprawunki różne chciała do domu porobić. Matus założył parę szkap do wozu, zakurzył sobie fajkę i choć tam niekoniecznie rad był z tej jazdy, powiózł kobietę do Chmielnika. Zabrali też z sobą Wojtka; Beldonek musiał w domu zostać i razem z psem Kwiatkiem mieć w opiece całe gospodarstwo. Przy pożegnaniu stryjna mu powiedziała:

— Jak się tu dobrze popiszesz, przywiozę ci gościniec z odpustu! Pamiętaj, żeby się gadzinie krzywda jaka nie stała...

On, niewiele myśląc, skłonił się do kolan, chwycił ją za rękę, całuje i w prośby:

— Kiej chcecie, stryjno, mieć o mnie pamięć, być tacy dobrzy — sprawcie mi tam w mieście jaki czytak!

— Czytak! Ty zaś co pleciesz? Na co ci się zda czytak, kiej nie znasz na książce?

— Znam, moiściewy, znam, jeno nic nie mam do czytania...

— Słyszałeś ty, Matus? Beldonkowi się czytaka zachciewa! — zawołała z drwinami.

— Wsiadaj oto na wóz, guzdraczko, a czytakami jakimiś głowy mi nie zawracaj! — odrzekł Matus, zły, że konie dawno już zaprzągł, a kobieta się ociąga.

Pojechali nareszcie i kiedy się już dowoli namodlili, poszła Matusowa między kramy, kupuje u przekupek pod kościołem to i owo: gwizdki, obrazki, medaliki. Naraz Wojtuś ją łap za rękę i napiera się:

— Matusiu, kupcież dla Beldonka czytak! — Dopiero ją ciągnie do jednego kramu, pokazuje palcem książeczkę w czerwonej oprawie.

— Tę kupcie dla niego, tę galantą, czerwieniuśką!...

— Niechże ta będzie! — powiada i kupiła. Ustąpiła dziecku, a sama wcale nie wiedziała, co kupuje, jako nie umiała czytać; wielką rzadkością w owe czasy było u chłopów czytanie.

Książka kupiona przez Matusową, była to „historia prześliczna o świętej Genowefie, księżniczce brabanckiej, napisana dla matek, dzieci i poczciwych ludzi".

Nadeszła jesień, a z nią długie wieczory. W chałupie płonie łuczywo na kominie; Matus z fajką w zębach robi miotły, obręcze, drabinki do wozu; Matusowa groch łuska, drze pierze, przędzie; Beldonek siedzi blisko światła i książeczkę na głos czyta. Pewnie z dziesięć razy przeczytał żywot świętej Genowefy, a za każdym razem stryjna i Wojtuś spłakali się nad nieszczęśliwą księżniczką. Kto by się był spodziewał, że jedna książka tak zajmie i poruszy wszystkich w domu? Bo i Matus nie był kamieniem: czuł coś takiego, jakby go kto za gardło ściskał, a ulgi doznawał wtedy dopiero, kiedy święta Genowefa z synkiem i łanią do domu swego wróciła.

— Święci Pańscy — myślał sobie Matus — skąd zaś u tego Beldonka bierze się w głowie taki akuratny rozum? Grosiczka jednego nikt nie wydał na jego naukę, a rozgarnięcie ma ogromne, zupełnie jak gdyby się urodził z czytaniem i pisaniem. Musi Pan Bóg przeznaczył go do czegoś innego, nie na to, żeby był prostym chłopem, i już od razu dał mu osobliwą zdolność.

Jeszcze bardziej zdziwili się ludzie, kiedy Beldonek napisał raz starej Dwojakowej list do syna, który się gdzieś w dalekich krajach wysługiwał jako żołnierz. Znajoma dobra była Biernatów ta staruszka i Biernat obnosił ów list po kancelariach, bo mu się jakoś nie zdawało, żeby taki mały mógł list napisać. Dopiero, skoro się przekonał, idzie żywo do Matusa i powiada:

— Sąsiedzie, nic, jeno palec Boży w tym być musi! Takie dziecko na żaden sposób nie powinno

pleśnieć tu w Balicach. A toć on pisuje listy, że niech przy nim schowa się pisarz z kancelarii! Koniecznie godziło by się oddać go na naukę do księży w Nowym Mieście Korczynie, albo do której szkoły.

Matus nie lubił tego, żeby mu się kto obcy wtrącał do opieki nad synem rodzonego brata, a po wtóre nie miał chęci pozbywać się z domu chłopca, który mu w gospodarstwie rzetelnie pomagał. Więc bez wielkiego namysłu odrzekł Biernatowi:

— I bez was, sąsiedzie, własnym rozumem to baczę, co wy mówicie! Jeno ja sobie zawdy powiadam: czy chłop, gospodarz, koniecznie ma być bez głowy, głupi jak stołowe nogi? Rodzice, świętej pamięci, zostawili Beldonkowi jaki taki majątek, jest przecie pod moją opieką kawałek gruntu i coś tam jeszcze. Chwalić Boga, że chłopiec mądry: wyrośnie, to przyrobi, przysporzy! głupi zmarnowałby. Że się w Balicach wychowało mądre dziecko, wy na upór wołacie: do szkoły, do szkoły! A cóż tu zaś na roli mają zostać samiuteńcy głupi, co ich lada Żydzina oszuka? Dajmy na to, oddam chłopaka do szkoły! Koszt srogi i szkoła w parę lat zje wszystko, co mu po ojcach zostało, a on, miasto być gospodarzem, będzie musiał wysługiwać się ludziom za kawałek chleba. Dlatego ja też jestem przeciwny tej szkole.

Biernat zmilczał, może tam sobie i pomyślał:

— Tak mówi, bo mu z takim rozgarniętym chłopcem przy domu dobrze.

Rozmawiali głośno przed stajenką i żadnemu na myśl nie przyszło, że Beldonek pod ten czas zakładał szkapom siano za drabinę, i chcąc nie chcąc, zasłyszał coś niecoś z tej rozmowy.

— Stryjek mądrze mówi — pomyślał chłopiec — ale ja bym nie wiem jakie bogactwa oddał za naukę w szkole... Szczęśliwy chłopiec ten Michaś pana pisarza gminnego, cały dzień na naukę obraca!

Chociaż podrósł i ludzie go za statek w głowie chwalili, zawsze jeszcze miał to stare swoje upodobanie, żeby kozikiem co wyrzynać, węglem gdzie bądź na ścianach różne figury kreślić, albo na piszczałce sobie zagrać. No i historie różne gotów był opowiadać, jeżeli mu ochota taka przyszła. Ludzie w Balicach doskonale mogli poznać wszystkie te ciężkie przypadki, których doznała święta Genowefa, gdyż je Beldonek precz rysował węglem, gdzie mu się zdarzyło. Stał tam był za wsią murowaniec — pono stara karczma — pustka taka w gruzach: to on swoją ręką wszystkie ściany zagryzmolił, pozapisywał. Mogłeś tam widzieć, jak dwaj katowie chcą świętej Genowefie głowę uciąć, ale ich litość zdjęła i spardonowali. Dalej znowu wystrychnął obraz jej życia na puszczy z małym synkiem i z łanią. Cudnie też zrysował obraz szczęśliwego jej spotkania się z mężem: tu srogi rycerz na koniu, a tu wynędzniała, w jednej koszulinie, kobieta. Synek się do niej tuli, łania wystraszona, nie wie czy w bór uciekać, czy zostać. Miał on też w głowie różne swoje własne kawałki, bajki jakieś takie, historie — może je

wymyślał, czy mu się przyśniwały, dosyć, że precz z tym wyjeżdżał. Bywało, wyrzezał na desce pastuszka z biczem w ręku, a naokoło niego gromadę wężów z podniesionymi głowami, wypuszczonymi językami. Któż by zrozumiał, co to znaczy? On zaś wiedział.

— Jest to — powiada — pasterz jeden, łaska Boska nad nim świeciła i dostał od wężów gałkę diamentu, a potem miał wszystko, czego mu się tylko zachciało, choćby królestwa.

Uciechę ogromną mieli ludzie: wystrugał oto wilka, który obok kozy drepci, zębami ją za skórę na karku trzyma, a ogonem jak miotłą od tyłu pogania i dopiero oboje w parze rwą do lasu, aż się za nimi kurzy.

— To ci rychtycznie. Panie Święty, utrafił dusikobyłkę — powiadali.

Niektórzy mu tam w Balicach przyganiali, mówiąc:

— Cóż dobrego przyjdzie komu z takiej roboty? Mitręga jeno, bałamuctwo, a pożytek żaden! Kto jemu za to zapłaci?...

Jużci pierwszy lepszy nie mógł zrozumieć, że lada kto nie dokaże takiej sztuki jak Beldonek, żeby nawet na głowie stanął.

I z graniem jego było to samo: wydziwiał mu jaki taki.

— Zarobiłby sobie, kiejby do tańca ludziom zagrał, a on jeno ti-li-li-li!

Widać mu nie chodziło o taki zarobek. Skrzypce sobie też sam zmajstrował, jeno na nich, jako

i na piszczałce, mało kiedy przy ludziach grywał. Usiadł sobie nad wodą, czy gdzie pod wierzbą i wyrzyna, że aż źrebięta, cielęta podrygać zaczynają:

Ciemna nocka z wieczoreczka — nie widzieć,
Kady ja się nieboraczek mam podzieć...

Powiadał, że ptaki w lesie jego muzyki słuchają i coraz to mu który odpowie; ale tylko on jeden taką odpowiedź rozumiał. Zebrało mu się czasem na smutek, zagrał, a podczas grania łzy się chłopcu nieraz zakręciły w oczach.

II.

Kończył Beldonek jedenasty rok życia, kiedy latem przyszła do Balic zaraza, czyli padł pomór na ludzi, i codziennie tam ktoś umierał. Ogromny był strach przed śmiercią naokoło; ludzie drżeli, słysząc ciągle, że ten albo ów zgasł nagle jak świeczka. Zwiększyli te okropności Żydzi, którzy z Chmielnika uciekali w lasy i tam gromadami żyli pod gołym niebem — niby że to bór taki ma być zdrowy, niezapowietrzony. Straszliwe choróbsko zaznaczyło krzyżyk i na Matusowej chałupie, bo zabrało z tego świata stryjnę Beldonkową. Zdrowa była kobieta jak rydz, czerstwa, krzepka — nic nie pomogło. Jezus Maria, co za strapienie w domu! Matus chodził struty, jak bez głowy. Wojtuś sierotka, kochanek matusin, zanosił się od płaczu; Beldonek też po kątach łzy ocierał; nad całym gospodarstwem najmniejszego dozoru, rządu, z śmiercią tej jedynej, zawołanej gospodyni. Ale żyli jeszcze oboje rodzice nieboszczki i mieli przy sobie drugą młodszą córkę, Agatę; więc dopiero obie kobiety, matka z córką, zaczęły tu prowadzić swoje rządy. Wszystko się teraz w domu zmieniło: co dawniej było dobre — teraz złe. Agata, chociaż rodzona siostra nieboszczki, nic a nic

do niej niepodobna, zła taka, że jej schodź z oczu i nie podłaź pod rękę.

Naprzód z Beldonkiem zaczęła o to, że jej nie dwoił:

— Ty sobie, raku jakiś, pamiętaj, żem ja nie twoja równa! Możesz tykać podobne sobie cielęta...

On zaś mówił przez „wy" do jej matki, kobiety starszej, i tak się należało. Z dziewką, przytem krewniaczką, chciał być na „ty". Tylko Agacie chodziło o to, żeby chłopaków w domu zawczasu wziąć w karby, jako miała chrapkę wyjść za Matusa i po siostrze swojej nastąpić. Wojtuś i Beldonek musieli ją po rękach całować, ile że sobie zjednała Matusa, który jej ustępował we wszystkim lepiej, niż nieboszczce Hance. Chyba nie całe pół roku przeszło od dnia śmierci żony, a już Matus w najbliższe zapusty pocieszył się przy Agacie: zrobił z niej drugą Matusową. Beldonek myślał, że żałość stryjka po stryjnie nigdy nie będzie miała końca, tymczasem inaczej się stało. Nowa miotła w domu, nowy porządek. Tamta Matusowa była niby — cukier, ale ta — Heród-baba, kłótnica, sprzeka, jędza. Niech Bóg broni, żeby jej się tam kto w chałupie sprzeciwiał! Zaraz z samego początku ostro chwyciła w swoje ręce rządy i trzęsła całym domem. Beldonek i Wojtuś zobaczyli teraz, że tu nie będzie żartów, jeżeli który przypadkiem przeskrobie co kiedy. Taka świeżo zamężna gospodyni jest najgorsza — bo się z dostojeństwem swoim jeszcze nie otrzaskała; a chłop jej we wszystkiem folguje, cacka

się z nią, ceregieluje, choćby mu kołki na łbie ciosała. Krwista, ćwikowata kobieta była; żywy ogień kapał z jej modrych oczu. Co bądź się zdarzy nie na rękę, ona już stoi cała w płomieniach — czysta zapałka. Żeby jeno z kim było, ciągłe potargnienia, burzenia, krzyki, — piekło w chałupie. Przytem żarta baba, ciągle sobie coś przegryzała, tylko nie poprzestała na lada jakiej strawie: jałowego chleba ani tknęła. Matusowi dogadzała w jedzeniu, warzyła mu żur na króliku, kaszę jaglaną na mleku, krasiła rzetelnie skwarkami kartofle, prażuchę — balowali, jak na weselu. Ale Beldonek i Wojtuś nigdy nie powąchali nawet kraszonej warzy: w piątek czy świątek macocha trzymała ich na poście; wielka gala i łaska, jeżeli czasem dostali po kawałeczku sera. Więc ten sierota, oczko w głowie u nieboszczki matusi, popłakiwał sobie cichaczem; miarkował, że mu się zgorszyło na świecie. Pocieszał go wtedy Beldonek, mówiąc:

— Ej, co ci tam! Nie masz to rodzonego tatusia? Ja, widzisz, sierota jestem naokolusieńko... Czy mię tu wiąże co takiego? Zabiorę się oto kiedy i pójdę gdzie bądź daleko, daleko.

Potem sobie zagrał, albo zanucił śpiewkę:

Ha, jużci ja opuszczony
Jak ten ptaszek leśny,
Który we dnie, w nocy lata,
Weselić się nie śmie.

Z taką gospodynią-osą najciężej im było przebiedować zimę, że to ciągle musieli być jej na

oczach. Wrzaskula jakaś, coraz to się zaperzyła, narobiła gwałtu, hałasu — i jeśli nie tego, to drugiego chłopaka wytrzaskała, spopychała. Idźże sobie dopiero ze skargą do Pana Boga! Cóż jej taki pies, Kwiatek, mógł wadzić? A jak się w izbie pokazał tylko, do czego był przywykł za nieboszczki Matusowej, Agata zaraz łap za ożóg, polano i wyjeżdżała na nim, klnąc aż się trzęsło. Setnie oberwał kilkanaście razy i nareszcie tak od domu odwykł, że do izby nigdy nie zaglądał, skoro wiedział, co go tam czeka.

Małej rzeczy było potrzeba, żeby się ta jędza rozżarła. Warza jej przy ogniu skipiała, garnek pękł, rękę sobie oparzyła, jaje przypadkiem rozbiła — zaraz musiała złość swoją na kim wywrzeć.

Przecież nic złego w tym nie było, że obaj chłopcy w tłusty czwartek biegali po wsi wraz z innymi za „Kłapaczem". Jeden parobek wdział kożuch na wywrót, przywiązał sobie głowę z drewna i pakuł, wyskakiwał na czworakach, kłapał, a skrzypek i basista przygrywali mu raźno; inni zaś w gromadzie przyśpiewywali, przytupywali. Zwyczajnie, zabawa taka z dawien dawna, figle, dokazywanie. Przeciągnęło się to jakoś do późnego wieczora i gospodyni musiała sama tego dnia bydło do poju pędzić. Beldonek i Wojtuś wracają do domu, a ta zaraz na wstępie jednego w kark, drugiego za łeb — sprawiła im tęgi basarunek i obu za drzwi wypchnęła.

Chwała Bogu, przyszła wiosenka, zaruniły się zielone trawki, ptaszki zaczęły śpiewać: każde stworzenie rwie się do życia — czuje szczęście,

kiedy ciepłe słońce zaświeci, przygrzeje. Na popodniebiu aż szumi od pieśni skowrończych, a w polach i na błoniach wszędy się rozlega: — „Oj, dy-dy-dy-dy, oj dana, jeno dana!" Przy chałupie na żerdce siadła jaskółeczka, oczkiem mruga i tak śpiewa:

Cicho, cicho, moje dzieci!
Kici, kici przez dach leci...

Bociek padł na gnieździe, długaśnymi nożyskami podryga, wygina szyję w węża, a dziobem kłapie:

Z daleka tu lecę, lecę,
I gniazdo se zlepię, sklecę...
Wcale najlepiej, najlepiej!

Balice — śliczna wieś, leży na góreczce, białym dworem het na dalekie trakty patrzy i widzi, jak ludzie jadą ku Staszowu, ku Pińczowu, ku Busku, Stopnicy. Mocny Boże, skąd się też na świecie bierze tyle narodu? Dniem i nocą toto wędruje jak owe mrówki, co się z mrowiska na okolicę rozlazły, albo one pszczoły, często nie wiedzące, gdzie której nocować przypadnie. Ha, bo mrówce, pszczole, ptaszkowi, człowiekowi — Pan Jezus świat otworem zostawił! Ową balicką górkę chałupy obsiadły, jeno mało która widna między sadami gęstymi: poznasz po jednym dymie, co się w górę wije, gdzie jest czyja siedziba. Znać się trza na tym, żeby wiedzieć która chałupa Szymona Biernata, a która Matusa Soboty, stryjka Beldonkowego. U dołu pod górką umajoną w sady, rzeczka płynie — pewnie do Nidy, albo do Szarnej bieży z wodą. Tu Bosowiec, Brzozówka, a tam — Szyszczyce i Gnojno, parafia. Jak to w Stopnickim, trochę piasków, trochę sapów; ale rok się zdarzy i za cztery urodzajem płaci. Wzdłuż rzeczki ciągną się łąki i błonie torfiaste z bagnem, kałużami, po których żaby wymyślają bocianowi:

Bociek, Wojciech!
Grzech, grzech, grzech,
Że nas żresz, żresz, żresz...

Przytem naokoło lasy, zagajniki, niektóre — drobiazg mizerny, zając ledwie się schowa. Najgorsza, kiedy się zdarzały przyparki, co to kapie żywy ogień z nieba, a owad bydłu straszliwie dokucza. Z tych lasów wylatują muchy takie złe, gzy końskie i bydlęce, czyli też bąki. Robactwo to obsiada gadzinę, wpina się w skórę, krew wysysa — nie do wytrzymania. Osobliwie jeden jest taki, co skoro pocznie koło głów bydła latać i nad uszami brzęczeć, to się gwałt robi w trzodzie od tego brzęczenia, czy tam bzykania. Krowy zadzierają wówczas ogony, ryczą strasznie i pędzą w pola jak szalone, a za nimi cielęta. Żaden pasterz rady temu nie da, rozbrykanych krów nie zawróci. Właśnie w Balicach na pastwisku przytrafiło się to jednego razu podczas przyparku. Zestrachane bydło poszło z błonia i narobiło tam tyle gwałtu, że się nawet między gęsiami zrobił popłoch. Pasterze co żywo dopadli koni i dopiero na oklep, bez uzd, w pogoń za krowami. Zabiegając drogę, waląc biczami w oczy, po pyskach, z biedą zawrócili rozhukaną trzodę. Cóż, kiedy i tak dwie

sztuki gdzieś się zawieruszyły, a między nimi — jałówka Matusowa, dwulatka Wiśniocha, znana już z tego, że lubiła uciekać od trzody i samopas sobie chodzić. Beldonek do zmierzchu obchodził okolicę — zginęła, rozstąp się ziemio święta! Któż wie, gdzie poszła przez rozpustę, czy w szkodę? Mogło ją licho zagnać do drugiej wsi na pole i zajęli. Chłopiec szukał, wypytywał się ludzi, a kiedy nic nie wskórał, drżała na nim skóra, jako wiedział, że mu gospodyni zguby takiej płazem nie puści. Dobrze przewidział. Opowiada jej, jak co, żeby się usprawiedliwić, a ta już w ogniu cała. Skoczyła do niego, wydarła za łeb, grzmoci go pięściami za plecy, szturcha, popycha, klnie, że powtórzyć nie można. Odebrał za swoje. Wojtuś podczas tego katowania, pod ławę wlazł ze strachu i pacierz mówił. Kiedy go już tak zbiła, wzięła na ostatku za kark, i co tylko siły miała, wyrzuciła za drzwi:

— Ruszaj — powiada — szukaj jałówki, niezdaro jeden! Na oczy mi się tu nie waż bez bydlęcia pokazać, bo, jak mię żywą widzisz, flaki z ciebie wytrzącham!

— Ostatnia moja nędza! — myśli sobie chłopiec. — Niech się co chce dzieje, pójdę stąd i już nigdy nie wrócę!

Dobrze jeszcze, że nie było w domu stryjka, podszczułaby go pewnie na Beldonka. Chłopiec wpadł do stajenki, zabrał swoje skrzypki i z markotnością w sercu opuścił chałupę stryjka.

Ciemna nocka z wieczoreczka — nie widzieć,
Kajże ja się nieboraczek mam podzieć...

Zaśpiewał sobie w myśli i poszedł. Był już na drodze za wsią — słyszy, coś za nim drepci. Kie licho? Przystanął, patrzy — Kwiatek, poczciwości psisko. Cudzego psa nie godzi się zabierać z chałupy. Beldonek się schylił, wziął bryłkę ziemi, frygnął, żeby psa odstręczyć.

Uszedł pewnie ze sto kroków i spostrzegł, że go Kwiatek nie posłuchał, jeno bokami przez pola biegł w derdy z podniesionym do góry ogonem. Chłopiec szedł ku zachodowi tą drogą, jak się do Buska jedzie na Młyny. Miał ciemny bór przed sobą, a na złotawym niebie mieniła się gwiazdeczka, niby dukat, i w bór zapadała. Dokolusieńka pełno rejwachu żabiego, w polach wabiła kuropatwa „ki-rek, ki-rek", czajki na łąkach wrzask wyprawiały.

W boru klaskały słowiki, jakby do upadłego zaśpiewać chciały. Czasami nietoperz mignął w powietrzu, lelek przeleciał, ćma furknęła, sowa zachichotała. Zastanowił się Beldonek pod lasem, czuł, że mu nijako będzie brnąć przez te ciemności leśne i myśli:

— Lepiej może wrócić do chałupy, wyspać się między krowami?...

Naraz zaszumiało, zadudniło, zrobił się w krzakach rwetes, poszła gonitwa jakaś ku lasowi. Chłopiec wystraszył się ogromnie zrazu, jeno wnet przyszedł do siebie, kiedy posłyszał ujadanie i skomlenie Kwiatka. Wiadome rzeczy, zajączek oto wyszedł z boru na żerowisko, kicał sobie pod lasem i niespodzianie z psem się spotkał. Ośmieliło to już Beldonka do owych ciemności leśnych,

dobrze znajomy pies głosem dodawał mu odwagi i za małą chwilkę chłopiec obył się z borem, choć go tam to i owo strachu nabawiało: czasem pień jaki, czasem krzak wydawały mu się czymś osobliwym. One świecące robaczki świętojańskie, dla starszego człowieka — nic; ale dla dziecka — czary być mogły. Dopiero Kwiatek odpędził widać daleko zająca i z ogromną radością przybiegł do chłopca, a łasił się, a wyskakiwał, zupełnie jak gdyby chciał powiedzieć: — „Nie ma się tu czego lękać, skoro ja nic złego nie widzę, nie robię żadnego gwałtu". Jeżeli się porwał jaki ptak, ostro furknął spod krzaka, pies co tchu bieży w to miejsce, węszy. Tak przeszli jeden las nie bardzo wielki, minęli wieś jakąś i znowu się zapuścili w las inny, ten, który — zdaje się do Borzykowy należy, a wychodzi prawie na samą szosę pod Młynami. Piachy, wertepy w onym lesie — i niełatwo tu wymiarkować, którędy iść należy; zwyczajnie, rozstajne drogi, miejscami zalane wodą.

Zdrożył się już dobrze Beldonek i myślał, gdzieby tu spocząć, przespać odrobinę. Natrafił na rozstajne drogi — rozważa: w prawo, czy w lewo się puścić, a wtem Kwiatek przystanął i warknął. „Coś być musi, kiedy pies miarkuje" — pomyślał sobie chłopiec — i, brnąc po kolana w wodzie, przebył ogromną kałużę. Teraz rozległ się w boru gwizd raz jeden, drugi. „W imię Ojca, Syna i Ducha Świętego". Żegnał się Beldonek, a włosy stanęły mu dębem na głowie, ile że nieraz słyszał i pamiętał różne rzeczy o zbójcach, którzy podróżnych napadają, zabijają. Serce waliło mu

w piersiach młotem, szedł wystraszony z duszą na ramieniu. Naraz Kwiatek poskoczył, zaczął zjadliwie oszczekiwać kogoś, dopadać. Ale ten ktoś nic sobie nie robił z psiego szczekania; słychać było jak pędzi do drogi, prosto na Beldonka i z daleka woła:

— Kto idzie? Stój, bo w łeb strzelę!

— Ja! — odpowiada chłopiec cieniutkim głosem i stoi, czeka, co będzie. A no przypadł do niego jakiś dryblas; w ćmie boru można było tylko rozpoznać, że ogromny zmacha. Chwycił Beldonka za kark, pyta:

— Skądeś ty, mały?

— Zza boru, z Balic — mówi chłopiec, a cały się trzęsie ze strachu.

— Gadaj zaraz, z kim tu jesteś! Przecie rak taki nie może sam jeden chodzić po nocy... Tatuś pewnie musi być z tobą — hę? W krzaki się schował.

— Sierota jestem, tatuś i matusia dawno nie żyją...

Na to nadbiega jakiś inny znowu człowiek, poszepnął tamtemu coś na ucho, a na Beldonka ostro naciera:

— Mów prawdę, włóczykiju! Koniecznie tu gdzieś jest chłop albo baba... — I chwycił chłopca za ozedle pod szyją, trząchnął nim parę razy.

— To są — powiada — figle mądrości, znam ja się na nich! Stary się schował, a dziecko na sztych wystawił... Wiesz ty, smarkaty, co cię czeka, kiej prawdy nie wyśpiewasz? Jak mię żywego widzisz,

będziesz w tym lesie wisiał na pierwszej lepszej gałęzi!

Beldonek uklęknął, zaklina się, sumituje z płaczem, że sam jeden w świat idzie. Ci znowu w szepty, coś tam rozmawiali po cichu i nareszcie jeden z nich popchnął Beldonka łapą, mówiąc:

— Marsz, ruszaj naprzód! Zobaczymy, czy jeszcze nie nabierzesz ochoty do gadania.

Szli tak w trójkę, a z tyłu za nimi Kwiatek, który coś teraz stracił minę, posmutniał, biegł ze zwieszonym ogonem. Po jakichś bocznych ścieżkach zapuścili się w dobry bór i przybyli na pagórek taki, gdzie rosły cztery choice, a między nimi leżała kupka gałęzi, które się tliły. Więc jeden z tych dwóch zaczął dmuchać; kiedy zaś ogień należycie buchnął, on się wpatruje w chłopca i powiada:

— Toś ty z Balic, z tych tu zaraz?... Powiedz że mi, czy tam w twojej wsi ludzie wiedzą i mówią o Walarskim?

Beldonek nie mógł znieść bardzo bystrych oczu tego człowieka z ogromną czarną brodą i odrzekł nieśmiało:

— Mało co słyszałem kiej starsi mówili...

— A cóż mówili? Opowiadaj!

Jakże tu opowiedzieć, że tego Walarskiego nazywają koronnym złodziejem, rozbójnikiem; że przeklinają, na czym świat stoi? Więc chłopiec jeszcze bardziej zwiesił głowę, pary z ust nie śmiał puścić — a ten sam poczyna mówić:

— Ooo, tutaj w całej okolicy chłopi — łajdactwo! Wydaliby mię zaraz, żeby tylko wiedzieli,

gdzie się obracam. Ale niedoczekanie wasze, psubraty! Zapłacicie wy mi wprzód dobry podatek, poznacie, co znaczy Walarski...

— Dobryś! — myśli sobie Beldonek. — Już ja chyba żywy stąd nie wyjdę, skorom wpadł w ręce Walarskiego. — Bo słyszał o nim i o jego bandzie różne rzeczy!

Ci dwaj czekali tam na kogoś; coraz to któryś z nich powstawał, schodził z pagórka, przykładał ucho do ziemi, nasłuchiwał. Mieli przy sobie gorzałkę, mięso, chleb: podjedli i chłopcu jaki taki ochłap rzucili. Później zakurzyli fajki a ów, co się Walarskim mienił, spogląda na Kwiatka i w te słowa rzecze:

— Mnie się nie podoba taki czujny pies; dobry on dla tych, co muszą złodziei odstraszać! Cięty, psia dusza, rwie się prosto do nogi...

Powiedział to, wydobył z kieszeni pistolet, celuje i prztyk, prztyk, prztyk. Kwiatek się porwał, zatoczył, zaskomlił i upadł. Po chłopcu ciarki przeszły. „Kiedy on dla niewinnego psa nie ma litości, to mnie też mógłby zabić — cóż znaczy dla takiego?" — myślał Beldonek.

— Słuchaj no ty, paprze, skocz, uzbieraj suchych gałązek, dorzuć do ognia! Jeno ci nie wolno dalej nad piętnaście kroków w okółek odchodzić... Kula za tobą poszłaby — rozumiesz? — rzecze ten drugi, który się zwał Jandrysik.

Chłopiec zbiera gałązki, dorzuca do ognia, a ci śpią, czy może tylko udają śpiących umyślnie, żeby do niego strzelić, jak będzie chciał uciekać. „Nie lepiej to było brać w Balicach od Agaty

basy, niż tak na zgubę wystawiać życie swoje?" Zniósł kilka naręczy suszu, mchu, przykłada do ognia, a książeczkę z kieszeni dobywa i czyta sobie po cichutku. „Przecie im to wadzić nie powinno".

— A co ty tam dłubiesz, mitręgo? — odzywa się grubym głosem Walarski, zerkając spod choicy na jedno oko.

— Ja książkę czytam — mówi pokornie Beldonek.

— Ho, ho! Umiesz czytać? Pójdźże no tu bliżej, pokaż; znam ja się też na książkach... Może tam czary jakowe wyczytujesz?

Chłopiec — dudy w miech, zaryłby się pod ziemię ze strachu. „Święty Boże, co to będzie? Pewnie mię już teraz zabije". Myśli, ale nic, idzie, a tak mu się teraz gorąco zrobiło, jak gdyby go we wrzątek wsadził, i pokazuje Walarskiemu ów — tę książkę w czerwonej okładce, co mu ją nieboszczka stryjna sprawiła na odpuście w Chmielniku. Ten zaś udawał tylko, że umie czytać, spojrzał ze wzgardą na napis przewrócony do góry nogami i mówi:

— Dobrze, przeczytaj głośno! Niech ja poznam twoją naukę!

Więc Beldonek jął bardzo gładko czytać „Żywot świętej Genowefy", jako całą historię umiał już prawie na pamięć. Jandrysik też otwarł oczy, przypowstał i obaj słuchali czytania z ogromną uwagą, a wpatrywali się w swego czytelnika jak w tęczę. W chłopca duch lepszy wstąpił, skoro pomiarkował, że czym bądź ujął takich rabusiów.

„Żal im może byłoby zabić mię teraz". Tylko Jandrysik coraz to schodził z pagórka, przykładał ucho do ziemi, nasłuchiwał, potrząsał głową, potem wracał, mówił „nie" i przysiadał.

— No, no, nie ma co, rozumiesz się galanto na książce! — rzecze Walarski.

— A powiedzże mi, może się ty znasz i na piśmie?

— Oj jej! Cóż bym się zaś znać nie miał? — I mówiąc to, chłopiec wyjął z zanadrza paczkę zabazgranych papierów, pokazał.

— Kiedy tak, — powiada Walarski — to ty, mały, zostaniesz u mnie! Akuratnie mi potrzeba takiego chłopaka z czytaniem i pisaniem... Kiej wypadnie, to mi poczytasz, a drugim razem znowu list wyrychtujesz: będziesz miał dobry kawałek chleba, jeno się sprawiaj rzetelnie.

III.

Setnie już świt rozjaśnił niebo, kiedy Jandrysik znowu odbył swoje zwiady, obsłuchał ziemię, wraca i mówi:

— Już jadą!

Dopiero Walarski powstał, przeciągnął się, ziewnął, włożył palec w usta, świsnął — aż w uszach trzasnęło; po chwilce zrobił jeszcze to samo. Niedługuteńko potem zadudniła ziemia i Jandrysik poskoczył naprzód z dobytym pistoletem, zapytał:

— Kto jedzie?

— Ślusarze i kowale! — To było hasło bandy złodziejskiej.

Teraz na pagórek wjechali jacyś dwaj ludzie w krótkich kożuszkach, a z oczu im też niedobrze patrzało. Każdy z tych ludzi siedział na oklep na tęgim koniu, drugiego zaś konia wiódł obok siebie na uździe. Były te konie całe w pianie, robiły bokami — widać dobry kawał drogi odbyły: para jak dym z nich waliła. Przyjezdni co tchu zeskoczyli na ziemię, przywiązali szkapy do choicy; jeden, który na Żyda wyglądał, zaciera ręce, kieliszka wódki się doprasza, powiada, że ciężko na

to zapracował. Tak mu Walarski flaszkę wódki do rąk podaje i pyta:

— Jakże? łatwo poszło? Czy aby jakiej pogoni nie było?...

— Gonili, strzelali! Ja ledwie z duszą uciekł...

Nadchodzi na to drugi — zwał się Michna — odbiera z rąk Żydowi flaszkę, łyknął i tak mówi:

— Ickiewicz zawdy łgać musi! Gdzie kto znowu strzelał, gonił? Pies ogonem nie ruszył. Wszystko się prosiło — bierz i zabraliśmy... A choćby potem za śladem i gonili, to co?... Umie się, chwała Bogu, robić „klucze" lepsze niż zając. Ślady jednej pary poszły ku Pierzchnicy i przepadły, drugiej — ku Włoszczowicom tak samo, a my tu. Szukaj wiatru w polu!...

— Ciebie nie gonili, boś jechał na Zrecze, a ja jechał na Śladków, to gonili, strzelali — upierał się Ickiewicz.

Zaczęli szwargotać, radzić między sobą — tak, nie tak — i uradzili, ażeby jedną parę skradzionych koni pchnąć przez Tropiszów ku granicy austriackiej, a drugą do Prus wyprawić na Żarnowiec i Siewierz: były to widać trakty złodziejskie. Konie wytchnęły cokolwiek i Michna ze swoją parą puścił się w jedną stronę, Ickiewicz w drugą. Jandrysik też jakiś czas szeptał, coś kładł Walarskiemu w uszy, potem zabrał się i poszedł.

— Mały, jak ci na imię? — zapytuje Walarski chłopca.

— Wołają na mnie Beldonek!

— Co znowu za Beldonek? Nie masz ze chrztu innego imienia?...

— Pewnie mam, jeno sam nie wiem jakie.

— No to cię będę zwał Kubą, masz uchodzić za mojego syna, zrozumiałeś? Tylko sobie jedno dobrze zapamiętaj: o tym, coś tu widział i słyszał, nikomu ani słówka, choćby cię nie wiem jak wypytywali! O mnie zawdy każdemu opowiadaj: — „Mój tatuś handluje wieprzkami, skupujemy po jarmarkach świnie i do Prus je pędzimy". A teraz pójdziesz ze mną w drogę.

Wyszli z boru, idą. Może cokolwiek więcej, niż o pół mili od Buska, stoi przy gościńcu biała karczma, nazwiskiem Wygoda, gdzie konie bardzo sobie lubują w wodzie, i z tej przyczyny przyjezdni zwykle tam przystają. Walarski znał się widać dobrze z karczmarzem na Wygodzie: obaj spoglądali ku sobie nawzajem, jak starzy znajomi, ale przy ludziach udawali, że się nie znają.

— Pochwalony! — mówi Walarski zaraz na wstępie.

Karczmarz oczko zrobił do niego, popatrzył na Beldonka i rzecze:

— Na wieki! Skądże to Bóg prowadzi?

— A od Szydłowa! Łażę oto za wieprzkami, a nie mogę jakoś nic godnego znaleźć.

— Świnie staniały teraz, bydło podrożało...

— Ha, zboże nie płaci, to świnie muszą być tanie! Cóż, kiedy ich wszędzie brakuje, a jeżeli się gdzie jaka sztuka i trafi — skóra i kości... Prusak potrzebuje mięsa, tłuszczu, nie będzie jadł chudego zdechlaka. Tam sobie naród żyje rzetelnie!...

Napił się gorzałki, a dziewka karczmarska przechodziła właśnie i niosła w fartuchu jaja. Walarski ją zatrzymuje i powiada:

— Upitraś no mi jajecznicy na sperce!... Przepadam za tym specjałem, wolę to niżeli kiełbasę, a nawet mięso pieczone.

Zrobiła, jak kazał. On znowu palnął gorzały, przypiął się do rynki z jajecznicą, podjadł należycie. Można zaręczyć, że najmniej pół kopy tych jaj było. Odrobinę jeno w ryneczce zostawił. Odsuwa to Beldonkowi, który się oblizywał:

— Kubuś, na! — powiada.

Chłopiec wyskrobał te resztki, dołożył chlebem, zmiótł. Wtem: „tprrr!" — ktoś taki z hałasem zajechał przed karczmę. Więc Walarski idzie do okna, wygląda przez szybę, a pomacał się w tym miejscu, gdzie miał ukryty pistolet. Beldonek bał się strasznie; ciągle myślał, że coś okropnego nastąpi. A no, przychodzi do karczmy jakiś wąsaty, z waszecia ubrany, w bundzie z kapturem — na ekonoma wyglądał. Za nim wszedł chłop w czerwonej czapce, z pawim piórem i w karazji — widać stangret dworski. Przejrzeli się po szynkowni, osobliwie na Walarskiego jakoś podejrzliwie zerkali; a on zaś nic sobie z nich nie robi, zakurzył cygaro i siedzi rozpostarty na ławie. Ci idą do szynkwasu, każą stawiać gorzałkę, a ten w bundzie zaciera ręce; wypił, splunął i mówi:

— Wciurności, to ci raj!... Mówią, że się w nasze strony przeniósł Walarski, ten sam, co gazety o nim pisały, że około Olsztyna, Żarek, Mstowa,

dwory napadał, rabował — tego nam jeszcze brakowało!...

— Ej — odrzeknie karczmarz — gazetom nie trza dowierzać! Wymyślą sobie co bądź i... zwyczajne zawracanie głowy!

— Piękne mi zawracanie, jak dzisiejszej nocy w Łagiewnikach świsnęli cztery cugowe kasztany; koń w konia — mało trzysta rubli!

— Co pan mówi? — rzeknie karczmarz. — Toć nie dawniej jak przedwczoraj jechał tędy dziedzic z Łagiewnik w owe cztery kasztany!

— Pożyczałem przecie od pana cebrzyka, żeby konie u studni napoić, a dziś jeden Bóg tylko wie, gdzie tych koni szukać — zawołał stangret.

— Hm, hm! Co ja słyszę... I to miałby być Walarski? — mówił karczmarz.

— Ludzie mówią, że on! — odrzekł człowiek w bundzie, który znowu kazał postawić dwa kieliszki gorzałki i przepijał do swojego towarzysza:

— Bartek, w twoje ręce!

— Najlepszego zdrowia życzę panu ekonomowi — odpowiedział Bartek.

Kiedy tak rozmawiają o Walarskim, Beldonka aż coś podrzucało, że niby tenże sam Walarski siedzi sobie, słucha i mogłaby mu przyjść chętka strzelić w łeb któremu — rany boskie! Zdumiał się chłopiec jeszcze bardziej, kiedy tenże Walarski wdał się w rozmowę i tak jął prawić:

— Ja o Walarskim miałbym co do powiedzenia, ile że pędząc do Prus wieprzki na Herby, na Czeladź, na Koziegłowy, dosyć się o nim w drodze nasłuchałem. Ooo! to psubrat, rabuś spod ciemnej

gwiazdy! Żartów z nim nie ma... Niech Pan Bóg broni, żeby się w nasze strony dostał!

Więc obaj przyjezdni, ciekawością zdjęci, zbliżają się, dopytują, jak, co, gdzie, kiedy. Dopiero im Walarski zaczyna opowiadać straszne rzeczy o sprawkach rabusia:

— Ma on — powiada — bandę, pewnie z jakich dwudziestu ludzi złożoną, a wszyscy uzbrojeni w strzelby, pistolety, noże. Po nocy wpada taka halastra do pierwszego lepszego dworu i nikt nie da rady, żeby tam wystąpiło stu parobków, żeby nie wiem jakie psy spuszczono. Jeżeli szlachcic ma rozum, to się okupi, da tyle a tyle; wezmą swoje i odstąpią. Drugiemu się chce wojować i źle na tym wychodzi; nie dziś, to jutro upatrzą porę, napadną, zagrabią, co pod rękę popadnie, a mogą nawet zabić i jazda dalej.

Rozgadał się, opowiada, ci zaś słuchają. Ekonom się do niego przysiadł, oświadczenia przyjaźni sypie jak z rękawa, nareszcie chce mu gwałtem gorzałkę stawiać:

— Mój panie — mówi — proszę się ze mną trącić!

Cokolwiek miał w czubie. Walarski nie dał się bardzo prosić.

— Owszem, — powiada — mogę, ja nie od tego. Przed szkłem nie mam strachu: nie nowina mi wypić, osobliwie w kompanii.

Więc jak to przy kieliszku: przyjaźń ogromna; myślałby kto, że ci trzej od dawna się znają. Beldonek rozdziawił gębę, patrzy, słucha, a nie umie zmiarkować, co znaczą te wszystkie komedie jego

gospodarza. Zdjął go jeszcze większy podziw, kiedy Walarski zaczął w tego ekonoma wmawiać:

— Koniecznie gdzieś pana znam, a nie mogę sobie tylko przypomnieć. — Potem ręką się w czoło uderzył i rzecze: — Huncwot jestem, jeżeliś pan kiedy świń nie sprzedawał w Chmielniku, czy w innym mieście!

— Jak Pana Boga kocham, sprzedawałem!... Czekajże pan, gdzie to było?... Ej, bodaj czy nie w Nowym Mieście Korczynie?... Rychtyk. Sprzedałem wtedy śliczną camorkę z czarną łatką na prawym uchu!

— A jakże, kupiłem ją od pana!...

— No, moi państwo, góra z górą się nie zejdzie, a człowiek z człowiekiem!... Teraz pana już dobrze pamiętam! — rzekł ekonom, zatoczył się i oburącz objął Walarskiego za szyję, obcałowywał go po gębie.

Z tego jeszcze większa przyjaźń, picie i taka poufałość, że się tykali, chociaż jeden drugiego pierwszy raz w życiu spotkał. Dopiero ekonom i stangret zaczynają się przed Walarskim zwierzać.

— Z Łagiewnik obaj jesteśmy, jedziemy na zwiady za tymi złodziejami, którzy dziś w nocy wyprowadzili dziedzicowi cztery kasztany. Złodzieje, mądre juchy, zgubili ślad za sobą; ale i my też niegłupi dać się śladami zwodzić... W Chmielniku za pieniądze można się od Żydów dowiedzieć o wszystkim i te... kasztany... mają być... około Wygody... Będę kpem, jeżeli nie znajdę... Ho, ho, ja...

Ekonom nie mógł już więcej mówić, rozmarzyła go gorzałka, świat się razem z nim kręcił, podrygał, i pijak złożył głowę na stole, chrapnął. Stangret znowu się wyciągnął na ławie — spał jak kamień.

Walarski co chwila wyglądał przez okno, naraz mrugnął na Beldonka i obaj wyszli z karczmy. Zmierzchało się, gwiazdka wieczorna jaśniała gdzieś nad Pińczowem; przed karczmą stała owa bryka z Łagiewnik w parę dobrych koni, które przywiozły na Wygodę ekonoma i stangreta.

— Wsiadaj co żywo! — rzekł Walarski do Beldonka i popchnął go ku bryce. Chłopiec raźno poskoczył, a ten biczem śmignął po koniach raz, drugi — wio! W okamgnieniu przejechali szosę w poprzek i górką pomknęli ku Szańcowi, jeno coraz to skręcali na jakąś uboczną drożynę. Strasznie się zrobiło Beldonkowi; serce mu biło jak młotem: widział wyraźnie, że jest w mocy ogromnie zuchwałego złodzieja.

— O najsłodszy Jezusiku, wybawże mię z tych tarapat!... Jedno, że grzech robić ludziom krzywdę, psoty; po wtóre mogą dopędzić, przyłapać, srodze skatować, wsadzić do więzienia. — Tak sobie chłopiec myślał, zakopał się na bryce cały w siano i wnet usnął.

Na Unikowie, między Szańcem a Pińczowem, stała przed laty pod lasem chałupa samotna, w której mieszkał strażnik leśny, Majcher Darmosiak. Cicho, spokojnie tam było; czasem tylko zabłądził tu Żyd jaki ze smołą, albo inny, co to handluje skórkami zajęczymi, jajkami — dziura

taka bezludna. Przed ową chałupę zajechał Walarski może na jaką godzinę przed północkiem. Ludzie tu widać już spali, tylko mały psina narobił ogromnego hałasu i gęsi nocujące na podwórku, bez dachu, podniosły też wrzaski. Walarski szturchnął biczyskiem rozespanego Beldonka, woła nań:

— Kuba, wstawaj! Musisz mi szkapy popaść na trawie!...

Powiedział to i idzie do chałupy, a po drodze ściągnął biczem psinę, potem palcami zaczął bębnić w szybę.

— Kto tam? — zapytują z chałupy.

— Swój! Otwórzcie, Majchrze!

Wnet potem drzwi skrzypnęły, na progu stanął jakiś chłop w koszuli, który się ciągle drapał po plecach, po głowie. Szeptali coś przez chwilę, nareszcie Walarski wszedł do izby, chłopiec zaś został przy koniach, a ciągle stawało mu w myśli jedno:

— Oj, żeby się też można było jako wyrwać!...

Zajaśniało światło w chałupie i Beldonek przez okno widział z bryki, że tam w izbie siedziała jakaś kobieta, która się ogromnie wdzięczyła do Walarskiego.

Upłynęło sporo czasu, pewnie z dziesięć pacierzy, zanim Darmosiak i gość jego wyszli z chałupy. Przy świetle latarni oglądali konie, zajrzeli im w zęby, wyprzęgli, potem je spętali — przednią nogę jednego z nogą drugiego, i dopiero Walarski wydaje Beldonkowi rozkaz:

— Zbieraj się, Kuba, będziesz pasł szkapy w lesie! Tylko mi ich daleko od domu nie zapędzaj, boby źle było z tobą... Pamiętaj, że ja wszystko słyszę, jednego kroku nie zrobisz bez mojej wiedzy! — Kiedy mówił, miał w głosie coś takiego, że chłopca aż mroziło.

— Może czarownik jaki; myśli moje gotów wiedzieć — powiada sobie w duszy i ciężko westchnął.

Nabawił go też niemałego strachu i ów leśnik — mina okropna: spode łba świeciły świdrowate ślepie, zza koszuli widać było przy latarni kudły na piersiach, nie przymierzając jak u niedźwiedzia, a głos — ryk czysty. Wykapany zbój świętokrzyski, czy Tatar jaki. Do Walarskiego zamawiał „Jaśku" albo „brachu", widać — przyjaźń ogromna. Zbliża on się do Beldonka, kładzie mu łapę na głowie, mówi w te słowa:

— Ty, mały, uważaj dobrze, żeby się konie pasły w zagajniku, nie dalej nad trzysta kroków od chałupy! Skoro na cię zawołam: „bywaj", przychodź w te pędy i bądź czujny!... Jakby kto jechał koło lasu, ty zaraz biegnij do chałupy, i od tyłu w okno mocno zapukaj.

A no, oni poszli do chałupy, chłopiec zaś w las popędził konie. Chociaż księżyc wszedł już, ciemno było i parno; chmury się zbierały, błyskawice strzelały gdzieś daleko po niebie, grzmot dudnił. W boru o takiej porze i to błogo, że słowik wyklaskuje, żaby po kałużach rechocą, świerszcz się odzywa, koń czasem parsknie, nogą przytupnie. Beldonek przycupnął sobie pod krzakiem, siedzi

jakby go nie było, nasłuchuje, jeno mu jakoś nieraźno we własnej skórze. Że to przespał kawałek drogi, jadąc w bryce, więc miał teraz zamieszanie w głowie: nie umiał zmiarkować, w której stronie są Balice, a w której — Chmielnik, Busko, Pińczów. Od wczoraj przebył takie osobliwe przygody, które mu całkiem zamąciły rozum, odurzyły go w zupełności. Pamiętał jeno, że uciekł z Balic, a jest w służbie u złodzieja, rozbójnika i lęk miał ogromny. Sam dobrze nie wiedział, czego się boi. Raz mu się wydawało, jakoby Walarski zza drzew go po ciemku wypatrywał, to znowu — że bez niczego wiedział o każdym jego kroku. Na inne rzeczy miał dobry rozum, a teraz tak zgłupiał nieborak i tylko się na jedno pomyślenie zdobywał:

— Psia-kość ta Wiśniocha, żeby się jej gzić nie zachciało, byłbym ja to tutaj?... Choćby nawet u dziesięciu stryjen Matusowych, zawsze miałbym lżejszą niewolę aniżeli teraz oto...

Miał przy sobie skrzypki i piszczałkę, a nie śmiał wydobyć, zagrać. Tylko pacierze po cichutku odmawiał. Całą noc tak przekocołował, dopóki słowik nie ucichł i inne ptaszki zaczęły rano śpiewać. Dzień już na niebie był wielki, las ślicznie pachniał, zapowiadała się cudna pogoda po deszczyku, który w nocy przekropił. Turkawki gruchały, wiewiórka z drzewa na drzewo przerzucała się jak piłka, srokaty dzięcioł opukiwał sosny, dęby, rudy mysikrólik z zadartym ogonkiem wyskoczył jakby spod ziemi, narobił krzyku i zniknął, a przeróżne drozdy, szczygły, zięby,

pokrzewki to tu, to tam wyśpiewywały. W tym gwarze leśnym Beldonek zaczął drzemać, kiedy z krzaków zagajnika wysunął się na polankę Darmosiak i konie obejrzał, a na chłopca okiem jeno rzucił i półgębkiem mruknął:

— Dymaj do chałupy, posil się i wracaj!...

Więc Beldonek idzie za nim ku chałupie, przygląda mu się od tyłu, widzi, że dryblas ogromny, szeroki w plecach, grube nożyska ma w pałąk zgięte i głowę, jak ćwierć, na karku. Wchodzą do izby, a tam Walarski za stołem się rozpiera, przed nim flaszka z gorzałką, kieliszek, nóż, pół bochenka białego chleba, kiełbasa, ser, masło. Obok niego zaś siedzi kobieta w ślicznych koralach, bielusieńka taka, jakby się do kościoła wybierała, i gładka na gębie, że niczym drugie malowanie. Miło się uśmiechała, wyszczerzała bielutkie zęby, mrużyła modre oczy. Nikt by nie powiedział, że ona jest rodzoną siostrą tego draba Majchra — taka była na odzieży i na wszystkim jak najładniejsza: patrzeć się na nią chciało.

— Saluś — powiada Darmosiak — daj temu chłopakowi śniadanie!

Zaraz się zerwała, poskoczyła; bierze miskę, nalewa z warzniczka żuru, dorzuciła do tego kilka łyżek tłuczonych kartofli, zalała toto uczciwie skwarkami, podała Beldonkowi:

— Naści — powiada — jedz ze smakiem, chłopysiu!

Przedtem już ślinkę łykał, kiedy go zapach ówtej warzy zaleciał. Jak się przypiął do jedzenia, wyjadł wszystko z miski: głodny był, a tu — i żur

na mięsie, i kartofle szczodrze kraszone, i ta kobieta taka czyściutka. Skoro zjadł, miarkował sobie, że dobrze postąpi, jeśli tej gospodyni grzecznie podziękuje. Więc otarł usta, idzie, całuje ją grzecznie w rękę, powiada:

— Bóg zapłać za śniadanie!

Ona się uśmiechnęła przyjemnie, ręką go pogłaskała po twarzy. Raźniej mu teraz było wracać w las do koni, jako człowiek zawdy rad, kiedy spotka dobroć, przychylność ludzką. Walarski zalecał się do Salki, której mąż, gospodarz rolny z Chwałowic, przed rokiem zmarł.

Jakoś w niedługi czas potem Majcher znowu przybiega do Beldonka.

— Uwiń się — powiada — trza te szkapy co żywo zagnać przed chałupę i zaprząc do bryki!

Chłopiec spełnił, co mu rozkazano; myślał, że już stąd odjedzie razem ze swoim panem. Tymczasem Walarski wychodzi z izby, kurzy papierosa, żegna Salkę, a Beldonkowi odbiera z rąk lejce i tak rzecze:

— Kuba, ty tu zostaniesz; będziesz do jutra czekał mego powrotu.

I dopiero obaj z Majchrem usadowili się na bryce, objechali wokoło chałupę i lasem przez porębę puścili konie kłusem.

IV.

Został się chłopiec w chałupie z Salką. Myślał, że jej w izbie zawadza, więc sobie usiadł pod chatą, zaczął na skrzypkach przygrywać i pośpiewywał:

Wszyscy za nią, jak za panią,
Wszystko pod piórami;
Darowali grzecznej pani
Skrzynkę z talarami.

Ta wyszła, postała na progu, posłuchała chwilkę, namawia go:

— Pójdź — powiada — do izby, pogwarzymy!

Warzyła obiad, wypytywała go skąd pochodzi, kazała sobie precz opowiadać wszystko, co w życiu zaznał. Więc on się rozgadał o swojej pielgrzymce do Częstochowy z dziadem Florkiem, o różnych takich rzeczach. Salka mu coraz przerywała, wtrącała swoje, mówiła, że ją też za młodu odumarli rodzice, zostawili sierotę — jeno wcześnie wyszła za mąż i sieroctwo jej się nie bardzo dało we znaki. Z tego do tego, zgadało się, że Beldonek umie na książce. Skoro to posłyszała i w rękach jego zobaczyła książkę — zaraz w prośby:

— Mój chłopysiu, jakeś dobry, poczytajże mi trochę!

On bardzo lubił czytać, długo się nie drożył i wystąpił z owym żywotem świętej Genowefy. Zasłuchała się ogromnie, a łzy jak groch płynęły jej z oczu. Ujął ją sobie zupełnie.

— Jaka też to szkoda, mój Boże — mówiła — że ja tu na tej bezludnej pustce pod borem czytać nie umiem!... Toć czasami człowiek o mało się nie urwie, ile że brat mój — mruk, często przez cały tydzień gęby do mnie nie otworzy.

Zjadł za to doskonały obiad, a i na podwieczorek dostał kawałek placka z makiem, plasterek patoki, kilka gruszek suszonych. Pożywiał się, a w duchu sobie mówił:

— Jakie też to smaczne! Tyle lat człowiek żyje na świecie, a nigdy jeszcze na jeden raz nie jadłem takich marcepanów różnych.

Wnet jakoś po obiedzie zdarzył się tam przypadek. Salka miała kurę taką, która wodziła kaczęta, a te ciągle uciekały w las na jeziorko, pływały, nurkowały. Biedna kwoka łaziła w niepokoju po brzegu i na próżno nawoływała dzieci. Właśnie i teraz tak było, a wtem na kurę rzucił się jastrząb, narobił jej strachu takiego, że się porwała na skrzydła, wzleciała i padła na wodę. Nie umiała biedactwo pływać, jeno się taplała, trzepotała po wodzie skrzydłami, gdakała, aż się wokoło rozlegało. Jak to zwykle w chałupie pod borem, inne kury z kogutem łaziły także po lesie, a kiedy posłyszały ów rozgardiasz kaczej kwoki, zaczęły jedna przez drugą co tchu zmykać ku

chałupie, wpół na skrzydłach, wpół na nogach. Więc Salka powiada:

— Jakeś dobry, mój chłopysiu, skocz do lasu, zobacz co się tam takiego stało z kaczętami! Pewnie je przepłoszył lis psia-dusza, albo jastrząb.

Beldonek żywo pobiegł i szczęśliwie na czas jeszcze przybył, gdyż rozżarty jastrząb nie mógł sobie dać rady z tą pluskającą się w wodzie i wniebogłosy wrzeszczącą kwoką. Chłopiec wlazł w bagno, pojmał kurę, ogromnie zmoczoną i już nieźle podskubaną przez jastrzębia, a ze strachu na wpół żywą. Niesie on ją do gospodyni, wtem na samym wyjściu z lasu widzi poprzez choinę — po piasku wloką się jacyś. Przyjrzał się lepiej, oczom swoim prawie nie wierzy: na wozie siedział ekonom z Łagiewnik w bundzie, stangret w kerezji — rychtyk ci sami co na Wygodzie z Walarskim za pan brat pili, — a przy nich trzeci jeszcze z pałaszem u boku, pistoletem u pasa, — policjant. — „Ho, ho, mocny Boże, coś niedobrego się tu święci! Koni pewnikiem szukają i są na śladzie!" Ostrożnie podjeżdżali, w chałupę się wszyscy trzej wpatrywali, nie bacząc na to, co się działo w lesie. Tylko policjant raz jeden zerknął w gąszcz tak bystro, że się chłopcu gorąco zrobiło. — „Poznaliby mię niezawodnie i pojmali jak złodzieja, który ukradł konie na Wygodzie! Ani się wytłumaczyć, ani nic..." I kwokę puścił Beldonek na los szczęścia: — „niech ją tam!" Zaraz z ogromnym krzykiem poleciała do swoich kacząt — mogła go przez to zdradzić.

Chyłkiem pobiegł, skrył się w jak najgęstszy zagajnik i stamtąd wypatrywał, a w duchu myślał:

— Żeby też aby czego złego nie zrobili Salce — taka dobra kobieta!

Ci trzej nie zajechali wprost przed chałupę, jeno przystanęli z podwodą opodal, a piechotą poszli. W podwórku napada na nich psina, ujada — nic nie pytają, idą. Ooo, Salka wyszła z izby, coś im przedstawia, potrząsa głową, rozkłada rękoma. „Pewnie im chodzi o to, gdzie się teraz obraca Walarski... Jużci ona chyba prawdy wyznać nie może, skoro Walarskiemu sprzyja". Weszli do izby, siedzą tam i coś ani myślą wychodzić. Teraz mógłby wziąć nogi za pas, drapnąć. Salka dla niego taka dobra, to przecie nie uchodzi po kryjomu uciekać... „Iść za słonkiem prosto, doszedłby człowiek chyba do Pińczowa". Stał mu ten Pińczów w głowie: syn pisarza gminnego z Balic nauki tam pobierał i nieraz opowiadał o profesorach, którzy różnych rzeczy nauczyć mogą. Jakby się skłonił, pocałował w rękę, przyjęliby go na naukę. Wcześniej czy później, musi się dostać do tego Pińczowa. Przypomniał sobie, że spiesząc na ratunek kwoki, zostawił w chałupie skrzypki, piszczałkę, książkę — cały swój majątek. Biedzi on się tak z myślami, a wtem z chałupy wyszedł na podwórko ów Bartek, stangret; chodzi i z wielką uwagą upatruje czegoś po ziemi: pewnie szukał śladów, rozpoznawał, czy tam kto przejeżdżał bryką w parę koni. Musiał sobie to wymiarkować, bo za śladem poszedł precz przez porębę. „Dobryś, zwietrzył widać Walarskiego!"

Po jakimś czasie stangret wraca, wywołuje z izby ekonoma, prowadzi go na te ślady, pokazuje, macha rękoma: oczywiście dowodzi, że tu był Walarski z kradzionymi końmi... Nareszcie wyszedł z chałupy i policjant — rzecz dziwna — trzymał w ręce skrzypki Beldonkowe. Ma się rozumieć, ekonom i stangret widzieli na Wygodzie chłopca ze skrzypkami, a teraz sobie to przypomnieli. „Jezus, Maryja, Józefie święty!... Oni mię tutaj gotowi szukać..."

Obradują we trzech, oglądają jeszcze ślady a Bartek im znowu pokazuje inne ślady, te właśnie, które wycisnęły spętane konie, kiedy je chłopiec po nocy wypędzał na paszę do lasu. „Taki stangret zna się doskonale na wszystkim, co do koni należy". Za tymi śladami idą w las; przechodzili o jakie dwanaście kroków od gąszczu, gdzie się zaszył Beldonek, i teraz posłyszał kilka słów z ich rozmowy: — „Baba nas obełguje... Konie mogą być jeszcze w lesie... Gotówem przysiąc, że te skrzypki widziałem u chłopaka na Wygodzie: trzymał je w zanadrzu i z zanadrza wyglądała taka sama rączka z głową kogucią". Chłopiec zatrzymał dech w piersi; naraz spostrzegł, że Salka wyszła z izby, płakała czegoś, łzy z oczu ocierała fartuchem i spoglądała ku lasowi. Ci trzej już przeszli, byli dosyć daleko w lesie, tak Beldonek wysunął się odrobinę z krzaków. Od razu go Salka spostrzegła i obiema rękoma macha; daje takie znaki, jak gdyby powiedzieć chciała: — „Idźże sobie, schowaj się, uciekaj! Niech Bóg broni, żeby cię tu mieli zobaczyć!..." Dopiero chłopca zdjął teraz

strach ogromny; zrozumiał że się muszą chyba bardzo o niego dopytywać. Więc już o nic nie dba, jeno sobie miarkuje: — „Skoro ci poszli na prawo, ja na lewo". Uderzył w bór i bez pamięci pędzi przed siebie, gdzie go oczy niosą. „Bodaj zginąć, a nie dać się pojmać jak złodziej!" Nawet nie wiedział, jak i kiedy przypadł na Włochy — wieś taka pod Pińczowem. Było już pod tę porę, kiedy pasterze co tylko bydło do wsi spędzili — kurzawa jeno w powietrzu, jak mgła, wisiała, chrabąszcze przelatywały: mroczek spokojniutki po zachodzie słońca. Z daleka już na drogę dolatywał od wsi huk basów: — „bum-bum-bum bum-bum-bum".

Zabawa jakaś gotowała się widać. Chłopiec stracił rachubę czasu; nie wiedział, że nazajutrz jak raz przypadają Zielone Świątki. Przy święcie wyspać się można, więc młódź szła do karczmy, żeby sobie pohulać. W karczmie otworem stały drzwi i okna, i Beldonek wszedł tam popatrzeć, czy też taki sam zwyczaj jak w Balicach. Nic odmiennego nie było, jeno skrzypek smykiem coś tak pociągał, jak gdyby kto broniakiem po szkle drapał i przez to tańce nie szły należycie. Dawniej pono doskonale grywał, jeno od roku ogłuchł na oba uszy i teraz grał tak sobie — na chybił-trafił. Coraz który parobek stawa przed kapelą, śpiewa, przytupuje, puszcza się w pląsy, a ten mu smykiem pudłuje.

— Paskudny dudo, żeby cię kolki sparły za takie granie — fukają.

Rozgniewał się nareszcie ów skrzypiciel, zeskoczył ze stołu, nie chce im grać dalej, wziął na ambit.

— Tyle lat im do tańca grałem i było dobrze — powiada — a teraz lada kto wydziwia!... Co mi za niewola rzępolić do rana?

I wyszedł z karczmy, myśląc, że im ogromnie dokuczy. W samej rzeczy, parobków chętnych do tańca pełno, dziewek równie — a tu im skrzypka brakuje. Oglądają się, patrzą po sobie, pytają:

— Co począć? Kto nam zagra?...

Beldonek, chociaż z natury nieśmiały, wysuwa się i rzecze do jednego z taneczników:

— Ja bym zagrał, ale gdzie są skrzypce?...

Zaraz kilku wybiegło za tamtym głuchym grajkiem, odebrali mu na drodze skrzypce, przynoszą, podają Beldonkowi i wołają:

— Rznij, mały, od ucha! szczerze, rzetelnie — rozumiesz?...

Dopiero chłopiec „brzdęk-pęk", nastraja skrzypce, przykręca kołeczkami struny, pociąga smykiem tak i owak — „rym-rym, ciach-ciach". No, bardzo pięknie! Zagrał im, a ci „hop-hop, łup-łup" — hulatyka taka, aż się karczma trzęsie. Precz powiadali, że na Włochach jeszcze nie bywało podobnej ochoty — niby wysławiali Beldonka, jako ogromnego majstra do grania. Jak mu zaczęli za tę muzykę sypać trojaki, stawiać poczęstunki, tak się chłopiec bardziej rozochocił i siarczyście ciął swoją sztukę.

— Cie-wy — powiadają — małe takie, bez mała smarkate, a niech się przy nim schowa pińczowski muzykant!

Rozhulał się, rozszalał ów-ten naród, końca miary nie było ich tanom. Osobliwie jeden parobek, imieniem Szczepan, chwat ogromny, rej tam wodził do upadłego, a dziewucha Marysia, z którą ciągle tańcował, o mało przy nim nie padła. Nareszcie ustali, nikt już nogą ruszyć nie może. Zmachani, zziajani, oblani potem, ochrypli od śpiewania, pokrzykiwania; obstąpili Beldonka całą gromadą i wypytują:

— Skądżeś ty? Jak ci na imię...

Niektóra dziewka po twarzy go pogłaskała — podobał im się widać. On powiada, że jest sierota, bez ojca, bez matki, że go chęć ciągnie do Pińczowa na naukę. Uważał sobie, że o potargnieniach swoich ze stryjną Matusową, o spotkaniu z Walarskim lepiej wcale nie mówić. A no, zbliża się do niego ten główny tancerz Szczepan, w te słowa mówi:

— Ciężko ci będzie, mały! Wiesz ty, że w Pińczowie za naukę trza setnie płacić? Jeden roczek lepiej wyjdzie, niż para dobrych szkap chłopskich... Z przyodziewku zaś, ze wszystkiego znać, żeś mizerak ogromny. Ale co tam teraz o tym mówić! Pójdź ze mną, prześpisz się w stodole, a jutro pogadamy!...

— Dobre tam jutro!... — ktoś się odzywa. — Słonko wschodzi i jutro, jak wół, na niebie. Za parę godzin czas będzie na mszę ranną do Pińczowa.

Jaki taki przeciąga się, poziewa, wychodzą z karczmy; dziewki kuleją jak konie niekute, kiedy się podbiją na szosie. Był już dzień jasny i Beldonek szedł przez wieś ze Szczepanem, a od czasu do czasu tanecznik który, albo tanecznica, dawali się z dala słyszeć:

Na kościele gałka,
A w tej gałce strzałka;
Da w karczmie na stole
Jest-ci tam gorzałka.

Z drugiej strony znowu rozlegała się inna śpiewka:

Prosili mię na wesele,
Oj na pieczoną kurę;
Sami mięso pozjadali,
A mnie dali skórę.

Skowronki też pod niebem wycinały swoje kuranty. Dzionek śliczności, żyć nie spać. Pola i ogrody błyszczały od rosy, by diamenty kto rozsuł; pachniała cała ziemia. Szczepan, co niedawniutko tak dokazywał w tańcu, teraz ledwie powłóczył za sobą nogi; tylko kiedy posłyszał, że śpiewa ta Marysia, jego tanecznica, zaraz jej odśpiewał:

Są na boru fiołeczki,
Pójdziemy na nie;
Uzbieramy parę wianków,
Na zalecanie.

Przyszli do obejścia, zaraz wyskoczył pies z budy, rzuca się, łasi, skowyczy radośnie. Szcze-

pan idzie do stodoły, otwiera, wpuszcza chłopca, mówi:

— Wleź w zapole, wyśpij się uczciwie! Ja muszę gadzinę napoić, obrządzić, zanim matusia wstanie.

Syn był gospodarski, jedynak u matki, gospodyni rolnej, a zwał się Łakota. Beldonek od razu padł w słomę i po tylu nocach niewywczasu spał, że nie trza lepiej. Może w trzy, cztery godziny potem, budzi go tamten i dobudzić się nie może.

— Wstawaj — powiada — pani matka dadzą nam śniadanie i marsz do Pińczowa na sumę!...

To wspomnienie Pińczowa postawiło chłopca na nogi. Zerwał się raźno, otrząsnął ze słomy, zmówił pacierz. Przychodzi do chałupy, a tam go matka Szczepana przyjmuje, jak osobę — musiał jej syn co nagadać. Nie bardzo jeszcze stara była kobieta — lat może jakie czterdzieści kilka, miła na twarzy, w mowie, a z porządku w izbie znać, że obrotna gospodyni: bielutko, czysto wszędzie, na ścianach — obrazy umajone zielem, tatarak, czego zwyczaj, rozesłany po ziemi. Wzięła Beldonka za rękę, zamawia do niego grzecznie „synu". Czekała tam już na niego miska przedniej zacierki z mlekiem — palce lizać.

— Jedz, synu, jedz na zdrowie! — powiedziała.

Tymczasem Szczepan ogromnie się wystroił na to pińczowskie nabożeństwo. Jak to w tamtych stronach, nie ma jednej mody, jeno mieszanina: trochę od Staszowa, a trochę od Proszowic, Skalbmierza, Miechowa. Drugi to ma i pas z kółkami, czapkę z pawim piórem, kerezję centkami naszywaną. Łakota bo miał taką urodę, że mu każdy strój pasował. Spojrzał nań Beldonek i pomyślał:

— Wstyd mu chyba iść będzie ze mną... Kitka oberwana, na koszuli brudu tyle, żeby rzepa wzeszła.

Ale gospodyni, jakby odgadła jego myśli, powiada:

— Synusiu, idźże do komory, przebierz się!... Co ci trzeba, znajdziesz.

Pocałował ją w rękę, poszedł, ażeby się ubrać w komorze, chociaż przyodziewek nie bardzo był na niego; jedno za długie, drugie za szerokie, jeno od każdej szmaty czystość białością biła. Zadziwił się chłopiec, że Szczepan wziął z sobą książkę do nabożeństwa: „On widać i czytać umie". Pożegnali gospodynię, poszli. Co tylko zaczęli gwarzyć, a tu spotykają dwie dziewuchy ślicznie wystrojone i takie, by kwiatki. Jedna była Marysia, z którą Szczepan wczoraj w karczmie tak hulał, druga siostra jej, Zośka; każda z nich trzymała w ręce książkę do nabożeństwa owiniętą różańcem. „No, no, to tu widać naród mądry, kiedy i kobiety na książce czytają!" Oczywiście umowa być musiała sekretna, że razem na nabożeństwo pójdą, jako Szczepan z Marysią lgnęli do siebie. I tak we czworo szli górką, u dołu widzieli całe miasto, dalej — mosty, ogromne błonia zielone nad Nidą, a na błoniach jak nabił bydła, koni, gęsi. Widok daleki — precz ku Zakrzowu, ku Pawłowicom i Skowronnu. Cudnie

patrzeć! Jeno Szczepan i Marysia pewnie nic nie widzieli: jedno drugiemu ciągle zaglądało w oczy. Zośka tylko czasami bąknęła do Beldonka, ale też nic nie zważała na jego odpowiedź i na wszystko. W kilka pacierzy wchodzili już do Pińczowa, a chłopiec precz sobie przypominał miasto z tamtego czasu, kiedy to z dziadem Florkiem wyprawił się był do Częstochowy i nocowali tutaj w klasztorze Bernardynów u Skubały — także dziada. A jakże! ta sama studnia na środku rynku, z wodą bijącą wysoko w górę — fontanna się nazywa. Długie podsienie ze schodami ciągnie się od dzwonnicy het! ku dołowi; no i przed domami Żydkowie wysiadują na ławeczkach. Beldonek rozglądał się wokoło, a w duszy sobie myślał: „Gdzie też tu jest szkoła?"

Właśnie u fary zaczęły bić dzwony i moc narodu cisnęła się do kościoła: nie tylko prości wieśniacy, ale i surdutowi różni. Tam można użyć na nabożeństwie jak najpiękniejszym, ile że śliczność ogromna w procesjach, w śpiewaniu, graniu, dzwonieniu, a oczy aż się rwą do wielkiego blasku, połysku, który z ołtarzów świętych i z obrazów bije. Przez całą sumę chłopiec był jak odurzony, chciałby się oto pomodlić, prosić Pana Boga, żeby mu pobłogosławił w postanowieniu — a tu, co gdzie rzuci okiem, nowość go jaka ciągnie. „Skąd się bierze bogactwo takie cudne?... Czy ludzie ręką robią tych prześlicznych aniołków i Świętych, czy może Pan Jezus już tak sam daje?"

V.

Po sumie wylał się ciżbą cały lud z kościoła, a Szczepan nie trzyma już kompanii z Marysią, jeno trąca Beldonka i tak rzecze:

— Mój kochany, gdzie się ty tu obrócisz, niczego nieświadom? Ludzi widać nie znasz, obcy jesteś, a człowiek wiejski musi w mieście należycie za sobą chodzić, nim co wskóra...

— Ja też to uważam... Żebyście mi choć aby pokazali, gdzie iść do tej szkoły.

— Ej, co by ci tam z mojego pokazania przyszło! Szkoła stoi oto w rogu rynku, naprzeciwko kościoła: no i cóż z tego? Chciałbym ci dać inną, rzetelną pomoc, taką, żebyś stąd nie odszedł z niczym... Pójdź!

Chłopiec poszedł z tym swoim opiekunem, a w duchu sobie myślał:

— Opatrzność Boska nade mną!...

Przeszli przez rynek, skręcili w ulicę na prawo idą i Łakota poczyna w te słowa znowu mówić:

— Zaprowadzę cię teraz do jednego profesora, którego często swoimi końmi wożę do Kielc i uważam, że mię lubi. Dobry, uczynny, rozmowny człowiek, od chłopa nie stroni. Kiedy cię tam

nauka już tak koniecznie pali, to go pięknie poproszę o jaką radę.

A no, gwarzą i wyszli na jakiś pagórek, gdzie nad strumieniem stały trzy domki, i Szczepan zadzwonił do środkowego. Zaraz im otworzyli, a przy tym wypadł wielki pies, który ogromnie grubo szczekał i zaczął obwąchiwać tych przybyłych. Na to otwierają się drzwi boczne, wyjrzał do sieni człowiek jakiś z wąsami, brodą — właśnie sam pan profesor. Kiedy spostrzegł Łakotę, uśmiechnął się mile, podał mu obie ręce, zapraszał do pokoju.

— Proszę, proszę dalej!... Kochany Szczepan!... Cóż słychać, mój przyjacielu? Ani się pokażesz!... Jakże się miewa matusia? Oziminy macie piękne na Włochach, co? — Tak mówił, zacierał ręce, a na Beldonka coraz to zerknął i nareszcie zapytał:

— Co to za kawalera mi przyprowadzasz? Przyjaciel, powinowaty?

— Jużci pono przyjaciel! Sam dobrze nie rozumiem, czego on tam chce; słyszę jeno, że go ochota do nauki pali... Od Balic się biedak do Pińczowa gramoli i nic, tylko za nauką przepada. Miarkuję sobie, że pewnikiem ma dużą zdatność, skoro nam ślicznie grał wczoraj do tańca — dziecina taki. Sierotka jest, bez rodziców — litość bierze; więc sobie umyśliłem przyprowadzić go tu do pana, niech się wyspowiada!

Teraz już z uwagą przyglądał się chłopcu ten profesor, zbliżył się do niego, wziął za rękę, ośmielał:

— Hm, hm, chciałbyś się uczyć mój chłopcze... To pięknie, bardzo pięknie! Skądże się u ciebie wzięła chęć do nauki? Może cię kto zachęcał, nauczał?

— Nie, proszę pana, sam z siebie mam ochotę, z dobrej woli!

— A cóż dotąd robiłeś?

— Za bydłem człowiek co bądź poznał na czytaku i pisanego odrobinę.

— No, a opieki żadnej nie masz nad sobą?

— Mam stryjka, jeno, jeno...

Przy tych słowach chłopiec spłonął, zalał go ogień po uszy: pewnie się sromał wyznać, że uciekł w nocy z domu stryjka i że go stryjna bijała. Uderzyło to widać profesora, kto wie, co sobie tam pomyślał; ale zmienił ton mowy i tak rzecze:

— Moje dziecko, możeś ty co przeskrobał, boisz się kary, uciekasz! Widzisz, opiekuna trzeba koniecznie szanować, stryjek zastępuje ci tatusia, matusię.

Powiedzenie takie wzruszyło chłopca, łzy mu stanęły w oczach. Jużcić czuł wyraźnie, że jest niewinny w duszy; no, ale uciekł z domu, spod opieki — nikt przecie tego nie mógł chwalić. Czy to kto wiedział, jak mu stryjna Matusowa — ta druga — dokuczała? Czy kto wyrozumiał, że go ochota do nauki w świat pędziła?... Stał pomieszany z oczami spuszczonymi, a łzy mu wisiały pod powieką. Chociaż nic nie mówił, wyraźnie tak wyglądał, jak gdyby chciał powiedzieć:

— Toć ja nigdy nikomu na świecie nie zrobiłem nic złego.

Wyrozumiał to niezawodnie ów profesor, bo zaraz w mowie spuścił z tonu i już nie takim ostrym głosem przemówił:

— Ale, mój chłopcze, ja ci tu nie myślę zarzucać, żeś się dopuścił jakich złych, podłych uczynków!... Tylko widzisz, młody taki lekkoduch często sam nie wie, co robi, a starszy człowiek powinien go koniecznie zawrócić na dobrą drogę.

Więc Beldonek pomiarkował, że ten z serca do niego przemawia, po ojcowsku; tak zaraz chwycił rękę profesora i pocałował.

Zamilkł teraz profesor i dopiero po jakiejś chwili odezwał się do Szczepana w te słowa:

— Ha, różnie na świecie bywa! Czasem Pan Bóg sam popycha dziecko do tego, żeby się wychowało na człowieka. Niechże tu u mnie zostanie ten mały; przekonam się, co są warte jego chęci i — czy będzie można coś dla niego zrobić.

Gwarzyli jeszcze czas jakiś o tym i owym, nareszcie Szczepan pożegnał profesora — pewnie się umówił z Marysią, że będą razem wracali na Włochy. Beldonek wyszedł z nim przed dom, dziękuje mu szczerze za poparcie, za wszystko, a on na to z żartem:

— Odwdzięczysz mi się na moim weselu, zagrasz do tańca tak, jak grałeś wczoraj.

Wszyscy w Pińczowie i w okolicy dobrze znali, a ogromnie szanowali tego pana profesora; nazywali go Kondratem, podług imienia jego Konrad. Uczył on w szkołach nauk, które się zowią przy-

rodnicze, jako wyjaśniają, że to a to, że tak a tak jest na świecie, czyli w przyrodzie. Najmniejszy meszek, robaczek ledwie widzialny okiem, kamyczek, chmurka czy błyskawica, pogoda, deszcz, śnieg, mróz, bryłka ziemi, tęcza na niebie — każdziutka rzecz ma w tych naukach należyte wytłumaczenie. Drugi człowiek patrzy a nawet dobrze nie wie, na co patrzy. Kto zaś z owych sławnych nauk powziął rozmaite potrzebne wiadomości, rozumie, co jest życie człowieka i wszelkiego żywego stworzenia. Lekarz dlatego uzdrawia chorego, ponieważ go nauczono rozpoznawać choroby ludzkie i wskazano mu sposoby przywracania zdrowia. Takiej nauki nie posiada pierwszy lepszy, który się niczego nie uczył. Mądrość boża przecudnie świat urządziła; ale dopiero nauka ta oświeca człowieka, że może pojąć ten cud mądrości, owe wielkie dzieła Stwórcy: na niebie słońce, gwiazdy, księżyc, — a na ziemi chleb powszedni i prześliczne kwiatki. Toteż przez naukę zbliżają się ludzie do Pana Boga, rozpoznają Jego wszechmoc, a swoją własną godność. Człowiek, stworzony na obraz i podobieństwo boskie, nie może przecież być ciemny, niedbały, obojętny na dzieła Stwórcy. Jakżeby głupi zdołał należycie uczcić Boga, skoro nie jest zdolny cenić Jego wielkości tak wyraźnej — oczywistej dla tego, kto rozważa i pojmuje cudowność w urządzeniu świata?

Nieprzyjaciele nauki, mądrości ludzkiej, są wrogami prawdy, objawionej w stworzonym świecie przez samego Boga. Bezmyślny nieuk, pogrą-

żony w ciemnocie, błądzi ciągle, nie chodząc drogą rzetelnej cnoty, gdyż cnota wynika z prawdy, mądrości, a polega głównie na miłości bliźniego. Każdy bowiem człowiek ciemny jest samolubem, sobkiem, który żyje tylko dla siebie, a nie zważa na szkodę, krzywdę, cierpienie bliźnich. Ciemnota nie tylko upośledza i zamyka człowiekowi drogę cnoty, ona jest dla niego w najwyższym stopniu szkodliwa. Rządy nad innymi stworzeniami, panowanie na ziemi, mogą ludzie sprawować jedynie przez rozum — i to jest jasne. Pomyślmy sobie, jak ta ziemia wyglądała w najdawniejszych czasach i czym jest teraz — a przekonamy się, ile pożytku przyniósł ludziom rozum. Drzewa owocowe, zboża, rozmaite rośliny, które gospodarz wiejski uprawia dzisiaj, były to w owych wiekach dziczki i chwasty. Nasze zwierzęta domowe, dające ludziom pożywienie, odzież, pomoc ogromną w pracy, także pozostawały onego czasu w stanie zupełnej dzikości, pierzchały na widok człowieka, gdyż go uważały za swego wroga. Koń, wół, owca, koza, wieprz, gęś, kura, kaczka itd., były to zwierzęta dzikie, na które ludzie polowali. Cała ziemia wyglądała podówczas jak step zapuszczony, nieuprawny, albo bór pełen straszliwych, krwiożerczych zwierząt, a miejscami znowu — ogromne bagniska, zarosłe trzciną, sitowiem... Ludzie nadzy, zgłodniali, tułali się po tych przestrzeniach, zamieszkiwali jaskinie, żyli w ciągłym strachu wśród niebezpieczeństw, które im zagrażały na każdym kroku. Ale już w tym nawet stanie byli oni rozumem wyżsi nad inne żywe

stworzenia i przez ciąg długich wieków, z pokolenia w pokolenie stawali się coraz mędrsi, cnotliwsi, doskonalsi — aż nareszcie opanowali całą niemal naturę. Rozum ludzki sprawił, że koń i wół uprawiają dzisiaj rolę — że siła wody wprawia w ruch kamienie młyńskie, wiatr obraca skrzydła wiatraków, para z nadzwyczajną szybkością przenosi człowieka o tysiące mil, bądź koleją żelazną po ziemi, bądź na statku parowym po wodzie.

Trzeba się koniecznie uczyć, ażeby to wszystko dobrze zrozumieć. Nie można nigdy zapominać, że człowiek ma obowiązek być mądrym, cnotliwym, jako stworzony na obraz i podobieństwo Boga.

Beldonek, który tak pragnął nauki, nie mógł już lepiej trafić: u tego profesora w Pińczowie było mu jak w raju. Pan Kondrat nauczał go nie tylko na książce, ale na samej przyrodzie, będącej jakoby księgą pełną mądrości. Chłopiec nabywał poznania, rozumu — i rzeczy zwyczajne, na które przedtem codziennie patrzał, jako na pospolite, spowszedniałe, wydawały mu się teraz godne ogromnej uwagi. Bo oto profesor umiał opowiadać śliczne historie o najmniejszej muszce, komarze, mrówce, mszycy. Prosty człowiek, bez nauki, wcale nie wie jak stworzenia te boskie na ziemi żyją.

Nieme zwierzęta, podobnie jak człowiek nieoświecony, spędzają bezmyślnie życie w zupełnej obojętności na to wszystko, co się w tym pięknym Bożym świecie dzieje. A tu najdrobniejsza trawka, pleśń na kawałku chleba, rdzawa plama na

nożu, sporysz w kłosie żyta, próchno drzewa, zdają się wołać: — „Człowiecze, ucz się, oświecaj!" Potężna skała, maleńkie ziarnko piasku, bryłka ziemi, mogą opowiedzieć cudowną historię stworzenia tego świata. Czyż nie warto poznać, jak się to dzieje, że ziemia nasza jaśnieje na wiosnę zielonością, pokrywa się kwiatami, rozlega się od śpiewu ptaków, a napełnia ją rój prześlicznych motyli i muszek? Któż, jeśli nie człowiek, ma się przyjrzeć temu słońcu wspaniałemu, które wzrost daje plonom, a w cieple jego i blasku weseli się każde żywe stworzenie? Albo, czyż to nie jest godne ludzkiej uwagi, że w zimie świat wygląda jakby z kryształu zrobiony?

Książek do czytania miał teraz Beldonek moc niezmierną; nigdy w życiu nie myślał, ażeby tyle tego było na świecie, a jedna historia piękniejsza od drugiej. Połykał on toto, rzec można, i kiedy się kładł do łóżka na spoczynek, miał zwykle głowę nabitą tym co czytał, co od profesora słyszał. Istotnie, dzień był dla niego za krótki. Miał pióra, atrament, ołówki, a przytem nie napędzano go do żadnej innej roboty, nie przeszkadzano mu niczym w nauce.

Ze wszystkiego widać było, że chłopiec robi znaczne postępy w naukach i że to cieszy pana Kondrata, który też nieraz wśród znajomych dawał się słyszeć:

— Uważam sobie za święty obowiązek, dopomagać, o ile mogę, temu zadziwiająco zdolnemu i chętnemu dziecku.

Tymczasem w Balicach ludzie prawie zapomnieli o Beldonku — jak to na wsi — każdy ma na głowie własną robotę i biedę. Jeden tylko Wojtuś smucił się i do pasterzy na błoniu często mawiał:

— Mój Boże, nie ma Beldonka!

Dopiero jednego dnia odbierają w kancelarii gminnej list z poczty, pisany na ręce gospodarza Matusa Soboty, któremu go też pisarz gminny odczytał. Sam pan profesor pisał; donosił, jako Beldonek pozostaje w Pińczowie pod jego opieką, a okazuje zadziwiające zdolności i chęci do nauk — „złota głowa, żelazna wytrwałość". Ale że chłopiec ma rodzinę i opiekuna, więc tenże profesor zapraszał Beldonkowego stryjka do Pińczowa, aby się z nim porozumieć i uzyskać zgodę opieki na dalsze pokierowanie dzieckiem i zapewnienie mu losu. Matus drapał się w głowę, wyrzekał, że chłopak nicpoń, narobił mu kłopotu, że podróż taka przecie sporo kosztuje:

— Rak jakiś, nie chciało mu się oto pilnować chałupy, słuchać starszych! Ladaco, zwlókł się, rozpuścił się, jak dziadowski batóg!... Pojadę do Pińczowa, zabiorę, zerznę uczciwie skórę i będzie!

Tak pisarz gminny wsiada z góry na Matusa:

— Głupi narodzie, a cóż wy zaś sobie myślicie, że paść świnie to już ma być największe szczęście dla chłopca, który widać do czegoś lepszego zmierza? Żeby tak o moim synie pisali profesorowie, jak o Beldonku, to bym oddał z siebie ostatnią koszulę, ażeby dziecku pomóc.

Stropił się Matus, poszedł z tym listem do Biernata; powiada:

— Wyście pierwsi coś niby przewąchiwali, a teraz znowu jakiś tam profesor pisze o tym naszym Beldonku i pisarz też w kancelarii sfukał mię... Precz dokumentnie dowodzą, że chłopak ma do nauki ogromne rozgarnięcie. Niechże-ta! Jeno na co on wyjdzie?... Księdzem on pewnie nie zostanie, nie dobije się do takiej godności, a jak ma być organistą, pisarzem gminnym, czy innym jakowym gryzmołą, to ja nie pozwolę! Jakże myślicie?

— Ksiądz, nie ksiądz, nic nie wiadomo: nawet biskup być może. To sobie tylko rozważcie, że skoro Pan Jezus natchnął dziecko taką chęcią, grzech byłby przeszkadzać. Zrządzenie też widać boskie nastręczyło mu tego profesora, który go na człowieka kieruje.

— Wszystko to jest dobrze, — powiedział Matus — jeno widzicie Szymonie, ja się boję, czy tu nie ma jakiego manienia... Tacy miastowi ludzie, nic, jeno wyłudzić od głupiego chłopa pieniądz; a ja przecie trzymam w ręku sierocy majątek, nie mogę być letkoduchem. Oni pewnie będą chcieli, żeby im porządnie płacić za tę naukę.

— Eee — odrzeknie Biernat — w mieście, zupełnie tak, jak na wsi: są źli, są dobrzy ludzie! Ja bo nie myślę, żeby taki profesor chciał obełgać biednego chłopca... Wiecie co, Matusie, jedźmy obaj do Pińczowa! Naręczna wasza szkapa utyka, widzę, to sprzężmy po koniu i jazda! Powiadam szczerze, mnie się cni bez tego Beldonka w Balicach — chłopczyna taki mądry, zdatny, dobry. Trza się na oczy przekonać, co on tam robi, a czworo oczu zawdy więcej zobaczy, niż dwoje.

— Od tego nie jestem; przyślijcież jutro raniutko do mnie szkapę i sami się w drogę zbierajcie! — odrzeknie Matus, jako był z niego gospodarz przyskąpy i cieszyło go, że się Biernat w części do kosztów tej podróży przyłoży.

Ale w chałupie Agata rozpuściła język przeciw temu postanowieniu tej jazdy; nawymyślała chłopu, co się zmieściło.

— Człowieku — powiada — miejże rozum w głowie. Do czego to zaś podobne, żeby wiatr gonić po świecie za jednym próżniakiem, który z chałupy oto uciekł od jak najlżejszej roboty i w dodatku jeszcze, paliwoda jakiś, psa z sobą zabrał!...

On jej powiada, że koniecznie musi jechać, że do niego pocztą nadszedł list od jednego profesora, że stary Biernat także się napiera jechać, a ona mu ze złością:

— To niech sobie jedzie, ty nie!...

— Pisarz gminny, wszyscy w Balicach ogromnie nastają, ażebym chłopca poparł w jego ochocie... Dziecko takie na wsi, co jest chciwe nauki — ogromny rarytas. Zwyczajnie, baba nie może tego zmiarkować, jeno chłop powinien.

Zaczęli się przekomarzać, swarzyć. Matus — swoje, Agata — swoje.

Nie miał chęci do owej jazdy, a teraz się zaciął:

— Żebyś ty na łbie stawała, muszę, pojadę!

— Uhum, jużci! Nie pojedziesz!

Skląła go nareszcie, zbeczała się ze złości; Matus nie zważał.

Nazajutrz raniuteńko, Biernat już jest w Matusowym obejściu. Przyprowadził z sobą szkapę, przydźwigał torbę obroku, wiązkę siana, a i kobiałkę z różnymi zapasami na drogę. Widzi Matusowa, że pojadą — nic nie wskórała, tak chciała teraz zażyć męża z innej beczki. Otwiera skrzynię, wydobywa z niej szmaty co najparadniejsze, ogarnęła się w odświętny przyodziewek, zawiązała na szyi śliczne korale i powiada:

— Kiedy tak, ja też do Pińczowa z wami pojadę!...

Chłop oniemiał, o mało go licho nie porwie, zgrzytnął zębami; ale się wstrzymuje, żeby przy obcym człowieku nie robić piekła w domu. Spojrzał jej tylko ostro w oczy, myślał, że jej to da upamiętanie. Gdzie tam! Więc ściska pięści ze złości, a dobrymi słowy do niej przemawia:

— Kobieto, cóż ty chałupę i wszystko na jednej Bożej łasce chcesz zostawić, jechać do Pińczowa bez najmniejszej potrzeby?...

Pomiarkowała pewnie, żeby ją teraz niezawodnie trzasnął, gdyby mu się jeszcze stawiała — i wzięła się na inny sposób. Skoczyła zaraz do Biernata, przymila mu się i rzeknie:

— Wytłumaczcież mu, Szymonie, że ja muszę jechać! Płótna oto potrzeba na obleczenie Matusa

i Wojtka, a w Pińczowie towar lepszy i tańszy, niż w Chmielniku.

Biernat, chcąc nie chcąc, począł się za nią wstawiać — cóż innego miał robić? Matusa też tymczasem pierwsza złość ominęła, nasapał się jeno po próżnu, namruczał, a baba pojechała. Nic kobiety nie przeprze, skoro się uprze!

VI.

Zaraz jakoś z południa przyjechali do Pińczowa i krętu-wętu, gdzie tu szukać jakiego profesora, a gdzie — Beldonka. Każde miasto, to tylko zamęt w głowie u człowieka ze wsi; przyjeżdżasz za interesem i od razu na wstępie zapominasz, po coś przyjechał — tak ci zaraz oczy zamydlą, głowę zakotłują. Tam Żyd, tu Żydówka, obchodzą w koło przyjezdnego chłopa, aż złość bierze: mają człowieka za ostatniego głupca, którego odrwić można. Chociaż się to wyraźnie widzi, oni i tak oszukują — chytrki takie. Już tam trudno byłoby znaleźć drugiego człowieka, co by się tak znał na różnych wybiegach, jak Matus Sobota, a ile razy przyjechał do Chmielnika, zawdy go jakiś Żyd orżnął. — Przyjeżdżają oni do Pińczowa, a Biernat nikomu słówka nie mówi, jeno skoczył z wozu i poszedł. Matus zaś rozkiełznał konie, rzucił im narączko siana, myśli je napoić, wypławić w rzece, a od baby trzyma się z daleka, jako pewny był, że będzie chciała od niego pieniędzy na sprawunki. Tak ona rzuciła tylko nań okiem, pomiarkowała o co mu chodzi, i chciała go sobie ująć. Poszła do przekupki, kupiła dwie kiszki z juszki, parę bułek, oddaje chłopu większą połowę tego i mówi:

— Naści, posil się przecie! Tyle czasu nie miałeś nic w gębie...

Zaczął jeść i cała złość jego przemijała razem z głodem. Ona na to tylko czekała, żeby się odrobinę udobruchał, wciągała go pomału w rozmowę, umiała sobie z chłopem poradzić.

— Masz też tu w Pińczowie jakie znajomości? — pytała.

— A jakże, mam! — odrzekł, a kiszkę zajadał. — Byłem ja tutaj przed laty, napoznawałem różnych takich wydrwigroszów, co mię ponaciągali, wyłudzili z kieszeni spory pieniądz... Sobaki zatracone!

Skończył jeść, oblizuje się, a ta go głaszcze pod brodę, uprasza:

— Dajże na płótno, na nici!... Soli też do chałupy trza kupić...

Jak raz nadszedł Biernat, mówi, że znalazł tego profesora, co się Beldonkiem opiekuje. Dopiero Agata się napiera:

— Pójdę z wami!

— Nie pójdziesz! — odrzekł Matus, sięgnął w zanadrze i dał jej pieniędzy na sprawunki. — Do czego zaś podobne, ażeby wodzić z sobą babę — i to taką pyskatą — po ludziach nieznajomych?... Zaświerzbi ją język, gotowa się wyrwać z głupim zdaniem i już!... — Wolał jej dać pieniędzy na te jakieś tam sprawunki. Napoił szkapy, wypławił i obaj z Biernatem zajechali przed dom profesora.

Uradował się Beldonek na widok stryjka i Szymona, swego przyjaciela, chociaż wstydu, lęku, zażył też niemało — że to uciekł z Balic bez ni-

czyjej wiedzy. Z panem Kondratem były ogromne rozprawy:

Matus — swoje, profesor — swoje, a Biernat na stronę profesora ciągnął, żeby Matusa skłonić do uznania słuszności w onym pociągu chłopca ku nauce. Przeparli go nie tyle tym co mówili, a głównie skoro usłyszał, że nie będzie potrzebował łożyć na szkoły żadnych kosztów, i uszczuplać majątku, który po rodzicach na Beldonka spadał. Biernat, poczciwa dusza, upatrzył sobie był chwilę i panu Kondratowi na ucho te słowa poszepnął:

— Jak tam przyjdzie co do czego, to już moja głowa w tym będzie, żeby chłopiec nie doznał braku i pokończył wszystkie, jakie tylko są, nauki. Pan Jezus mi odpłaci za pomoc daną sierocie.

— No, podziękuj chłopcze opiekunom swoim za to, że ci dają pozwolenie pobierania nauk!

Chłopiec zaraz poskoczył, skłonił się stryjkowi i Szymonowi do kolan, ucałował ręce obu gospodarzy. Chociaż go tam serce nic a nic nie ciągnęło, musiał iść na miasto, poszukać stryjny Agaty i także jej dziękować. Baba krzywo jakoś patrzyła na niego i z tym się dała słyszeć:

— Mitręga oto, ostatnie bałamuctwo i nic więcej! Gdzie zaś ci starzy chłopi rozum podzieli, że zezwalają na różne takie głupstwa?

Pan Kondrat chciał się jeszcze dowiedzieć, co za imię i nazwisko nosi chłopiec, jako mianować go przez całe życie Beldonkiem nie wypadało. Nazwisko znalazło się od razu, bo je przecie i stryjek Matus nosił — Sobota. Ale nad imieniem na

próżno sobie łamali głowę: poszło w zapomnienie. Za powrotem dopiero Biernat wyciągnął w parafii metrykę i z niej się pokazało, że chłopiec ma dwa imiona chrzestne: Jacek, Wawrzyniec; jeno w Balicach zawsze go nazywano Beldonkiem.

Teraz pan Kondrat sprawił chłopcu nowe ubranie, takie jak to w mieście noszą. Przychodzi raz Szczepan Łakota i powiada:

— Fiu, fiu, wystrychnąłeś się na szlachcica! Jakże tu takiego panicza prosić, żeby do tańca grał na chłopskim weselu?

— Ee, surdut mi tam w graniu nie będzie zawadzał. Pomyśl o skrzypcach, to grunt!

— Już ja się na skrzypce zdobędę, a ty pamiętaj wysadzić się na granie, ile że ogromni znawcy będą!

— Co ty powiadasz?... Kto będzie?

— Niedaleko szukając, pan Kondrat jeden, drugi ksiądz wikary, który na skrzypcach umie tak wycinać, że człowiekowi o mało dusza z ciała nie wyskoczy... Przyszedłem oto — powiada — do Pińczowa prosić, żeby ci pan profesor pozwolił iść dzisiaj ze mną na Włochy. Zabawy różne, zaprosiny przed weselem bez muzyki się nie obędą.

— Któregoż zaś dnia ślub twój i wesele?

— Pojutrze będzie, przy niedzieli! Ale widzisz, moja pani matka pochodzą ze Skowronna — cała wieś powinowata i z zaprosinami trzeba iść tam w sobotę. Księdza wikarego, pana Kondrata też z muzyką zaprosić, czego zwyczaj.

Dobrze. Beldonka zwolnił profesor, a i sam, bez zaprosin, obiecał być przy ślubie i na weselu. Że to gospodarstwo Łakoty było zamożyste, a w domu ojca panny młodej chyba tylko ptasiego mleka brakowało, więc ma się rozumieć — wesele całą gębą: cztery inne wesela można by wyprawić za te ogromne występy. Na Włochach o tym jeno gadano, że Jan Kwiecień srogie wiano daje za Marysią, że się uwziął sprowadzić kapelę z Pińczowa, dopiero go Szczepan chwycił pod kolana i bardzo molestował:

— Zwolcie na to, panie ojcze, żeby mi na weselu grał przyjaciel, ten Beldonek, chłopiec jakiś taki, że — Jezus Maryja — lubić go trzeba!

Cóż się zaś miał zięciowi sprzeciwiać? Rodzoną córkę mu oddawał, to i na muzykanta przystał. Przez kilka dni tak wrzało, huczało na Włochach, że pewnie w Brześciu albo i w Gartanowicach, ludzie spać nie mogli. A no, Szczepan i jego matusia mieli okrutne tarapaty z tym weseliskiem; tak Beldonek im pomagał, odrabiał przy domu, co tam wypadło, żeby gadzina i dobytek na takiej mitrędze nie ucierpiały. Głupie takie chłopaczyska, to się natrząsały:

— Oo, Szczepan Łakota szlachcica-surdutowca sobie przyjął do pojenia bydła! — wołali, ukazując na Beldonka.

Miał przecie rozum w głowie, nie zważał, robił swoje.

Nareszcie przyszła sobota i jakoś na odwieczerz zbierają się pod chałupą pana młodego drużbowie, a panny młodej — druchny. Zaczęły dziewki pierwsze śpiewać:

Nie będziesz Marysiu,
Cebrem wody nosić;
Bo jej będziesz miała
Pod oczyma dosyć.

A drużbowie im chórem odśpiewali:

Oj, chmielu, chmielu niedowarzony!
Oj, babski pysku niewyparzony!...

Dopiero Szczepan bierze na bok Beldonka, podaje mu śliczne skrzypce:

— Jakeś dobry, przyjmij na pamiątkę wesela!...

Chłopiec wziął, pocałował Łakotę w usta; w sam raz nadszedł też basista, a któryś drużba zaczął śpiewać:

Teraz dudarzu, teraz brzmij!
Niechaj na Włochach pole grzmi!

Połączyli się zaraz z druchnami i poszli śpiewający w zaprosiny do Skowronna. Szli z paradą na Pińczów i naprzód stanęli pod oknami wikariatu, zagrali, zaśpiewali. Wychodzi do nich młody ksiądz — krew z mlekiem — rumiany, nie przymierzając, druga dziewczyna, zaprasza do siebie całą kompanię, częstuje bardzo osobliwym trunkiem, miodem, rozmawia. Słyszał on tam już coś widać o Beldonku, gdyż rzucił nań tylko okiem, uśmiechnął się i rzecze:

— Aa, to ty jesteś u pana Kondrata na nauce? Umiesz, widzę, grać na skrzypcach?... No, zagraj! Ja też jestem grajkiem.

Ten się zmieszał, ile że słyszał był o muzyce księdza. Jakże się tu dopiero popisywać przed takim znawcą? Wikary zaś precz nastaje:

— Nic nie pytaj, zagraj, co ci do głowy przyjdzie. Choćby ci też niekoniecznie dobrze poszło — wielkie rzeczy!

Uważał, że przecie w obecności osoby, lada czego grać nie przystoi, tak zagrał jeden kawałek, który sobie skądś pamiętał na tę nutę:

Poszli nasi do Skalbmierza,
Sprzedać, co Bóg dał,
I słyszeli od żołnierza,
Że Stach już krzyż miał.

Podobało się widać księdzu i na odchodnym rzekł do chłopca:

— Jak ci tylko czas pozwoli, zbierz się, przychodź do mnie, a nie będziesz tego żałował — na dobre ci wyjdzie...

Paradowali potem przez rynek pińczowski, muzyka rznie, starszy drużba zaś na cały głos zawodzi:

Da wyciął dyabeł dyabła
Siekiereczką z nagła;
Da wyciął go za plecy.
Że dyabeł aż beczy.
Da cisnął go w pokrzywy,
Już dyabeł nieżywy!

Zanim doszli do Skowronna, podostawali chrypki od pokrzyków — osobliwie też druchny piały jak młode koguty. Uderzyli z zaprosinami głównie do domu Maćka Kosy, który był rodzo-

nym bratem matki Szczepana; pewnie się spodziewał, że przyjdą i kazał przygotować dla nich uczciwe przyjęcie: tam gorzałkę z miodem, tam podpłomyki. Wiekowy już był gospodarz, siedział sobie o zmierzchu przed chałupą z drugim jakimś chłopem, gwarzył i fajczynę pykał. Ci się przed nim skłaniają, starszy drużba tnie orację, powiada o co chodzi. A no, Kosa zaraz zakomenderował, żeby im baba wyniosła poczęstunek i uraczyła każdego należycie. Jako ta wieś stoi cała na wodach, wierzba, topola tam rośnie; więc białe ćmy, chruściki, komary różne, latają tak gęsto o zmroku, że człowiek gęby otworzyć nie może — zaraz co wpadnie. Spostrzegła gospodyni spluwanie wszystkich z tego paskudztwa i zaprosiła ich do izby. Należało się odwdzięczyć śpiewaniem i graniem za ów poczęstunek. Beldonek gra, a coraz to wodzi okiem po ludziach i wszystko mu się zdaje, że gdzieś zna tego drugiego, który z gospodarzem siedział przed chałupą — teraz zaś światło z płonącego łuczywa prosto nań biło. Po ślepiach świdrowatych, po zbójeckiej minie, wnet sobie przypomniał Majchra Darmosiaka z samotnej chałupy pod lasem w Unikowie: ten to był w samej rzeczy. Tak już chłopiec krył się teraz ze swoją twarzą jak tylko mógł, żeby go tamten leśnik nie dojrzał i nie rozpoznał. Krótki czas byli w izbie, ile że druchny zmachane, zziajane, ani śpiewać, ani na nogach ustać nie mogły. Cóż dziwnego, skoro prosto od roboty całodziennej poszły na zaprosiny? Wyglądały jak gdyby zmokłe kury, na warkoczach pełno kurzu, rutka i boże

drzewko we włosach — pożal się Boże. Muszą się dobrze wyspać, żeby jutro mogły wytrzymać wesele. Całe szczęście, że toto młode — we łbie skakanie, podryganie, śpiewanie i nic więcej. Powracali do domu już przy księżycu, gwiazdach, i mało kto rwał się do śpiewania, jeno basy buczały, a Beldonek też nie dawał folgi smyczkowi.

Zakręciło to chłopcu w głowie, co może Darmosiak porabiać w Skowronnie; ale do nikogo nic nie mówił, miarkował, że lepiej będzie nie wspominać. „Piękna mi znajomość z przyjacielem takiego Walarskiego". U matki Szczepana rozgardiasz w chałupie: trzy baby piekły coś, pitrasiły do późnej nocy na ucztę weselną. Szczepan też nie dosiedział w domu, poszedł do Marysi na zalecanki — że to prawie tak jakby jego żona była. Beldonek więc bez namysłu rzucił się na słomę w stodole i, mając w głowie to wszystko co dziś widział, zasnął w najlepsze. Nazajutrz rano wstał bardzo wcześnie, usiadł na podwórku, rychtuje sobie skrzypki; wtem nadchodzi Żyd z workiem na plecach, przybliża się do chłopca, zapytuje, czy nie ma czego do sprzedania. Beldonek zbywa go, odpowiada półgębkiem:

— Ja nic nie wiem; niech kupiec później tu przyjdzie, jako teraz gospodarz i gospodyni śpią jeszcze...

Żyd nic, łazi po obejściu, zajrzał do stajni, wtyka nos we wszystkie kąty, jak to jest w zwyczaju całego tego narodu. Chłopiec mu powtarza, co już raz powiedział, a ten siada, zaczyna w najlepsze rozmowę. Tylko jedno lekarstwo jest na

takiego: nakląć setnie i kazać mu się odczepić. Ale Beldonek przecie tego nie umiał, a po wtóre — zatopił się zupełnie w majstrowaniu około skrzypców. Spojrzał uważniej wtedy dopiero, kiedy go ten włóczykij jął wypytywać skąd on pochodzi. Rzecz dziwna, chłopiec spostrzegł teraz, że ma obok siebie akurat tego samego Ickiewicza, co to przyprowadził był Walarskiemu do lasu parę kradzionych koni. Bardzo się tym odkryciem zaniepokoił, stropił i w pomieszaniu tak mocno naciągnął strunę, że trzasła. „Wczoraj w Skowronnie — Darmosiak, a dziś tutaj — Ickiewicz! Bania się rozbiła ze złodziejami, czy co takiego?" — Pomyślał sobie w duszy. Może tam Żyd coś i zmiarkował, gdyż wstał i poszedł.

Wesele odbywało się z ogromną paradą. Starsi, muzykanci, kobiety, pojechali na ślub do Pińczowa wozami, parobcy zaś, ślicznie poubierani — na koniach. Przez całą drogę, tam i z powrotem — co niemiara pokrzyków, śpiewów, chichotów, trzaskania z biczów, wyścigów, drwinek, a muzykanci precz przygrywali. Zaraz, prosto z kościoła, zrobili wstęp do karczmy na Włochach i Beldonek uważał, że Darmosiak jest tutaj jak w domu — za pan brat z różnymi gospodarzami. No, zabawili w karczmie kęs czasu i potem całą ciżbą zwalili do chałupy rodziców panny młodej. Kogo tam nie zaprosili na to wesele, taki choć z drogi widział co za ceremonia, albo szedł pod otwarte okna chałupy i zaglądał wewnątrz. Jużci ciekawe rzeczy słyszeć ów-te oracje, przemowy — widzieć obiad, oczepiny, przyjęcie, jak niby w pańskim

domu: arakiem, likierem, winem nawet, raczyli gości. A tłok, niech Pan Bóg broni, rozruch jakby na jarmarku.

Pouprzątali z izby różne graty, powynosili, i dopiero rozpoczęły się tańce na dobre do upadłego. Beldonka i basistę posadzono na stole przy samym oknie — muzyka z góry zawdy się raźniej, poręczniej rozlega. Tylko chłopcu jakoś nie szło dzisiaj granie: ciągle miał na myśli Darmosiaka, Ickiewicza. „Oni tu chyba nie bez kozery przyszli na to wesele... Jezus Maryja, żeby aby nie chcieli zmalować kiego licha!"

I rozmyślał w duszy, czy nie poszepnąć Szczepanowi jakiego słówka. Wstrzymywało go to, że musiałby zaraz tłumaczyć, skąd pochodzi jego znajomość ze złodziejami: takiemu nieśmiałemu było nijako. Darmosiak musiał widzieć, że go Beldonek tak śledzi oczyma, więc skoro się już zmierzchło, leśnik z Unikowa staje za otwartym oknem i wręcz w ucho kładzie chłopcu:

— My się znamy!... Tylko ty, raku, ślepiów we mnie nie wlepiaj — rozumiesz! Pamiętaj sobie, żeś to ty ukradł na Wygodzie parę szkap, brykę i do mnie z tym zajechałeś!... Więc pamiętaj raz jeszcze, jeżeli teraz do kogo parę z gęby puścisz, wydam cię od razu w ręce sołtysa, który tu jest mój przyjaciel! — Powiedział to i odszedł. Zrobiło się chłopcu ciemno w oczach, wodził niby smykiem po strunach, a nic nie wiedział, co robi, i myślał, żeby sobie chyba życie odebrał, gdyby go, jako złodzieja, przytrzymano. Przybliża się do niego Szczepan i powiada:

— Bój się Boga, co ci się stało? Toć po twojej muzyce nie można ani w prawo, ani w lewo!...

Stropił się chłopiec jeszcze bardziej, kiedy spostrzegł, że Darmosiak stoi u progu z sołtysem i ciągle mu coś przedstawia. „Rany boskie, gotowi się zmówić, wsadzić mię do kozy! Kto mi uwierzy, jeżeli powiem, że nie ukradłem? Dowodu żadnego nie mam... No i przytem, jak tu wspomnieć Walarskiego?" Tak myślał, a grał coraz gorzej i słyszał, że tancerze precz nań wyrzekają: — „Gułaj jakiś, niezdara, po co się toto rwie grać na weselu".

Nareszcie pomęczeni weselnicy musieli po tych skokach czas jakiś odpocząć, ażeby nabrać sił do dalszej zabawy. Beldonek zaś wymknął się z izby do sadu, ogromnie markotny, że mu smyczek dzisiaj nie dopisuje. Ze skrzypcami pod pachą usiadł na trawie, rozmyślał nad tym wszystkim, co go spotkało, a do uszu jego dolatywały głosy rozmów — głównie skargi na złą muzykę. Ojciec panny młodej, widząc co się dzieje, kazał czym prędzej zakładać konie do wozu i jechać do Pińczowa po Żydów muzykantów; wielka sromota dla chłopca! Dostał oto od Szczepana skrzypce w podarunku, a zażyć ich nie umie. Właśnie pan Kondrat i ksiądz wikary przyszli wieczorkiem na Włochy, wstępując do chałupy Kwietnia, zapytują o grajka Beldonka, ale jaki taki ramionami rusza, odpowiada:

— Rzępoła jeden, zabawę nam oto zepsuł. Jemu gęsi pasać, nie grywać ludziom do tańca na weselach.

Zjechała kapela żydowska i od razu grać zaczęła — ostatnie pohańbienie dla chłopca. „Jak się teraz pokazać na tym weselu? Ludzie wydrwią, wyśmieją i koniec". Siedzi on pod jabłonką, rozmyśla, a ci tam w chałupie dobijają do ostatniego — huk, gwar ogromny, ile że jaki taki podpił sobie należycie. Coraz to kto zziajany wypadnie do sadu, odpoczywa chwilkę po owych pląsach i znowu do pląsów wraca. A no, idą opodal dwaj jacyś chłopi, szepczą coś na ucho jeden drugiemu. Chociaż w ciemności i tak poznał jednego — Darmosiak. „Tu się kieś licho święci, pewnikiem złodziejska zmowa: chcą okraść którego gospodarza w onym rozgardyjaszu weselnym". Przylepił się do drzewa, nasłuchuje: rychtyk doleciały jego uszu słowa: — „konie, stajnia". Sumienie tknęło chłopca. „Trzeba koniecznie powiedzieć Szczepanowi".

Na nic nie pyta, wymyka się z sadu, bieży w te pędy, zagląda przez okno do izby weselnej. Właśnie w sam raz pan młody szedł ku drzwiom i Beldonek co tchu zachodzi mu drogę, mówi, że tak a tak. Ten jeno spojrzał, żachnął się i z góry wsiadł na chłopca:

— Głupi, cóż ty sobie myślisz? Wiesz ty, że Darmosiak jest kum, przyjaciel od serca mojego wujka?... Była tam już mowa o tobie, udawaczu! Ponoś umiesz sam zmalować co złego i zwalić to na drugich... Żałuję teraz, żem cię stręczył do pana Kondrata. Idź sobie z moich oczu.

Byłby pewnie tak ostro nie przemawiał, gdyby nie gorzałka, którą sobie dzisiaj dobrze zalał pałę.

Zmroziły chłopca Szczepanowe słowa, spostrzegł, że stracił przyjaciela. Stoi jak piorunem rażony, a tu idzie pan Kondrat i ksiądz — wynosili się z wesela do domu. Chłopiec poskoczył raźno, chwyta rękę swego opiekuna, chce powitać pana profesora, a ten się odsuwa i mówi oschle:

— Aa, to ty? Dajże mi pokój!

Oniemiał teraz do reszty i pomyślał: „Wszyscy mię, widzę, odpychają".

VII.

Markotny, zabrał się, poszedł do stodoły Szczepana, tam legł w słomie, zamrużył oczy, myślał, co teraz pocznie. Już koguty przepiały północek, kiedy Beldonek posłyszał nad głową trzask jakiś i zaleciał go zapach spalenizny. Zerwał się, patrzy — widniusieńko, iskry z góry lecą i zapalają słomę w stodole. Wybiegł, a tu cała strzecha — jeden słup płomieni, dymu i jasność bije na okolicę. Ludzie ze wszystkich stron pędzą na wyścigi, krzyczą: — „Gore, gore!" A jeden jakiś głos wrzasnął: — „Łapaj, trzymaj podpalacza!"

Przestraszył się ogromnie, widzi, że go za podpalacza wziąć mogą, tak — nogi za pas i poszedł w pola. Gnał bez pamięci, do upadłego, chociaż go nikt nie ścigał, jeno mu się tak zdawało. Skoro raz wpadł w zboża, na nic nie zważał, tylko zmykał aż kłosy furczały. Dopiero pod Pińczowem stanął srodze zmachany i pomyślał: — „Czegóż ja zaś głupi uciekam?... Że też to niewinny człowiek ciągle musi uciekać jakby zwierz dziki!" Przyszedł do Pińczowa — pusto. Miasto takie wygląda w nocy jak cmentarz: domy — czyste groby, w których spoczywają ludzie i — ani znaku życia. Gdzie tu teraz przytulić głowę? Chłopiec uważał, że pan Kondrat wypowiedział mu swe łaski. „Darmosiak obmówił mię przed Szczepanem, Szczepan — przed profesorem, no i ten pożar stodoły — straszne rzeczy!" Ale co tam! nocleg bez dachu w letnią porę nie jest nieszczęściem. Beldonek zwrócił się w stronę miasta, zwaną Mirowem, wyszedł na drogę ku Kowali, Krzyżanowicom. Tam spoczął pod krzyżem, uklęknął, gorąco błagał Pana Boga o pocieszenie i przy tym pacierzu zdrzemnął się, zasnął. Skoro świt, zbudziło go jakieś śpiewanie; przetarł oczy, spostrzegł z daleka, że od miasta idzie jakiś człowiek z odkrytą głową i na głos śpiewa: — „Kiedy ranne wstają zorze". Więc chłopiec powstał, idzie dalej, a myśli sobie w duszy: — „Co mi się kto ma przypatrywać, wiedzieć, żem przy drodze nocował?" Na nic się nie zdało, gdyż tamten z tyłu przyśpieszył kroku i wnet dopędził Beldonka. Parobczak był z Chrobrza, zaniósł pismo jakieś do Pińczowa, gdzie przenocował, a teraz oto wracał. Miał pewnie lat mniej więcej osiemnaście i był ogromnie rezolutny. Z mowy jego znać było, że doskonale wiedział, jak się zwie każda wieś w okolicy; gdzie gmina, gdzie parafia, czy co osobliwego, wiedział na wylot. Nazywał on się Kusak, a Grześ było jego imię chrzestne.

— Z Rogowa — mówi — pochodzę, spod Opatowca, gdzie jest komora. Wodę tam mamy śliczną, Wisłę... O, mnie ogromnie lubuje życie na wodzie! Dwa razy już się puszczałem z flisami daleko, daleko, jeno w tym roku od wiosny zimno mię co trzeci dzień tłukło i przyjąłem służbę

w Chrobrzu: posłańcem jestem przy dworze. Posłużę jeszcze z miesiączek jaki, rzucę wszystko, popłynę z bystrzem Wisły, zobaczę znowu kraje różne, tam — miasta, tam — zamki, śliczności.

Rozgadał się potem i Beldonek, opowiedział o swoim sieroctwie, o pielgrzymce na Jasną Górę z dziadem Florkiem. Wyznał szczerze, jako ma ogromną chęć do nauk, jeno ciągle napotyka przeszkody.

— Ty byś w Warszawie wyszedł na ludzi! — rzecze mu na to. — Dopiero dokłada wymowy, opisuje tę Warszawę tak, że książki nie potrzeba: kościoły, kamienice, mosty na Wiśle, ogromny rój ludzi — niczym najlepszy jarmark; bogactwa srogie. Spoczęli chwilkę, pożywili się, a Grześ ani myśli gęby zawrzeć, jeno tnie swoją sztukę. Nie spostrzegli nawet, kiedy stanęli w Chrobrzu; no i przyjaźń między nimi taka, jakby się od wieków znali.

— Po cóżem ja tu przyszedł? — mówi Beldonek, widząc Chroberz.

— Czekajże — Grześ mu odrzeknie — nasz kowal jak raz potrzebuje chłopca do miechów, posłużysz czas jakiś, a potem hul ze mną na wodę — rozumiesz? Może ci też Pan Jezus poszczęści... Źle ci to będzie zjechać kawał świata, obejrzeć, poznać?

Namyśla się chłopiec, a ten go wręcz prowadzi do kuźni i do kowala w te słowa oręduje:

— Toć naumyślnie, panie majstrze, z Pińczowa wam prowadzę chłopca do pomocy, ile żeście mię

kiedyś pytali, czybym kogo nie stręczył. No, rychtyk tego oto śmiało stręczyć mogę!

Kowal zerknął na Beldonka i powiada:

— Rzetelnie mu z oczy patrzy i krzepki widać śpiczak! Taki się w robocie nie poleni, może być z niego kowal. A cóż on, miastowy?...

— Ze wsi, panie majstrze, sierota taki, roboty i przytuliska łaknący! — odpowiedział Kusak i począł kowalowi na ucho zachwalać chłopca.

Już od pierwszego dnia dobrze było Beldonkowi u kowala w Chrobrzu, Michała Nogala, człowieka bardzo pracowitego i zamożnego. Nikt tu w domu palca nie zakrzywił na chłopca, a kowalka dbała oń jakby o własne dziecko. Co prawda, robota była bardzo ciężka; sam kowal pracował nieraz od świtu do późnej nocy i w niczym nie folgował swemu pomocnikowi.

Nogal i jego żona umieli czytać, on nawet corocznie w Trzy Króle wypisywał kredą święconą na drzwiach G. M. B., jeno do pióra za ciężka ręka, pracująca młotem. Chłopiec bardzo ich sobie ujął tym, że w święta zasiadał z książką pożyczoną od organisty, na głos czytał „Przygody Sowizdrzała". Ta książczyna od początku do końca jest mało warta; ale w domu nie było innej.

— Stateczny chłopak, nie myśli o zbytkach — odzywali się o Beldonku oboje Nogalowie.

Grześ Kusiak, którego wszyscy nazywali w Chrobrzu „Posyłką", rzadko kiedy miał czas odwiedzić przyjaciela, gdyż na wielkopańskim dworze chroberskim posłaniec dużo wędrował pieszo i konno. Ale czasem i tak upatrzył on sobie

chwilkę, wpadał do kuźni, a prawie zawsze na ucho Beldonkowi poszepnął:

— Wiem, że ci tu są bardzo radzi, choć do roboty pędzą. Przebądź do czasu, póki i ja swojej psiej służby nie rzucę... W Nowym Mieście Korczynie — hul na wodę i jazda! Mówię ci, człowieku, to życie...

Teraz tu każdy zamawiał do Beldonka podług imienia chrzestnego, „Jacusiu" — i tak stracił w Chrobrzu przezwisko, którego nie miał ani z ojca, ani z matki. Bystro mu czas przechodził w tej ciękiej robocie przy ogniu, a młocie — dzień jak godzina. I nic osobliwego nie zaszło podczas pobytu jego w Chrobrzu. Raz tylko przejeżdżał był tamtędy Maciek Kosa ze Skowronna, ów przyjaciel Darmosiaka; wstąpił do kuźni, żeby mu okuć konia, który w drodze zgubił podkowę. Ten pewnie nie poznał Beldonka zasmolonego i w kowalskim fartuchu. Innym razem znowu, jakoś późnym wieczorem przyszedł do kuźni, obcęgami wyjął z ognia kawałek rozpalonego żelaza i chciał przy tym zapalić papierosa, a opalił sobie do czysta wąsy i koniec nosa tak sparzył, że pół godziny kichał. Chociaż to przygoda smutna, śmiać się trzeba było do rozpuku. Poduczył się tam chłopiec rzemiosła, umiał ostrzyć sierpy, kosy, podkuć konia, zrobić gwóźdź, hak jaki. Cóż kiedy zawsze inną naukę miał w głowie i jedno ciągle mu stało na myśli: „Przecie ja nie do takiej roboty mam chęć i zdatność... Wiem, że kowalem nie będę!"

Było to już we wrześniu, kiedy ludzie prosa zbierali z pola i owoc zaczynali strząsać po sadach, a pogoda ogromnie dopisywała.

Po robocie, po wieczerzy, idzie Beldonek na noc do kuźni, gdzie sypiał, a tu od dworu pędzi Grześ zadyszany i powiada:

— Musisz jutro kowalowi podziękować za służbę! Ja się już zwolniłem, mogę kaj bądź, jak ptak, fruwać.

— Kiedy mi nijako — powiada chłopiec — bo ten majster jak i majstrowa są ogromnie dobrzy dla mnie. Co im tu powiedzieć, jeżeli spytają dlaczego tak nagle odchodzę?

— Jacusiu, Jacusiu, ciepłeś ty kluski widzę! Ludzie o siebie tylko dbają, a dobrzy są dopóki im z tobą dobrze. Przecie i mną też nikt nie pomiatał we dworze, a złote góry mi obiecują, żebym został w służbie. Na to zważać, hę?...

— No, a skoro podziękuję za służbę, gdzież się obrócę?

— Z Nowego Miasta popłyną Wisłą do Warszawy żydowskie galary z jabłkami, śliwkami — teraz akurat pora. Mam ja ci łopatą kłaść w głowę, że w Warszawie dostaniesz i nauki i wszystkiego, o czym tylko zamarzysz? Chcesz zostać u kowala w Chrobrzu przy miechu, zostań na zgnicie! Ale ja ci powiadam: hul na wodę i jazda w świat szeroki!

— Niemała chętka mię ciągnie, radbym nowe rzeczy zobaczyć, zwlokłem się już oto po świecie, jeno... jeno...

— Ślub wziąłeś z kowalem, czy co takiego? Mocny Boże! tyle ceregieli... Żeby choć było o co! Kiej sobie kowalstwo upodobałeś, to i w Warszawie są majstrowie kowalscy. Słuchaj: zostaniemy tam obaj, krzywdy nie będziemy mieli! Jacusiu, hul na wodę!...

Więc chłopiec przez całą noc spać już nie mógł: ta podróż wodą stała mu w głowie i postanowił sobie pożegnać kowala. „Do kowalstwa nie mam najmniejszej chęci, muszę raz z tym skończyć!" Raniutko, przed śniadaniem, Nogal podług swego zwyczaju przychodzi do kuźni — roboty huk, a tu chłopiec zbliża się do niego, pokornie całuje mu rękę i powiada:

— Dziękuję wam, panie majstrze, za chleb, za służbę, za wszystko...

Tak kowal patrzy nań zdziwiony, zapytuje:

— Co to ma znaczyć? Może tobie kto krzywdę jaką zrobił?

— Uchowaj Boże, u rodzonej matusi lepiej by mi nie było!

Na to kowal uderzył się ręką w czoło i zawołał:

— Jestem w domu! To ten paliwoda, Grześ Posyłka, sam urwis, za grosz statku nie ma i drugim w głowach przewraca.

A Beldonek coraz to majstra w rękę całuje i jedno powtarza:

— Dziękuję wam, panie majstrze, za chleb, za służbę, za wszystko.

Kiedy już Nogal spostrzegł, że nic nie wskóra, tak ostro fuknął:

— Widzę, żeś głupi baran, o swoje dobro nie dbasz, to idź na złamanie karku! — Powiedział to ze złością i tyłem odwrócił się od chłopca.

Beldonek stał jak na rozżarzonych węglach; ustąpiłby może, gdyby kowal jeszcze nań nacierał. Teraz markotno mu było, że wychodzi z domu Nogalów, jakby ich nieprzyjaciel. „Przecie nie moja wina!" — myślał sobie.

Jeszcze przez drugi ogień przejść musiał: wypadało pożegnać majstrową, która mu też setnie nakładła w uszy. Strapiony tym wszystkim, nieswój jakiś, puścił się przez wieś i niedaleko spotkał Kusaka gotowego już do podróży, z laską, z tobołkiem na plecach. Grześ od razu zaczął podrwiwać z przyjaciela — sowizdrzał taki:

— Masz — powiada — minę kota, który chlapnął mleka, oberwał prętem, wskoczył na murek i patrzy...

A co też ten Posyłka wyprawiał przez całą drogę! Gęba mu się nie zamykała, ciągle zadawał Beldonkowi różne zagadki, albo opowiadał takie wesołe historie, że pękać od śmiechu.

— Jacusiu — pyta — co lepiej, czy z gęsią spać, znaczy — pod pierzyną, czy ze świnią jeść, znaczy — z okrasą? Albo znowu:

— Wiesz ty, kiedy zając pości? Kiedy wejdzie w rzepak, bo z rzepaku robią olej.

Rozmawiając tak, raźno pomykali drogą ku Wiślicy i spotkali Żyda, handlarza skórek, który ich pyta:

— Skądże wy idziecie?

Grześ mu zaś co tchu odpowiada:

— Oj, z daleka, panie kupcze! Zmachaliśmy się srogo...

— Od Chmielnika, czy od Chęcin? Ja tam swoją familię mam także.

— Idziewa z nieba, gdzie też spotkaliśmy waszego familianta, pradziadka.

Żyd zmiarkował, że kpiny, chciał się postawić i pyta:

— Ny, a co w niebie słychać? — Myślał, że Grześ zapomni języka w gębie, ale Kusak z kopyta odrzekł:

— Źle słychać, deszcz ciągle leje, a wasz pradziadek świnie tam pasa, dziurawy ma worek na łbie i płacze, prosi, żebyście mu jakie lepsze worczysko przysłali.

Wiadomo, Żydzi nie lubią, kiedy im się mówi o zmarłych: myślą, że ich to strefi. Tak też i tamten handlarz żywo na bok odskoczył, bał się, żeby mu Grześ jeszcze czego brzydkiego nie powiedział. Przychodzą oni do Zagości — wieś kościelna i gmina, a karczma paradna. Nie baczyli, że przy karczmie na podsieniu, siedział dziad z torbami i odmrukiwał pacierz — dziad nic osobliwego.

— Trza się napić gorzałki! — powiada Kusak i kazał szynkarce nalać dwa kieliszki; figle się go zaś ciągle trzymały. Łyknął wódkę i rzekł:

— Byłaś w polu, byłaś w gumnie, teraz jesteś w brzuchu u mnie! — Niby zamówił tak do żytniówki.

Jak raz wchodzi na to do karczmy ów dziadek, siwiuteńki i zgarbiony starowina. Swoją drogą

pacierz klepie, a co jakie słowo mruknie, to żałośliwie postękuje: — „Ę, ę, ę! Litościwy Panie Boże, zabierzże też biednego dziadka do chwały Swojej!" — Jęczał i wił się tak jakoś, aż strasznie było słuchać. Dopiero Grześ wzruszył się tymi jękami, zapytuje:

— Chorzyście, dziadusiu, czy co takiego? — Dziad zrobił minę, jakby go na krzyżu przybijali, i odrzekł:

— Kto mi uwierzy, kiedy powiem, co się dziwnego ze mną dzieje? Od dwóch dni na czczo jestem; biedny człowiek dnia dzisiejszego umrzeć może w tym kraju, gdzie ludzie nie mają żadnej litości. Żyć się nie chce, takie są czasy teraz... Ani na moją starość, ani na dolę, nikt nie daje baczenia: bo u ludzi teraz nie ma Boga w sercu!

Tak już Kusak, tknięty do żywa tą przemową, zachęca dziada do jedzenia, picia, a oświadcza się, że sam za wszystko zapłaci. Zabrał się stary do używania, wypił kieliszek gorzałki, podjadł chleba i tego, co tam Grześ wziął z Chrobrza na drogę. Tymczasem Beldonek mu się przyglądał i myślał sobie w duszy: — „Gdzieś, znam tego starowinkę!" I naraz błysło mu w głowie: — „A niechże cię!... Toć rychtyk ten sam dziad Florek, z którym przed laty wędrowałem na Jasną Górę! Udawacz, zawsze ludzi obełgiwał i teraz pewnie na Kusaku próbował swojej sztuki". Najgłówniej przez to dziad się zmienił, że ostrzygł brodę; ale odzież, torby, kij z jeżem — wszystko jak dawniej. Chociaż go chłopiec poznał, nic nie

mówił, udawał nieznajomego; a podobieństwa nie było, żeby on sobie przypomniał Beldonka, dziecko, dziś już śmigłego wyrostka.

— Mój dziadku, czy też od dawna już chodzicie tak po proszalnym chlebie? — Grześ zapytał.

— Ho, ho, od kiedy to tam! Służyło się w wojsku pod jednym takim Napolionem; dopiero kiej na straszecznej bitwie kula armatnia dojechała mię setnie, poszedłem w świat i chodzę gwoli większej chwale Pana Boga. Przez resztę życia ujada się człowiek z psami i z narodem, co jest od psów jeszcze gorszy...

— Musieliście sporo świata obejrzeć?

— Nie twoja na to, com ja widział i słyszał, głowa! Bijało się i z lutrem, i z Turkiem, Szwedem, Tatarem, Sasem... dzikusy takowe, oćwiary jeden w drugiego, hamany, zmachy — niewytrzymanie ludzkie. Ty byś, człowieku, oczu na toto nie śmiał podnieść! Oj, żeby nie ta kula armatnia, psie-mięso, byłoby się dziś panem. Kapitanem jakim zostałbym, albo i lepiej... Niech tam i za to, co jest, Bogu jednemu będzie chwała! — Przeżegnał się i zaczął klepać pacierz.

Ale Kusaka ogromnie zaciekawiło opowiadanie, koniecznie chciał dziada wyciągnąć na rozmowę i znowu zapytał:

— Siła też lat, jak się działo to o czym mówiliście?

— Sto, nie sto, może sta więcej... Czy ja tam mogę pamiętać? Ty sobie oto, młodziaku pamiętaj, że taki dziadek, co po żebrach świat oblata, ma mowę na pacierze, nie na opowieści, a za pa-

cierze trza płacić. Do niebios, do Świętych Pańskich głos taki idzie.

Zmieszał się Kusak tą ostrą przemową, wyjmuje z kieszeni trojaka, wścibia go w rękę dziadowi; Beldonek sobie zaś myśli: „Mój Florek nic się w chytrości nie zmienił, zawdy umie grosz wyłudzić".

Dziad raźno chwycił trojaka, ogląda go i rzecze:

— Mój miły Boże! jakie teraz pieniądze dają się biednym na jałmużnę! Przekupka nie wzięłaby tego za bułkę, a ja, za święty pacierz, muszę! — Wydziwiał i rzekomo ze wzgardą schował trojaka, a pacierz dalej odmrukiwał. Grzesia aż licho brało, że się dziad upiera i nie chce mówić, a wie widać różne ciekawe rzeczy. Posyłka nie śmiał nastawać, bał się pewnie, żeby mu dziad znowu językiem nie przysolił. Jeszcze chwilkę posiedzieli i zabierają się w drogę, a dziad też powstał, poprawia swoje sakwy, mruczy pod nosem, jakby sam do siebie:

— Piękny mi też Zagość! Cóżem ja zyskał za to, żem tu przywędrował jako gość?... Ooo, nieprędko wy mię tu zobaczycie!

Potem zwrócił się do Grzesia i Beldonka, zapytał:

— A wy w którą stronę idziecie?

— Na Wiślicę, do Nowego Miasta Korczyna — odrzekł Kusak.

— O, to i mnie tamtędy droga wypada! Pójdziemy razem, będzie nam raźniej.

Dopiero w drodze Florek dał folgę językowi, a Grześ i Beldonek zasłuchiwali się w tym, co im opowiadał, chociaż pewnie nie mówił prawdy.

— Wyście — powiada — młode śpiczaki, wiedzieć nie możecie tego, czego doznał człek bywały. Za mojej pamięci wojny się takie działy, że was nie stać nawet na pomyślenie o tym, co było; ja zaś sam to oglądałem własnymi oczyma. Bywało, wpadają Szwedy, mordują chłopów, obrzynają babom piersi i zasypują plewami jęczmiennymi; a wtem nadchodzi Sobiecki, jak najprzedniejszy jenerał z naszymi, wydaje im dopiero taką bitwę, że krew porobiła wyrwy, rowy, doły, jak to dziś bywa po wielkiej ulewie... Jeno co mi po tym opowiadać wam wszystko?...

Opowiedział to, urwał tamtą historię, a zaczął śpiewać, przez nos wyciągać.

Przezacna księżna dziewica, Rozalia pustelnica,
Ze krwi Karola Wielkiego, Cesarza chrześcijańskiego,
Na pustynię się udała — mieszkaniem jej była skała.

On sobie śpiewa, a ci w okropnej ciekawości, że im nie dokończył historii o tej wojnie. Grześ już nie mógł wytrzymać, przerywa dziadowi śpiewanie, odzywa się w te słowa:

— Dziadku, na czymże się skończyła tamta wojna?

Florek zamilkł, pokazuje palcem wieś, którą widać było niedaleko i rzecze:

— Jak mi kupicie gorzałki w Dołku Czerwonym, to opowiem! Ja przecie niedzisiejszy, muszę siłę w sobie podtrzymać...

— Kupimy, a jakże kupimy!

Więc dziad nie kończył już pieśni, jeno w te słowa opowiadał:

— Ta wojna odbywała się w takiej wsi, która jeszcze nie miała nazwiska: na karczowisku chłopi się tam dopiero zaczęli budować, wbijali se słupy pod stodoły, pod chałupy. Przyszły pogany, narobiły psoty, mordu, lamentu w narodzie. A no, przyszedł Sobiecki, chwała Bogu, zaczął ich grzać tęgo, co tnie pałaszem — trup. Zobaczył, że i tak okrutnie się trzymali. „Ja ich tu do wieczora wszystkich nie wytnę, a po ciemku gorzej być może, jako nie wiadomo, kto kogo bije". Myśli on sobie i wziął się na sposób: wydał komendę taką do swego wojska: „Padnijcie — mówi — na ziemię krzyżem, proście Pana Jezusa i Matki Boskiej Smardzewskiej, żeby słońce na godzinę stanęło!" Wojsko buch na ziemię. Dobrze! Zatrzymało się słońce lepiej niż na godzinę. On dopiero dalej po nich: bił bez żadnego upamiętania. Wystrzelał toto, wyciął tak, że wszystkiego coś tylko dziesięć koni zostało. Byłby i resztę wybił, ale usłyszał głos z nieba: —„Przestań!" Któryś święty, czy anioł tak mu zapowiedział. Zaraz się zatrzymał i powiada do jednego dziadka, który tam właśnie pod tę porę nadszedł: — „Głoś po świecie, że się ta wieś nazywa Przestańsko!" Potem sobie pojechał lasem, pewnie ściągał na noc ku Michałowicom, żeby we dworze wypocząć, a tu mu precz zastępują drogę baby z oberżniętymi piersiami, podnoszą krzyki, lament, pytają: — „Co z nami teraz będzie?" Rozdał im po dukacie i po-

wiedział: — „Dobrze wam teraz będzie, moje gospodynie, jako w Przestańsku na polach zwali ogromna ozimina i jarzyna po tej krwi nieprzyjacielskiej, co jest by najcudniejszy nawóz!" Sobiecki prawdę powiedział; ale stawiacie wy mi za to gorzałkę!

Beldonek znalazł sobie sposobną chwilę i poszepnął Grzesiowi na ucho, że ten dziad jest Florek Myszka, znany naciągacz, wydrwigrosz.

— Że on krętacz, i ja to widzę; jeno miło posłuchać, gdy opowiada o starych dziejach, choć łże — odrzekł Posyłka.

Nawet się nie spostrzegli, kiedy stanęli w Dołku Czerwonym, gdzie dziad kazał sobie stawiać gorzałkę za swoją historię. Ale tutaj w karczmie zdarzył się Florkowi lepszy interes. Był tam jakiś przejezdny młynarz, który wyrzekał, że ma od roku żganie w piersiach, w lewym boku, i tchu nieraz chwytać nie może — tak jedzie właśnie na poradę do owczarza w Jurkowie. Przyczepił się Florek do onego młynarza, durzył go, obiecywał mu rychłe wyzdrowienie. Stanęło na tym, że młynarz nie pojedzie już do Jurkowa, tylko zabierze z sobą dziada i wróci do domu — do Olganowa, czy tam do Łatanic.

VIII.

Dwaj przyjaciele puścili się teraz samowtór ku Wiślicy, a Beldonek opowiadał Kusakowi, jakie to sztuki dziad wyprawiał ludziom w drodze od Balic do Częstochowy:

— Znam ja go dobrze! Jak na to przyjdzie, umie udać ślepego, niemowę i ręka mu nie zadrży, kiedy może cudzą rzecz schować do kieszeni. Bije się nieraz pięścią w piersi, wykrzykuje przed ludźmi: — „Jakem katolik, jak szkaplerz święty na piersiach noszę!" A on, krętacz, nie szkaplerz, jeno ogromne pieniądze w tym miejscu nosi. No, i nie oszukaniec to!...

— Żebym był o tym wszystkim pierwej wiedział, dałbym ja jemu jałmużnę, gorzałki!... A zawdy trza mu to przyznać, że mówca okrutny; jest kogo posłuchać.

Przyszli do Wiślicy na mały wieczorek. Idą w rynek, ile że Grzesiowi zachciało się gwałtem kiszki. Zwyczajnie, jak w takim mieście: psy i kury łażą po rynku, tu i owdzie Żydzi w kupkach gwarzą, trzy albo cztery fury chłopskie, przy których rozkiełznane konie chrupią porzucone siano, a furmani ćmią fajki: no i stragany przekupek. Beldonek patrzy po ludziach; naraz oczy jego za-

trzymały się na jednym z furmanów, który też z wielką uwagą przyglądał się chłopcu i nareszcie ruszył ku niemu, wołając z daleka:

— A skądżeś ty się wziął w Wiślicy? Śmierci się prędzej mogłem spodziewać, niż spotkać ciebie tutaj! — Był to Szczepan Łakota, co to z wesela jego na Włochach Beldonek uciekł. — Człowieku — powiada — toć my cię tam Bóg wie gdzie szukali! Pan Kondrat do Balic pisał, wypytywał przejezdnych z Buska, Chmielnika...

Beldonek, zadziwiony tym szczerym witaniem, odpowiada:

— Z tym oto Grzesiem, przyjacielem, idę do Nowego Miasta Korczyna, a potem, jeśli Bóg pozwoli, puszczę się może dalej.

— Na włóczykija się, widzę, wykierowałeś, miejsca nie zagrzejesz.

— Jedno ciągle mam na myśli: o naukę mi chodzi i chcę z Nowego Miasta dostać się do Warszawy.

— Do Warszawy? Człowieku, nic do rzeczy nie mówisz! Przecież w Pińczowie miałeś nauki po uszy! Bratku, takiego drugiego mędrca jak pan Kondrat, to i w Warszawie nie spotkasz!

— I on i ty jakoś krzywo na mnie patrzyliście; myślałem, że...

— Prawda, na moim weselu poszło o tego łajdaka, Darmosiaka! Ale teraz, widzisz, oliwa na wierzch wyszła, jak tylko złowili Walarskiego i zaczęli w sądach każdej rzeczy dochodzić. Darmosiak też należał do spółki ze złodziejami. Oho, porobiły się ogromne awantury! Kupę różnych

Żydów z Pińczowa, z Chmielnika, precz powsadzali do kozy i, aż wstyd powiedzieć, rodzony mój wujek, ten Maciek Kosa ze Skowronna, gospodarz taki, był też w zmowie z bandą złodziejską...

— To ja widać dobrze ci mówiłem podczas wesela, że na Włochach byli złodzieje?

— Sprawiedliwie mówiłeś! Ukradli tej nocy trzy pary koni, a Darmosiak moją stodołę puścił z dymem... Co mi tam z tego przyjdzie, że huncwota okuli w kajdany i powiedli do Chęcin?

Uradował się Beldonek słysząc, że się prawda wykryła, że nikt w Pińczowie i na Włochach nie uważa go za podpalacza. Dopiero Łakota zaczął na chłopca nastawać:

— Pomiarkuj się, wracaj do Pińczowa, przeproś pana Kondrata za swoją ucieczkę, a do książki ostro się zabierz!

Więc chłopiec bił się teraz z myślami: wracać, nie wracać. Tu Grześ podrwiwa z niego:

— Oj, ty! ciepłe kluski — powiada — każdego słuchasz, nie masz własnej woli!

Szczepan zaś zgarnia resztki siana, na wóz wkłada, konie do jazdy sposobi. Kiedy to wszystko już wyrychtował, bierze Beldonka za rękę, prowadzi do wozu jak niewolnika i powiada:

— Wsiadaj, nie ma czasu, noc nadchodzi!

Chłopiec chcąc nie chcąc, wskoczył na wóz, ile że go Łakota popchnął, podrzucił, raźno siadł przy nim i biczem śmignął po szkapach. — Wio!

— Jeżeli choć trochę rozumu masz w głowie — mówił w drodze Szczepan — powinieneś się już

teraz przyłożyć, wytrwać, dopóki tam nie będzie końca z tą twoją nauką.

Dowiedział się teraz Beldonek, że na list pana Kondrata, zjechali z Balic stryj Matus i stary Biernat. „Na wszystkie strony szły wypytywania, gdzieś się ty zawieruszył; ale myśmy też wiedzieli akurat tyle, co i oni". Przez chwilę Szczepan milczał, potem patrzy chłopcu w oczy i pyta:

— Czyś ty kiedy jechał na jakiej bryce z Wygody do Unikowa?

— Jechałem! Walarski mię wiózł zupełnie tak, jak ty teraz.

— No, to wiedz, że kradzież tej bryki i koni złodzieje zwalali na ciebie! Ale potem wszystko się wyjaśniło; sami złodzieje wyśpiewali, co kto gdzie ukradł, i każdy z nich dostanie za swoje. W twojej sprawie i mnie i pana Kondrata ciągali na sądy do zeznań. Myśleliśmy, że złodzieje naumyślnie cię gdzie zatłukli, żeby się potem wywijać, kręcić. Chwała Bogu, nie! Bądźże teraz mędrszy!

Beldonek znowu opowiadał o swej służbie u kowala w Chrobrzu i tak im czas przeszedł. Że to już późna noc była, kiedy przyjechali do Pińczowa, więc Szczepan zabrał z sobą przyjaciela na Włochy i dał mu nocleg w swojej chałupie. Ład, porządek, zamożność, wyglądały teraz z każdego kąta w domu Łakoty, jako sobie dobrał doskonałą gospodynię z tej Marysi Kwietniówny. Nazajutrz po śniadaniu, poszli obaj do pana Kondrata. Chłopiec bał się ogromnie, myślał, że usłyszy ostre nauki, wymówki; tymczasem profesor jedno mu tylko powiedział:

— Wcale nie w porę zrobiłeś sobie wakacje, uczże się teraz za to pilniej!

Chłopiec wziął szczerze do serca przemówienie, z ogromną pilnością przykładał się do nauki. Musiał on robić teraz znaczne postępy, skoro w rok coś potem pan Kondrat spotkał się z księdzem wikarym i mówi w te słowa:

— O, udał mi się uczeń! Jestem dziś już pewny, że ten chłopiec wyjdzie na bardzo porządnego człowieka: głowa otwarta, nauka nie sprawia mu najmniejszej trudności, a głównie, serce szczere, bez cienia obłudy.

— Ale, ale! — zawołał ksiądz wikary. — Toć ja się już z miesiąc zbieram, żeby o nim pogadać z panem, a zawsze mi jakoś schodzi.

— No, o cóż takiego chodzi?

— Czy pan profesor wie, że Jacuś ma wielkie zdolności, talent do rzeźby?

— Do rzeźby?... Przyznam się, że pierwszy raz słyszę. Bywa on podobno u kamieniarza Wilczka, przygląda się tam jego robocie; ale ja to uważam za prostą ciekawość i nic więcej.

— Gdzież tam! Proszę iść do warsztatu Wilczka i obejrzeć pomnik, który Jacuś robi własnymi rękoma i według własnego pomysłu; bardzo piękna figura anioła-stróża nad trumną.

— Oo, to on widać czas wolny od nauki poświęca rzeźbiarstwu! Jakiż to niezmordowany pracownik!

— Panie profesorze, kiedy się chłop zabierze do roboty, to już szczerze, po chłopsku pracuje. My zaś powinniśmy rzetelnie zająć się losem takiego chłopca; jest to nasz święty obowiązek.

— Będę mu dopomagał, jak własnemu synowi, o ile mi możność pozwoli — odpowiedział dobrodusznie profesor. — Sądzę jednak, że szlachetnej naturze chłopca należy zostawić różne przeszkody do pokonania. Istotnym człowiekiem jest dopiero ten, kto — dążąc do szlachetnego celu, łamał się z przeciwnościami i celu takiego dopiął.

Ksiądz wikary był, jak to mówią, kąpany w gorącej wodzie — i chciał bez zwłoki czasu wysłać Jacusia do szkoły zagranicznej, na naukę rzeźbiarstwa; a przy tym dawał do zrozumienia, że koszta utrzymania chłopca gotów jest ponosić z własnej kieszeni.

— Ja bo tu nie widzę nic pilnego — odpowiedział spokojnie pan Kondrat. — Chłopiec może jeszcze rok albo i dłużej pouczyć się w Pińczowie, a ja tymczasem powezmę od znawców dokładniejsze wiadomości o jego zdolnościach rzeźbiarskich. Trzeba też pamiętać, że Jacuś ma w Balicach krewnych bliskich i opiekunów, bez których nie możemy nim rozporządzać podług swojego upodobania. Przecież oni mają prawo i mogą się nie zgodzić.

Starszemu wiekiem profesorowi ustępował na pozór ksiądz wikary; ale tak się zapalił do sprawy wykierowania Beldonka na rzeźbiarza, że już ciągle tą tylko żył myślą. Nikomu nic nie mówiąc, jednego dnia zapakował różne figury i rysunki,

zrobione przez Jacusia w pracowni Wilczka, i pojechał za granicę. Zdziwił się pan Kondrat, kiedy coś w tydzień potem wpadł do niego ksiądz wikary z rozpromienioną twarzą i opowiedział, że prace Beldonka oceniał sam Matejko, który uznał w chłopcu rzeczywisty talent.

— Tak jest, panie profesorze, mistrz nad mistrzami podziela moje zdanie, radzi bez zwłoki czasu wysłać chłopca na naukę do Krakowa! — powtarzał ksiądz z zapałem. — Byłoby to hańbą dla Pińczowa, gdybyśmy zmarnowali perłę czystej wody, mogącą kiedyś stanowić chlubę kraju! — I dodał z naciskiem: — Pan Bóg stworzył talent, a ludzie mają obowiązek uznać to i uszanować. Na takie dzieło pieniądze być muszą!

Zdanie wielkiego człowieka i zapał księdza wikarego, wpłynęły na pana profesora, któremu teraz o jedno tylko już chodziło.

— Szanowny księże Wincenty, — mówił pan Kondrat — a cóż zrobimy z opiekunami Jacusia? Przecież my bez nich nie możemy o losie chłopca stanowić.

— Ma się rozumieć! — zawołał wikary. — Ja ich też na naradę wezwę; zaraz dziś wysyłam list do swego przyjaciela, wikarego w Gnojnie, który z pewnością weźmie sprawę do serca, a Balice należą do jego parafii.

— Zuch jest z kochanego księdza Wincentego! — rzekł profesor, ściskając rękę wikarego. — Gorliwy sługa Boży, który widzi wielkość Stwórcy w najwyższych objawach na ziemi, a cześć Jego szerzy między ludźmi przez oświatę.

W samej rzeczy wkrótce potem przyjechali do Pińczowa: stryj Jacusia, Matus i Szymon Biernat. Od razu znać było, że ksiądz wikary z Gnojna już był na nich wpływał. Teraz u pana Kondrata we czterech zaczęli o Beldonku radzić. Matus zgadzał się już na to, żeby chłopiec nauki pobierał; ale kiedy usłyszał, że chodzi o wysłanie Jacusia za granicę, nie chciał zezwolić.

— Ja tam — powiada — za tymi naukami nie jestem; tylko skoro wszyscy nastają, niech się chłopak uczy w Pińczowie, czy w Stopnicy, choćby nawet w Kielcach, ile że to gubernia. Toć tu precz tacy panowie z okolicy powkładali się do książki, do pióra, powychodzili na ludzi, na księży, a jeden taki chłopak wiejski miałby aż za granicę po rozum jeździć! Mnie się to nijak w głowie nie zmieści.

Ksiądz Wincenty bierze chłopa w obroty, tłumaczy mu tak a tak, powiada, że Jacuś ma ogromne zdolności do rzeźbiarstwa i tego jedynie za granicą nauczyć się może. Matus słuchał, kłaniał się, całował księdza po rękach, a odpowiadał swoje:

— U nas też są rzemieślnicy, co takie śliczne figury stawiają, że nie trza lepszych: nie przymierzając, choćby w Kielcach na cmentarzu jest na co popatrzeć. Oddać chłopaka do jakiego dobrego majstra i będzie.

Szymon Biernat też nie bardzo rozumiał, o jaką naukę tu chodzi; ale wierzył, że ksiądz i profesor chcą dobrze dla chłopca. Korcił go zawzięty upór Matusa i rzekł:

— Czegóż się zaś tak spieracie, sąsiedzie? Przecież tu radzą mędrsze od nas głowy, wiedzą co jest lepsze.

A na boku księdzu Wincentemu poszepnął do ucha:

— Nie dziwota, jegomościuniu, Matus jest ogromnie ściśliwy człowiek; boi się o to, żeby nie wypadło z własnej kieszeni dopłacać, jako ma z pierwszej żony chłopaka, a z drugiej się też lada dzień spodziewa. Jeno proszę łaski jegomości, robić co należy, a ja już w tym będę, żeby z pieniędzmi na tę tam naukę Jacusia nijakiej biedy nie było. Z Matusem już ja sobie poradzę, a wieczorkiem wpadnę tu do pana profesora, to się obgada resztę. Tylko teraz chciałbym jeszcze jegomościunia prosić o jedną łaskę...

Z tymi słowy staruszek zaciął się, spuścił w dół oczy, stał jakiś zawstydzony, miętosił w ręku czapkę.

— Mów, ojcze, śmiało, czego ode mnie żądasz! — nalegał ksiądz wikary.

— W obcym mieście oto jestem, między żydostwem człowiek łazi; każdy prawie że do kieszeni zagląda i mam okrutny strach przed złodziejami.

— O, trzeba się mieć na ostrożności! W Pińczowie są ptaszki.

— Spory grosz mam przy sobie i proszę jegomości, albo pana profesora, przyjąć na przechowanie kilkaset rubli. — Mówiąc to, Biernat wydobył z zanadrza paczkę sturublówek, którą wręczył księdzu Wincentemu, podczas gdy profesor

przekonywał wymownie Matusa o konieczności wysłania Beldonka na naukę rzeźbiarstwa za granicę.

— Bardzo mi się podoba ten Biernat — powiada ksiądz do profesora, kiedy obaj chłopi już wyszli. — Całe jego zachowanie się ma w sobie tyle dobroci, szczerości, jak gdyby to był starannie wychowany człowiek.

O zmierzchu przychodzi do pana Kondrata Biernat i tak mówi:

— Uspokoiłem Matusa; jak się tylko przekonał, że na naukę chłopca jednego grosza nie wyłoży, to już teraz na wszystko z chęcią przystaje. Niechże teraz ksiądz dobrodziej i pan profesor pokierują Jacusiem według swego rozumu, a co się tyczy wydatków, rzecz moja... Żadnego frasunku nie będzie o pieniądze.

Ci patrzą zdziwieni, zapytują, jak on to rozumie, a Biernat rzecze:

— Uciułałem trochę grosza i chcę to na dobrą sprawę oddać. Cóż bym zaś lepszego mógł z pieniędzmi zrobić? Do grobu majątku z sobą przecie nie zabiorę.

Zwraca mu ksiądz pieniądze, rzekomo ze strachu przed złodziejami do przechowania oddane, a Biernat ani myśli przyjąć.

— Jacuś — powiada — jest i mój swojak i powinowaty. Proszę jegomościunia i pana profesora obrócić te pieniądze na edukację sieroty. Ludzie rzetelni nie mogą mi przecie bronić dobrych uczynków, odwodzić mię od spełnienia przykazań boskich.

Cóż tu było na to odpowiedzieć? Szlachetność chłopa tak wzruszyła księdza i profesora, że przy pożegnaniu Biernata obaj mieli łzy w oczach, zwłaszcza, kiedy ich Szymon na wychodnym serdecznie prosił i zaklinał o zachowanie tajemnicy.

— Przed Bogiem nie przed ludźmi chcę mieć zasługę, a Bóg i bez ludzkich gadań wie o wszystkim.

IX.

Pewnie w jaką godzinę potem, Matus i Biernat jechali nocą z Pińczowa do Buska, a rozmową skracali sobie podróż.

— Dziwota mię zbiera — powiada Matus — przez co tacy surdutowi okrutnie lgną do nauki. Ciągle w kółko jedno ci powtarzają: — „nauka, nauka, nauka!...“ Toć mi łeb na nic rozklekotali. Jaki oni pożytek z takiego gadania mają!

— Przecie z gadania pożytku nie ma, jeno z nauki. Mędrsi muszą głupszych oświecać, mówić im, o co chodzi; a kto ma głowę na karku, ten i pożytek znajdzie.

— Z cudzego rozumu człowiek nie zmądrzeje.

— Przypomnijcie sobie, żeście na żaden sposób nie chcieli siać łubinu, a teraz siejecie, i zamiast dwóch korcy żyta z morgi, zbieracie po osiem.

— Jakem zmiarkował, to sieję! Cóż nie mam siać, kiej dobrze czyni?...

— No, przecie nie ze swego palca wyssaliście tę mądrość, tylko z cudzego rozumu i inni też tak samo robią: uczą się jedni od drugich.

— Eee, ja tam nie o takiej nauce mówię! Nie miałbym nic przeciw temu, żeby Beldonka na-

uczyli siać, orać, kosić, włożyli go do siekiery — ooo! Ale tym profesorom przecie głównie chodzi o książkę, o pismo i różne takie rzeczy, co chłopakowi w głowie przewróci; będzie myślał, że się we dworze urodził.

— Skądże wy to zaś wiecie, co on będzie myślał?

— Bo lada pismak pomiata chłopskim stanem, ma się za coś lepszego. Czy ja to nie znam w Stopnicy, w Chmielniku tych gryzmołów, co skargi do sądu pisują? Zapłacisz mu rzetelnie, a on cię obełże i za oczy wydrwi, powie: — „Głupi cham“.

— Święta prawda, są tacy! Jeno nie nauka temu winna, bo jej tacy właśnie nie mają, a nasza głupota, że się im za nos wodzić dajemy.

Tak rozmawiając, o świtaniu przybyli do Balic. Matus Sobota może i niekoniecznie tak myślał jak mówił; ale był wielki sprzeka, lubił postawić na swoim, a kiedy się zawziął, nigdy nie ustąpił! Zdrożeni, żegnają się, każdy z nich potrzebuje wypoczynku w chałupie; wtem Matus bierze Biernata za rękę, patrzy mu w oczy podejrzliwie i rzecze:

— Czy ja, Szymonie, mogę akuratnie wierzyć w to, coście mi obiecali?

— O cóż takiego wam chodzi?... Powiedziałem, że na całą naukę Jacusia jednego grosza nikt od was nie zapotrzebuje.

— No, to dajcież mi swoją rękę, poręczcie, że póki chłopak do pełnoletności nie dojdzie, nikt ode mnie szeląga nie zażąda z jego ojcowizny!

Ja się zobowiązałem nic nie uronić z majątku nieboszczyka brata i chcę tego święcie dotrzymać.

— A ja znowu Panu Bogu ślubowałem, że sierotę własnym kosztem na człowieka wyprowadzę i sumiennie dotrzymam, tak mi Panie Boże dopomóż! — Mówiąc to, Szymon uścisnął rękę Matusa.

Rozumie się, stryj Beldonka nie miał w to najmniejszej wiary, żeby się nauka chłopcu opłaciła i w duszy sobie myślał: — „Oni chłopaka zbałamucili oto, przewrócili mu tą nauką w głowie; ale kiedy zmądrzeje, będzie przynajmniej wiedział, żem ja jeden chciał dobrze..."

Ksiądz Wincenty wybrał się był osobiście, ażeby Jacusia odwieźć za granicę. Wypadło im naprzód dojechać do Krakowa i Szczepan Łakota ofiarował się dowieźć tam ich obu, a o zapłacie za furmankę nie chciał słyszeć. „Pan Bóg skarałby mię — powiada — gdybym brał pieniądze za to, że przykładam rękę do dobrego dzieła! Niechże i ja się odrobinę przyczynię do tego, aby Beldonka wykierować na człowieka".

Pojechali. — A no, zabawili coś trzy dni w Krakowie, jako tam jest co oglądać: kościoły, gmachy różne, obrazy, figury z kamienia rzeźbione. To chłopiec aż się za głowę brał z podziwu; chodził jak odurzony, ile że pierwszy raz w życiu oglądał takie rzeczy; a ręka go świerzbiała do ołówka, żeby to sobie zrysować.

Noc zatrzymali się tu jednak. Zaraz nazajutrz rano ksiądz Wincenty i Beldonek wyjechali z Krakowa. Chłopiec pierwszy raz w życiu jechał koleją żelazną; wszystko go dziwiło, nieustannie wy-

glądał z wagonu przez okno, a w duszy sobie myślał: — „Mój Boże, jaki też to świat wielki!... Co tam w Balicach porabiają: stryjek, stryjna, Wojtuś, Biernat! Miałbym im teraz co opowiadać". W przelocie tylko zawadzili o Wiedeń, którego widok tak zadziwił Jacusia, że pytał księdza: — „Czy to ludzie zrobili?" Jużci nie mogło mu się w głowie pomieścić, ażeby kościoły takie, pałace, gmachy, ręka człowieka była w stanie zbudować. Przybyli nareszcie do miasta, nazwiskiem Monachium i ksiądz Wincenty powiada:

— Chwała Bogu, jesteśmy wreszcie u celu! Właśnie tutaj jest ta szkoła, gdzie się masz rzeźbiarstwa nauczyć. Beldonek westchnął tylko. Kiedy sobie już znaleźli kwaterę, otrząsnęli się z drogi i wyszli na miasto. Widać było, że ksiądz Wincenty dobrze wiedział, czego szukał: dopytał się najprzód o ulicę taką a taką, potem upatrywał numeru domu i znalazł. Dopiero szli po schodach z piętra na piętro, dobrze się zadyszali, zanim stanęli przed jednymi drzwiami, przy których ksiądz zadzwonił. Chłopiec tymczasem przeczytał na drzwiach napis: „A. Pawłowski". Po jakiejś chwili stanął przed nimi w progu człowiek chudy, blady, z czarnym zarostem, rozmamany i z pędzlem w ręce. Spojrzał po przybyłych, uściskał księdza, wołając: — „Jak się masz, Wicku!" Wprowadził ich potem do dużej izby, jasno oświetlonej, gdzie — jak to mówią — tylko dziada z babą brakowało: malowane i niemalowane płótna, farby, pędzle, skorupy, kuferki, kapelusze, łachmany, blachy jakieś leżały, wisiały — groch

z kapustą. Gospodarz prosił ich siedzieć, przypatrzył się uważnie Beldonkowi i rzekł do księdza:

— Może to ten kawaler, o którym mi pisałeś, że ma ochotę uczyć się rzeźbiarstwa?... Amator kwaśnych jabłek!

— Właśnie przywiozłem go tutaj, chociaż mi w liście swoim odradzałeś.

— Potrzebny tu jak dziura w moście!

— Ależ zobaczysz sam, mój Antku, i może zmienisz zdanie!

— Ee, to ludziom w naszej Polsce zdaje się, że kiedy chłopak na ścianie stodoły nabazgrze węglem zygzak podobny do psa, kota, osła — to już powinien być malarzem! A jeżeli robi gałki z chleba, kule ze śniegu, z gliny, zaraz wszyscy wrzeszczą na gwałt: — „rzeźbiarz, rzeźbiarz!" No i taki okrzyczany malec zaczyna malować, czy rzeźbić; ale malarzem, ani rzeźbiarzem on nie będzie, tylko — bazgraczem. Toteż pisałem do ciebie, będzie temu trzy miesiące, kiedyś mi doniósł, że przywieziesz tu na naukę młodego rzeźbiarza: — „Wicku, daj pokój, partaczów jest już dosyć na świecie!" Aleś mię nie usłuchał...

— Zobaczymy, mój Antku, zobaczymy! — odrzekł ksiądz Wincenty, usiłując udobruchać swego przyjaciela.

Pan Antoni skrzyżował ręce na piersiach, stanął przed księdzem, długo odwodził od kształcenia Beldonka na rzeźbiarza, aż widząc niezłomną wolę księdza i chłopca, rzekł:

— Takiej pomocy, na jaką mię stać, swojakowi przecież odmówić nie mogę na obczyźnie. —

Zgadzał się widać na to, żeby chłopca wziąć pod swoją opiekę.

Odetchnął swobodnie ksiądz wikary i powiada:

— Chwała Bogu na wysokościach, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli! Teraz mogę już z czystym sumieniem wracać do Pińczowa.

I odjechał.

X.

Trzy lata upłynęły od owej chwili. W Pińczowie nic się przez ten czas nie zmieniło. Ksiądz Wincenty co parę miesięcy odbierał listy od swego przyjaciela Antka, a musiały go one radować, skoro co tchu biegł zaraz z wiadomością do pana Kondrata i za każdym razem wykrzykiwał uszczęśliwiony:

— Czytaj no, profesorze, co tu Antek pisze o tym naszym wychowańcu! Wyraźnie zapowiada, że będzie z niego rzeźbiarz całą gębą. I niezawodnie tak być musi, skoro to pisze człowiek do pochwał nieskory.

Z tymi słowy ksiądz oddawał list do rąk pana Kondrata, którego wiadomości owe musiały również cieszyć, gdyż czytał, uśmiechał się, a po przeczytaniu mówił:

— Ani słowa, chłopak ma oczywiście talent, kiedy robi takie postępy i profesorowie go odznaczają! No, no, dawniejszymi czasy z tych okolic wyszedł niejeden wielki człowiek, może i Beldonek przyniesie nam chlubę...

— To najgłówniejsza, że Jacuś pochodzi z ludu, a czas już, żeby i lud wydawał z siebie wielkich ludzi!

Ksiądz i profesor tak się cieszyli z tego chłopca, jakby ojciec i matka.

Przychodziły też listy i od Jacusia; ale chłopiec mało co donosił o sobie, rozpisywał się głównie o swoich profesorach, których wysławiał, a pana Antoniego wynosił pod niebiosy: — „Chyba to święty jaki, nie człowiek zwyczajny; bo i dobroć jego i rozum nie są ludzkie".

Za to w Balicach pozachodziły ogromne zmiany; tylko swary i zawziątek, obraza Boska z przekleństw, pomstowania, sprawy w sądach — wcale tam nie ustawały. Stryj Matus miał już teraz dwoje dzieci z tej drugiej żony Agaty, która chłopa zupełnie zawojowała i tak krótko trzymała, że się czuł jak nie w swoim domu, robił tylko to, co mu baba kazała — zwyczajnie, zgłupiał na starość przy żonie-jędzy. Agata nienawidziła całej familii męża, dla Wojtusia była jak najgorszą macochą; pędzała chłopca do ciężkiej roboty, posiłku mu skąpiła, a nie żałowała mu kija, powroza, i nawet mu się wypłakać nie dała. Już taki dzień był szczęśliwy, w którym ten chłopiec jeden raz dostał wały. Nie dziwota, że sierocie bicie spowszedniało — i z dobrego dziecka zrobił się nicpoń: wziął na kieł, nie dbał o kary. Więc go teraz i ojciec często gęsto brał do garści, wmaścił co się tylko zmieściło, a Wojtek sobie myślał w zawziątku: — „Żebyście nie wiem jak bili, nic nie wybijecie!" Niech rany Boskie bronią, co się tam teraz działo w tej chałupie! Zła baba, jeżeli nie na Wojtka, to na Matusa wsiadała i poniewierała człowiekiem, że już nie można gorzej.

Osobliwie też wtedy napadała ją wściekłość, kiedy się przedtem ścięła z sąsiadką Krupaliną, czy z inną którą, i dostała od niej za swoje. Odbijała to potem w chałupie.

Staremu Biernatowi znowu umarła żona — co go całkiem z nóg zwaliło. Niedawno jeszcze był krzepki, żwawo imał się roboty, a jak tylko odprowadził nieboszczkę na cmentarz spostrzegł, że jest sam jeden w chacie, od razu zmarkotniał i pomyślał: — „Dołoż moja, straciłem oto najlepszego w życiu przyjaciela!" Potem opuścił ręce, już go nawet pszczoły i drzewa w sadzie nie obchodziły — zupełnie inny człowiek. Jeszcze go teraz to jedno pocieszało, kiedy odebrał list od Jacusia. Staruszek biegł wtedy co tchu do kancelarii z garnuszkiem miodu i prosił pana pisarza, żeby mu powoli raz i drugi pismo odczytał. Ale że i tak nie rozumiał często, o co w liście chodzi, więc przy niedzieli, po skończonym nabożeństwie wstępował znowu do księdza w Gnojnie, a ten mu już należycie pismo odczytał i objaśnił, jak rzeczy stoją. Ów ksiądz wikary pisywał Biernatowi listy do Beldonka, kiedy tam wypadło. Matus bo nie tylko że bratankowi nigdy na pismo nie dał odpowiedzi, ale nawet nie dbał o wiadomości, ile że za odczytanie takiego listu, należało choćby z pół tuzina jajek zanieść panu pisarzowi — a ta Agata wydarłaby chłopu oczy, gdyby się ważył z domu co wynosić.

Miało się właśnie na żniwa, kiedy Matus i Biernat odebrali listy, w których Beldonek donosił im, że tego roku przyjedzie do Balic około pierw-

szego września. „Ogromnie się tu stęskniłem — pisał — do wsi i do swoich". Agata, jak tylko posłyszała tę wiadomość, zapowiedziała swemu:

— Tylko mi go też do chałupy aby nie kwateruj!

— Kobieto, miejże rozum! — rzecze Matus. — Toć on ma prawo być u nas, jak na swoim. Majątek jego od tylu lat jest przecie w moich rękach, a prawdę powiedziawszy, nie wiem, czy mu przez cały czas trzy razy sprawiłem obleczenie. Dachu i kawałka chleba będę żałował dziecku rodzonego brata?... Kiejby na to przyszło, mogliby mię nawet jako opiekuna należycie spatrzeć, pociągnąć.

— Stul oto gębę, nie rób wiatru! Nie za żaden majątek powinieneś odpowiadać przed Bogiem i przed ludźmi, jeno żeś zezwolił na ostatnie bisurmaństwo i wykierowaliście chłopaka na obieżyświata! Albo on do ludzi podobny? Chłop — nie chłop, ciarach — nie ciarach, odmieniec się zrobił taki jakiś i koniec...

— Ja na to kazanie wcale nie dzwoniłem! Księża tam, profesory jakoweś dokumentowali; a Biernat przecie chłop niedzisiejszy, precz im przytakiwał i ponoś na te nauki z własnej kieszeni sypnął...

— Biernatowi wolno sypać, bo nie ma dzieci... No, a czy od Biernata, czy od ciebie, chłopak pewnie wybrał wszystko z onej schedy. Kogóż winować, że przebarłożył?...

— Oo, musiał tyle chyba wybrać! Ale widzisz, zawdy byłoby dobrze dla ludzkiego oka, żeby on sobie tu w naszej chałupie pobył...

— Ja obcych w domu nie potrzebuję.

Matusa złość zdjęła, wziął na odwagę i tęgim głosem fuknął:

— Musisz mu miejsce obmyśleć!

Dopiero ta w śmiech:

— Cie-wy, jaki rezolutny! Musisz, nie musisz... Ej, żebym ja ci nie pokazała tego, co muszę, niemrawcze zacieczony! — I pięść ścisnęła.

Więc chłop, jak zmyty, drapie się w głowę, idzie do Biernata, a myśli sobie: — „Trzeba chyba namówić starego, żeby Beldonka przyjął do siebie".

Zaczyna ogródkami przemawiać:

— Przydałby wam się tu kto na komorne. Cni się człowiekowi, kiej w chałupie nie ma do kogo gęby otworzyć. W waszym wieku osobliwie może na człeka paść niemoc a tu żywej duszy nie ma pod ręką. Idąc do was, Szymonie, tak sobie myślę i...

Biernat mu uważnie spojrzał w oczy i powiada:

— Czyście myśli moje podsłuchali? Toć ja się rychtyk tym biedzę od jakiegoś czasu, a nie mogę znaleźć sposobu.

— Beldonek przecie zjeżdża do Balic! Lubicie go, a ja tam nie taki, nie będę na to nastawał, żeby miał koniecznie u mnie mieszkać.

— On przyjedzie i znowu odjedzie — rzekł Szymon, wzdychając. — Przywyknę oto, a kiedy go zbraknie, ciężej mi jeszcze będzie staremu. Gdyby on to chciał zostać w Balicach!...

— Zostać? Przecie on chyba z tych tam nauk opatrzenie jakie mieć powinien, sposób do życia gdzie na świecie. Warsztat sobie założy w którym mieście, czy co!... Ja bo nie wiem, do czego zmierza niby jego nauka.

— O sposób do życia nie chodzi! — rzekł Szymon. — Zagrodę całą, gospodarstwo jakie jest, majątek swój na niego zapisałem. Mówię wam to, Matusie, jako najbliższemu jego opiekunowi, a nie chcę, żeby tam inni ludzie o tym gadali.

Na te słowa oczy chciwego Matusa zaświeciły się jak u głodnego wilka, który spostrzegł barana. Przymknął się do Biernata, siadł przy nim na ławie, dotykał go żebrami, a ślina do ust mu tak ciekła, że parę razy cmoknął językiem — smakował i zrazu słówka nie mógł przemówić.

— Jakże wy to rozumiecie, Szymonie?... Zapis — wielkie słowo! — przemówił nareszcie Matus, chcąc widać, ażeby Biernat powtórzył raz jeszcze to, co wyrzekł przed chwilą. — To by na chłopaka miał niby spaść los taki, że zostałby najpierwszym gospodarzem w Balicach?...

— Wyraźnie przecie mówię: zrobiłem zapis u rejenta w Chmielniku, a świadkiem był ksiądz wikary z Gnojna.

— Darzy się temu mojemu Beldonkowi! Sierota, biedactwo takie i od razu wyjedzie... Widno mu Pan Jezus szczęści — mruczał Matus pod nosem.

Wrócił do domu, opowiada, że tak a tak; tym opowiadaniem narobił ogromnej oskomy Agacie. „Mojaś-ty, jeno się też przed kim nie wygadaj,

ile że mię Biernat prosił o sekret!" Baba się nie spodziewała takiego obrotu rzeczy i aż oniemiała. Jużci ten Beldonek godnym jej się już teraz wydawał, żeby zamieszkał przy rodzonym stryju, osobliwie że Matus dogadywał.

— Biernacisko tam przecie długo nie pożyje i majątek okrutny spadnie na chłopaka... Toć on Sobota z rodu, i tak, czy siak, zawdy nam profit jakowyś z tego przyjść może. Na familię naszą setnie kapnęło. — Ooo!

Zrazu udawała, że ją toto ani grzeje, ani ziębi, ale chytra, w cichości sobie precz miarkowała: „Nic, jeno koniecznie trza teraz Beldonka przeciągnąć na swoją stronę, nie dopuścić, żeby go sobie zjednali nieprzyjaciele. Ma się rozumieć, że po takim zapisie wszyscy będą lgnęli do chłopaka jak do miodu. Tymczasem ja, dobra ciotka, opiekunka, wezmę go w swoje ręce i dopiero nim pokieruję podług swojej woli."

Kiedy sobie to już rozważyła, rzekła do męża:

— Wiesz ty co, kochasiu? Skoro tak jest, idźże zaraz do kancelarii, niech ci tam pisarz wystrychnie list do Beldonka, żeby i ode mnie było dobre słowo! Już ja mu tu w chałupie obmyślę i izbę, i posłanie, jak przynależy — na piśmie trzeba mu to naprzód zapowiedzieć. Weźże, Matusku, z komory pół kopy jajek, ofiaruj pisarzowi i proś go o list taki skuteczny!...

— Ee, nie uchodzi! — powiada Matus. — Przed chwilką tylko prosiłem Szymona, ażeby przyjął chłopca do chałupy i Szymon się zgodził. Chcesz, żebym kóli onego zapisu kręcił gębą jak pies ogonem? Stary Biernat mądra sztuka, gotów przewąchać i zapis cofnąć...

Od tego czasu, jak za mąż poszła, pierwszy raz uderzyła w prośby; łasiła się, głaskała chłopa po gębie, szczerzyła do niego zęby:

— Idźże do kancelarii, idź! Wierz mi, dobrze będzie! — Można było widzieć, co za ziółko ta kobieta.

Wziął w koszyk pół kopy jajek i poszedł, a pisarz list napisał — choć mu dziwno było, skąd się Matusowi i Agacie wzięła taka czułość dla Jacusia.

Ale z tych zabiegów niewiele było pociechy. Pisarz opowiedział Biernatowi o tym liście i stary z ogromnym żalem wystąpił do Matusa.

— Cóż to? — powiada. — Nie mieliście gdzie u siebie pomieścić chłopca, a teraz się wasza chałupa rozprzestrzeniła. Oj, Matusie, to mi się nie podoba!

Rzecz prosta, Biernat był jedynym dobrodziejem Beldonka i Sobota musiał mu ustąpić.

A no po jakimś czasie Jacuś przyjechał do Balic, zamieszkał u Biernata. Dziwili się ludzie w Balicach, że chłopiec wyglądał na czystego panicza, a najmniejszej dumy nie pokazywał nikomu: stryja, stryjnę, Biernata i innych starszych, z uszanowaniem brał pod kolana, całował po rękach, okazywał im we wszystkim wielką uległość. Tak dopiero Agata zaczęła mu ogromnie dogadzać, podsuwała chłopcu przysmaki różne: tam placki, tam gomułki, śliwki suszone, jajecznicę na sperce. Zawsze do niego przemawiała z po-

chlebstwem: — „Jacuniu, mój kochasiu". Takim sposobem przyciągała go do swojej chałupy. No, a o tym zapisie Biernata, Jacuś nic a nic nie wiedział.

Pewnie z miesiąc zabawiał już Jacuś w Balicach, kiedy Szymon jednego dnia zaczął się skarżyć na ciężką duszność. Stary miał noc straszną: chwilami zdawało się, że rana nie doczeka. Nazajutrz, kiedy duszność trochę sfolgowała, rzekł do Beldonka, który go na krok nie odstępował:

— Niewiele mi się tu, widzę, już należy na tym świecie; ale nim odejdę, trza zrobić obrachunek z Panem Bogiem. Mój synu, jedź co żywo do Gnojna i przywieź tu księdza wikarego.

Beldonek zrobił jak Szymon chciał: przywiózł księdza. Dopiero stary kazał wszystkim z izby wyjść i przez dobre pół godziny odbywał spowiedź z całego życia. A tu się już około chałupy ciżba ludzi zebrała — że to umierał najstarszy człowiek we wsi, a przytem bogacz. Mateusz i Agata przepychali się do Jacusia i wypytywali go z cicha:

— Pewnie ci, synku, Szymon zwierzył swoją ostatnią wolę? Mówże!

— Nie wiem, o jakiej woli mówicie — odrzekł.

Jak tylko Biernat skończył spowiedź, ludzie zaczęli się tłoczyć do izby, a jaki taki odmrukiwał modlitwę przy konających. A tu ksiądz występuje i powiada:

— Swoją drogą spowiedź, a swoją drogą lekarz być musi! Nie trzeba tracić ani chwilki czasu i natychmiast posłać konie po doktora!

Więc Matus się wyrwał, jako mu Agata znak dała, wystrychnął co tchu własne szkapy i pojechał do Chmielnika po doktora. Po niedługim czasie zjawił się lekarz, który obmacał, opukał chorego, a potem mu zapisał lekarstwo.

Teraz znowu Beldonek pojechał do Chmielnika, żeby odwieźć doktora i z apteki przywieźć lekarstwa. Agata i Matus zostali tymczasem przy Szymonie, który ledwie dyszał. Wtem do Jacusia zbliża się Gierka Krupalina, jego wujna i w te słowa rzecze:

— Mnie słuchaj, nie odjeżdżaj! Toć ta suka Agata gotowa dobić starego!...

Rzucił się na te słowa i mówi:

— Wujno, bójcie się Boga, co wy też wygadujecie.

Wsiadł na wóz i pojechał z doktorem, który, jak tylko wyjechali z Balic, wręcz powiada:

— Bardzo źle jest z tym starym, do wieczora może nie dożyć.

W samej rzeczy Beldonek wraca z lekarstwami już dobrze pod noc, a Biernat zimniusieńki. Pod oknami chałupy stała Gierka z jakimiś babami, Agata zaś zapalała umarłemu gromnicę, płakała i fartuchem ocierała łzy z oczu — zwyczajnie, Judasz-baba. Chłopiec się ogromnie rozżalił, uklęknął przy nieboszczyku, szczerze zapłakał i odmówił pacierze. Ledwie się z izby wychylił, a tu znowu dopadła do niego Gierka, bierze go za rękę, a językiem pytluje jak najęta:

— Biernat pono na ciebie cały majątek przepisał... Biernat, nim skonał, domagał się, żeby

cię zobaczyć... Cóż ta Agata w cudzym domu tak gospodaruje jak w swoim?... Szymon zostawił setny grosz gotowy i ona pewnikiem już podeszła!... Człowieku, odczep się, niech Matus i Agata za nos cię nie wodzą... Mało ci tego, że ojcowiznę twoją zagarnęli?...

Mełła językiem, kotłowała mu głowę; on zaś sobie myślał:

— Święty Boże, zdawało mi się, że w tych Balicach nie ma złych ludzi!...

Zaraz po pogrzebie, oboje Matusowie rozpostarli swoje rządy w gospodarstwie nieboszczyka, jakoby z życzliwości dla Beldonka. Chłopiec, rzecz prosta, nie znał się na niczym i stryj-opiekun musiał go wyręczać. Nie było o tym mowy, co moje a co twoje.

— Ty się, Jacusiu, przyglądaj, jak idzie orka, siejba, uprawa pod zboże! Kiej się włożysz, będziesz mógł sam siąść na roli. — Powiada raz Matus.

— Ej, mój stryju — ten odrzeknie — mnie tam nie rola w głowie! Ja z Balic odjechać muszę do innej roboty, jako do roli nie mam zdatności, nie poradziłbym... Wy sobie tu rządźcie, jak sami chcecie!

Matus właśnie na to tylko czekał i zaraz podchwycił Beldonka:

— Chcesz odjechać? Temu się nie będę przeciwił, skoro musisz...

— Jużci muszę, jeno widzicie, stryjku...

— Drogę masz daleką przed sobą, pono kolejami żelaznymi. Pewnie by ci się grosz przydał?

— Utrafiliście! Na piechotę nie zaszedłbym.

— Ha, to obmyślę! Przecie gospodarstwo masz własne; brakować nie może, skoro mi całe rządy zdałeś.

Zabrał się, idzie do Agaty na narady i tak mówi:

— On tu gospodarować nie myśli i w Balicach siedzieć nie chce! Słyszysz, trza go wyprawić, kiej się napiera; dać mu pieniędzy, niech sobie jedzie.

— Pieniędzy? Czyś ich narobił, czy na ciebie po Biernacie spadły? Żadnych pieniędzy nie dam!...

— Jak nie dasz, to szkapę albo krowę z Szymonowej obory przyjdzie Żydowi sprzedać, za co bądź zmarnować... On musi jechać — rozumiesz?

— Siłaż jemu tych pieniędzy potrzeba? — pytała ze złością.

— Niemało, bo przecie on nie do Buska, nie do Stopnicy ma jechać! Granicę przejedzie i kajsik między obce narody powędruje... Niemce, widzi mi się.

— Głupi, ty mię chcesz uczyć? — fuknęła. Poszła do komory i tam przez chwilę gmerała w skrzyni, a potem wyniosła dwa papierki dziesięciorublowe, rzuciła je z gniewem chłopu na stół, mówiąc:

— Tylko sobie zapamiętaj, że to moja własna krwawa praca! I z pierwszych pieniędzy masz mi oddać, a nie, to krowę z obory nieboszczyka zafantuję...

Chłop dał pieniądze Beldonkowi, który jakoś markotną miał minę; pewnie sobie pomyślał: — „W dal taką jechać i tam żyć, trudno będzie za dwadzieścia rubli". Ale stryjkowi słówka nie rzekł, a w podróż się i tak zbierał. Byłby odjechał w imię Boże, jeno go Krupalina nazajutrz spotkała, chwyciła za rękę, zaprowadziła do swojej chaty; pokazuje mu swoje dzieci, a szlocha:

— Przecieżeś ty rodzoniusieńkie dziecko mojej rodzoniuteńkiej siostry, a stronisz ode mnie jak wróg jaki! Serce mię boli, ciotkę twoją... Popatrzże na te dzieciny, na braciszków, siostrzyczki swoje! Głodne toto, bez przyodziewku, bez niczego — jedna piszcząca nędza. Człowieku, miejże serce dla swoich najbliższych! Raz się z tobą rozmówić muszę, jak Bóg przykazał! Opatrzył cię Pan Jezus dostatkiem, bogactwo takie spadło ci jak cudem z nieba, pokażże litość nad nami! Użycz choć odrobinę dla tego drobiazgu mojego! — Z tymi słowy uderzyła w płacz, dzieciny się tulą do chłopca, beczą jak organek.

On się drapie w głowę, nie wie co robić. Wtem Gierka na szyję mu się rzuca, całuje; dzieci znowu opadły mu nogi, ręce: był jak związany, odurzony. Ma się rozumieć, wzruszyła chłopca ta nędza.

— Co będzie, to będzie — pomyślał w duszy — trza pomóc temu biedactwu!

I oddał ciotce owe dwadzieścia rubli. Jej się widać zdawało, że powinien był sypnąć lepiej i coś nie bardzo była rada, choć pieniądze porwała, jakby diabeł dobrą duszę. — Teraz nie mogło być mowy o wyjeździe z Balic. Smutny, jak

zbity, wałęsał się Jacuś po wsi, a Agata coraz to zapytywała Matusa: — „Kiedyż on odjedzie, na co jeszcze czeka? Toć go wypraw!" Więc stryj raz drugi napomykał: — „Miałeś pono jechać, pilno ci było; cóż się dzieje, że wyjazd w odwłokę idzie?" — Nareszcie jednego dnia Beldonek przyparty do muru, wyznał Matusowi całą prawdę, a Matus opowiedział to Agacie. Baba o mało się nie wściekła, narobiła gwałtu w chałupie:

— Ode mnie, psie-pary, pieniądze wyłudzacie, żeby je tej czarownicy rozdawać, największego mego wroga karmić? Po to sobie ręce urabiam, ażeby grosz krwawo zapracowany w błoto rzucać?

Zawzięła się, a najgorzej na tym wyszedł Wojtek, który jej przypadkiem wpadł pod rękę i dostał po łbie, po gębie. Przez cały dzień tak szalała, że niewytrzymanie ludzkie. Dopiero Jacuś wręcz idzie do niej z pokorą, skłonił się, pocałował złośnicę w rękę i tak mówi:

— Skorom ja głównie zawinił, niech już przynajmniej inni z mego powodu nie cierpią! Gniewajcie się, stryjno, na mnie jednego!

Ujął sobie babę tą grzecznością; sfolgowała cokolwiek. Cóż, kiedy czas schodził, a o nowym funduszu na wyjazd Beldonka nikt ani wspomniał. Matus jeno kiedy niekiedy przebąkiwał od niechcenia:

— Ziarno idzie w cenę, omłóci się i na jesieni będzie pieniądz.

Wojtek znowu prawie codziennie użalał się przed Jacusiem na macochę i ciągle jeno mu powtarzał:

— Ona teraz to tylko ma na myśli, żeby ciebie obedrzeć, a mnie z chałupy wygonić. Zobaczysz, oni nas wykierują!

* * *

Przeskoczmy trzy lata i przenieśmy się do Pińczowa. Jakoś po żniwach był jarmark — tłok ludzi, wrzało od gwaru. W rynku około fontanny stały mnogie wozy, konie porozkiełznywane żuły siano rozrzucone po ziemi, a przy wozach chłopi i baby rozmawiali o jarmarku. Ten, co przyjechał kupić, wyrzekał na ceny wysokie, a znowu sprzedający utyskiwali, że nie ma kupców na ich towar. Przy jednym z takich wozów stał człowiek w sile wieku, ubrany w białą trochę podkasaną sukmanę, opasany szerokim pasem i w wysokim czarnym kapeluszu. Krótko ostrzyżona czupryna, wąsy zakręcone jak u szlachcica, w ustach ładna fajeczka na krótkim cybuszku; koszula bielutka, pod brodą zawiązana wstążeczką pąsową, długie buty na wysokich obcasach z podkówkami, a głównie szumna mina, wyróżniały tego gospodarza od innych tam będących.

Spokojnie kurzył tytoń i w milczeniu spoglądał na parę tęgich kasztanów, które chrupały siano, a ogonami spędzały z siebie muchy. Wtem do wozu przystąpił jakiś chłop, także bardzo minny, i powiada:

— Oo, założyliście już szkapy do woza! Myślicie, widzę, odjeżdżać?

— A cóż mam po próżnu z końmi na targowisku wystawać? Na sprzedaż są, nie na pokaz!

— Kiej za dużo cenicie, Grzegorzu, nikt wam nie da tyle.

— Mnie też nie korci za byle co sprzedać. Czy to tylko w Pińczowie są jarmarki? Konie lepiej popłacają w Wiślicy, w Skalbmierzu.

— Zgódźcie się ze mną, spuście co i będzie! Widzicie, ja furmanię i jak raz koni mi potrzeba, a tyle przepłacać nie mogę.

— Furman właśnie powinien rozumieć, co te szkapy są warte. Sam jakiś czas furmaniłem, znam się na koniach i jako nieprzyuczny do lada jakich habetów, kupiłem sobie te oto. Teraz widzę, że na roli hetek potrzeba; dobry koń się zmarnuje i dlatego chcę swoje kasztany sprzedać.

— Ja też uważam, że macie dobrą rękę, szczęściłoby się kupić od takiego... Cóż kiedy twardy z was człowiek! Postąpię dziesięć rubli — będzie zgoda?

— Sto czterdzieści, ani grosiczka mniej nie wezmę!

— Ostatnie słowo — sto dwanaście!...

— Żeby i sto trzydzieści osiem — na nic! Gęby sobie darmo nie psujcie!

— Sto piętnaście, pal licho! Płacę gotowym groszem.

— Plewami mielibyście płacić?

Szczepan Łakota — on to był bowiem — obszedł teraz wokoło parę kasztanów, zaglądał każdemu w zęby, próbował ich siły w kolanach, ciągnął za ogony, a z jego miny znać było, że ma wielką chęć dobić targu. Ale odszedł i na odchodnym mruknął, jakby sam do siebie:

— Naręczny, widzi mi się, ma krowią nogę.

Głośno i szyderczo roześmiał się na to właściciel kasztanów, potem szepnął:

— Ee, wrócisz ty jeszcze, bratku, po tę krowią nogę.

Co tylko Szczepan odszedł, zbliżył się do wozu jakiś wychudły, poczerniały na twarzy chłopak. Miał na sobie wypłowiały, dziurawy kapelusz; zgrzebne zakasane portki ledwie się na nim trzymały, podobnie jak brudna i powydzierana kitla. W ręce trzymał kij, oparty na ramieniu, a na kiju dyndała para starych schodzonych butów i supeł ze zgrzebnego łacha. Uchylił kapelusza, wyrzekł boskie słowo i prosił gospodarza o pozwolenie wypoczęcia w cieniu pod wozem.

— A cóż mi to wadzi? Możesz sobie siedzieć, dopóki nie odjadę — odrzekł właściciel wozu i kasztanów.

Chłopiec natychmiast usiadł, wydobył z supła kawałek suchego chleba i zaczął się posilać. Przez chwilę panowało milczenie, które gospodarz przerwał, zapytując:

— Z daleka Pan Bóg prowadzi?

— Od Buska idę, od Chmielnika — z Balic...

Nastała chwila milczenia znowu i znowu gospodarz pierwszy zagaił:

— Kiedyś z Balic, to powinieneś znać tam chłopca jednego, Jacusia, co go też Beldonkiem przezywali... Chuderlawy taki, rwał się do różnych tam nauk i aż za granicę po nie jeżdżał.

— Jakże zaś nie mam znać, kiedy to brat mój, sierota po nieboszczyku stryju. Obaj się zwiemy

jednako — Sobotowie: ja, Wojtek, po jednym bracie — on zaś po drugim.

— Gadajże mi, jak się miewa!

— Powinienby się mieć dobrze, a jest nędzarz ostatni. Spadł nań z zapisu po Biernacie majątek setny, a nic nie ma z tego.

— I siedzi teraz w Balicach?

— Siedzi, bo musi — bieda taka, zupełnie jakby go nie było! Nie widzi toto na oba oczy i musi siedzieć, a litości nikt nad nim nie ma...

— Co ty powiadasz? Jacuś oślepł? Święty Boże!

— Wiadomo przecie! Na trzeci rok już dobrze idzie, jak tam u nas była pogorzel w nocy; no i Beldonek skoczył, żeby z ognia wyratować dziecko wujny swojej, Krupaliny... Dzień sądny, co się tam działo! Żar taki straszny buchnął i opalił go całego — włosy na głowie, obleczenie. Pewnie z rok odchorował i od tego czasu oślepł całkiem, zrobił się do niczego.

Na tę rozmowę nadszedł Szczepan Łakota, słyszy, że o Beldonku mowa i zaczyna się też Wojtka wypytywać o swego przyjaciela. Dopiero od słowa do słowa zgadało się i pokazało, że ten gospodarz, który miał kasztany do sprzedania, był to Grześ Kusak, albo jak go w Chrobrzu nazywali — Posyłka. Długo on się włóczył po świecie: był fiakrem w Krakowie, posłańcem w Wiedniu, a wiodło mu się, dobrze zarabiał. Ale między obcymi nie mógł wyżyć, tęsknił za swoimi stronami, wrócił i na Skrypiowie kupił sobie kawałek ziemi. Skoro się teraz dowiedział, że Wojtek cho-

dzi za służbą, przyjął go do siebie na parobka. Łakocie, że to był przyjaciel Jacusia, spuścił z ceny i sprzedał kasztany; ale sobie postawił warunek: — „Dziś zaraz, prosto z jarmarku, pojadę kasztanami do Balic; bo nie mogę ścierpieć, żeby ten Jacuś był w takiej nędzy. Albo się za nim trza ująć, albo go zabrać!" — Słysząc to, Szczepan także postanowił jechać.

Choć mu pomogli, ulżyli, wzroku już nikt wrócić nie zdołał.

ZNAJDKA.

W czasach pamiętnego ostracyzmu pruskiego przybyła raz do Siekaczowa wypędzona rodzina chłopska Czubalów, której głową był Maciej Czubala, chłop rosły jak dąb, w wieku lat czterdziestu pięciu. Kowal z zawodu, utracił prawą rękę przy jakiejś fabryce pruskiej i teraz z niemałą biedą posługiwał się lewicą.

Rodzina ta liczyła sześcioro członków, z których każde umiało jako tako czytać i pisać.

Jakoś po południu przybyli do siekaczowskiego dworu, stanęli sobie tam w ganku i zażądali rozmowy z dziedzicem.

Pan Anastazy Skubiński, właściciel Siekaczowa, niebawem wyszedł do wygnańców, a chociaż go już naprzód uprzedzono, jacy to są ludzie, jednak rzucił pytanie:

— Coście wy za jedni i czego ode mnie chcecie?

Jednocześnie pan dziedzic z wielkim zajęciem przyglądał się wysmukłej jak topolka, o modrych, figlarnych oczach dziewczynie, należącej do gromadki wygnańców.

A był to dobrze już szpakowaty, ale — jak to mówią — nabity, z dziarską miną, tęgi i czerstwy

stary kawaler, zdający się stwierdzać owo przysłowie: — „W starym piecu diabeł pali".

Podczas gdy modrooka dziewucha, śmieszka widać, na spojrzenia dziedzica odpowiadała uśmiechami i naiwnym chowaniem głowy za plecy innych, Maciej wystąpił z odpowiedzią i przemawiał w te słowa:

— Wielmożny panie dziedzicu, przyszliśmy tu spragnieni roboty i chleba! Każdy dwór roboty potrzebuje, a chlebem za nią płaci; więc może by wielmożny dziedzic uczynił z nami jaką zgodę, co mu wyjdzie na pożytek. Mam oto chłopaka; choć młodziak, na szesnasty rok mu idzie, dycht już taki duży jak i ja i mocny, ile że ma obie ręce. A niech no pan dziedzic spojrzy na te dwie dziewki, ale to dziewy, daj Boże zdrowie, okrutne robotnice! Jedna rodzoniuteńka córka moja; a ta druga... znajdka taka, od małości w domu u mnie chowana... głupie toto, zęby cięgiem szczerzy, jeno robotna. Baba moja, co prawda, nie narobi siła, na zdrowiu czegoś upadła, bole ma w sobie, ani do gęby nic, choćby jej czyste mięso dawał; czasem jabłka, czasem cukru jej się zachciewa: przerwanie pono, czyli też z frebry... Za to ojciec mój, niby on starowina, a dziad zawzięty; kiej się do woza przypnie, jak amen w pacierzu, uradzi... oj joj! Ja sam, kowal, nie chwalący się, kiedy tą jedną lewą młot chwycę, to mi jeno furczy...

Po takim przedstawieniu się, Czubalowie osiedli w Siekaczowie, na co — zdaniem pani ekonomowej — najgłówniej wpłynęły modre oczy znajdki Uliny.

— Założyłabym się o duże pieniądze, że to jest dziewczyna nic dobrego — mówiła ekonomowa, która spełniała przy dworze obowiązki szafarki i uważała sobie za punkt honoru, aby gorliwie czuwać nad postępowaniem dziedzica. — Bardzo dobry człowiek, tylko z lada kim gotów się spętać, gdyby nie ja...

Przybysze opowiadali ludziom przeróżne rzeczy o narodzie pruskim, aż dziwno było słuchać. W karczmie, nie w karczmie, przez długi czas obrzucano Macieja pytaniami, jakie są zwyczaje, obyczaje i rządy pruskie, a Maciej zwykle jedno powtarzał:

— Ten Bismark, bodaj on skamieniał, skapiał!

Nawet pan ekonom, Chudziewicz, parę razy zaczepiał Macieja i zapytywał:

— Powiedzcie mi, mój kowalu, jak też wygląda taki Bismark?

— Łysoń, proszę pana, okrutny łysoń i taki grubas, przysadkowaty, nie przymierzając... nasz pan dziedzic...

Chudziewicz w swoich rozmyślaniach politycznych bardzo często utożsamiał dziedzica z Bismarkiem i sam do siebie mówił:

— Oho, to także Bismark! wie on, jak trawa rośnie!

Dopraszali się nieraz ludzie:

— Kowalu, opowiadajcie co o Niemcach!

I zawsze rezolutny Maciej coraz coś nowego przyłożył do skarbnicy wiedzy etnograficznej Siekaczowian.

— Ee — powiada — te Niemczaki nic, jeno „bijer" i „śpek", a tak się jakoś nijako modlą... Psianoga nie uklęknie, tylo założy palec na palec i gada, mruczy... to ma być ich pacierz... Taka luterska wiara.

W samej rzeczy, cała rodzina Czubalów była ogromnie pracowita; ludzie w Siekaczowie nigdy takiej robotności nie widzieli. Szczególniej zaś pod tym względem celowała owa znajdka Ulina, która krzyż Pański w domu znosiła od schorzałej Maciejowej i jej córki Wikty. W chałupie opiekunów przezywano ją „siuberek", co ma znaczyć: podrzutek. Ale znajdka i tak miała zawsze dobry humor. Nieraz spopychana, wytrzaskana, zwymyślana, ze łzami w oczach wychodziła za chałupę, aby się wypłakać, wysapać, a po jakiejś chwili wracała do izby wesoła i, gdyby na to przyszło, gotowa była śmiać się do rozpuku.

— Dziewczysko takie niepamiętne... Mów do niej, wszystko jak na psa przyłatał! — wydziwiała marudna Maciejowa; a Wikta Czubalanka była jeszcze gorsza, gdyż ją korciło, że za Uliną parobcy przepadają.

— Ona by się z każdym zadawała, dość, żeby na nią spojrzał... Gotowa się tu jeszcze wyszykować i wstydu nam narobić... zwyczajnie latawica!

Przychodzi raz Maciej do domu na obiad, a tu właśnie żona jego i córka wzięły znajdkę w takie

obroty, że dziewucha aż piszczy... Zawsze się za nią ujmował i teraz także fuknął z gniewem; dopiero baby wypuściły z rąk zmiętoszoną Ulinę. Jakoś się bardzo wtedy rozżaliła i wręcz powiada:

— Co ja tu komu mam być solą w oku?

Z tymi słowy, szlochając, pocałowała w rękę tak Macieja, jak Maciejową.

— Ślicznie wam dziękuję za opiekę i wszystko najlepsze, com od was miała; ale niewytrzymanie moje dłuższe w tym domu... Chcą mię oto we dworze przyjąć za dziewkę do sprzątania pokojów; niech się dzieje wola boża, pójdę służyć! Czas na mnie nie być popychadłem.

— Widzicie, ludzie! do dworu chce! pilno jej, żeby się zepsuła! — krzyknęła ze złością kowalka, a Wikta już usta otwarła, żeby swoje powiedzieć.

Maciej spojrzał po babach i ucichły, a on tak mówił:

— Słuchaj no, Ulina, ja ci kawałka chleba nie żałuję, ale i służby nie odradzam. Na twoim miejscu sam poszedłbym służyć. Jeno wiesz ty, co jest służba we dworze? Dziedzicowi może więcej chodzi o psie figle, niż o służbę, a tyś sierota, niebożę! Zrozumiałaś mię ty, co ja myślę o tej dworskiej służbie?

— Odrobinę zrozumiałam — rzekła i znowu pocałowała w rękę kowala i kowalkę.

— No, to pamiętajże sobie, żeby służenie było służeniem! Bądź o siebie starowna w dzień i w nocy; bo przy takim dworze, gdzie pani nie ma, łatwo popaść w grzech i nieszczęście!...

— O Jezus! gdzie bym znowu miała!... Co wy też mówicie!

I przyjęła we dworze służbę pokojówki.

Może w jaki tydzień potem przybiegła z niepokojem do Maciejowej i tak się przed nią żaliła:

— Boję się czegoś okrutnie tego dworu.

— Głupiaś! — odrzekła kowalka. — Czego się człek boi, tego się strachem nie obroni. Dziewuchy takie ślepiate, jak ty, do śmiechu jeno ciągną, a tu zapusty po zapustach schodzą i one chłopów nie dostają.

— Jakże ja też, nieszczęśliwa, mam na takiego pana brzydko spoglądać!... Toć ja chleb jego jadam.

— Ee, firko jakaś! Na robotę swoją wytrzeszczaj oto gały, nie na dziedzica, a on pewnie nie pomyśli nic złego! Do samej roboty się zgodziłaś, to pilnuj i basta!

Wzruszona Ulina pocałowała Maciejową w rękę i odeszła, a w kilka dni potem znowu się zjawiła u kowalki.

— I cóż? Jakże ci tam służba idzie? — zapytuje Maciejowa.

— Oo, służba idzie składnie, doskonale; włożyłam się do każdego sprzątania, jeno... żeby tylko ten pan dziedzic chciał sobie dać na spokój! Strasznie jakiś taki... obiecuje mi kupić szaty, trzewiki... Jak Węgier przyjdzie z towarem, mówi mi: — „To sobie, Ulisiu, wybierz, co sama zechcesz!"

— Ho, ho! I czegóż mu ty zaś tak wpadłaś w oko? Bo chyba nie z osobliwej urody?

— Ekonomka mi o nim opowiada takie straszne rzeczy, że, choćby nawet kochanie było, to by się go człowiekowi odechciało... o rety!

— A cóż ona takiego mówi?

— „Wiesz ty", powiada, „pan dziedzic gorszy jest od Tatara!" Mówię wam rzetelnie, że mi przez to całkiem obmierzła służba we dworze i wszystko.

Ulina zaczęła teraz szlochać, sapać, a oczy nieustannie ocierała fartuszkiem.

— Dlaczegóż się ty mażesz, głupico jedna? O to ci idzie, że dziedzic nie za tobą samą jedną goni?

— Moiściewy, żebyście jeno wiedzieli wszystko, to byście też pewnikiem zapłakali nade mną!

— Nie miałabym nic lepszego do roboty!... Miasto tych szlochów, lepiej oto wezwij sobie na pomoc Anioła Stróża i miej przy tym dobrą wolę obstać, a pewnikiem włosek ci z głowy nie spadnie.

— Toć mię tam we dworze ekonomka już tak stróżuje, dozoruje, że nie trza lepiej! Kroku jednego zrobić nie mogę bez jej wiedzy: bo gdzie się ruszę, ona mię wszędzie podpatrzy. Drugi raz znowu bierze mię akuratnie w obroty i dopiero precz roztrząsa sumienie. „I mądrzej", powiada, „rób tak a tak, tego i tego nie rób!" Klekoce mi raz wraz nad głową, rozumu chce napędzić... utrapienie moje! Musi zmądrzałam co bądź przez to, tyla mi i tak porady waszej potrzeba... Jakże wy zaś myślicie? może cisnąć do licha tę służbę?...

Cisnęłabym ją już dawno, jeno wam się na kark zwalić nie myślę.

— Przestańże, Ulina, bo mię już ostatnie złości biorą na całe to gadanie! Cóż z ciebie kiedy będzie za kobieta? Zaradności, widzę, masz w sobie mniej niż drugie bydlę... Nie przymierzając, choćby ta moja krowa, bodzicha: jak trza, to ona łeb na dół, rogi naprzód i już; no, a drugi raz dziecina, lada dwulatek, gałązką na stanie ją zapędzi. Przecież też i ja za młodu wysługiwałam się po dworach, jakich jeszcze dworach! Ale umiałam zawdy stawiać się należycie dziedzicowi; jak nie, tom znowu folgowała... Widzisz, ludzie mię nie zjedli, korona mi z głowy nie spadła i wyszłam za swego Maćka, jestem gospodynią, matką dzieciom.

— Rzetelnie mówicie! — odrzekła znajdka, ucałowała ręce Maciejowej i powróciła pocieszona do dworu.

Przeszedł czas jakiś. Ulina znowu zawitała do chaty swojej opiekunki, a była wesoła, swobodna, jak nigdy przedtem. Zapytana przez kowalkę, jak jej się teraz we dworze powodzi, odpowiedziała śmiało i rezolutnie:

— Niczego, moiściewy, niczego! Pan dziedzic zwolniał, zrobił się delikatny, aż miło.

— Z czegóż ty jego delikatność widzisz? — pyta Maciejowa, a podejrzliwym okiem spogląda na dziewczynę.

— Jakże nie mam widzieć, kiedy teraz nigdy koło mnie nie przejdzie, żeby mi dobrego słowa nie dał, albo czego w rękę nie wetknął? Ogromnie

zlepszał, jeno za to ekonomka zgorszała... Niewytrzymanie ludzkie, taka z niej okrutnie zła osa!

— Pewnie ona ma jakowąś przyczynę tej złości — rzekła Maciejowa głosem surowym, który zmroził wesołość dziewczyny.

Potem stara chwyciła znajdkę za rękaw koszuli i mówiła z powagą:

— Ulina, wyznaj mi tu szczerze, jak na spowiedzi: przez co dziedzic stał się taki dobry dla ciebie? Już to tam coś być musi...

— O, święty Panie, cóż wy sobie zaś myślicie! A niechże mię rany boskie bronią! Szczerze przed wami wyznaję, powiadam bez żadnej ogródki, jak co jest... Zrobił się, mówię, dobry, spokojniusieńki, trusia, już mię nigdy a nigdy nie napastuje, tylko zawdy przemawia: — „moja Ulisiu", a od czasu do czasu wścibi w rękę gruszkę, czyli też ciastko takie cukrzone. Z soboty na niedzielę dał mi kieliszek słodziuśkiego likieru... ja tam nie wiem, jak się to nazywa... Żeby nie owa ekonomka, dobrze było by, nic by mi nie brakowało.

— Popatrz no mi prosto w same oczy! Mnie się jakoś nie zdaje, żeby tobie dziedzic tak bez niczego rozdawał gruszki, ciastka, likiery! Czemuż on mnie nie daje?

Znajdka spojrzała w piwne, surowe i złe oczy kowalki; ale nie mogła widać znieść przenikliwego spojrzenia starej i spuściła wzrok ku ziemi, a całą jej twarz zalał rumieniec, który w oczach opiekunki stanowił wyrazisty dowód winy.

— Ty... jedna! — wrzasnęła, jak jędza, Maciejowa, a oczy jej wywróciły się białkami. — Po tom cię wychowała, ażebyś...

I w tejże chwili uraczyła swoją wychowankę takim tęgim policzkiem, że kościste palce schorowanej wiedźmy odcisnęły się na różowej twarzyczce dziewczyny; płatków świeżo rozkwitłej róży nie można szpetniej skazić.

Znajdka, gorzko łkając, ukryła głowę w obu dłoniach i na kolana padła przed swą opiekunką.

— Jezus, Maria, Józefie święty! — zawołała i nie mogła już śród łkania ani słowa więcej powiedzieć.

Tymczasem Czubalina, ogromnie przejęta rolą sprawiedliwej sędziny, która ma obowiązek karcić przestępstwa moralne, dawała naukę upokorzonej dziewczynie:

— Ja muszę przed Bogiem i ludźmi odpowiadać za twoje postępki, jakoś wyszła z mojego domu. Powiedz sprawiedliwie, czyś ty kiedy ze mnie albo z moich dzieci miała zły przykład!... Gadaj, zatracona! Beczysz, kwiczysz teraz, kiedy już późno... Doczekałam się tęgiej pociechy z ciebie, szturmaku! Mój Boże, mam teraz zapłatę za moje kocołowanie, za wszystko! Litowałam się nieraz nad tym, jak nad czym dobrym, a tu bić, skórę rżnąć należało. Wstyd jeść muszę za swoje dobre serce!... Choć, prawdę mówiąc, czasem mię coś tknęło i przeczuwałam, że z takiego „siuberka" nie może być nic dobrego. Ha, nie dziwota! Urodziło się toto bez kościoła, bez niczego, i Pan Bóg wytyka teraz bisurmaństwo.

Pewnie byłaby długo jeszcze tak prawiła, gdyby nie nadszedł Maciej. Stanął on w progu izby, popatrzył chwilkę na klęczącą Ulinę, na ogromnie czegoś rozżartą babę i spytał krótko:

— A to znowu co nowego?

Dopiero kowalka dała folgę językowi.

— Bój się Boga, człowieku! aniś się spodziewał, co ci za przysmak to dziewuszysko zgotuje!

Kowal wzruszył ramionami, jakby nie rozumiał, co te wszystkie krzyki znaczą, i rzecze:

— Ulina, czegóż ty głupia znowu klęczysz? Wstawaj zaraz, przecie tu nie kościół!

Porwała się znajdka, jak oparzona, i co tchu pocałowała Macieja w rękę. On spojrzał na nią ostro i powiada:

— Coś ty przeskrobała?

Ta nic nie mówi, patrzy w ziemię, a kowalka znowu rozpuszcza język i zaczyna pytlować.

Słuchał jej cierpliwie, póki się nie wypłakała; potem w te słowa pyta:

— Ulina, czy to wszystko, co słyszę, ma być prawda?

Załkała znajdka i w ogromnym rozżaleniu zaledwie mogła wybełkotać:

— Nie, moiściewy, nie!

— Widzicie, moi ludzie! w żywe oczy się zapiera! Co z taką bezczelną zrobić?

Musiał kowal znowu czekać, ażeby jedna przestała gadać, druga płakać. Skończyły nareszcie, uspokoiły się cokolwiek. Zwraca się potem do znajdki i powiada:

— Jestem ci jak ojciec córce; rzetelną prawdę przede mną zeznaj!

Dziewucha się rozrzewniła i na wpół z płaczem odrzekła:

— Kiedy już na to przyszło, że mię tu spotkał taki posądek, powiem wszystko, nic nie ukryję... Bóg widzi niewinność moją.

— No, nie kocmołuch jakiś! — zawołała kowalka. — Ona ciągle niewinnością chce jeszcze ćmić ludziom oczy.

Ale Maciejowi zbrakło już widać cierpliwości — spojrzał ostro na żonę i zmilczała, a wtedy Ulina jęła opowiadać już śmielej:

— Miałam ja ciężkie tarapaty z tym panem dziedzicem; druga pewnie by nie wytrzymała, wyrzekłaby się i służby i wszystkiego. Zawziął się na mnie osobliwie: ani on mi pokojów pozamiatać, ani żadnego porządku zrobić na czas nie dawał... A ekonomka znowu okrutnie na mnie nastaje i ciągle mi nad głową trzeszczy: — „Gdzieś była? Coś robiła?..." Trudno mi opowiadać było o wszystkim, więc się składam, jak mogę, a ta nic nie wierzy, jeno swoje powtarza: — „Łżesz, nieprawda!" Myślałam, że oszaleję w takich tarapatach. Dopiero jednego razu idę ja do pokojów sprzątać, a tu wchodzi pan dziedzic... i nic, jeno mię gwałtem chce całować. Struchlałam cała... Nieszczęście moje ostatnie... myślę sobie, a drżę ze strachu jak osika, szczotki do zamiatania utrzymać w ręku nie mogę. Westchnęłam sobie do Boga, obsunęłam mu się z rąk jakoś, zapłakałam z całego serca, upadłam przed nim na kolana, złożyłam ręce jak do pacierza i skamłam: — „Wielmożny dziedzicu, zlituj się nade mną i nie czyń mi krzywdy, niebodze! Czym ja też kiedy co złego zrobiła, żeby mię los taki miał spotkać!..." Już ja tam sama dobrze teraz nie pamiętam, com mu wtedy powiedziała, tyla się wzruszył musi, czy co takiego... Dość na tym, że upamiętanie mu jakieś przyszło do głowy... całkiem inny człowiek. Zrobił parę kroków w tył, popatrzył na mnie, a to najgłówniej dziwne, że wyjął z kieszeni dziesięć rubli, podaje mi i rzecze: — „Bądźże zawsze taką uczciwą dziewczyną, jak teraz oto!" Od tego czasu, mówię wam, odmiana: grzeczny i stateczny człowiek się zrobił. Ekonomka, co prawda, jeszcze srożej mi dopieka, jeno to sobie już mało ważę... Nijako mi tam opowiadać o takich rzeczach; ale skorom wpadła w posądek, to muszę.

— I czegóż ty chcesz od niej? — pyta kowal, zwracając się do żony. — Za nic wytrzaskałaś dziewuchę po gębie, a ona rzetelnie gada.

Ulina wcale już nie pamiętała o swojej krzywdzie, obcałowała ręce opiekunów i pośpiewując po drodze, szczerząc zęby do spotkanych parobków pobiegła w kierunku dworu.

— Ulina, ho, ho! To cała szelma, chytra dziewka, wszystkich by tu we dworze umiała sprzedać! Do tego stopnia opętała pana dziedzica, że człowiek zupełnie stracił rozum i już w niczym ma nawet osoby lepiej urodzone, dobrze wychowane.

W te słowa przemawiała pani ekonomowa do swojej ulubionej Dorotki, która służyła we dworze

za dziewkę do krów i do kuchni, a przede wszystkim była pokojówką.

— Kiedy pani co powie, to już koniecznie jest akuratna prawda — odrzekła Dorotka, schlebiając szafarce. — Nasz pan teraz dla wszystkich ochłódł.

— Poczekaj, kochanko, niech się tam nowa miotła trochę podstarzeje! Ja mu już zamydlone oczy i tak dobrze przetarłam; a jakem Chudziewiczowa, tak się tej dziewki muszę z dworu pozbyć.

I ekonomowa wyszukiwała różne tortury, aby udręczać nienawistną znajdkę, pędziła ją nieustannie z jednej roboty do drugiej tak, że dziewczyna nie miała czasu odetchnąć. Nie obeszło się też bez krzyków, wymyślań, szturchańców, chociaż Ulina była bardzo uległa i ręce ekonomki obcałowywała z taką samą pokorą, jak Macieja i Maciejowej. Surowość Chudziewiczowej względem znajdki wynikała jedynie z podejrzeń, które są podobno źródłem wszelkich prześladowań w rodzaju ludzkim. Ekonomka nie znała istoty stosunku swej podwładnej do dziedzica, a jednak, nie mając najmniejszego dowodu „czarne na białem", powtarzała nieustannie:

— Gdzie ten dziedzic ma oczy?

Oprócz tego — także na podstawie podejrzeń — żywiła niewzruszone przekonanie, że Ulina w chwilach poufałego sam na sam z dziedzicem najniezawodniej szyje buty jej, jako swej zwierzchniczce. Z jednej strony więc gorliwość o wysokie względy moralne, z drugiej popęd

samozachowawczy kierowały postępowaniem szafarki w Siekaczowie.

Miała ona obowiązek codziennie, około dziewiątej wieczorem, odbywać z dziedzicem narady, i na takich posiedzeniach przedstawiała swoje wnioski co do zarządu kuchnią, oborą, kurnikiem, a wysłuchiwała uwag pana Anastazego. Jak się zdaje, zamierzała z początku ująć go sobie czymś, nie mającym żadnego związku z czynnościami szafarki, gdyż przybywała na owe posiedzenia wyświeżona i stroiła zalotne minki. Skubiński jednak zwracał na to tak mało uwagi, że zwykle pod koniec narad zasypiał w krześle snem sprawiedliwego. Zawiedziona, usiłowała potem wywrzeć nań wpływ, przedstawiając się jako „osoba wyższego urodzenia i lepszego wychowania":

— Przecież nieboszczyk Boczulski z Kawęczyna był rodzonym moim wujkiem; wychowałam się na jego rękach.

Ale pan dziedzic i pod tym względem okazywał mało wrażliwości. Chociaż Chudziewiczowa w największym zapale deklamowała pochwały swego rodu, on obojętnie zaczynał ziewać, kiwać się i nareszcie chrapać. Robiła mu wówczas dyg, wygłaszała „dobrej nocy panu dziedzicowi" i wychodziła z szelestem, ażeby zbudzić śpiocha, który tak lekceważąco zasypiał wobec rodzonej siostrzenicy nieboszczyka Boczulskiego z Kawęczyna.

— To drwal, chłopisko bez najmniejszego poloru! Jak się nieprzyzwoicie rozwala w mojej obecności! — mówiła nieraz do męża, który odpowiadał:

— Jego spanie i rozwalanie się wcale mi nie szkodzi... Żeby tylko człowiekowi po piętach nie deptał, o!...

W ostatnich czasach dała szafarce dużo do myślenia ta okoliczność, że Skubiński już niejednokrotnie rzucił jej ni stąd ni zowąd pytanie:

— No, a jakże tam Ulina?

Tu chodzi o rozstrzygnięcie, czy jutro na obiad ma być gęś pieczona, nadziana jabłkami, czy na zimno w galarecie, a dziedzic, zamiast coś postanowić, pyta:

— Jakże też tam ta Ulina?

— Ulina? — odrzecze z udanym zdziwieniem ekonomka. — Zwyczajnie, próżniak dziewczysko, ostatni wałkoń! Gdyby nie ja, gotowa nic w domu nie robić... Właśnie chciałam panu dziedzicowi przedstawić, żeby Dorotkę znowu obrócić na pokojówkę, a Ulina... prawie na takie popychadło przy kuchni, w krowiarni.

Oczekiwała odpowiedzi; ale pan Anastazy wyciągnął kłodziaste nożyska przed siebie i zaczął ustami tak pykać, jak gdyby palił fajkę: już zasypiał.

Innym razem byłaby dygnęła i odeszła; cóż, kiedy właśnie miała teraz wątpliwości, czy jutro podać na stół gęś pieczoną, czy w galarecie.

— Kobieta dobrego urodzenia, muszę wystawać przed tym śpiącym bałwanem!

Ta myśl nadzwyczajnie wzburzyła Chudziewiczową i przyklapanym na pięcie pantoflem narobiła takiego łoskotu, że Skubiński podniósł ociężałe powieki, jakimś strasznym wzrokiem,

właściwym człowiekowi nagle przebudzonemu, spojrzał na szafarkę i potem głosem ponurym, jakimś grobowym, wybąkał:

— Heeę?...

Przeraziło ją nadzwyczajnie to istnie zbójeckie spojrzenie i ten głos straszliwy. Z bijącym sercem dygnęła natychmiast i wybiegła. Kiedy już nieco ochłonęła z przestrachu, uprzytomniła sobie całą rozmowę z panem Anastazym i doszła do niezłomnego przekonania, że dziedzic najniezawodniej obraził się na nią za owo niekorzystne zdanie, wypowiedziane o znajdce.

— Moi państwo, akurat tego tylko brakuje, żebym ja za taką szelmę, wycieruchę ostatniego stopnia, dostawała cięgi! — pomyślała sobie klucznica, miotana owymi wzruszeniami, wśród których serce niewieście ogromnie łaknie, aby się koniecznie przed kimś zwierzyć, wylać.

Mąż jej już od godziny spał w najlepsze; ale, choćby nawet czuwał, nie znalazłaby u niego pożądanego współczucia. Jak dalece bowiem dusza Chudziewicza była niedostępna dla delikatniejszych wzruszeń, łatwo się przekonać już z tego, że Skubiński niejednokrotnie wręcz mu powiedział:

— Wiesz co, w całej Europie nie ma równego tobie cymbała!

A on schował to do kieszeni, zupełnie jak gdyby nie słyszał. I rzadko kiedy pan ekonom siekaczowski napomknął coś tam żonie o „różnych gorzkich pigułkach, które musi nieraz po-

łykać w służbie u skrobigarnka, nie umiejącego ocenić porządnego człowieka".

Otóż, właściwie mówiąc, w całym otoczeniu jedyną duszą, najbliżej spowinowaconą z Chudziewiczową, była Dorotka, dziewczyna wypadła z łask dziedzica i z powodu Uliny zepchnięta na stanowisko podrzędniejsze. Miała zaś szafarka izbę taką, gdzie najchętniej przebywała — coś w rodzaju archiwum, czy kancelarii szafarnej. Tutaj to po kątach, w różnych pudłach, koszykach, wysiadywały napuszone kwoki, cierpliwie oczekujące rozkoszy macierzyńskich. Popod ścianami stały prasy, wytłaczające twaróg na sery, z których w podstawione miski ściekała zielonawa serwatka, ulubiony nektar żniwiarzy podczas upałów letnich. Zawieszone u belek w słomianych siatkach dosychały tu liczne serki krowie, a na nich czerniły się roje much niezliczonych. W oknie pomiędzy doniczkami kwiatów widziałeś mnóstwo słoików z różnobarwnymi konfiturami, butelki z sokami, a i ogromny słój, pełen mydlin, gdzie krocie much grób znalazły, z wierzchu zaś narastały coraz nowe ich warstwy. Było tam wszędzie nadzwyczajnie brudno, lepko i jakieś bardzo przykre wonie napełniały powietrze. Ha, bo okna owej szafarni nigdy nie otwierano, ponieważ — zdaniem ekonomki — złodzieje w Siekaczowie tego tylko wyczekiwali; co więcej, przeciągi świeżego powietrza groziły jakoby wielkim niebezpieczeństwem jajom, wysiadywanym przez kwoki.

Trzeba wiedzieć, że do opisanej izby wchodziło się przez kuchnię, gdzie letnią porą przy drzwiach otwartych odbywały nocleg dziewki dworskie i psy, pokotem rozłożone na ziemi. Silnie wstrząśnięta zachowaniem się dziedzica, spragniona, aby gorycze duszy wylać przed Dorotką, Chudziewiczowa z kluczem w ręku pośpiesznie biegła do szafarni. Widocznie w napływie uczuć zapomniała o taborze nocujących psów i dziewek, i naraz ugrzęzły jej jakoś nogi w kudłach psa Obala, znanego kuchennego pieczeniarza i szkodnika; potknęła się fatalnie, padła jak długa. Zgiełk, sprawiony przez upadek szafarki, wywował pospolite ruszenie między psami, które zrywały się teraz ze wszystkich stron i, przeskakując w susach przez śpiące dziewki, zmykały ku drzwiom w ogromnym popłochu.

Ocknęła się pierwsza Ulina, i to z bólu, ponieważ głowa ekonomki z wielkim rozmachem trzasnęła o jej głowę — spotkał się młot z kowadłem i odskoczył. Dopiero w całej kuchni krzyki, jęki, hałasy, rwetes — niech Bóg broni! — Nareszcie udało się Marcinowej, kucharce, zapalić światło w tym strasznym zamieszaniu. Patrzą, a tu dziewki zbladłe, powystraszane, w jednych koszulinach stoją i aż się trzęsą ze strachu. Któż tam mógł wiedzieć w ciemnościach nocnych, co się takiego stało?... Musiało być coś osobliwego, nadzwyczajnego, skoro psy dostały lęku i pouciekały. Chudziewiczowa oto trzyma się oburącz za głowę, a żałosnym głosem postękuje: — „eeę, eeę!"

Znajdka znowu przyłożyła sobie rękę do czoła, drży, dygoce i mówi:

— O najsłodsze imię Jezus! a cóż mię też tak okrutnie zwaliło w głowę!...

Mało kto zważał tam na Ulinę; wszystkie dziewki garną się do ekonomki, wypytują, czego tak jęczy. Ona spojrzała tylko i, kiedy wzrok jej padł na znajdkę, rzekła z wielką zawziętością:

— Widzicie wy tego potwora? Toć ona mi ciągle nogę podstawia! Zachciewa jej się rządzić w Siekaczowie...

— Nogę podstawia! — powtórzyła z oburzeniem Bryśka, dziewucha pyzata i pękata, zwana dziewką ekonomską; Chudziewiczowie bowiem byli na dworskim stole i dwór im do obsługi wyznaczał także jedną ze swoich służących.

Szafarka nic już nie mówiła, tylko splunęła z pogardą, skinęła na Dorotkę i zamknęła się z nią w szafarni, gdzie prawie do białego dnia rozprawiała wyłącznie o pokojówce i o jej nadzwyczajnie szkodliwym wpływie na pana dziedzica.

— Tak go przekabaciła na swój sposób, że się zrobił zupełnie inny człowiek!

Nazajutrz cała służba w siekaczowskim dworze wierzyła niezłomnie, jakoby Ulina podżegała pana Anastazego do krzywdzenia ludzi. Jeżeli kto dostał po karku, to — według powszechnego mniemania — nie dziedzic, tylko znajdka była winna. Ma się rozumieć, dziewczyna znosiła teraz ogromne prześladowanie, ponieważ każdy sobie wyobrażał, że jest jej ofiarą.

Gdyby tylko ludzie w Siekaczowie z całą pewnością wiedzieli, że Ulina istotnie oddziaływała na Skubińskiego, to przecież każdy usiłowałby pozyskać jej względy, ażeby tą drogą wedrzeć się i w łaski dziedzica. Atoli mgła niepewności osłaniała stosunki dziewczyny i przeto dręczono ją: — tak się zawsze obdziera ze skóry bliźniego. Już i wieś warła na znajdkę, a kowalka na pewnej podstawie mogła też robić mężowi wyrzuty:

— Widzisz, ujmowałeś się za tą klapą... masz!

Śród takich okoliczności przyciężko było Ulinie pokazywać się między ludźmi, a przecież w niedziele i święta musiała na nabożeństwo chodzić do kościoła. Nieraz idzie, tu walą w dzwony, pienia nabożne z świątyni rozlegają się daleko, a baby z różańcami w ręku palcami ją wytykają i bez ogródek głośno mówią:

— Skądże ona zaś bierze na takie stroje?... Kocmołuch jeden! Niedawno toto obdarte, sponiewierane, skądsiś przylazło, a teraz oto z paradą występuje, niczym córka gospodarska... Czemuż się tak samo nie stroi Dorotka albo Bryśka? Przecież i one też są dworskie dziewki!

Szła jak na ścięcie między babami, dziewkami, parobkami, i wyraźnie słyszała, że jej każdy precz przypinał jakąś łatkę. A Ulina, co prawda, lubiła się stroić: zawsze na niej bieluchna koszula, gorsecik w śliczne desenie, bramowany złocistymi centkami, piękna wstążka zapleciona w warkoczu, paciorki okazałe na szyi — miło było popatrzeć... Cóż, kiedy się ludzie na nią zawzięli!... O, dobrze

nieraz najadła się wstydu, a sama nie wiedziała, za co ją to wszystko spotyka.

— Musi od urodzenia wisi nad drugim człowiekiem grzech jakiś... — ubolewała raz przed Bryśką, ogromnie głupią i niezdarną dziewuchą.

Ale Bryśka nigdy nie rozumiała, co ludzie do niej mówią, nie mogła się zdobyć na swoje własne zdanie, tylko powtarzała cudze słowa i dodawała od siebie:

— Oj joj!

Tak i teraz odrzekła znajdce:

— Grzech jakiś... oj joj!

Tak się rzeczy miały, kiedy do Siekaczowa przyjechał krewniak Chudziewiczowej, może dwudziestoletni młodzieniec, Leoś, jak go ekonomka poufale nazywała. Ciągle mówił o sobie:

— Jestem z miasta Łodzi.

Wiercipięta ten, w kapeluszu z piórkiem, wywijający laseczką, ogromnie przedrwiwał ludzi w Siekaczowie i nie oszczędzał nawet samego dziedzica, a nieustannie powtarzał: — „Co dla mnie znaczy taki Siekaczów w porównaniu z miastem Łodzią?... W mieście Łodzi żyje sobie człowiek porządnie.“ — Zawsze to miasto Łódź było u niego na ustach, a chociaż mu się w Siekaczowie nic nie podobało, jednakże strzelał oczyma za Uliną. Dziewczyna krokiem się ruszyć nie mogła, żeby Leosia nie spotkała, a zawsze w podrygach, w uśmiechach, z komplimentami.

Sama Ulina bez wątpienia dodawała mu ochoty, ponieważ miała ten niedorzeczny zwyczaj

śmiać się, jak tylko ktoś spojrzał jej w oczy. Można było myśleć, że to robi przez zalotność, a ona była niewinną śmieszką i od czasu do czasu musiała się należycie wyśmiać — czyste dziecko. Biedactwo — zwykle potem łzami i szlochaniem dobrze płaciła za takie śmiechy.

Ów młody, że to krewniak ekonomki, więc się ogromnie rozpościerał w Siekaczowie, miał tam wolny przystęp do każdego kącika. Łaził po ogrodzie, wyjadał truskawki, maliny, a jeżeli Skubińskiego nie było w domu, bez żadnej ceremonii plądrował w pokojach, i Ulina nigdzie nie miała przed nim spokoju. Kiedy ją spotkał, zaraz uchylał kapelusika, kłaniał się bardzo grzecznie, zapytywał:

— Jakże zdrowie pani?

Zawsze się zanosiła od śmiechu z powodu tego witania: — niby ją panią nazywał. Powiada raz do Bryśki:

— Wiesz ty, toć on mię panią mianuje!

— Panią?... Oj joj!

I dopiero śmiały się obie do rozpuku. Ale już bez miary chichotała wtedy, kiedy Leoś zaczął z nią prowadzić rozmowę o miłości.

— Czy pani kogo już kochała? — pyta jej, a ona aż łzy w oczach ma ze śmiechu.

Wielka zabawa i pociecha z takiego mitręgi!

Jednego razu oświadczył się wyraźnie, powiedział jej te słowa:

— Bardzo panią kocham i czekam tylko na wzajemność!

— Któż zaś panu Leosiowi przeszkadza czekać? — odrzekła i ogromnie się śmiała, nie rozumiejąc, co znaczy wzajemność.

Jeszcze śmieszniejsze dla niej było pytanie:

— Czy pani kiedy o mnie myślała?

Wyśmiała się i dała mu odpowiedź:

— Nie miałabym też co robić!

Wiedzieli to wszystko ludzie i ogromnie ich zadziwiało, że „taki galanty panicz" zakochał się w lada jakiej dziewczynie.

— Przecie ta dziewka nie jest godna, żeby on spojrzał na nią!

Ekonomka też zauważyła swoją drogą owe umizgi Leosia, wzięła go na osobność i opowiedziała mu, jako znajdka Ulina jest ostatniego rzędu nicpotem. Chciała go widać zupełnie do niej zrazić.

Przecież to wszystko nic a nic nie pomogło: wiercipięta z miasta Łodzi nie dawał dziewczynie spokoju. Urosły stąd nowe złości i jeszcze większa zawziętość Chudziewiczowej względem znajdki.

— No, nie szelma cała, nie łajdaczka ostatnia ta Ulina! Bałamuci znowu oto młodego człowieka, wodzi go za sobą! — wykrzykiwała publicznie szafarka.

Do uszu kowalki, ma się rozumieć, dochodziły teraz wieści, spotwarzające dziewczynę do tego stopnia, że biedaczka nie mogła myśleć o odwiedzeniu swoich opiekunów. Maciejowa bowiem częstokroć dawała się słyszeć:

— Niech mi się ta flądra na oczy nie pokazuje!... Warkocz jej utnę, łeb ogolę, smołą obmażę.

Powtarzano znajdce te słowa kowalki, i to z niemałym zadowoleniem wewnętrznym, a tak prześladowana czuła, że jej się grunt spod nóg usuwa.

Skubiński jednakże w każdym razie, i to chcąc nie chcąc, stanowił dla Uliny mocną tarczę. Powaga dziedzica, z którym „nie ma żartów", obawa jego niełaski, albo i pięści, jako tako trzymały jeszcze na wodzy zapędy licznych nieprzyjaciół pokojówki. Cóż, kiedy pan Anastazy w rozmaitych interesach majątkowych musiał częstokroć na jakiś czas wyjeżdżać z Siekaczowa. Rozluźniały się wtedy węzły karności, każdy mniemał, że jest czymś innym, niż jest istotnie, i nienawiść dla Uliny, ciągle podsycana przez ekonomkę, buchała ogromnym płomieniem. Obelgi, niezasłużone policzki, kopnięcia, szturchańce gęsto spadały na domniemaną ulubienicę dziedzica, sprawczynię wszystkich nieszczęść, jakie tylko nawiedzały czeladź w stosunku z dworem. Tak się znęcano nad dziewczyną, że nie przestawała wówczas łez ocierać z oczu. Jedna Bryśka zachowywała się obojętnie; ona także była celem prześladowania — głównie parobków — z powodu niezdarności i braku urody.

— Suswał, pęceł, ociepka! — oto stałe przydomki Bryśki, nadawane jej przez fornali, na co ekonomska dziewka także stale odpowiadała:

— Oj joj!...

Właśnie teraz wypadł był taki wyjazd dziedzica z domu, i Chudziewicz wyobrażał sobie, że nieobecność pana ogromnie go podnosi w godności: „zaczął się wtrącać do takich rzeczy, które zupełnie do niego nie należały" — jak to bardzo trafnie powiedziała sama Chudziewiczowa. Do zagrabiania potrawów na łące zabrakło mu ludzi i, jak oparzony, wpadł do kuchni z batogiem, krzyknął na dziewki:

— Próżniaki jedne! wałęsacie się tu bez potrzeby! Brać mi grabie i jazda na łąkę! Raz w życiu poznajcie, co znaczy robota!

Usłyszała ten rozkaz pani ekonomowa, wybiegła co tchu z szafarni, ostro zmierzyła okiem małżonka i od razu wsiadła na niego:

— Cóż ty, wariacie, myślisz?... Może chcesz, żebym ja sobie ręce urabiała, jak prosta dziewka?

Zmyła mu należycie głowę, nie pozwoliła zabierać żadnej dziewki do roboty na łące. Wtem przychodzi jej myśl zrobienia mężowi niby też to ustępstwa i wskazuje mu Ulinę:

— Ooo, tę próżniaczkę zapędź do roboty. Z kąta w kąt łazi, wywczasu jej się zachciewa... Będziesz miał zasługę przed Panem Bogiem.

Chudziewiczowi nie trzeba było dwa razy takich rzeczy mówić i od razu fuknął na znajdkę:

— Eee, ty marmuzelo, machaj mi zaraz z grabiami na łąkę!

Dopieroż dla całej służby uciecha, kiedy pokojowa dziewczyna, ładnie przyodziana, wyruszyła z grabiami do roboty.

— Wierzchówka delikatna, pod siodełkiem chadzała, a teraz ją do dyszla zaprzęgli!... Poznaj, co to są za smaki w twardej robocie.

Ulina umiała pracować; ale drwiny takie, wydziwiania, zupełnie ją stropiły i grabie ledwie mogła utrzymać.

— Deszcz wisi, śpieszta się, zagrabiaj! — wykrzykiwał nieustannie Chudziewicz, a wrzaskul z niego był ogromny; co bądź mówił, na okolicę ludzie słyszeli: zupełnie jakby ryczał.

Spostrzega on teraz, że znajdka siano precz poza sobą zostawia, i od razu na nią z góry:

— Hej, ty tam, alegantko, baletnico!... Tak się to zagrabia, skrobaczko jedna? — i harapem śmigał po kłakach siana, aż w górę wzlatywały. — Gdzież ty, niezdaro, masz oczy?... Chodzi leniwa, jak z ciasta ugnieciona, suwa się jak na dziągwach... Myślisz, że jagódki po lesie zbierasz? Zwijaj mi się raźno, żebym ci nie potrzebował dawać nauki!

Kiedy ekonom na innych w taki sposób powstawał, wszyscy przy robocie byli cicho, ale że to na Ulinę, więc każdy od siebie jeszcze jej coś przyciął:

— Przecie ona nie przyuczona chodzić, jeno siedzieć albo leżeć... Nogami ani rękami taka nie narobi — odzywa się jakaś stara baba, a za nią znowu inna mówi:

— W pokoju oto niech ją pan ekonom posadzi i da jej „arbaty" albo kawy, to ona zarasiczki pokaże, co umie.

— Eee, na balu jakim ona by się setnie zwijała, nie tu, na łące! — rzecze stary chłop, dziad niezdara, któremu robota szła daleko gorzej niż Ulinie.

Wszyscy warli na znajdkę, każdy musiał dołożyć swoje. Dziesięć razy cięższa robota nie byłaby jej tak umęczyła, jak owe urągowiska ludzkie.

Tymczasem ekonomka już sobie ułożyła, że Dorotka zastąpi Ulinę w robieniu porządków pokojowych, przynajmniej przez czas, póki pan dziedzic nie wróci do domu.

— No, a potem zobaczymy!

Musiała więc znajdka nazajutrz znowu iść do roboty: kopić i stożyć zgrabiony potraw. Także przy tej robocie przechodziła z małymi odmianami prawie to samo, co wczoraj. Chudziewicz jeszcze bardziej na nią fukał i zgrzytał, a pod wieczór podciął dziewczynę po łydkach harapnikiem — tak sobie z żartów, — że aż krwawe pręgi zostały na nogach.

Wracając do domu z łąki, popłakiwała z tego powodu — musiało ją boleć; ale tylko ona jedna ból czuła, inne robotnice chórem śpiewały.

Tegoż samego dnia po południu odjechał Leoś do miasta Łodzi, gdyż, jak powiadał, uprzykrzył mu się Siekaczów. Nagadał Ulinie tyle o swoim kochaniu, a nawet się z nią nie pożegnał: pewnie spostrzegł, że takiej nie można kochać, którą wszyscy pomiatają.

Było już dobrze po północy, kiedy nadjechał do domu Skubiński i niebawem przysłał nocnego

stróża, ażeby oboje Chudziewiczowie stawili się we dworze. Kręciła nosem pani ekonomka, mruczała na to, że dziedzic nie zna względów, należnych kobiecie „lepszego urodzenia i wychowania", sarkała, że się musi poniżać dla kawałka chleba; ale, koniec końców, poszła razem z mężem. Zaraz na wstępie spotkało ich ostro wypowiedziane powitanie:

— Pięknieście tu, widzę, gospodarowali! Do krocset par diabłów! z domu się człowiek ruszyć nie może!

Ci z przerażeniem słuchają, o co takiego chodzi, a on wiedzie ich do pokoju, w którym zwykle przesiadywał, pokazuje zamki wyłamane w biurku i powiada:

— Czy wy wiecie, czym to pachnie?

Państwo Chudziewiczowie okropnie wytrzeszczyli oczy i wydali okrzyk przerażenia. Dopiero po niejakiej chwili ekonomka przemówiła pierwsza:

— Gotowam przysiąc, że to jest sprawka tej szelmy Uliny!

— Bestie! Od czego ja was trzymam, taką parę darmozjadów? — wołał pan Anastazy i strasznie zjadliwym wzrokiem przeszywał szafarkę, która skamieniała.

Mimo zgnębienia, Chudziewicz wygłosił na swą obronę zdanie:

— Domowego złodzieja nikt się nie ustrzeże.

— Jesteś bałwan, cymbał! — ryknął teraz Skubiński, doprowadzony przez tę uwagę do ostateczności. — To ja mam przy domu utrzymywać,

opłacać złodziei i takich jak ty osłów?... Przeszło na tysiąc rubli mam szkody; skradziono mi rzeczy pamiątkowe, których wartość przewyższa nawet tę sumę... I ty, mości Chudziewiczu, może myślisz, że ja to puszczę płazem? O, nie, nie! Wszystkie sądy poruszę, do kryminału was pooddaję, a własność swoją odzyskać muszę.

Skubiński tupał nogami, walił pięścią w stół, szalał. Gwałt nadzwyczajny w siekaczowskim dworze. Ekonom jeszcze tej samej nocy musiał zawezwać sołtysa i łącznie z nim zarządził skrupulatną rewizję u wszystkich służących, a także u różnych osób we wsi, mających stosunki z służbą dworską. Ponieważ podejrzenie padało przede wszystkim na znajdkę, przeto przetrząśnięto starannie i dom Macieja Czubali, opiekuna dziewczyny, co nadzwyczajnie ubodło miłość własną kowala. Podobnie jak dziedzic z powodu straty materialnej, tak Maciej ze względu na krzywdę, wyrządzoną jego uczciwości przez podejrzenie o kradzież, wpadł w szał gniewu i strasznie teraz złorzeczył Ulinie:

— Czym ja się też kiedy spodziewał, żeby mię ludzie uważali za złodzieja, albo za takiego, co kradzione rzeczy przechowuje?... Przygarnąłem do siebie biedactwo, chowałem jakby rodzone dziecko, a to, widzę, szelma ostatnia, łajdak spod ciemnej gwiazdy!

Kowalka dogadywała mężowi teraz:

— Dobrze ci tak, głupi Maćku! Zawsześ trzymał stronę tego szelmostwa... masz! Ja cię nic a nic nie żałuję!...

Rewizja nie wykryła wprawdzie skradzionych z biurka kosztowności, ale w skrzynce Uliny znaleziono nowiuteńki papierek dziesięciorublowy, troskliwie owinięty w szmatkę i głęboko zachowany. Zapytana, skąd ma te pieniądze, nie dała żadnej odpowiedzi, a przy tym zapłoniła się cała i spuściła oczy: — dowód oczywisty, że dziesięć rubli musiały pochodzić z jakiegoś nieczystego źródła. Oprócz tego, w skrzynce znajdki wykryto kilkanaście cukierków, jakieś ciastko, parę pięknych gruszek — i nikt nie powątpiewał, że dziewczyna kradła we dworze wszystko, co jej pod rękę wpadło — „od łyczka do rzemyczka", jak się wyraził Chudziewicz.

Skubiński nie spał, czekał na rezultaty poszukiwań i był w nadzwyczajnie złym humorze, kiedy do niego już rano przybył ekonom z miną tryumfalną, uszczęśliwiony swymi odkryciami.

— Panie dziedzicu, mamy ptaszka! — zawołał na wstępie.

— Jak to! znalazły się skradzione rzeczy? Gdzież one są?

— Nie znalazły się jeszcze, ale po nitce do kłębka dojdziemy! Złodziejka się wcale nie zapiera... Kazałem ją tymczasem zamknąć w kozie i, podług mnie, parę batów wystarczy, ażeby wszystko wyśpiewała. Sądów na to nie potrzeba.

— Któraż to taka?

— Ulina, pokojówka, ta ciapa, co trzech zliczyć niby nie umie, a gładko kradnie.

— Masz jakie dowody?

— Całą furę dowodów wykryłem, panie dziedzicu!

Teraz Chudziewicz ze wszystkimi szczegółami począł opowiadać przebieg poszukiwań w skrzynce Uliny, kładąc niezmierny nacisk na owe dziesięć rubli, cukierki, ciastko i gruszki.

Pan Anastazy z zajęciem słuchał i twarz mu się jakoś dziwnie przeciągnęła. Wyciągnął nogi przed siebie, wsparł głowę na łokciu, przebierał palcami w czuprynie i nareszcie rzekł:

— Żeś jest cymbałem *in summo gradu,* wiem o tym od dawna; ale nigdy się nie spodziewałem, żebyś był takim osłem!

Słowa te, wypowiedziane cierpko, z przekąsem, spadły na ekonoma właśnie w chwili, kiedy wyjął z kieszeni *corpus delicti* — dziesięć rubli, cukierki, ciastko, parę gruszek, i wszystko to układał na stole przed dziedzicem.

— Zabierz te dowody swojej głupoty, zwróć je natychmiast niewinnie przez ciebie podejrzeniami skrzywdzonej dziewczynie, którą powinieneś nawet przeprosić!... No, ale trudno wymagać od baraniej głowy, aby się zdobyła na czyn sprawiedliwości!

— Proszę pana dziedzica, kiedy wszystko przemawia za tym, że Ulina... — wyjąkał Chudziewicz, zdziwiony i przerażony ostrą mową Skubińskiego.

— A ja ci powiadam, że nic nie przemawia; ale taki jak ty osieł gotów jest dowodzić, że ja sam skradłem swoje własne rzeczy!

Mówiąc to, podrażniony dziedzic wykonał ręką ruch zniecierpliwienia, jak gdyby chciał powiedzieć:

— Wynoś się już do diabła!

Ekonom zrozumiał widać skinienie i zabierał się do odwrotu, kiedy pan Anastazy niespodziewanie go zagadnął:

— Czy tu jest jeszcze w Siekaczowie ten wiercipięta, który podobno z Łodzi przyjechał?

— Wczoraj po południu odjechał do stacji kolei żelaznej...

— Aha! Muszę ci powiedzieć otwarcie, że, podług mnie, nie żadna Ulina, tylko wasz krewniak dobrał się do mojego biurka; wszystko za tym przemawia.

— Oh, panie dziedzicu, takie podejrzenie!...

— Tylko żadnych czułości!... Jedź natychmiast za nim w pogoń i odbierz rzeczy skradzione!

Chudziewicz chciał jeszcze coś powiedzieć, ale dziedzic spojrzał na niego groźnie i nie dopuścił dalszej rozmowy. Szafarka zemdlała, gdy jej mąż oznajmił, że dziedzic znajdkę za niewinną, a Leosia poczytał za złodzieja. Jak się pokazało później, Skubiński opierał swój sąd o Leosiu głównie na zeznaniach stróża, którego już był wybadał przedtem i dowiedział się, że fircyk „z miasta Łodzi" od dawna przepatrywał we dworze, oczekując na chwilę odpowiednią do popełnienia kradzieży.

— Ludzkie pojęcie przechodzi, jakie uprzedzenie ma do mnie ten nasz dziedzic! — powtarzała

pani ekonomowa, mocno dotknięta obwinieniem swego krewniaka.

Tu się Chudziewicz wybiera w pogoń za Leosiem, tu szafarka w ciągłych żalach i naradach z Dorotką, a Ulina precz jeszcze siedzi w kozie. Wprawdzie ją dziedzic uniewinnił, nie wydał jednak wyraźnego rozkazu uwolnienia spod zamknięcia. Odjechał już ekonom, główny wykonawca woli pańskiej, i nikt we dworze nie pomyślał o pokutującej pod kluczem znajdce. Nadeszła nareszcie pora obiadu; pan Anastazy spostrzegł, że go obsługuje Dorotka, i zapytał ją:

— Skądże się tu wzięłaś? Gdzie jest Ulina?

— A no, odsiaduje w kozie!

Ta odpowiedź ogromnie coś wzburzyła dziedzica, który zaklął od siarczystych i zagrzmiał jak trąba sądu ostatecznego:

— Niech mi się tu natychmiast stawi szafarka!

Wybladła ze strachu dziewka co tchu pędziła do Chudziewiczowej z rozkazem pana i dodała od siebie, że mu się „okrutnie ślepie iskrzą i wąsiska jeżą".

Ciarki przeszły ekonomkę i prawie nieprzytomna stanęła przed srogim obliczem dziedzica. Jadł właśnie zupę i na widok przybyłej nie doniósł łyżki do miejsca przeznaczenia. Z otwartymi usty, w których połyskiwały dwa rzędy białych zębów, wpatrzył się straszliwie wytrzeszczonymi oczyma w drżącą Chudziewiczową.

— Co to, Ulina w kozie?... Do diabła! tałałajstwo! Na cztery wiatry toto porozpędzam! — mówił bardzo prędko, wargi mu drgały, język jak gdyby skakał.

— To nie ja... Mąż mój... sołtys... O Boże!... Przecież kradzież... poznajdowali u niej takie rzeczy... — bełkotała ekonomowa, a pan Anastazy w odpowiedzi grzmotnął w stół pięścią z całej siły, aż nakrycie podskoczyło do góry i z wielkim zgiełkiem rozleciało się po posadzce.

— Łajdaki jedne, e-tego! — ryknął Skubiński i znowu trzasnął w stół pięścią.

— Matko Boska Jasnogórska! — jęknęła szafarka, a strach przypiął jej teraz do nóg skrzydła i zemknęła.

Niezawodnie i tak z godzina czasu przeszła, zanim Ulinę wyzwolono z więzienia, od którego Chudziewicz rzekomo zabrał klucz z sobą. Ofiara tylu zawiści, zbiedzona, sponiewierana i głodna znajdka wydobyła się wreszcie na wolność. Gdzie tylko spojrzała teraz, otaczały ją twarze złośliwie uśmiechnięte, albo nienawiścią pałające: nigdzie najmniejszego współczucia. Poszła do kuchni, usiadła sobie w kącie i zalała się łzami; a nawet ta głupia Bryśka nie śmiała się do niej zbliżyć, aby nie ściągnąć na siebie niechęci. Naprzód kucharka ją upomniała:

— Beki ci nic nie pomogą... Tyle ludzi za ciebie jedną niesprawiedliwie cierpi... Pasy drzeć z takiej!

Zbliżyła się do niej Dorotka i z piekielnym uśmiechem na ustach zagadnęła:

— Jeszcze ci źle na świecie?... Ciastka, cukierki jadasz, pieniądze w skrzyni zbijasz... Któraż to druga dziewka może?

— Żadna poczciwa nie udoła, jeno myjak taki, gałganica! — odezwała się z pogardą kucharka i splunęła przed siebie.

Przechodził mimo któryś z parobków i umyślnie nastąpił znajdce na nogę, a kiedy się porwała i syknęła z bólu, pobudziło to wszystkich do szalonego śmiechu. Kto tylko chciał, pastwił się nad Uliną.

Chudziewiczowa też raz za razem przechodziła przez kuchnię, chociaż nie było potrzeby, a ciągle wygłaszała różne dokuczliwe uwagi:

— Podłej kobiecie zawsze przyjdzie na zły koniec, żeby się schowała nawet za dziesięciu dziedziców, nie za jednego!

— Jak ma być dobrze w Siekaczowie, kiedy złodziejki i łajdaczki miru używają, a poczciwa, cnotliwa kobieta wypłakać się spokojnie nie może...

Nie mogła na żaden sposób wytrzymać w kuchni. Gdyby tu dłużej pozostawała, Bóg wie, do czego by doszło — taka zawziętość rosła. Wybiegła w pole, szła miedzami, płakała nieustannie i od ocierania łez fartuch jej wyglądał jak szmata w praniu. Za polami ciągnął się bór siekaczowski, a za tym borem — bór drugi i trzeci.

W jakiś czas Bryśka wyszła z kuchni i oglądała, co się stało z Uliną. Przyłożyła rękę do oczu, patrzyła pod zachodzące słońce — widziała, że znajdka idzie coraz dalej, dalej, a ciągle migał

ten fartuch, którym biedaczka łzy swoje gorzkie ocierała. Zginęła, przepadła w borach.

Nikt do tego czasu nie wie, skąd się na świecie wzięła, nikt — gdzie się podziała.

Minęły lata i w Siekaczowie zapomniano o znajdce Ulinie. Tylko dziewczęta i stare baby, zbierające po lesie grzyby i jagody, opowiadają, że w boru słychać czasami płacz, lament, a niejednej też pokazała się jakaś dziewczyna, która mokrym od łez fartuchem oczy ocierała.

Ludzie umieją w rzeczywistości prześladować, a w legendzie piętnować prześladowanie...

GŁÓD I SUMIENIE.

Na święty Stanisław — odpust w Zębocinie. W piękny majowy dzień mnóstwo ludu ciągnęło na tę uroczystość. Niebo zdawało się roić od pieśni skowrończych, a ziemia uroczyście wyglądała w szatach wiosny, ta piękna ziemia proszowska, bogata w pszenicę, łąki i wierzby. Odświętnie strojne tłumy wieśniaków zaległy gościniec na całej rozciągłości od Stągniowic ku Proszowicom, poprzez Jakubowice, Zagrody. Przy takiej pogodzie pielgrzymkę odpustową głównie pieszo odbywano. Gromadki ludzi, które wychodziły z zapadłego wąwozu pod Jakubowicami, jedna po drugiej ciągle przystawały na górce pod krzyżem. Stąd ukazywano sobie palcami gaik olszynowy, jedyne miejsce zacienione na tym uroczym porzeczu Szreniawy, istnym morzu zieloności, połyskującym tu i owdzie złotem kaczyńców, albo ciemnobłękitną wstęgą rzeki.

„To Cicha Woda!" — powtarzali pątnicy, gdyż taką nazwę nosił gaik olszynowy od jeziora, które tam było — i wspominali, że nad Cichą Wodą w zimie popełniono głośne a tajemnicze morderstwo na Szymonie Gromnicy, bogatym gospodarzu z Jakubowic.

Ten chłop zamożny był nadzwyczajnie chciwy, kradł nocą snopy z pól dworskich, zabierał z łąki siano, ścinał w lasach drzewo — byle pomnażać nieustannie swój majątek. Właśnie raz nocą ściął był wielką olchę nad brzegami Cichej Wody i już ją sobie na wóz włożył, aby zawieźć do domu, kiedy z zasadzki ktoś do niego strzelił. Ugodzony w piersi kulą, widać żył jeszcze, i zabójca rozpłatał mu głowę tą samą siekierą, którą Gromnica przed chwilą zwalił olchę. Policja robiła bardzo energiczne poszukiwania, przeprowadzono ścisłe śledztwo, uwięziono nawet różnych poszlakowanych, jak Grzegorza Słomkę, zięcia nieboszczyka; ale zupełnie nic nie wykryto. Ludzie, jak zwykle bywa w takich razach, posądzali o morderstwo już tego, już owego; jednak rzeczywisty zabójca pozostawał w tajemnicy, którą mogłyby zdradzić chyba tylko drzewa i jezioro Cichej Wody.

Między wielu pobożnymi na odpust do Zębocina wybrał się także ów Grzegorz Słomka, zięć Gromnicy i spadkobierca majątku po zamordowanym, człowiek powszechnie kochany w Jakubowicach, jeden z tych, o których się mówi: — „dobra dusza". Szedł on samowtór z Maćkiem Podymą, biednym wyrobnikiem, chłopem mizernym, nikłym, wyglądającym jak „siedmioro nieszczęścia"; nigdy o nim nie mówiono: — „człowiek, chłop", tylko: — „człowieczyna, chłopina". „Gdyby takiego gęś nogą dobrze grzebnęła, już po Maćku — czyste wióro". A robotny był, obrotny! „Chyba jedne żyły mają w nim świarność i zdatność do roboty".

Służył był w Kościelcu za gajowego, za łącznego w Zagrodach, w Cudzynowicach za fornala, a zawsze „coś takiego zmalował i zawsze się wydało". Otwarcie mówiąc, Podyma miał smołę w ręku: „wziąć lubił, nie umiał schować". Wprawdzie nigdy przenigdy nie odebrano od niego najmniejszej rzeczy skradzionej, ale oliwa zawsze na wierzch wyszła i Maćka uważano za złodzieja. Opowiadano w Jakubowicach, że ten chłopina na spowiedzi wielkanocnej wszystko do cna rzetelnie przed księdzem wyznawał. Cóż z tego, kiedy w chałupie u Podymy była piszcząca nędza i Maciek nigdy nie był w stanie wynagrodzić poszkodowanego właściciela. On ukradł, a dzieci zjadły to w chlebie — oj, te dzieci! Zepsuł sobie na nic opinię w świecie, miał jak najgorsze świadectwa służbowe i nareszcie nikt go nie chciał przyjąć do służby. Przerzucił się do miasta i w Działoszycach nosił Żydom do domów wodę, a skończył służbę na tym, że ukradł beczkę, wiaderka i nosze. Dowiedział się potem na spowiedzi, jako nawet Żydów okradać nie należy. Obarczony grzechami przeciw siódmemu przykazaniu i skruszony w duszy, wrócił do wsi rodzinnej, gdzie jako wyrobnik osiadł na komornym. Chadzał dzień w dzień na zarobek, a miał na kogo robić — dzieci, oj, te dzieci!... Końca, miary nie było chrzcinom u Podymy: rok w rok — prorok; maleństwo sypało się jak mrowie, a każde przychodziło na świat z gotową gębusią i brzuszkiem. „Przez te raki, pędraki, człek cięgiem musi grzeszyć!" — Coś tuzin było żywych, połowa tego — zmarłych. „Trza ob-

cym brać, żeby swoje wykarmić — psie mięso takie życie!" — Obfitość dziatwy ciążyła Maćkowi na sercu i czyniła go markotnym w trudnej walce obowiązków ojca z zadaniami człowieka-chrześcijanina. „Skąd chcesz, bierz, a żywić toto musisz, kiedy się na życie urodziło, a Pan Jezus zmarcia nie daje!" — Z natury mrukowaty, Podyma lubił jednak uskarżać się na swą niedolę i przy każdej danej sposobności biadał, utyskiwał bez końca. Widocznie skargi takie przynosiły mu jakąś ulgę, skoro w rozmowie nieustannie do nich powracał: może przez obowiązki ojca usiłował usprawiedliwić swoje postępki.

Idąc teraz właśnie na odpust, Maciek od razu wpadł na ulubiony przedmiot i w słowach zaprawionych goryczą użalał się na losy przed Słomką.

— Trafunkiem — mówił — wszystko na świecie idzie. Kiej się baba uda, ma człowiek z niej pomoc, wyrękę; druga nic, jeno zawadza, leży w chałupie, nie przymierzając jak barłóg... Ręka czasem aż świerzbi! Szczerze powiadam, obmierzło mi życie przy tej mojej Jewce... Zeszła się oto bieda z biedą i dopiero we dwie narobiły nędzy, a ty chłopie, nieboraku, dźwigaj!

— Ej, nie wygaduj darmośnie na babę! Z ciebie też przecie nie cukier... Czego zaś jeszcze chcieć od kobiety? Dzieci przychowuje, chałupy pilnuje, koło gadziny chodzi.

— Jaka tam gadzina! Prosiątko, trzy kury... cała obrada... Krowa była, to poszła do ludzi... Mogę ja co utrzymać przy takiej psiarni? Dwoje, troje tego drobiazgu, niechby nareszcie czworo,

pięcioro... dobrze! Ale ona, psia kość, naparta do dzieci; jak się zawzięła, to roczku jednego nie wytrzyma bez dziecka... Żywże toto, odziewaj! Jezusiczek i tak jeszcze na mnie łaskaw, że niektóre do swej chwały pozabierał.

— Maciek, co z ciebie za katolik? Człowieku, jak możesz wyklinać i od psiarni przezywać rodzone dzieci, w kościele chrzczone?... Słuchaj no, ty ciężko grzeszysz!

— Juści grzeszę, wiem... Niech-ta! Grzeszyłem już cięższej, to i lżej mogę — odrzekł Podyma z westchnieniem i w milczeniu szedł dalej, zapatrzony w ziemię.

Wyszli z wąwozu, stanęli pod krzyżem, ubranym w dzwoneczki i w różne narzędzia męki Zbawiciela. Przed tygodniem właśnie Słomka swoim kosztem kazał tę figurę odnowić, odmalować i u dołu nazwisko swoje białymi literami napisać. Obaj obnażyli teraz głowy, przeżegnali się znakiem krzyża świętego. Wzruszane przez wietrzyk dzwonki wydawały w górze dźwięk, przypominający jęki, które zdawały się dolatywać tutaj skądś od łąk, od Cichej Wody. Z czapką w ręce, z otwartymi usty, stał Podyma u stóp krzyża, wsłuchany w dźwięki owe. Nagle spojrzał w kierunku Cichej Wody, a oczy jego i rysy twarzy wyrażały jakiś przestrach. Spostrzegł to Słomka, machinalnie popchnął naprzód towarzysza i rzekł głosem, wyrażającym niepokój:

— Dalej-że! Mamy setny kawał drogi.

Podyma, pchnięty, ruszył z miejsca i szybko potoczył się naprzód, jakby mu pilno było uciec

spod krzyża. Skwapliwie biegł za nim, dysząc, towarzysz, a kiedy się już zrównali, Słomka przemówił pierwszy:

— I czego zaś tak gonisz? Nie ma strachu, żeby się spóźnić na sumę.

— Gonię, bo muszę, bo mię pędzi... Na skraj świata uciekłbym... ooo, źle!

— Przestań-że choć raz stękać! Jeśli ci o tę krowę chodzi, moja w tym głowa, żeby krowa była... Ma się wiedzieć, przy takiej kupie dzieci gwałtem potrzebny garnuszek mleka. Krowa będzie...

— Krowa krową, a dla grzesznego sumienia spowiedź pilniejsza.

— Spowiedź? Spowiedź? — pytał Słomka, któremu się twarz jakoś dziwnie przedłużyła, a usta skrzywiły, jak gdyby mu kto pieprzu posypał na język.

Wnet jednakże odzyskał równowagę umysłu i rzekł do Maćka tonem wyrzutu:

— Widzisz, sponiewierałeś po próżnu własną kobietę, dzieci i teraz cię korci sumienie. Inni też mają żony i dzieci, a nie przeklinają. Czy to ma być koniecznie wina twojej Jewki, że wam się dziecka tak sypią?...

— Może moja? — odwarknął pośpiesznie Maciek. — Inni się żenią, to prawda, jeno im dzieci w miarę przychodzą. Ty podług swojej zamożystości mógłbyś przecie być daleko dzietniejszy ode mnie, a masz jedną jedyną dziecinę...

— Głupia baba obstoi za kilkoro dzieci, a może nawet z taką większy kłopot, niż z dziećmi...

Żebyś ty wiedział, co za chęci tej mojej Hance przychodzą do głowy! — mówił Słomka, usiłując przekonać Podymę, że na świecie nikomu nie jest zbyt dobrze. — Herbaty, kawy z cukrem jej się zachciewa, jak drugiej szlachciance...

— Bo wie, że cię stać na to! Moja by mię niczym nie wzruszyła.

— Uparła się któregoś dnia i musiałem do miasta jechać, żeby jej sprowadzić cytrynę.

— A ja bym swojej dał dziesięć cytryn, żeby choć o połowę mniej dzieci było! — odrzekł Maciek, w goryczy swej zadowolony przynajmniej o tyle, że zdołał wykazać Słomce brak zasady do utyskiwań na niedolę. — Hance mogłoby się zachcieć nawet wina... Masz się też na co żalić! Ja bo mam lekarstwo na babskie zachcenia: nie dać, i koniec! Umrzeć nie umrze z tego, a choćby i...

— Co ma umrzeć! Zakotłuje ci jacy łeb i człek łazi, jakby wypił szaleju albo matonogu... Kiedy mi baba pocznie nad głową skrzeczyć, mantyczyć, to się omal w ziemię nie zagrzebię.

— Broni ci kto zapowiedzieć jej: „stul gębę?" Chłop ma prawo.

— Ja jej słówko, ona mi dziesięć... A nie, to w kwiki i dopiero dziecko za nią, aż człowieka diabli biorą.

Maciek, wciągnięty w tę rozmowę, zapalał się coraz bardziej i dowodził, że on jeden na świecie jest najnieszczęśliwszym człowiekiem.

— Tobie — mówił z naciskiem — tylko ptasiego mleka brakuje w bycie takim... Psia kość,

słyszane rzeczy, żeby się komu dwa razy bliźnięta urodziły? Na mnie padło!...

Słomka widocznie pragnął utrzymywać Maćka w jednym nastroju duchowym, nie popuszczał raz obranego wątku rozmowy i zostawiał towarzyszowi szerokie pole do biadań na dolegliwości życia, do wylewów goryczy. Podymę ogromnie korciło, jak może ktoś bądź przyrównywać nawet swoje małe strapienia do jego wielkiej nędzy. Miał niewzruszone przekonanie, że on jeden na świecie posiada przywilej nieszczęścia, był z tego — rzec można — dumny i oburzał się, kiedy Słomka uszczuplał rozmiary jego niedoli, zestawiając z nią swoje marne kłopoty.

— Bliźnięta, nie bliźnięta, zawdyć to dzieci, błogosławieństwo boskie — prawił Grzegorz tonem kaznodziei.

— Albo i kara boska! — żachnął się niecierpliwie Maciek. — Na głód się zanosi, kiej urodzaj na dzieci, a ojciec pamiętliwy o swój drobiazg musi potem grzeszyć... kraść, albo i gorzej... Praca nie starczy!

Spostrzegł Grzegorz, że Maciek usposabia się melancholicznie, zaczyna uczuwać zgryzotę sumienia, i natychmiast zmienił ton głosu, a także przedmiot rozmowy: od dzieci przerzucił się nagle do żony.

— Twoja Jewka — mówił dobrodusznie, po przyjacielsku — babina domowita; ooo, moja... to ziółko! Nic, jeno taniec psia noga ma w głowie! Żeby jej na grzebieniu zagrać, zarazik poskoczy

jak fruczka! W domu taka nie usiedzi, tyla nasłuchuje, czy gdzie nie ma jakiej kapeli, i już...

— Gładka na gębie, śmieszka, przylepka czysta, to co dziwnego, że lubi fertać się, kręcić? Moja ledwie nogi za sobą powłóczy, i choćby jej tam nie wiem jak zagrali, nie drgnie niezdara... Trza należycie dać w kark, żeby się na nogi zerwała; a przecie babsko... nie przymierzając obora.

— Budowna baba, patrzy na okrutną gospodynię!

— Napróbowałem się dosyć tych smaków, w gardle mi stoją... Dryblaśna, a wałkoń ostatni, darmozjad! Żaden kij nie da rady, kiedy o robotę idzie.

— Pewnikiem zmogła ją ta dzietliwość. Juści takie małe wyssały kobietę lepiej, niżeli pijawki.

— Ją wyssały? — zapytał popędliwie Maciek, przystając na drodze, i spojrzał tak zjadliwym okiem na towarzysza, że go zmieszał. — Mnie wyssało to psiarstwo!

Z tymi słowy ruszył naprzód i wyobrażał sobie, że go dzieci opadły i ssą na wszystkie strony. Był zły, sapał.

Słomka uważał sobie teraz za obowiązek przerwać milczenie i rzekł:

— Dla siebie samego masz babę... źle ci? Oj, stękałbyś dopiero, gdyby ci ją parobcy wytrząsali po weselach, albo i gorzej!

Mówiąc to, Grzegorz westchnął.

— Eee, gadanie! Oczu w głowie nie miałby taki, co by sobie Jewkę upodobał. Drapaka stara,

a swoją drogą dzieci jak przybywa, tak przybywa... Wolałbym już nawet, żeby jej się gzić zachciało!

— Bo to prawda! Pewnikiem przesadziłbyś przez kij babę, jakby na ten przykład sama szła w oczy takiemu pisarzowi od wójta.

— Kij człowieka może popędzić, ale nie zlepszy. Mam na sobie najlepsze doświadczenie, ile że nieboszczyk mój pan ojciec dzień w dzień mi skórę suszył... i cóż wykołatał? Był nicpoń, został nicpoń... Jedna spowiedź może człowieka poprawić... rozumiesz? Spowiedź szczera, taka, żeby wyznać wszyściutko, o czym Bóg wie, a ludzie nie wiedzą... Spowiedź święta tylko czyści człowieka z grzechów śmiertelnych... wiedz o tym!

— Skoro Pan Bóg zna twoje grzechy, to ludziom co do tego? Zbawienia dusznego nie dadzą ci ludzie, a mogą dokuczyć, narobić srogiej cierpoty...

— Niech dokuczą! Wiadomo, że za grzechy pokuta być musi.

Przez chwilę, idąc obok siebie, obaj zachowywali milczenie. Naraz Maciek przystanął, szarpnął Słomkę za połę sukmany i powiada:

— Ja wiem, dlaczego ty idziesz ze mną dziś na odpust! Boisz się, żebym nie odbył spowiedzi... Od kilku dni jak cień mię pilnujesz, a nie wiesz, że im częściej cię widzę, tym większą czuję potrzebę spowiedzi. Słuchaj, Grzesiu, wyspowiadajmy się razem obaj przy świętym Stanisławie!

Pono spowiedź w dniu takim może zmyć grzechy za lat pięćdziesiąt... że to niby święty męczennik...

Podyma przemawiał teraz głosem uroczystym, wzruszonym, a przy ostatnich słowach zdjął czapkę i oczy wzniósł w niebo.

Słomka zzieleniał prawie, wytrzeszczył oczy i mruknął pod nosem:

— Nie mam się z czego spowiadać! Żyję jak Bóg przykazał.

— O uczynki chodzi, nie o życie.

— Przeciem nikogo nie zabił, nie okradł, nie podpalił.

— A i tak dusza twoja może być grzeszna na równi z moją.

— Ho, ho! — zawołał Słomka, urażony niejako z powodu porównania.

— Pan Bóg, myślisz, zważa na to, żeś jest starszym w bractwie i ławnikiem w gminie? Choćbyś został sołtysem, wójtem, też ci nie pomoże...

— Diabli wiedzą, czego się ty mnie czepiasz!

— Wiesz ty akuratnie, bratku! Deptasz mi oto po piętach, bo skóra drży na tobie, a nie tyle się boisz Boga, ile ludzkiej sprawiedliwości... kajdanków, ooo!

Słomka straszliwie łypnął białkami oczu na towarzysza i rzekł cierpko, z przymuszonym uśmiechem:

— Drwię sobie z tego, kiej mi tacy jak ty wygrażają.

— Nie wygrażam, tyla przypominam, żeś się do grzechu też poczuwać winien. Tyś mię przecie skusił... zapomniałeś?

— Możem i odrobinę kusił; ale mogłeś się nie dać skusić! Musu nie było.

— Uważam sobie to dobrze, wiem, że mój grzech jest większy... Rękę swoją własną przyłożyłem... Oj, bodajbym obu rąk nie miał! Bodajby mię matka na świat nie wydała! Bodajby się była ziemia pode mną zapadła tamtej nocy! Bodajby ciebie siarczyste pioruny spaliły, zanim się wziąłeś wodzić mię na pokuszenie!... Ty zbóju, ty psubracie, ty, ty, ty, ty!...

Zaciął się Podyma, twarz mu drgała, oczy świeciły się straszliwie, a obie pięści zacisnął i zgrzytnął zębami. Grzegorz z przerażeniem spoglądał na tego małego, sczerniałego, obdartego, wynędzniałego chłopinę, który zdawał się podskakiwać po drodze. Teraz milczenie trwało czas dłuższy. Maciek uspokoił się tymczasem i, jak gdyby żałował swego wybuchu, westchnął kilka razy, a nareszcie przemówił:

— Oj, żeby nie ta bieda, nie byłoby i grzechów na świecie!

— Stało się i już nie odstanie! — rzekł Słomka głosem cichym, a przytem obejrzał się naokoło.

Znowu milczeli, wchodząc pod górę.

— Bóg jeden wie, za coś mię sklął, sponiewierał — powiedział Grzegorz.

— Kiej w człowieku żałość wzbierze, musi to z siebie jak bądź wylać...

— I na drugiego, co nic nie krzyw, wyzwierzyć swoją markotność.

— Ty mię nie przekonasz, żeś nie krzyw; tyla chcesz, żebym ja sam tę krew wziął na siebie... Nie mogę. Jak Boga przy skonaniu łaknę, nie mogę! — mówił Podyma głosem błagalnym, tak, jakby płacz w gardle mowę mu tamował.

— Przecie sam jeden poszedłeś tam w olszynki, do Cichej Wody; ja się nie ruszyłem z chałupy... A któż mierzył? Kto wystrzelił? Kto potem?...

— Jakbym był nie miał strzelby — przerwał pośpiesznie Maciek, — nie strzelałbym! Tyś mi z Kielc przywiózł tę strzelbę i proch i kulki...

— Wziąłeś za strzał dwadzieścia pięć rubli! — powiedział Słomka z naciskiem. — Mnie przez głowę nawet nie przeszło namawiać cię, żebyś potem starego siekierą dobił...

— Ciiicho! — syknął Podyma, skurczył się, przygarbił jakoś, szedł zgnębiony.

Upokorzonego towarzysza Słomka chciał teraz pocieszyć; położył mu poufale dłoń na ramieniu i rzekł tonem przyjacielskim:

— O tę tam krowę bądź spokojny! Dopóki będę żył, nie pozwolę, abyś głód marł z babą i drobiazgiem... Poznasz, żem przyjaciel nie od parady.

— Krowa dla dziecek... krowa! — poszepnął Maciek, jak przez sen, i w milczeniu puścił wodze myślom.

Wydawało mu się, że siedzi w swojej chałupie na ławie, a dzieci go opadły, ssą, niby pijawki. Ni stąd ni zowąd na środku izby staje krowa z grubym łbem, pełnymi wymiony, z cicha porykuje, bez mała prosi, żeby ją wydoić. „Bydlę poczciwości". Jewka co tchu siada na małym stołeczku, doi Smolichę i ciepłe jeszcze mleko wylewa na miskę, a wszystek drobiazg opuszcza ojca, rzuca się do mleka. „Pary jedne, jak toto ćwiczy!" Krowa ciągle stoi na środku izby, ogonem miele, oblizuje się językiem, porykuje i ciągle ma pełne wymiona.

Maciek uśmiechnął się do tego ponętnego obrazu, czuł wyraźnie, że go dzieci ssać przestały, i od niechcenia szepnął:

— Juści człowiekowi z krową zawdy lżej!

Odetchnął, jak gdyby mu wielki kamień spadł z piersi, i w dalszym ciągu zachwycał się dziećmi, które pochłaniały mleko. Cieszyło go to, że trójlatek Franek, ulubieniec jego, prześciga łyżką resztę rodzeństwa. „Marcha jeden, do wszystkiego ma zdatność!"

Wtem od Zębocina huknęły dzwony, wzywające wiernych na sumę. W czystym powietrzu pogodnego dnia majowego te dźwięki zdawały się jęczeć takt w takt z myślami Podymy, który wyraźnie słyszał w uszach teraz już odgłos chlipania mleka przez dzieci, już bicie dzwonów kościelnych. Chlipanie dzieci starszych brzmiało grubiej — „chlup, chlup", a odpowiadały mu dźwięki dzwonów wielkich: — „buum, buum". Młodsze dzieci wydawały odgłos — „chlip, chlip", a wtórowały im dzwony mniejsze: — „bim, bim".

— Byłoby wcale dobrze, żeby tak człowiek nie miał jeszcze grzechów i zgryzoty sumienia! — pomyślał Maciek i z pogodniejszym już wyrazem twarzy zwrócił się do towarzysza, mówiąc: — Grzesiu, okrutną chęć mam wyspowiadać się dzisiaj, zostawić w Zębocinie swoje grzechy!

— Co cię zaś tak do spowiedzi pili? Przecie niedawniusieńko odbyłeś spowiedź wielkanocną... Do czego podobne naprzykrzać się raz wraz Panu Bogu! Toć nawet w przykazaniach stoi „około Wielkanocy" i koniec.

— Przed swoim własnym jegomością nijako wyznawać grzech niektóry...

— No, to poczekaj do odpustu w Kościelcu, albo w Brzesku. Odbędziesz sobie spowiedź za dalszą granicą, a tymczasem się utrze trochę, ludzie zapomną... Pilności żadnej nie ma.

— W nocy oka zmrużyć nie mogę, grzechy mi przeszkadzają w spaniu...

— Bieda przeszkadza, ja ci powiadam! Wytchniesz, kiej raz krowa stanie w chałupie, zapomożesz się cokolwiek.

— Musi wytchnę...

Tegoroczny odpust w Zębocinie udał się przewybornie: tłok pątników całą wieś zaległ. Naokoło karczmy, przed rozpoczęciem nabożeństwa — taka ciżba ludu, jak gdyby powracano z najlepszego jarmarku po żniwach. Od Igołomii, od Barana, od Słomnik, Skalbmierza, napływali ludzie. Wnętrze gospody aż wrzało, a gorzałka miała doskonały odbyt. Bicie dzwonów, wzywające wiernych na sumę, opróżniło cokolwiek szynkownię; ale i tak pozostało tu dosyć gości, z których jedni użyli już nabożeństwa na mszy porannej, a inni postanowili doczekać się nieszporów, ponieważ o przedostaniu się do kościoła teraz mowy nie było.

Mieszczki z Proszowic, Brzeska, Koszyc, Skalbmierza, bardzo dbają o swoje sztywne, wykrochmalone i należycie odprasowane spódnice; nie po to się one dziś wystroiły, aby z ciżby „chamów, bydła chłopskiego" — jak mówiły — miały wyjść brudne i zmiętoszone. Pozasiadały przeto na ławach matki, żony, córki mieszczaństwa okolicznego i, wykrygowane, pozorowały w rozmowie, jak mogły, swą nieobecność na sumie odpustowej. „W takim tłoku różnej hołoty więcej obrazy boskiej niż nabożeństwa" — mówiła jedna za drugą, choć w samej rzeczy chodziło tylko o spódnice. Przy tym panie owe pozwalały sobie szydzić, żartować z przesuwających się po izbie karczemnej bab i chłopów.

Nasi dwaj pątnicy z Jakubowic przy biciu dzwonów weszli do Zębocina, a Podymę kołysały w dodatku jeszcze miłe nadzieje polepszenia doli z chwilą, kiedy mleczna Smolicha zawita w progi jego chałupy. Umysłowi Maćka jak raz przed karczmą nastręczyła się filozoficzna uwaga: — „Pan Jezus okrutnie mądrze ten świat urządził... Jedno bydlę może człowiekowi dać szczęście". Zupełnie pogrążony w zamyśleniu, nie uważał jakoś, że Słomka wprowadził go do karczmy i od razu zawiódł prosto przed szynkwas. Wypili

z miejsca po blaszance i dopiero się ocknął Podyma, splunął ze wstrętem przed siebie, wołając:

— Potrzeba mi też to było! Na czczo wyszedłem z domu, żeby iść do spowiedzi, i spaskudziłem se gębę...

Miał tak pocieszną minę, że siedzące za stołem mieszczki wybuchnęły głośnym śmiechem:

— „cha, cha, cha!"

Podyma odwrócił głowę, ażeby spojrzeć na śmieszki, a widząc, że te paradnie wystrojone mieszczanki najwyraźniej z niego szydzą, zmieszał się, zawstydził zrazu. Niebawem jednak minęło chwilowe pomieszanie i serce Maćka zapłonęło gniewem. Odskoczył w dwóch susach od szynkwasu, wytrzeszczył swoje krecie oczka, stanął rozżarty naprzeciw kobiet i głosem skrzeczącym zawołał:

— Widzicie, jakie mi kokochy, kokokoko!...

W ogromnej złości nie mógł wyrazu dokończyć, zakrztusił się nad tym „kokoko!"

Jeszcze większy śmiech powstał, gdyż nikły, zbiedzony chłopina wyglądał bardzo pociesznie w swym oburzeniu. Zaperzony taki, poruszał wargami, językiem, i pewnie byłby zamaszyście plunął między rozchichotane baby; ale miał jakąś oschłość w ustach, brakowało mu śliny. I dobrze się stało, gdyż właśnie powstał z ławy rzeźnik proszowski, ogromne chłopisko z krwawymi oczyma — smok, nie człowiek. Ten wyciągał już do Maćka olbrzymią łapę, kiedy jak raz Słomka stanął w środku i jął przemawiać do rozsądku stron obu:

— Panie obywatelu — mówił grzecznie a cichutko do rzeźnika, — przecieć ten zdechlaczek, chrabąszcz mizerny, jest niespełna rozumu! Jak mi Bóg miły, grzech byłby kłaść nań rękę taką... Biedne toto, słabiutkie, niedojadek i od małości brakuje mu piątej klepki w głowie, zajączki takie ma... ooo!

Z tymi słowy Grzegorz wskazywał palcem na swoje czoło, dając do zrozumienia, że jego towarzysz cierpi jakoby na obłęd umysłowy.

— No, a przytem czy to pięknie, żeby człowiek taki stateczny, jak pan obywatel, wdawał się w bijatykę z prostym chłopem na odpuście i podczas sumy w kościele?

Mieszczki słyszały mądrą mowę człowieka i zaczęły także uspokajać rzeźnika, zażegnywać awanturę:

— Dać spokój, panie Sampiński, siadać! Akurat teraz procesja i monstrancję ksiądz obnosi naokoło kościoła.

Tak mówiła najgładsza z owych mieszczanek, pociągając rzeźnika za rękaw kapoty.

Obywatel ustąpił, siadł na ławie, odchrząknął z takim hałasem, jak gdyby kto z całej siły drzwi zatrzasnął, i rzecze basem:

— Zmiażdżyłbym na serdelek, albobym z niego zrobił hycla i psom rzucił!

Słomka zaś bierze znowu Podymę za rękę, odwraca go co tchu, a w ucho mu kładzie nauki:

— Oj, ty gamajdo, tego nie baczysz sobie, że taki dragon konia zgniótłby w garści! Mnie podziękuj, że ci jeno ociupinę bobu napędził...

A miało ci też o co chodzić? Wielkie rzeczy... niech się głupice wyśmieją! Kulfon, wydrwigrosz, chłopu nie spardonuje... wiadome rzeczy.

Żachał się nibyto Maciek; ale przecież doskonale rozumiał, że aniby „zipnął" w ręku Sampińskiego, i pozwolił się teraz, jak jagnię, zawieść prosto do szynkwasu. Mogły się tam mieszczki jeszcze wyśmiewać, naigrawać; on nic — jakby nie słyszał.

— Proszę tej z kroplami, co to na bolenie! — rzekł do szynkarza Grzegórz, mocno wzruszony tym całym zajściem.

Podyma czuł w sobie potrzebę gorzałki i bez wahania raźno łyknął drugą blaszankę.

— Niechże-ta, niechże-ta! — mówił, spluwając. — Kiej mi spowiedź święta przepadła, to się aby napiję...

Głodnego chłopa w lot gorzałka rozebrała; naprzód zaczął podrygać, przytupywać, pośpiewywać:

Teraz mi jegomość powidz,
Czy nie jesteś z Jakubowic?...

Potem przycupnął w kącie szynkowni i kipiał, ale od czasu do czasu przerywał drzemkę i chrapliwym głosem śpiewał znowu:

Wyleciała dusza z ciała...
Nie wiedziała, kaj paść miała;
Na łączce se zapłakała...

Oparł nareszcie głowę o ścianę i chrapnął, a teraz miał już tyle śliny w ustach, że mu ciekła.

Grzegórz tymczasem chodził po karczmie, wdawał się w rozmowę i coraz to dał komuś do poznania, że jest opiekunem, dobrodziejem śpiącego Maćka Podymy.

— Nie wymawiając, pcha się w chudziaka, jak w dziurawy worek, grosz gotowy, a teraz właśnie oto i krowę, żeby mu dziecka nie pomarły z głodu...

— Krowę mu daliście? — spytał Kuba Rzępik, biedny wyrobnik z Zagród, któremu się aż oczy zaświeciły na myśl, że można w podarunku dostać krowę. — Toście rzetelny dobrodziej! Ja bym nogi mył, ręce całował.

Słomka machnął ręką, co miało znaczyć: „Robię dobrze i nie dbam o wdzięczność".

Mieszczki z podziwem spoglądały na hojnego chłopa, który biednym krowy rozdaje, a Rzępik mu się przymilał.

Nadchodzili do szynkowni i znajomi Grzegorza, basowali bogaczowi, a na boku opowiadali półgłosem:

— Dwie chorągwie sprawił do kościoła, mękę Pańską postawił przy gościńcu!... Musi grzechy teścia, nieboszczyka Gromnicy... Panie świeć jego duszy... chce okupić. Ho, ho! takiemu dobrze!

Nawet hardy rzeźnik rzucił teraz Słomce kilka pytań. Kto się umie przed ludźmi postawić, łatwo zyska sławę.

Podchmielony Maciek w najlepsze przesypiał sumę. Skończyło się nabożeństwo główne, ludzie poczęli zapychać gospodę, robić tu bez mała taki sam ścisk, jaki był przed chwilą w świątyni.

Dopieroż poszły żywe rozmowy o tym i owym. Obok śpiącego Podymy zebrała się spora gromadka ludzi, a między nimi rej wodził Walek Kulas z Łaganowa, stary żołnierz, który połowę życia na różnych wojnach strawił. Szło o treść dzisiejszego kazania. Kaznodzieja, proboszcz z Pałecznicy, wymownie przedstawił żywot świętego Stanisława, a jak się zdaje, słuchaczów najgłówniej uderzyły: cud wskrzeszenia Piotrowina i śmierć świątobliwego biskupa. Otóż Kulas wyrwał się ze zdaniem, że w czasach dzisiejszych nikt już świętym nie może zostać i nie ma cudów wskrzeszania zmarłych, a dzieją się tylko same zabójstwa. W umyśle wojaka tkwiły zapewne obrazy licznych bitew i tysięcy ludzi, którzy zginęli od kuli, miecza, a nikt nie zmartwychwstał. Inny chłop, Mateusz Sadło, gospodarz z Zagród i rodzony brat ojca Wiktora, bernardyna z Pińczowa, dowodził, że dzisiejsi ludzie są istotnie gorsi od dawniejszych i niegodni oglądania cudów; ale cuda się dzieją, chociaż ich ludzie nie widzą.

— Weźmy na przykład takiego nicponia — mówił Sadło z oburzeniem, wskazując palcem Maćka, który się już przebudzał i jedno oko otwarł: — przyszedł niby to na odpust, a urżnął się i w karczmie, widzę, przespał sumę!

Mówiąc to grzmotnął pięścią w dno beczki, stojącej pod ścianą.

Huk taki i słowa gromkie Mateusza do reszty rozbudziły Podymę. Przetarł oczy; słyszał, że ludzie mówią o kazaniu, i rzekł, jak gdyby sam do siebie:

— Rany boskie! przyszedłem na odpust, a ugrzęzłem w karczmie!... Wszystkiemu temu Grześ winien...

— Eeee, bratku, lucyper ciebie strzeże, nie żaden Grześ! — zawołał Sadło. — Boże słowo nie w smak idzie, jeno gorzała...

— Oj, rzetelna prawda, że ten Grześ czysty lucyper-kusiciel! — rzekł Maciek, ziewnął i powstał na nogi.

— A ty, parszywcze zatracony! — krzyknął zapalczywie Rzępik, który się tu przed chwilą zbliżył. — Słyszycie wy ludzie! ten pokraka dobrodzieja swego do lucypera porównywa?... Pieniądze od niego brał, krowę dostał i za to wszystko powiada: — „Grześ czysty lucyper-kusiciel!...“ Róbże tu ludziom dobrze! Tfu!...

Wszyscy obecni z pogardą spoglądali teraz na Podymę; a on sam oniemiał, nie mogąc zrozumieć, jakim sposobem chłop z Zagród, nieswojak, dowiedział się o jego tajemniczym stosunku ze Słomką, o czym nawet w Jakubowicach nikt nie wiedział. Zakorciło go to ogromnie, że mu wyrzucają dobrodziejstwa Słomki, nie mógł wytrzymać i, choć zgnębiony, odbąknął głosem niepewnym:

— Ludzie mi nigdy jeszcze nic nie dali!

— Sam sobie wziąłeś!... Znamy cię, ptaszku! Podyma od tego się nazywa, że wszystko podejmie, co mu pod rękę popadnie — powiedział kar-

bowy z Jakubowic, który właśnie co tylko wszedł do karczmy.

— Aaa, to on Podyma?... Rychtyk, Podyma, ten sam, służył w naszym dworze za gajowego! — zawołał chłop z Kościelca. — Nabroił skurczypała i wygnali go na cztery wiatry...

Dopieroż Rzępik przypomniał sobie, że Podyma służył w Zagrodach za łącznego i tu zyskał sławę „złodzieja koronnego". Grad słów obelżywych sypał się zewsząd na Maćka, a Sadło zrobił mądrą uwagę, że na odpusty przychodzą tacy ludzie po to tylko, aby skorzystać z tłoku, z pobożności ludzkiej i zajrzeć do cudzej kieszeni.

Rzucony na pastwę mściwości społecznej, uczuł Podyma marność swoją, zmalał we własnym przekonaniu, zgłupiał jakoś i — taki sponiewierany — usiadł na samym brzeżku ławy: chciał się skryć przed gromadą stojących i chodzących prześladowców. Spuścił głowę, spoglądał w ziemię i zdawało mu się, że jest podobny do brudnej, zaplutej podłogi szynkowni. Widział buty chłopskie, wysmarowane słoniną, obległe pyłem, i myślał: „O mój Jezusiczku! ja, robak marny, jestem przy tych ludziach gorzej niż przydeptana podeszwa u buta!" — Tak sobie myśli, a tu słyszy, że Kulas i Sadło powrócili w dalszym ciągu do rozpraw o kazaniu odpustowym. „Mój Boże, przespałem sumę całuśką, niechże choć aby dowiem się teraz od tych pobożnych ludzi, o czym było kazanie!... Pewnikiem o pijakach, albo złodziejach..." I chcąc wynagrodzić swoją nieobecność

na sumie, uważnie nastawił uszy do słuchania na to, co właśnie mówił Sadło:

— Kiej Panu Bogu trza, zawdy może umarłego wskrzesić i wskrzesi! Piotrowin przez to zmartwychwstał, jako chodziło o sprawiedliwego świadka przed sądem... A któż wam powiedział, że skoro Pan Bóg znowu zapotrzebuje wyświetlić choćby na przykład takie zabójstwo, jak owo nad Cichą Wodą, to i dziś nie powoła świadka z tamtego świata?

— Może powołać, może! — przytakiwali różni chłopi.

Podyma drgnął, zaroił się niespokojnie na ławie, jak gdyby go kto szydłem kolnął. Słomka zaś w drugim końcu szynku zagadał się z ludźmi, na śmierć zapomniał o swoim towarzyszu i nic a nic nie wiedział o jego przygodach. Wtem otwarły się szeroko drzwi gospody i ujrzano na progu tłum dziadów, którzy, nie poprzestając na jałmużnie, zebranej w czasie nabożeństwa pod kościołem, nawiedzili teraz karczmę. Ślepi, kulawi, garbaci, dziwnie połamani żebracy ustawili się rzędem popod ścianą i tu z odkrytymi głowami, oparci na kijach, inni na klęczkach, poczęli na wpół głośno odszeptywać pacierze. Wnet wystąpił do nich Grzegórz, obchodził ich kolejno, a każdemu wcisnął w rękę trojaka. — „Niechże ci, gospodarzu, Bóg Najwyższy stokrotnie odpłaci, wynagrodzi błogosławieństwem w tym i przyszłym życiu!" — jęczącym głosem wołali żebracy, a przytem wywracali oczy, wznosili do góry

ręce. Tu dziady zanoszą do nieba modły za Słomkę, a tam znowu inni wysławiają go, wynoszą:

— Człowiek bogaty — mówią, — ale umie użyć pieniądza na chwałę bożą i zarabiać sobie na zbawienie duszne!

Kto tam w karczmie nie znał jeszcze Grzegorza, dowiedział się już teraz, jakim on jest człowiekiem. Szczególnie też Rzępik nadskakiwał, basował Słomce.

— Gospodarzu — powiada, — ten gałgan Podyma nie godzien waszych dobrodziejstw! Zamiast wdzięczności jakiej, on was tu publicznie oszczekiwał, nazywał lucyperem-kusicielem i dopiero ja mu łeb setnie zmyłem...

— Ej, kto by zaś zważał na to, co Podyma wygaduje! — odrzekł stropiony nieco Słomka. — Takiemu trza niejedno wybaczyć, jako wiadomo, że on cierpi coś takiego w głowie.

Rozmawiali tak, przechodząc tuż koło Maćka, który słyszał ich słowa; był zły na Grzegorza za jego nadętość i miał ogromną chęć zerwać się teraz z ławy, krzyknąć na całe gardło:

— Psie mięso, obłudniku, udawaczu! Będziesz ty ludziom mydlił oczy?... Widzicie go! wariata ze mnie chce zrobić!... Judasz!

Ale miał ludzi przeciw sobie: rzuciliby się nań niezawodnie i tym razem sponiewierali jeszcze srożej. „Niegłupim zadzierać!" Spokojny, zgoryczony Maciek siedział przeto, patrzał, słuchał, co się w karczmie dzieje, a markotności dodawało mu i to, że był bardzo głodny.

Właśnie jeden z dziadów, kaleka, powłóczący za sobą nogi, przywiązane od kolan do dwóch desek jak do sanek, wysunął się ku środkowi szynkowni i na cały głos odmawiał pacierze za duszę nieboszczyka Szymona Gromnicy. Podyma aż zzieleniał i błędnymi oczyma to tu, to tam strzelał. Naraz oczy jego spotkały się ze wzrokiem Grzegorza i przez jakąś chwilę jeden drugiemu przyglądał się uważnie. Słomka pierwszy ruszył, szybkim krokiem przystąpił do Maćka i powiada:

— To ty nie śpisz? Bodajże mię kaczki zadziobały! Na nic zapomniałem o tobie... Pójdźże, człowieku, trąć się ze mną, wypij!

— Co innego mam w głowie! — odparł Podyma gniewnie i wstrząsnął się cały, a łeb na dół spuścił.

— Czegóżeś znowu tak osowiał?

— Ja osowiałem, a tyś się rozwydrzył!

— Rusz się, głupi, wypij kieliszek, zaraz ożyjesz! — A na ucho mu szepnął: — Krowa twoja, jakem Grzegórz Słomka!

Maciek nic na to nie odpowiedział, gdyż mu w czczym żołądku tak głośno zakruczało, że nawet Grzegorz usłyszał i rzekł z uśmiechem:

— Ej, ty byś pewnie przetrącił kawałek kiełbasy... prawda?... Nie miał osowieć, kiej w brzuchu pustka!

— Od wczoraj o czczej gębie łażę, a na suchy chleb nie mam, nie dopiero na kiełbasę.

Mówiąc to, Podyma łyknął ślinkę, którą wywołało w ustach wspomnienie kiełbasy.

— Za moje pieniądze używaj, ileć się spodoba! Dla ciebie nie żałuję...

— Bogać one twoje! — mruknął Maciek, który w tej chwili staczał wewnętrzną walkę przekonań moralnych z głodem, a jego wyobrażenie kiełbasy miało taką siłę, że już z góry głodowi zapewniało tryumf.

Trzeba było widzieć Podymę z kiełbasą w jednej ręce, a kawałem chleba w drugiej! Chodził dokoła niego Rzępik, który także bardzo chętnie zjadłby był kawałek kiełbasy, i mówił sam do siebie:

— Ciekawe rzeczy, dlaczego Słomka, gospodarz taki, cacka się z tym Podymą? No, no, kiełbasę, wódkę mu funduje...

I tak obchodził Maćka naokoło jak pies, mający chęć drugiemu psu wydrzeć kość, czy ochłap jakiś. A Podyma, zaspokoiwszy już nieco głód, zaczął sobie przypominać swoje głodne dzieci i nareszcie niedojedzony kawałek kiełbasy ukradkiem wsunął w kieszeń dla Franka trójlatka. „Pożywi się co bądź chudzinka". Stały mu teraz na myśli dzieci. „Co one tam w domu porabiają o tej porze?" Zamyślił się, stojąc przed szynkwasem. „Bartek, Kuba i Jantek pewnikiem polecieli do gaju albo na błonie za ptakami... Wisusy, jeno po drzewach łazić, odzienie drzeć na sobie! Nie mógłby jeden, drugi bestyjnik zarobić już co?... Albo ta Kunda?... Dziewa taka, osiemnaście lat, a już ją z trzeciej służby wypędzili. Za parobkami tylo przepada... Oj, bić, póki się nie wybije co dobrego!" — Pocieszyło go cokolwiek wspomnienie najmłodszych dzieci. „Siedzi toto przed chałupą, czy na drodze, gmera w śmieciach, w błocie... zwyczajnie małe, bawić się musi. Inny ojciec przynosi z odpustu gościniec dla takiego drobiazgu". Spojrzał przed siebie, zobaczył na szynkwasie obwarzanek i w mgnieniu oka schował go do kieszeni. Odstąpił kilka kroków i pomyślał: „Ukradłem". Cóż, kiedy nie miał najmniejszej chęci oddać. „W takiej karczmie jeden obwarzanek nic nie znaczy, a maleństwo będzie miało uciechę".

Zabrzmiały dzwony kościelne, które tym razem wzywały na nieszpory. Ludzie wychodzili z karczmy i szli dokończyć po katolicku dnia odpustu. Deszczyk majowy pokropił był ziemię, wierzby zazieleniły się lepiej, woń wiosny tchnęła w powietrzu, po sadach ptaki świegotały, chłopcy wiejscy przygrywali na piszczałkach.

— Trza się pomodlić! — powiedział Grzegórz do Maćka, który był jakiś nie lusy, wyrzekał, że go „coś w dołku spiera".

— Jak nie ma spierać, kiej spałaszował będzie więcej łokcia kiełbasy, co tu pewnie ze trzy lata schła w karczmie! — odezwał się Rzępik. — Pies połamałby na tym zębce... Zwyczajnie, za cudze pieniądze żarł, aż mu się uszy trzęsły, a w zębach chrzęściło.

— Gadanie! Sucha kiełbasa nikomu nie szkodzi, na zdrowie idzie, jeno popić dobrze należy — powiedział karczmarz, stając w obronie kiełbasy.

W myśl tej uwagi Podyma wysączył szklaneczkę tak zwanej okowitki i doznał niejakiej ulgi, zwłaszcza, że karczmarz weń wmawiał:

— Zjeść suchej kiełbasy, a popić, lepiej uczyni, niż miska rosołu, czy żuru na mięsie.

— Juści prawda! — pomyślał sobie Maciek i razem ze Słomką opuścił progi karczmy, a miał szczerą chęć użyć na nabożeństwie.

Rzępik podążał za nimi, ciągle świecił bakę Grzegorzowi w nadziei, że może stąd wyciągnie jaką korzystkę. Takiemu, co nic nie ma, miło się choćby tylko potrzeć o mającego. Nagle, w połowie drogi między karczmą a kościołem, Podyma przystanął, chwycił się wpół oburącz i słabiuchnym głosem wystękał:

— Okruteczne bolenie mam w sobie... Jakby mię nożem krajał... Jezus, Maria, Józefie święty!... Ę, ę, ę!...

— W takiej kiełbasie Bóg wie co być mogło. Niektórzy powiadają, że po miastach nie z czystego mięsa to robią... Ponoś zdechłe koty, szczury pakują... Co takiemu rzeźnikowi wadzi? — mówił Rzępik z obojętnością, spoglądając na Maćka, zbladłego jak wapno.

— Przemóż się, westchnij szczerze do swego patrona! — rzekł Słomka, którego korciło to postawanie na drodze, gdzie sobie z nich podrwiwali przechodzący ludzie. Szedł na przykład taki Matus Sadło z różańcem i książką do nabożeństwa w ręku, przystanął, popatrzył i mówi:

— Jest sprawiedliwość boska na świecie! Ten grzesznik przepił i przespał w karczmie sumę.

— Rznie, rany boskie!... Ę, ę, ę! — uskarżał się Podyma, ale i tak ruszył dalej, gdyż ludzkie uwagi nie były mu też na rękę.

Byli już tylko o kilka kroków od kościoła, kiedy wlokący się noga za nogą Maciek stanął i strasznym głosem krzyknął:

— Gwałtu!... Ostatnia moja godzina!... Kara boska nade mną!...

Zbliżyła się jakaś baba, spojrzała na zemdlałego i zawołała:

— Ludzie, toć u tego człowieka dusza siedzi na ramieniu! Nieścież go kaj bądź pod dach, a nie, to pod kościołem zamrze. — I z tymi słowy odeszła, szepcąc: „Od nagłej, niespodziewanej śmierci zachowaj nas Panie!"

Nadeszła jeszcze inna, mówiła znowu:

— Ziemia już padła nań, sczerniał! Do chałupy go wnieście, zapalcie gromnicę, księdza mu sprowadźcie!

— Gromnicę!... Księdza!... Gromnicę!... — wołał przerażony Podyma.

Rzępik i Słomka wzięli go pod pachy, z trudem przynieśli do karczmy, w znak ułożyli na ziemi i radzą, co robić, a on powtarza:

— Gromnicę!... Księdza!... Gromnicę!...

— Dać mu szklaneczkę tęgiej gorzałki z pieprzem, to wygryzie! — krzyknął Słomka, któremu coś nie w smak szło powtarzanie wyrazu „gromnica" i żądanie księdza.

— Kiedy go ksiądz na tamten świat wyprawi, to na pewno pójdzie, a od mojej pieprzówki

zmarły ożyłby... czyściutki spirytus! — powiedział karczmarz, wlewając choremu gorzałkę w gardło.

— Ogień, nie wódka! — mruknął Podyma. — Wierci i ogromnie grzeje.

Bole uśmierzyły się nieco, ale po chwili znowu wróciły i Maciek sam teraz błagał o szklaneczkę takiej samej z pieprzem. Chociaż wkrótce potem wypił jeszcze trzecią, nic nie wygryzło, nie pomogło. Wił się w bólu, tarzał po ziemi i znowu błagalnym głosem prosił o gromnicę, o księdza. Usłużny Rzępik chciał już biec na plebanię, kiedy go Słomka powstrzymał, mówiąc, że nie przystoi sprowadzać księdza do szynku. Karczmarzowi też bardzo chodziło o to, ażeby mu bytność księdza nie wypędziła gości, którzy po nieszporach będą się chcieli rozweselić. Postanowiono więc przenieść chorego do stajni i sprowadzić mu tam Biedrońkę, lekarkę zębocińską, na okolicę znaną z zażegnywania chorób i biegłą w smarowaniu.

— Musimy ratować człowieka! — wyrzekł z zapałem karczmarz. — Ja chorego stąd nie wypuszczę. Nikt nie powie, żeby w Zębocinie u Parzchalskiego Witalisa gość jaki umarł.

— Choćby i umarł, cóż pan krzyw temu? — powiedział Słomka. — Kiej się zaś człek drugi chorobą ma przydługo męczyć, to lepiej, żeby mu Pan Jezus śmierć zesłał... Taki Podyma, niech poleży parę tygodni, a nędza ostatnia. Mój swojak przecie, źle mu nie życzę... Ludzie rozebraliby między siebie dziecka i koniec.

On tak mówił, a Maciek leżał na barłogu w karczemnej stajni; lekarka zaś wysmarowała

go uczciwie, i dawała mu popijać gorzałki z tłustym, przy tym pocieszała jak mogła:

— Do północka ozdrowiejecie, wesoło sobie przy gwiazdeczkach śmigniecie do Jakubowic. Takie bolenie w maju na zdrowie, nie na chorobę: krew się z różnego paskudztwa czyści przed latem równie u chłopa, jak u baby.

Latarka stłuczona wisiała w górze na słupie, krowy pomrukiwały, bijąc się ogonami po bokach, a dziewka karczmarska je doiła. Światło groszowej łojówki padało na małą, bladą, pomiętą twarz chorego, który się niespokojnie przewracał w kupie barłogu, wyrzucał z siebie dziwne okrzyki, to znowu spoglądał przerażonymi oczyma. Bole go osłabiły, gorzałka rozmarzyła, upoiła, a zapewne i gorączka podniecała. Czasem usypiał, ale nie miał widać snu dobrego — zrywał się, majaczył. Dręczyła go jakaś natrętna mara i straszliwym głosem gardłowym wołał:

— Czego ty tu chcesz?... Do zięcia idź sobie! On przecie podmówił mię, skusił, żeby zagarnąć wszystko...

— Widzieliście go? — zapytywał Biedroński, szeroko otwierając oczy. — Ooo, teraz łazi między krowami! Matko Boska Częstochowska, ratuj! — I rękoma zakrywał sobie oczy.

A Biedrońka go uspokajała:

— Kogo ja miałam widzieć? Między krowami jest oto dziewka karczmarska, doi je teraz przed nocą i już... Po co sobie też jakieś takie rzeczy przybierać do głowy?...

Na wspomnienie krów zaczął inaczej znowu bajać:

— Jewka, niech cię Bóg broni doić tę Smolichę! Zakazuję ci dawać dzieciom mleko... Psia paro! widzisz przecie akuratnie, że to krew, nie mleko! Krew czerwona, mleko białe! Czy one szczenięta, żeby krew chlapały? Franek, raku jeden, nie chlap, bo cię przetrącę, na miazgę zbiję!

I z jakimś osobliwym upodobaniem powtarzał kilka razy:

— Krew czerwona, mleko białe!

— Święci anieli pańscy! co wy, człowieku, wygadujecie? Włosy na głowie stają! — mówiła lekarka.

— Gromnica! oj, gromnica! — krzyknął Maciek tak przeraźliwie, że się krowy w stajni zaniepokoiły.

On sam odwrócił głowę i ukrył w słomie.

Baba wzięła go za rękę, upominała łagodnie:

— Wam zaś gromnica na co? Ho, ho! chciałabym mieć tyle tysięcy, ile wy lat pożyjecie jeszcze!... Ja, starucha taka, widzicie, a przecie się gromnicy nie dopraszam. Skończyć oto te fanaberie, wyspać się i potem marsz do chałupy!...

Niby się cokolwiek uspokoił; ale wnet przeszedł do wyrzekań na swoją biedę i począł kląć żonę, wymyślać jej tak, jak gdyby była przy nim obecna:

— Psia wiaro, tyś mi życie zmarnowała! Czy mi potrzeba tyle dzieci? Kraść na nie ciągle mam, czy zabijać?... Stara klapo, mam ja to z ciebie

jaką wysługę, wyrękę?... Ty jedna, a ten Grześ drugi, zgubiliście mię na wieki...

Tak wyrzekał, przeklinał, nareszcie umilkł, zamrużył oczy, leżał spokojnie.

Naraz zgasła świeczka w latarni, zrobiło się ogromnie ciemno. Krowy pomrukiwały i przeżuwały siano — chrup, chrup. Biedrońkę strach ogarnął, cichutko powstała z legła i po omacku wyszła, a drzwi za sobą założyła na kołek. Pobiegła prosto do karczmy, gdzie coraz więcej ludu napływało i, choć okna stały otworem, parno było od ciżby.

Na deszcz się zanosiło w tę nockę majową. Błyskawica wężem przelatywała po niebie, głuchy grzmot huczał w oddaleniu, słowiki wyśpiewywały po sadach, a w karczmie pełno gwaru. Przyjezdni, żeby się przed deszczem nie puszczać w drogę, dobijali w szynku odpustu; miejscowi znowu przychodzili do karczmy pogwarzyć, popatrzeć na obcych, ile że i kieliszek przed snem nikomu nie wadzi — owszem, pomoże. Słomka już się był należycie podochocił; ludzie mu precz schlebiali, a on gorzałkę kwartami stawiał. Spluwali, ćmili fajki a pili i o chorym Maćku jakoś zapomniano. Dopiero kiedy tutaj weszła Biedrońka i coś kiepską minę miała, sypnęły się zewsząd pytania:

— No i cóż? Jakże tam z Podymą? Ozdrowiał, hę?...

Rada, że tyle ludzi zwraca na nią uwagę, zdumniała i powiada:

— Zdrów być musi, kiej jego choroba na mojej głowie! Toć przeszłego roku w owczarza z Posądzy dwa pioruny trzasły, a ja go swoją ręką wskrzęśnęłam.

— Widziałem go na bez tydzień! — zawołał jakiś chłop z Koniuszy.

— Gadajcież, co będzie z Maćkiem? — pyta Słomka, kładąc dłoń na ramieniu baby. — On przed chwilką patrzał na księżą obórkę...

— Może i patrzał, ale Biedrońka go z tego świata nie puści! Usnął oto, śpi na zdrowie... Tyla ja wam powiem, on i bez choroby cudak jakiś. Różności takie wygaduje... strasznie słuchać, aż człeka zdziera... o raju!...

Zmiarkowała sobie, że tu głównie Grzegórz Maćkiem się zajmuje, i wręcz go jęła gabać o zapłatę za pomoc lekarską:

— Nieboga starowinka, ja z tego jeno żyję, poczciwym ludziom w biedzie poraję... Drugi da i jeszcze poczęstuje. Święto, nie święto, zarabia się człowiek. Serce, widzicie, mam takie dobre, gotowam nie dojeść, nie dospać, jak wypadnie kogo ratować...

Wpadła w rozczulenie, rozrzewniła się sama nad sobą:

— Święty Boże! biedactwo takie, sama jedna na tym świecie, wyżyjże tu!

Miała w karczmie powodzenie — ludzie się do niej garnęli, obsiedli babę wokoło, a chłop jakiś z Wierzbna, dobrze podchmielony, płaczliwym głosem opowiadał Biedrońce o chorobie swej baby, którą kołtun połamał. Słuchała, radziła, a popijała.

Wtem przez otwarte okna, razem z ponurym hukiem grzmotu, posłyszano w szynkowni krzyki i łomot walenia we drzwi od strony chlewa. Ludzie przycichli, nasłuchiwali, co takiego.

— Puść! Otwieraj! Gwałtu, ratujcie! — ktoś wrzeszczał.

— To Maciek krzyczy! — rzekł Słomka zaniepokojony.

Rzępik wyszedł z karczmy, uwolnił Podymę z zamknięcia i uspokajał:

— Człowieku, co ty wyrabiasz? Miejże rozum w głowie!...

Ale Maciek go nie słuchał i jak szalony pognał do szynkowni. Stanął we drzwiach, rozmamany na piersiach, cały jego łeb, sukmana — w słomie, a oczy wystraszone na wierzch mu wyłaziły. Wszystkich przeraził sobą, błędnymi oczyma wodził po izbie, a na Słomce wzrok zatrzymał i głośno wrzasnął:

— Masz ty sumienie ludzi zwodzić, żyć, jakby nigdy nic?... O, bratku, pamiętaj sobie, żeśmy obaj winni tej śmierci, żeśmy zbó...

Nie skończył, gdyż Grzegórz chwycił go pod rękę i co tchu z karczmy wyprowadził.

Właśnie piorun w bliskości gdzieś huknął i deszcz lunął, kiedy dwaj pątnicy z Jakubowic wyszli na drogę.

— Zbawicielu świata! — mówił Podyma przerażony — dzień sądu przyszedł!

— Śpiesz się, mitręgo! nie pleć oto ni w pięć, ni w dziewięć! — rzekł Słomka.

— Co mi pomoże pośpiech, kiej on za mną goni?...

— Kto zaś ma gonić? Deszcz pluska.

— A ja ci pedam, że nie deszcz... nieboszczyk Gromnica! Choć nie patrzę, a i tak go widzę... Trop w trop idzie po moich śladach.

— Maszże ty za grosz oleju w głowie?... Gadasz nic do rzeczy.

— Rozum mi nie pomoże...

Tak rozmawiając, trzymali się pod ręce i szli żwawo, a deszcz ulewny szumiał, grzmot w chmurach warczał, migały błyskawice. Byli już na wzgórzu pod krzyżem, kiedy olbrzymia błyskawica rozdarła niebo i w świetle jej stanęło porzecze Szreniawy. Przeraźliwy huk, trzask zaległ przestwory, a niebo zdawało się sypać pożar iskier w olszynowy gaik Cichej Wody. Grzegórz i Maciek stali pod krzyżem wylęknieni, utkwili wzrok w straszliwą łunę nad Cichą Wodą.

— Anieli pańscy, ratujcie! — wybąkał Podyma, trzęsąc się z przestrachu, i mimowolnie padł na kolana, wzniósł ręce w górę.

Słomka uczynił to samo. Ciemność znowu zaległa ziemię i dwaj pątnicy odpustowi w milczeniu puścili się wąwozem ku Jakubowicom. Kiedy dotarli do wsi, Maciek pochwycił towarzysza za rękę i rzekł cichym głosem:

— Odprowadź mię do chałuby, bo nic nie widzę!... Żywą, czerwieniuteńką krew mam w oczach... Przeklęte zbójectwo!

Nazajutrz rano w izbie biednego Podymy zjawiła się Smolicha, czarna krowa okazała, ze zbitym rogiem. Kunda, najstarsza córka, zabrała się do doju, a inne dzieci otoczyły bydlę naokoło, dotykały z pieszczotą jego gęby, nóg, ogona; mało brakowało, żeby całowały, lizały. Zwlokła się z łóżka i Jewka, baba rosła, brudna, rozczochrana, wynędzniała — skóra i kości. Rozdała dzieciom po kawałku czarnego, twardego chleba, który z trudem łamała palcami w braku noża. Wydojone mleko wlała w szczerbatą miskę, a dzieci, uzbrojone w drewniane, powygryzane łyżki, rzuciły się z ogromną żarłocznością do śniadania. Maciek siedział w kącie jakiś markotny, wsparł łokcie na kolanach, brodę na dłoniach i ponurym wzrokiem przyglądał się dzieciom. Nagle powstał i, wskazując ręką na krowę, zawołał:

— Kunda, odpędź mi zaraz tę krowę do obórki Grzegorza! Nie chcę, za nic nie chcę!...

— Czyś ty rozum stracił? — rzekła na to Jewka. — Miejże przecie zastanowienie! Głodem chcesz umorzyć te dzieciska, czy co? Dali ci dobrzy ludzie krowinę dla drobiazgu, a ty...

— Kunda, odpędź krowę do obórki Grzegorza! — powtórnie rozkazywał Maciek, a dzieci i żona z ogromnym zdziwieniem nań spoglądały.

Dziewucha jeszcze się ociągała z wykonaniem rozkazu ojca, Jewka ukryła twarz w dłoniach i zaczęła szlochać, a za nią małe dzieci wybuchnęły rozgłośnym płaczem. Smolicha, bijąc się ogonem po bokach, ruszyła w głąb izby, gdyż spostrzegła legło z barłogu, w którym przed chwilą spoczy-

wała Jewka. Podyma wodził oczyma po izbie, pochwycił długi ożóg, stojący przy nalepie, i silnie uderzył nim krowę, przytem zaklął:

— Będziesz mi ty tu, zacieczona, stała na oczach!

Zrozumiało od razu bydlę, że je z domu wypędzają, i żwawym krokiem pomknęło ku niedomkniętym drzwiom, a za nim biegł Maciek, wywijając ożogiem. Chłop był bardzo zły i, gdy mu się po drodze nawinęła Kunda, przeciągnął ją należycie kijem, mówiąc:

— Masz, psia duszo, za to, że ci posłuchu brakuje przed panem ojcem! Dawnoś sobie już zarobiła.

Widać ją dobrze potrącił, bo się aż przegięła i co tchu uszła spod ręki gniewnego tatusia, żeby jej jeszcze nie przyłożył. Smolicha pchnęła drzwi rogiem, wybiegła przed chałupę i na cały głos ryknęła raz, drugi, a potem puściła się kłusem ku zagrodzie Słomki. Ryk krowy bardziej jeszcze rozrzewnił Jewkę i małe dzieci; w izbie pełno było pisku. Maćkowi też zrobiło się nieluso; ale nie chciał tego po sobie pokazać. Teraz cisnął ożóg między dzieci, tupnął nogą i wrzasnął:

— Nie kwiczeć, raki, bo pouśmiercam!

Ożóg, rzucony z siłą, podskoczył parę razy na ziemi i koniec jego drasnął w czoło Franka trójlatka, któremu kilka kropli krwi spłynęło z tej rany w małą kałużę mleka, rozlanego przez dzieci. Podyma strasznym wzrokiem spoglądał na czerwone plamy w białym płynie. Nagle odwrócił głowę i, idąc ku drzwiom, mruczał:

— Krew czerwona, mleko białe! Krew czerwona, mleko białe! Oj jej!...

Przed chałupą spotkał Słomkę, który właśnie przyszedł dowiedzieć się, co to może znaczyć, że Smolicha wróciła do domu.

— Trzeba ją wziąć na powróz, bo bydlę okrutnie domowite — mówił.

— Krew czerwona, mleko białe! — odrzekł Maciek. — Za krowę mię nie kupisz... Trup mi spokoju nie daje i w dzień i w nocy... Sprawiedliwości mi potrzeba, spokoju sumienia, nie żadnej krowy.

— Człowieku, miejże statek, pomiarkowanie!

— Krew czerwona, mleko białe! Rozumiesz?... Dzisiaj koniec być musi!

— Jakiż znowu koniec?

— Taki, że zeznam rzetelną prawdę, powiem: — „zabiłem Szymona Gromnicę za dwadzieścia pięć rubli..."

— Wiesz ty, czym to pachnie? — pytał z przerażeniem Słomka. — Dzieci swoich nigdy już nie zobaczysz!

Na wspomnienie dzieci Podyma przystanął, wspomniał sobie, że wczoraj w karczmie zębocińskiej ukradł dla Franka bułkę i schował kawałek kiełbasy. Sięgnął do kieszeni, znalazł w niej i bułkę i kiełbasę. Zawrócił do chałupy, a Słomka szedł obok niego jak przykuty. Najmłodsze dzieci już były wyległy z izby, bawiły się w błocie na drodze. Maciek przez chwilkę przyglądał im się z daleka, potem krzyknął:

— Franek, trzymaj! — i rzucił kiełbasę i bułkę dziecku na kolana.

Teraz szedł przyśpieszonym krokiem, milcząc.

— Kajże ty idziesz? — pyta Grzegorz.

— Do Proszowic ze skargą!

— Z jaką skargą?

— Tego nie wiesz? Na zbójów, co zabili Gromnicę... I ty się gotuj!

— Czyś ty, Maciek, oszalał? Ja cię nie puszczę!

— Żebyś krwawymi łzami płakał, nie pomoże!... Muszę!

Przed wieczorem tego samego dnia policja proszowska osadziła w więzieniu Maćka Podymę i Grzegorza Słomkę z Jakubowic. Sprawa o morderstwo, spełnione nad Cichą Wodą, rozpoczęła się też w sądach niebawem i tym razem najzupełniej już wyświetlono całą sprawę.

KONIEC TOMU JEDENASTEGO.

KSIĄŻNICA PODLASKA im Łukasza Górnickiego Nr 2320A KS. ARCHIWALNY w Białymstoku

PRZYPISY

Siedem nowel, zamieszczonych w tomie niniejszym, autor wydrukował w czasie od 28 czerwca r. 1895 do dnia 3 kwietnia 1897 r.

Sen drukowany był w r. 1895 w Kurierze Codziennym, poczynając od nr 176 z dn. 28. VI. do nr 185 z dn. 7. VII.

Muchy ukazały się po raz pierwszy w r. 1895 w Słowie w n-rach od 151 z dn. 5. VII. do nr 165 z dn. 22. VII.

Pan referent był zamieszczony w r. 1896 w Przeglądzie Tygodniowym, nr 44 z dn. 31. X. do nr 49 z dn. 5. XII.

Maciek Fuła był wydrukowany w r. 1896 w Kurierze Niedzielnym, w n-rach od 5 z dn. 1. XI. do nr 7 z dn. 15. XI.

Żywot Beldonka był wydrukowany w r. 1897 w Zorzy w n-rach od 8 z dn. 18. II. do nr 40 z dn. 30. IX.

Znajdka ukazała się w tygodniku Echo muzyczne, teatralne i artystyczne w r. 1897 w n-rach od 8 (699) z dn. 20. II. do nr 14 (705) z dn. 3. IV.

Głód i sumienie autor zamieścił w r. 1897 w Głosie, w n-rach od 10 z dn. 6. III. do nr 14 z dn. 3. IV.

Nowele te ukazały się później w edycjach książkowych. *Muchy* i *Sen* wyszły razem w r. 1899 nakładem Adolfa Szredera w Warszawie, z odrębną paginacją (str. 84 i 18) z podwójnym tytułem: *Muchy*, szkic z natury. *Sen*, fantazja.

Pan referent, *Maciek Fuła*, *Znajdka*, *Głód i sumienie* weszły do zbioru nowel: *Z naszej niwy* (Warszawa 1900, nakład księgarni A. G. Dubowskiego, str. 307). W sprzedaży ukazały się również i poszczególne nowele z tego zbioru z osobną paginacją.

Żywot Beldonka, stanowiący cz. II noweli *Beldonek* (1888), ukazał się w książkowym wydaniu z rysunkami Z. Stankiewiczówny nakładem księgarni A. Rzążewskiej i J. Lisowskiej w r. 1898, str. 109.

Przy wydaniu niniejszym zrewidowano tekst pierwodruków i edycji książkowych i poprawiono niewątpliwe a oczywiste drobne błędy korekty.

Cytat łaciński w noweli *Muchy* na str. 11 pochodzi z Wergilego, Aeneis, I, 58—59. W przekładzie Dmochowskiego (1830) brzmi on: ,,Bez tego by szaleńcy i ziemię i morze — I nieba na powietrznym rozmietli przestworze". Również z Eneidy, I, 461—463, jest urywek przytoczony na str. 14. Dmochowski tłumaczy go tak: ,,...i tutaj ma cnota nagrody. — Jest litość, wszędzie ludzi ludzkie nędze bolą; — Rzuć bojaźń, ta ci sława osłodzi niedolą".

Co do tych przytoczeń z Wergiliusza charakterystyczny zwrot znajdujemy w liście autora z Młynowa z dn. 10 marca 1895: ,,Odbieram ,,Kurier Warszawski" i to jedno pismo odczytuję, chociaż, prawdę mówiąc, nie ma co czytać — bawię się lepiej nawet jakim Wergiliuszem".

Na str. 54 autor przytacza Lukrecjusza I, 264—265. Opierając się na krytycznej edycji T. Lucretii Cari de Rerum Natura, Londini 1727, editio altera — poprawiono ,,adjuta" na ,,adjutam". Natomiast może nieco niekonsekwentnie, ale uwzględniając wymowę Dygasińskiego — pozostawiono ,,aliud", zamiast ,,alid".

Wydawcy nie udało się ustalić, skąd jest zaczerpnięty rymowany cytat niemiecki, zamieszczony na str. 84.

*

W związku z utworem *Muchy* zanotować warto, że prześliczne ruchy much, wykonywane w powietrzu przez te owady, opisał Bernardin de St. Pierre.

W *Panu referencie*, oprócz portretu psychologicznego postaci tytułowej, nowela zawiera głębszy sens socjologiczny: komunikacja. Na jej znaczenie dla życia cywilizacyjnego (a więc i duchowego) zwracał wiele razy uwagę po wojnie G. Ferrero, historyk i socjolog włoski. A że brak jej między Pińczowem a Kielcami w okresie opisywanym w noweli przez Dygasińskiego odczuwano, świadczy skarga, jaka się wyrwała z ust prowizora: ,,...Słyszane rzeczy, żeby pomiędzy takimi Kielcami, miastem gubernialnym, a Pińczowem nie kursował codziennie jakiś omnibus" (str. 117).

Jak ta komunikacja wyglądała w okresie popowstaniowym, notuje kronikarz J. L. Kaczkowski: ,,...Czy by kto uwierzył —

pisze — gdyby mu powiedziano, że Kielce, miasto gubernialne nie ma swego furmana, który by załatwiał miejscowe interesa i stosunki, lecz wyręczać się muszą Radomiem, Chęcinami i Chmielnikiem. Stację omnibusów w domu Jurgaszkowej utrzymują furmani radomscy, a frachtowe interesa prowadzą furmani chęcińscy i chmielniccy. Stosunków i komunikacji kupieckiej między Piotrkowem a Kielcami nie ma żadnej, mimo żwirówki i najbliższej stacji kolei żelaznej. Zaprowadzony bieg omnibusów w miesiącu maju 1871 roku przez Judkę Cukiermana z Kielc, jako wyłącznie pasażerski i nieskierowany na miasto Końsk okazał się niepraktycznym i wkrótce zastąpionym został dyliżansem pocztowym, którym podróż mimowoli przypomina, jeśli nie tantalowskie męczarnie, to co najmniej legendowy wojaż Marka po piekle..." (Pamiętnik kielecki na r. 1874, III, pod red. ks. Wład. Siarkowskiego, Warszawa).

Gdy autor w *Żywocie Beldonka* pisze o tym, że ksiądz wikary pojechał z Pińczowa ,,za granicę do Krakowa" (str. 259, w. 2 od g.), to trzeba pamiętać, że wówczas był kordon graniczny rosyjsko-austriacki, rozdzielający ziemię krakowską.

W *Żywocie Beldonka* jest zaznaczony konserwatyzm chłopski. Starsze pokolenie mówi: Chłop powinien chłopem zostać, nauka mu nie potrzebna. Aczkolwiek ,,czas już, żeby i lud wydawał z siebie wielkich ludzi" (str. 270), to jednak jednostka, uzdolniona ponad przeciętność, marnuje się przez środowisko, które stawia zapory, nie znosząc, jak swojak wyskakuje z powszechności rolnej. Nie dla każdego los był tak szczególnie szczęśliwy, jak dla genialnego J. Kasprowicza. Walka o swoje prawo do życia, to los *Beldonka*-artysty. Szymek Grzybowski, taki, co szkoły skończył, bohater utworu *W Swojczy* (1899), wróciwszy na wieś jako nowator, przeprowadza zwycięską walkę z przesądami i konserwatyzmem starych, i organizuje wieś na nowych zasadach — współdziałania, samopomocy. Beldonek — to artysta; bohater *W Swojczy* zaś — to społecznik.

Dygasiński napisał już był *Żywot Beldonka*, gdy w r. 1897 zwrócił na siebie uwagę swymi rzeźbami Bolesław Biegas. Urodzony w r. 1878 w Ciechanowie pod Płockiem był samoukiem zaledwie umiejącym czytać i pisać. Staraniem dr. Rajkowskiego na wystawie higienicznej w Warszawie pomieszczono, jako przyczynek do lecznictwa ludowego, rzeźby Biegasa, m. in. starą

babę, stawiającą garnek na brzuchu chorej. Po zamieszczeniu reprodukcji tych rzeźb Biegasa w pismach ilustrowanych, grono ludzi zajęło się jego losem i wysłano go do Krakowskiej Szkoły Sztuk Pięknych. Profesorzy go nie rozumieli, on od nich niewiele skorzystał. W r. 1899 przeniósł się do Paryża. Rzeźby jego wyróżniały się samoistną odrębnością; prace jego zamieszczały najpoważniejsze artystyczne czasopisma francuskie i angielskie. Oddawał się także malarstwu; pisał również i utwory dramatyczne, te były jednak chybione. Jednostka z ludu niemal genialna. W swoim rodzaju „Beldonek".

Beldonkowa tęsknota do nauki i ciekawość do książek, duże różnokierunkowe uzdolnienie nasuwa na myśl Ferd. Kurasia (ur. r. 1871) i Fr. Magrysia (ur. r. 1846), chłopów galicyjskich, których pamiętniki ogłoszono w latach 1925 i 1932.

„...Wzbudziła się u mnie ciekawość do książek — pisze Magryś. Oprócz czytania w chwilach, gdy bydło pokładło się spać na pastwisku, znalazłem sobie drugie zajęcie, do którego zabrałem się z wielką ochotą. Rżnąłem mianowicie krzyże i różne inne figury na drzewach leśnych... Pasąc konie, czytałem książki, skoro udało mi się wypożyczyć je u kogokolwiek, kreśliłem wiersze, to znów robiłem łańcuszki do fajek z żółtego drutu, a gdym za nie zarobił cośkolwiek, kupowałem książki..."

8931
3313
3490
Miejska Biblioteka Publiczna w Białymstoku
10608
28394
A PODLASKA
Górnickiego
KS. ARCHIWALNY
w Białymstoku

SPIS RZECZY:

	Str.
SEN	5
MUCHY	20
PAN REFERENT	98
MACIEK FUŁA	135
ŻYWOT BELDONKA	
Rozdział I	159
Rozdział II	172
Rozdział III	186
Rozdział IV	199
Rozdział V	211
Rozdział VI	224
Rozdział VII	238
Rozdział VIII	253
Rozdział IX	264
Rozdział X	270
ZNAJDKA	289
GŁÓD I SUMIENIE	326
PRZYPISY	367

10608
28394